

Alternatywa

Ekskalibura

David Weber



Dla Robie i Sharon
moich ulubionych dam

Diabelski wicher powitał blade światło dnia wściekłym, piekielnym wyciem. Słoneczny brzask ledwie przesączał się przez chmury, świadcząc, że za czarną zasłoną dzienna gwiazda po raz kolejny wzniosła się ponad horyzont. Wstawał upiorny poranek, smagany potokami deszczu i morskiej piany, wstrząsany grzmotem, wyciem wiatru i niekończącym się jękiem takielunku, przerywanym nagłym, wilgotnym trzaskiem pękającego płótna, kiedy żagle darły się w strzępy.

Sir Jerzy Wincaster, trzeci baron Wickworth, z trudem utrzymywał się na nogach. Drżał i pojękiwał z wysiłku, i jedynie siłą woli, choć pozbawiony nadziei, nie dawał się powalić falom. Kiedy podstępny sztorm uderzył w nich wczorajszego ranka, kapitan okrętu przewiązał go w pasie liną zabezpieczającą, i teraz baron czuł, że siniaki pokrywają całą jego klatkę piersiową. Sól poraniła mu usta, a deszcz i morska woda przemoczyły go do szpiku kości. Czuł się tak, jakby ciężki koń przebiegł po nim kilka razy. Rozpacz kładła się na jego sercu ołowianym ciężarem. Kiedy pogoda się załamała, był zbyt mało obeznany z morzem, aby zrozumieć przerażenie kapitana. Przecież był żołnierzem, a nie żeglarzem. Teraz patrzył tępo na zgnębony statek, jęczący i trzeszczący każdą najmniejszą deską i liną, zsuwający się wzdłuż kolejnej zielonoszarej góry ukoronowanej łalami piany i zanurzający obły dziób głęboko w morskie fale. Wreszcie pojął strach kapitana. Woda pienila się na pokładzie, zielona niczym trucizna i lodowata jak śmierć. Zalewała jego nogi i biodra, i sięgała po każdego człowieka, który odważył się wychynąć na niestabilny pokład. Fala zniszczenia uderzyła w sir Jerzego i wybiła mu powietrze z płuc. Mężczyzna jęknął po raz kolejny, niczym w agonii, a po chwili, kiedy woda cofnęła się, uniósł głowę, kaszląc i dysząc, aby wydmuchać płyn, który wdarł się do nosa i ust.

Koga po raz kolejny wywalczyła sobie drogę z głębiny, chwiejąc się, kiedy tony wody przelewały się przez pogięte relingi. Porwane liny takielunku trzaskały na wietrze, który był niczym potępieniec, niebezpieczne niczym stalowe pręty. Baron słyszał, jak kadłub trzeszczy przeraźliwie. Chociaż był szczurem lądowym, to nawet on czuł, że statek porusza się coraz ciężiej. Wiedział, że mężczyźni, i kobiety także, którzy gorączkowo trudzili się przy pompach, kubłach i miskach, nawet gołymi rękoma wybierając wodę, powoli tracą siły.

Statek skazany był na zagładę. Wszystkie okręty jego wyprawy miał spotkać podobny

los... i nie mógł nic na to poradzić. Nieoczekiwany wiosenny sztorm złapał ich w najgorszej możliwej chwili, kiedy okrążali wyspy Scilly, w drodze z Lancaster do Normandii. Nie dostali ostrzeżenia, nie mieli czasu, na poszukanie schronienia. Pozostała im tylko nadzieja, że w jakiś sposób umkną przed gwałtownością sztormu na otwarte morze.

I ta nadzieja ich zawiodła.

Właściwie sir Jerzy widział do tej pory tylko jeden tonący statek. Nie był do końca pewny, który, ale zdawało mu się, że to okręt flagowy jarla Cathwalla. Miał nadzieję, że się mylił. Nie sądził, aby ktokolwiek z nich przeżył tę podróż, ale lord był kimś więcej, jak tylko dowódcą wyprawy. Był także jego teściem i baron darzył go wielkim respektem i uczuciem. Może jednak się mylił... Tonący statek był tak blisko, że baron słyszał wrzaski skazanej na śmierć załogi nawet mimo potępieńczego wycia wiatru. Rozhuśtane wody i ciemność, przerywana jedynie krótkimi chwilami jasności, kiedy uderzał piorun, sprawiła, że identyfikacja tonącego statku była praktycznie niemożliwa.

I chociaż widział jak na dno szedł tylko jeden z okrętów, był praktycznie pewien, że resztę spotkał podobny los.

Zacisnął zęby, kiedy kolejna góra wody załamała się nad pokładem jego kogi. Fala runęła w dół i spod zalanego wodą pokładu, pełnego mężczyzn, kobiet i dzieci, uniósł się nowy chór modlitw i krzyków. Jego żona Matylda i syn Edward tkwili gdzieś tam w piekielnej, czarnej czeluści, śmierzdzącej strachem i wymiocinami, pełnej morskiej wody i dryfującego ładunku. Kiedy o nich pomyślał, przerażenie niemalże odebrało mu dech w piersiach. Szukał w myślach słów modlitwy, sposobu, aby wyprosić u Boga ocalenie dla żony i syna. Nie błagał o życie dla siebie. To było niezgodnie z jego naturą, a poza tym to właśnie on był odpowiedzialny za to, że się tutaj znaleźli. Jeżeli Bóg chciał jego życie w zamian za ocalenie tych, których kochał, zapłaci tę cenę bez jednego słowa skargi.

Był jednak prawie pewien, że jego oferta nie zostanie przyjęta. On, Matylda i Edward zginą razem, zdławieni bezlitosnym okrucieństwem i bezosobową brutalnością morza i wiatru, i w głębi duszy przeklinał gorzko tego, który zgotował dla nich taki los.

Koga zadrzała i przechyliła się z jękiem przeciążonego kadłuba i olinowania. Sir Jerzy uniósł głowę, słysząc, że oficer coś woła. Nie rozumiał słów, ale wiedział, że to pytanie, skierowane do niego, więc otrząsnął się niczym przemoczony pies i z trudem nakłonił umysł do jeszcze jednego wysiłku. Mimo tego, że zupełnie nie znał się na morzu, został skazany na dowodzenie statkiem, kiedy spadająca reja zabiła kapitana. W rzeczywistości nie robił nic, tylko zgadzał się z sugestiami oficera i wspierał jego decyzje swoim autorytetem. Mężczyzna był doświadczony i mógł utrzymać ich na powierzchni przez jeszcze kilka godzin. Oficer

potrzebował tego wsparcia, musiał zwracać się do kogoś, kto przejmie odpowiedzialność za statek, a to właśnie była jego robota. Branie na siebie odpowiedzialności. A raczej uznawanie, że odpowiedzialność spoczywa właśnie na nim. Tak więc przybrał taki wyraz twarzy, jakby z uwagą rozważał sugestie oficera i po chwili stanowczo pokiwał głową.

Oficer skinął w odpowiedzi, a potem wyrzesał kilka rozkazów do wyczerpanych, poobijanych marynarzy, których została już tylko garstka. Wycie wiatru i ryk morskich fal poszarpały słowa w niezrozumiały bełkot, ale dwóch, czy trzech ruszyło mozolnie, aby wykonać rozkaz. Baron znów spojrzął na bałwany smagane deszczem. Pomyślał sobie, że tak naprawdę nie ma znaczenia, jakie rozkazy wydał oficer. W najgorszym wypadku pomyłka odbierze im te kilka godzin życia, które jeszcze pozostały; albo błyskotliwe posunięcie marynarza da im jedną, czy dwie godziny, których w przeciwnym razie by nie mieli. W końcu rezultat i tak będzie taki sam.

Miał tyle planów z którymi wiązał tak wielkie nadzieje... Sir Jerzy Wincaster był twardym i zdeterminowanym człowiekiem. Parem królestwa, młodym mężczyzną, który zwrócił na siebie uwagę monarchy pod Dupplin i podczas oblężenia Berwick, kiedy miał zaledwie dwadzieścia dwa lata. Który został pasowany na rycerza przez samego króla Edwarda III następnego roku, na polach Halidon Hill. Który wyróżnił się osiem lat później w bitwie pod Sluys i przetrwał gorzką i pełną rozczarowań kampanię we Francji w roku 1340. Z gaskońskiej wyprawy z Henrykiem z Denby wrócił, zdobywszy fortunę, pięć lat później. Chociaż, pomyślał sobie nie bez odrobiny jadowitego humoru, że gdyby wtedy zdobył choć szcątkową wiedzę o morskich podróżach, byłby na tyle mądry, żeby tym razem zostać w domu!

I w końcu co dobrego mi to przyniosło, pomyślał z goryczą, wspominając swe ambitne plany. W wieku trzydziestu pięciu lat był na szczycie swoich możliwości; doświadczony, zaprawiony w bojach mistrz żołnierskiego rzemiosła. Prawda, był rycerzem, ale wywodził się z pospólstwa i ciężką pracą zdobył sobie tytuł barona i przysługujące mu dobra. Znał dobrze prawdziwe oblicze wojny, a nie opiewane przez poetów rycerskie czyny i romanse. Był mężczyzną, który walczy, aby wygrać... i rozumiał, jakie zasadnicze zmiany wprowadzi Anglia ze swoimi oddziałami łuczników do sposobu prowadzenia wojny przez kontynentalnych władców.

I wiedział, że w służbie królowi angielskiemu przeciwko Filipowi Francuskiemu może zdobyć kolejną fortunę, ziemie i siłę. Mimo rozczarowań roku 1340 ostatnie lata były dowodem, że Edward III jest godny miana prawowitego następcy swego dziada, co było prawdziwą ulgą po słabości i pobłażliwości jego ojca. Sir Jerzy pomyślał, że Longshanks z

pewnością zyskałby aprobatę starego króla. Zaczął powoli, ale teraz, kiedy Denby pokazał mu drogę i kiedy sam postanowił wystąpić przeciwko Filipowi, angielskie lwy sprawią, że Francuzi zawyją z rozpacz!

Być może tak się stanie, i z pewnością Edward ma większe prawa do tronu francuskiego niż Filip IV, ale sir Jerzy Wincaster nie stanie u boku swego króla i nie zyska sławy, bogactwa ani władzy, którą zamierzał przekazać swemu synowi. Już nie. Gdyż jego samego i żołnierzy, którymi dowodzi, czeka inny los i nikt nigdy się nie dowie, gdzie spoczną ich kości.

* * *

Trupie światło nękanego sztormem popołudnia powoli skłaniało się ku wieczorowi. Sir Jerzy zdał sobie sprawę z faktu, że w jakiś sposób udało im się przetrwać kolejny dzień.

Był zbyt wyczerpany, aby się temu dziwić i chociaż usiłował wzbudzić w sobie wdzięczność, część jego umysłu daleka była od podobnych uczuć. W niedalekiej przyszłości czaiła się kolejna noc przerażenia, wyczerpania i desperackiej walki, i chociaż z trudem zbierał w sobie siły, aby stawić jej czoła, zdradziecka część umysłu chciała już tylko tego, aby wszystko się skończyło. Aby wreszcie nadszedł koniec.

I odpoczynek.

Niebawem będzie mógł odpocząć, przypomniał sobie. Już niedługo. Całą wieczność, jeżeli będzie miał tyle szczęścia, aby uniknąć piekła. Miał nadzieję, że tak się stanie, ale był także realistą... i żołnierzem. I wiedział, że nawet najlepsi mogą liczyć co najwyżej na wieczny pobyt w czyścicu, podczas gdy najgorsi...

Odepchnął od siebie tę myśl, nie bez żalu, że nie będzie miał już okazji podyskutować na ten fascynujący temat z ojcem Tymoteuszem i zmusił się do wyjrzenia za burtę. Drugi statek ciągle płynął obok, majaczył w oddali w zapadającym zmroku. Ciągle walczył z napierającymi górami szarości. Baron zobaczył także trzeci statek, płynący jeszcze bardziej z tyłu. Poza zasięgiem wzroku mogły być jeszcze inne, ale...

Rozpierzchłe, nęcane zmęczeniem myśli sir Jerzego nagle skupiły się na jednej rzeczy; zacisnął dłonie niczym szpony na relingu. Usłyszał ochryply okrzyk, ledwie zrozumiał i niktający w grzmocie fal i wiatru. Przerazające oblicze sztormu wzbogaciło się o kolejny element i mężczyzna z trudem powstrzymał okrzyk strachu, kiedy przed jego oczami pojawił się nagle niewiarygodny obiekt, jakby wyrwany z nicości, mimo szalejącego wichru i deszczu.

Nie wiedział, na co patrzy. Nie potrafił objąć umysłem obcej rzeczy, gdyż brakowało mu

punktu odniesienia, aby chociaż pojąć rozmiar i naturę obiektu. Był zbyt wielki, zbyt niesamowity... nierzeczywisty. Nie mógł istnieć, nie w świecie śmiertelnych, a jednak wznosił się ponad statkiem, nieruchomy, mimo szalejącego sztormu, jakby ten był czymś nie większym od najłagodniejszego zefirka. Lśnił jak polerowany brąz, błyszczał w świetle błyskawic, długi na prawie dwa kilometry. Obiekt o łagodnych liniach i błyszczących skrzydłach, zdobnych klejnotami czerwonych, białych i bursztynowych świateł.

Patrzył, zbyt zdumiony i zaskoczony, aby myśleć. Niemy szok i niezrozumienie zepchnęły na margines nawet strach przed burzą i obawę o życie żony i syna. Wielki obiekt wisiał nad nim, niewzruszony mimo pędzących po niebie chmur i zacinającego deszczu.

A potem się poruszył. Niezbyt szybko, ale z wielką łatwością, jakby drwił sobie z furii sztormu. Przesunął się nad majaczącą w oddali kogę, którą baron widział chwilę temu. Na powierzchni morza odbiło się światło, kiedy bok obiektu uniósł się i przeformował.

Nie, nie przeformował, pomyślał tępo. To coś się otwiera. A światło pada z wnętrza tego czegoś, czymkolwiek by było. To są drzwi, drzwi prowadzące do komnat pełnych światła i...

Myśli barona znów się rozpierzchły i zatrzymały, kiedy z obiektu wysypało się kilka mniejszych, dużo mniejszych pojazdów, tak samo niewzruszonych mimo szalejącego wokół nich sztormu. Niektóre miały kształt krzyża i przypominały nieco szybującego z gracją albatrosa albo mewę, podczas gdy inne wyglądały jak tępo zakończone stożki albo kule, ale wszystkie były tego samego koloru co największy obiekt, który ich wydał.

Rozproszyły się, otaczając na wpół zatopioną kogę, a potem...

- Słodki Jezu!

Baron odwrócił głowę zbyt zaszokowany tym, co zobaczyły jego własne oczy, aby zdziwić się temu, w jaki sposób ojciec Tymoteusz znalazł się na pokładzie. Siwowłosy dominikanin był potężnym mężczyzną o silnych ramionach łuczника, którym był, zanim usłyszał wołanie Boga wiele lat temu. Sir Jerzy rozluźnił śmiertelny uchwyt żelaznych palców na relingu i złapał za ramię swego spowiednika.

- W imię Boga, Tymoteuszu! Co to za rzecz?!

- Nie wiem - odparł szczerze kapłan. - Ale...

Przerwał nagle i także puścił reling, aby gwałtownie się przeżegnać. Baron wcale się temu nie dziwił.

- Święta Mario, Matko Boska - szepnął, puszczając księdza i także czyniąc znak krzyża, ale dużo wolniej i prawie bezwiednie. Patrzył, jak nieziemskie promienie światła buchają z tajemniczych obiektów, które otoczyły statek. Światło dotknęło tonącą jednostkę, otuliło ją...

... i uniosło delikatnie ze spienionej powierzchni morza.

Ktoś stojący na pokładzie statku, bełkotał niewyraźnie, mieszając fragmenty modlitw ze słowami zaprzeczenia, przeplatany przekleństwami, ale on sam stał w milczeniu, niezdolny do oderwania oczu od niesamowitego widoku. Widział potoki wody, spadające z pokładu, prosto z na wpół zatopionych ładowni, w śmiertelnej ciszy i spokoju, które tuż nad powierzchnią morza zamieniały się w pył, rozbijane na krople przez szalejący wicher. Pomimo to obiekty ciągle trzymały statek w wiązce blasku i unosiły bez wysiłku w kierunku dużo większego kształtu, który je zrodził. Baron zamrugał, kiedy zobaczył, jak ktoś z wznoszącego się statku, bez wątpienia oszalały ze strachu, przeskakuje ciężko przez reling. Za pierwszym podążyło drugie ciało, a za nim kolejne.

- Głupcy! - zawołał ojciec Tymoteusz. - Debile! Kretyni! Sam Bóg ofiarowuje im życie, a oni...!

Ksiądz zamilkł i uderzył w reling pięścią.

Pierwsze z ciał uderzyło w wodę i zniknęło bez śladu, ale drugie i trzecie nie podzieliło jego losu. Z obiektów strzeliły dodatkowe wiązki światła, dotknęły opadających ludzi i powstrzymały śmiertelny upadek. Światło uniosło ich razem ze statkiem i podążyli w kierunku jaskrawo oświetlonej czeluści. Sir Jerzy przełknął ślinę. Oceniał wcześniej, że tajemniczy obiekt ma długość ponad półtora kilometra, ale najwyraźniej się pomylił. Był znacznie dłuższy. Znacznie. Koga wreszcie stała się dla niego punktem odniesienia. Statek wyglądał jak dziecięca zabawka przy rozległym, błyszczącym kształcie, który przypominał wielką górę z brązu, jaśniejącą na tle czarnych sztormowych chmur, gnanych wściekłą nawałnicą.

- Czy rzeczywiście są głupcami? - usłyszał swoje słowa, chociaż nie zdawał sobie sprawy, że wypowiedział je głośno. Mimo tego, że mówił cicho, a wokół szalało morze i wiał wiatr, ojciec Tymoteusz usłyszał go, odwrócił głowę i uniósł pytająco brew. Nawet w tak niesprzyjającym momencie wyraz jego twarzy przywodził na myśl wspomnienia z czasów, kiedy był on nauczycielem sir Jerzego, tak jak teraz uczył jego syna Edwarda, ale baron nie miał nastroju, aby się nad tym zastanawiać.

- Czy rzeczywiście są głupcami? - powtórzył, przekrzykując ryk sztormu. - Czy jesteś absolutnie pewny, że ta... ta rzecz... - Pokazał na obiekt dłonią, która ku jego zdumieniu, ani trochę nie drżała. - ...została do nas przysłana przez Boga, a nie przez Szatana?

- Nie dbam, od kogo pochodzi! Jaka to różnica, jeżeli daje nam szansę przeżycia, a póki życia, póty nadziei na litość, jaką Bóg nam okazuje!

- Życie? - zawołał sir Jerzy, a ojciec Tymoteusz potrząsnął głową, jakby napominał swego byłego studenta za opieszałość myśli.

- Jakikolwiek byłby cel działania tej istoty, w tej chwili jest jasne, że chce uratować statek i prawdopodobnie wszystkich, którzy przeżyli.

- Ale... dlaczego?

- Tego nie wiem - przyznał duchowny. - Poznałem miłość Boga do ludzi i mam nadzieję, że to jego miłosierdzie daje nam ocalenie, ale widziałem wiele zła, czynionego przez ludzi, i dlatego obawiam się, że może być wręcz przeciwnie. Jednakże niebawem się dowiemy, mój panie, jaki jest cel tej istoty i kto ją przysłał.

* * *

Koga sir Jerzego została podniesiona z morza jako ostatnia.

Udało mu się przynajmniej przez cały czas utrzymać tak dla niego charakterystyczny spokój i pewność siebie, co sprawiło, że wszyscy na pokładzie jego statku także nie poddawali się panice, do chwili, aż małe obiekty otoczyły statek. Teraz baron stał przy relingu, ubrany w zbroję, której nie miał na sobie wcześniej, kiedy zagrażały mu jedynie morskie fale. Patrzył na ogromny kształt, wraz z żoną i synem u boku. Obawiał się, że ktoś może odebrać jego zachowanie niewłaściwie, dlatego starał się ze wszystkich sił wyglądać jak ktoś, kto silnym ramieniem otacza ukochaną kobietę, aby dodać jej sił. Ale tych dwoje znało siebie doskonale. Jak zawsze, Matylda wspierała go, dumnie opierając policzek o jego ramię, nawet jeżeli sama drżała ze strachu, a on co kilka chwil pochylał głowę, aby pocałować ją w przemoczone, potargane wiatrem włosy. Przez czternaście lat stała u jego boku, w każdej chwili, zawsze go wspierała. Poczuł, jak ogarnia go ciepłe i znajome uczucie, kiedy znów czerpał siłę z jej obecności.

Pocałował jej włosy raz jeszcze, a potem spojrział znów na niewiarygodny obiekt, wznoszący się ponad nimi. Jego ludzie doskonale wiedzieli, że baron tak samo jak oni nie ma pojęcia, z czym przyjdzie się im zmierzyć, ale wpojona dyscyplina wzięła górę nad uczuciami. Tyczyło się to szczególnie ludzi z jego najbliższego otoczenia i ich rodzin - czerpali oni siłę z faktu, że udawali, jakoby ich pan wiedział, co ich czeka. Baron czuł na sobie spojrzenia, kiedy z nieba spłynęło światło; wycie wiatru i huk grzmotów ustały nagle. Sir Jerzy nie poczuł najmniejszego szarpnięcia, ale nie odrywał wzroku od wielkiego kształtu, który ich oczekiwał. Nie odważył się spojrzeć przez reling na oddalające się morze, tak nagle znieruchomiałe i spokojne. Obawiał się, że ten nienaturalny widok nie pozwoli mu na zachowanie dotychczasowego spokoju, który był tak potrzebny jego ludziom.

Osobliwa podróż była bardzo szybka, jednakże na pokładzie nie odczuwało się najłżejszego podmuchu. Tak jakby powietrze, otaczające statek, zamarzło nagle,

znieruchomiało w ciszy niespotykanej w naturalnym świecie. Strumienie wody nadal spływały z nieba, ale na granicy bąbla ciszy rozbijały się i znikwały w eksplozji piany.

Mimo szybkości, lot w górę zdawał się trwać wieki i sir Jerzy słyszał urywane słowa łacińskiej modlitwy, padające z ust ojca Tymoteusza, kiedy mknęli ponad kłębiącymi się falami. A potem nagle to była ich kolej, żeby przekroczyć otwarte wrota i baron przełknął ślinę, kiedy zobaczył pozostałe nogi, spoczywające niczym porzucone zabawki w wielkiej pustej przestrzeni we wnętrzu tajemniczego obiektu.

Razem z jego statkiem, było ich dziewięć. Czyli znacznie więcej, niż miał nadzieję zobaczyć po wyczerpującej walce ze sztormem. Z drugiej strony dziewięć jednostek stanowiło mniej niż połowę tych, które wyruszyły w podróż do Francji. Baron zacisnął szczęki. Nie był pewien, czy wcześniej widział, jak tonie statek jarla Cathwalla, ale niestety okrętu teścia nie było wśród tych uratowanych.

Koga dotknęła podłogi sztucznej pieczary i sir Jerzy wzmocnił uścisk na relingu, spodziewając się, że statek przechyli się na bok, kiedy promień go uwolni. Jednak tak się nie stało. Nadal stał prosto, a woda powoli wypływała z zatopionych ładowni. Baron zdecydował się puścić reling.

- Przystawmy drabinę do burty - powiedział oficerowi.

- Nie sądzę... - zaczął mężczyzna, ale przerwał w pół zdania. - Oczywiście, mój panie. Będę musiał skonstruować coś w rodzaju platformy, ale...

Znowu przerwał, tym razem z nieartykułowanym skrzeknięciem. Sir Jerzy z trudem zwalczył równie poniżający wrzask strachu, kiedy jakaś niewidzialna dłoń uniosła go do góry. Mocno przycisnął do siebie Matyldę i usłyszał westchnienie Edwarda, pełne przerażenia, ale żadne z nich nie przyniosło mu wstydu okrzykiem strachu, co wprawiło go w niezmierną dumę.

Niewidzialna dłoń była tak samo łagodna, jak nieznosząca sprzeciwu i baron odetchnął z ulgą, kiedy znów stanęli pewnie na nogach. Za nimi podążyli wszyscy ludzie ze statku, płynąc w powietrzu niczym niezgrabne ptaki; niektórzy w panice wymachiwali nogami i rękami. W końcu wszyscy stanęli przy burcie stojącej nogi, zaskoczeni i pełni obaw, ale ze wszystkich sił starający się nie okazywać strachu. Patrzyli na niego jako na swego przewodnika.

- Przechodzić w kierunku przegrody, za zielonym światłem - powiedział niespodziewanie jakiś głos i baron drgnął ze zdumienia.

- Czary! - szepnął ktoś i sir Jerzy musiał zwalczyć chęć zgodzenia się z przedmówcą. Głos, który przemówił, dobywał się znikąd, a mimo to zdawało się, jakby ktoś mówił mu prosto do ucha! W samym głosie także było coś dziwnego. Rezonans i tembr, jakiego nigdy

wcześniej nie słyszał... i który, sądząc po wyrazach twarzy ludzi, którzy go otaczali, przemawiał do każdego z osobna, a nie tylko do niego.

- Czary, czy siły anielskie, wydaje się, że nie mamy wyboru i musimy ich słuchać, przynajmniej w tej chwili - powiedział baron tak spokojnie, jak tylko zdołał. Podał ramię Matyldzie, spojrzął na syna, a potem zmierzył wzrokiem swoich podwładnych. - Tak, czy owoak, nie zapominajmy, że jesteśmy chrześcijanami i Anglikami.

- Dobrze powiedziane, mój panie! - zahuczał ojciec Tymoteusz i uśmiechnął się do zebranych surowo, co bardziej pasowało do łucznika z dawnych lat, niż do usposobionego pokojowo człowieka oddanego Bogu, jakim się stał. - Jeżeli to są czary, Bóg i jego Najświętsza Matka z pewnością ocalą nasze dusze. A jeżeli staniemy naprzeciw sił, nie pochodzących ze świata śmiertelników, czyż istnieje coś na naszej ziemi, czemu Anglik nie byłby w stanie się przeciwstawić?

Kilka głosów wymruczało słowa aprobaty... bez wątpienia w celu upewnienia samych siebie, że mają jakąś szansę. Sir Jerzy, który myślał tak samo, poprowadził ich w kierunku migających zielonych świateł.

To był długi spacer. Mimo niepokojącej atmosfery, baron poczuł, że serce już nie bije mu tak szybko i nie czuje już takiego przerażenia, jak wcześniej. Po części wynikało to z jego wręcz niesamowitej ciekawości świata. Nie mógł powstrzymać się od rozglądania naokoło. Wszystko, co widział, zdawało mu się cudownym i niesamowitym.

Błyszcząca podłoga zdawała się być zrobiona z jakiegoś rodzaju stopu, chociaż baron wątpił, czy jakikolwiek kowal w najśmielszych snach mógłby planować tak wielki obiekt z metalu. To na pewno nie był brąz, chociaż go przypominał, tego był pewien, jednakże materiał dzwonił delikatnie pod stopami i miał połysk, jak gładki, wypolerowany metal. Ale to było, oczywiście, niedorzeczne. Zbyt dobrze zdawał sobie sprawę z ceny kolczugi czy kirysu. Absurdem byłaby choć sugestia, że wielki obiekt, w środku którego się znaleźli, może być zrobiony z metalu. Ale z drugiej strony to mógł być tylko metal.

Światła były równie dziwne. Paliły się jasno i nieruchomo, co było zupełnie nienaturalne. Nie wiedział, z jakiego źródła czerpały energię, ale z pewnością nie mógł być to olej, ani łój. W rzeczywistości nie widział ani śladu płomienia, tak jakby budowniczkowie tego obiektu w jakiś sposób uwięzili światło słońca i uwalniali je, kiedy zachodziła taka potrzeba.

Zamrugął, zastanawiając się, dlaczego jest taki pewny, że ten obiekt został zbudowany. Z pewnością, czary... albo dłoń Boga, były znacznie rozsądniejszym wytłumaczeniem powstania kształtu. Żadna śmiertelna istota nie byłaby w stanie skonstruować takiego cudu. Ale mimo pomieszania i strachu, odkrył, że w jakiś sposób udało mu się przekonać samego

siebie, że metalowy obiekt wykonany został przez śmiertelników, a nie przez demony czy Boga.

Przekonanie to zostało wystawione na ciężką próbę, kiedy dotarli wreszcie do miejsca przeznaczenia.

Pasażerowie z pozostałych kog już się tu zebrali. Podobnie jak on sam, wszyscy rycerze i większość żołnierzy zdołała zabrać ze sobą broń osobistą zanim opuścili statki. Wielu łuczników dźwigało łuki, ale żaden z nich nie nałożył cięciwy. Nie było to zdumiewające, biorąc pod uwagę, w jakim musiały być stanie. Jednakże nawet bez łuków, mężczyźni, zebrani przy przegrodzie razem z kobietami i dziećmi, byli całkiem nieźle uzbrojeni. Sir Jerzy pomyślał sobie, że to powinno być dla niego źródłem spokoju.

Ale nie było.

Zacisnął dłoń na rękojeści miecza i wciągnął głęboko powietrze, kiedy wreszcie dostrzegł to, co sprawiło, że jego ludzie dosłownie zastygli z przerażenia.

To tyle, jeżeli chodzi o ręce śmiertelników, pomyślał sobie z dziwnym rodzajem spokoju. Puścił miecz i wyprostował ramiona.

Istoty, które stały przy przegrodzie, nie były ludźmi. W zasadzie różniły się od nich, jak dzień od nocy. Najniższy z nich musiał być co najmniej o trzydzieści centymetrów wyższy od sir Jerzego, który liczył sobie prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i był jednym z najwyższych ludzi wśród członków wyprawy. Jednakże różnica wzrostu była chyba jedną z najmniej rzucających się w oczy różnic pomiędzy ludźmi, a obcymi istotami.

Wszyscy chodzili na dwóch nogach i mieli po dwie ręce, ale na tym kończyło się ich podobieństwo do człowieka. A także do siebie samych. W rzeczy samej, istoty były tak niesamowicie obce i ta ich dziwaczność sprawiła, że nie od razu dostrzegł dwa rodzaje postaci.

Pierwsi ubrani byli w rodzaj starannie wykutej zbroi płytowej, która wyglądała jak zrobiona ze stali. Pancierz był inny od kombinacji zbrojników i kolczugi, do jakiej przywykł. Istoty uzbrojone były w ogromne, obosieczne topory. Mimo wysokiego wzrostu, masywna budowa sprawiała wrażenie przysadzistości, a w otwartych wizurach hełmów widniały wielkie, wylupiające ślepia i głęboki otwór. Dziura znajdowała się zdecydowanie za wysoko w stosunku do oczu, aby można ją było nazwać nosem, chociaż baron nie widział tam niczego innego, co mogłoby nim być. Otwór otoczony był z każdej strony pęczkiem przypominających włosy wypustek, które poruszały się i wiły w rytm oddechu. Szeroki, żabi otwór ust, położony pod otworem nosowym i oczami zdawał się niemalże znajomy w porównaniu do reszty potwornie brzydkiej, pokrytej brodawkami twarzy o pomarańczowej

skórze.

Drugi typ obcych ubrany był w jednoczęściowy strój, najwyraźniej pozbawiony szwów, w ciemnym czerwonym kolorze, ale z niebieskimi rękawami i nogawicami. Ubiór skrywał ciało obcych od gardła po czubki palców i od ramion po kciuki, ale i tak nie był w stanie ukryć faktu, że istoty mają nieco za dużo stawów w kończynach, tak skrętnie zamaskowanych materiałem. Wyglądało to tak, jakby Bóg (albo Szatan) dał im po kilka łokci i kolan dodatkowo; dłonie i stopy obcych były proporcjonalnie większe niż u ludzi. Ale co gorsza, ubiór kończył się na wysokości szyi. I nie ukrywał ani nie maskował ziemisto szarej cery, połyskującej, pokrytej łuską skóry, która pokrywała twarz istot, ani wąskich oczu o pionowych źrenicach, które połyskiwały jak płynne srebro, ani jaszczurzych grzebieni, które wieńczyły ich wąskie, gadzie głowy. Jednakże mimo groteskowego wyglądu, w odróżnieniu od pokrytych brodawkami towarzyszy, nie unosiła się wokół nich aura zagrożenia i wrogości.

- Demony! - westchnął ktoś i baron z wysiłkiem wziął się w garść. Zacisnął dłoń na rękojeści miecza i z trudem powstrzymał się od obnażenia ostrza, ale...

- Smoki! - zawołał ktoś inny.

- Tak, muszą być smokami, to prawdopodobne! - Powiedział na tyle głośno, aby usłyszeli go wszyscy zebrani i jednocześnie starał się nie patrzeć zbyt uważnie na porośnięte brodawkami twarze. Prawdopodobnie jego ludzie całkowicie się mylili, nawet w kwestii gądziogłowych. W końcu smoki pochodziły z Ziemi, a baron poczuł nagłą, głęboką i instynktowną pewność, że skądkolwiek pochodzą te istoty, z pewnością nie jest to Ziemia. Jednakże, chociaż nieadekwatna, nazwa pasowała doskonale.

A ludzie być może nie wpadną aż w taką panikę, kiedy okaże się, że walczą ze smokami, zamiast z demonami, pomyślał obojętnie. Oczywiście, mógł nie mieć racji.

Wziął kolejny głęboki oddech, wyczuwając delikatną równowagę pomiędzy przerażeniem, dyscypliną, uwagą i ignorancją, która trzymała jego uzbrojonych ludzi przy zdrowych zmysłach i w ciągłym napięciu. Był zdumiony, że ta równowaga trwa tak długo, gdyż jego ludzie byli doskonałymi, wytrenowanymi żołnierzami. Doświadczonymi angielskimi wojownikami, co do jednego zaprawionymi w bojach.

Ale zagrożenie, z którym się zetknęli, tak daleko wykraczało poza granice ich pojmowania, że nawet Anglicy mogli czuć się usprawiedliwieni za wahanie i niepewność, powiedział sobie... i dzięki za to Bogu Najwyższemu! Kimkolwiek byli brodawkowaci i jaszczurkowaci obcy, najwyraźniej stanowili jedność z konstruktorami tajemniczego statku, w którym się znajdowali, i z pewnością posiadali wielką moc. Sir Jerzy nie wątpił, że jego ludzie zdołają ich pokonać, zakładając, że byli śmiertelni, nawet mimo groźnego wyglądu i

zbroi, ale nie miał złudzeń co do skuteczności nagiej stali przeciwko tajemniczym mocom, jakie obce istoty z pewnością posiadały we władaniu.

Jeżeli już o to chodzi, nie mamy powodu, aby zakładać, że nasi wybawcy są do nas wrogo nastawieni. W końcu nie mieli obowiązku podnosić nas z morskiej kipieli. Gdyby chcieli naszej śmierci, wystarczyło po prostu nas tam zostawić. I tak niebawem wszyscy byśmy zginęli.

Wśród ludzi z jego kogi, którzy właśnie dołączali do reszty, powoli zapadała cisza. Baron po raz ostatni uściśnął Matyldę i wystąpił naprzód.

Mężczyźni, którzy patrzyli bez słowa na groteskowe postacie obcych, drgnęli i obejrzeli się za siebie, wyczuwając jego nadejście. Usłyszał więcej niż kilka wymamrotanych słów podziękii (a także przekleństw) i ulgi, kiedy go rozpoznano. Był tak samo brudny i obdarty jak pozostali, ale czarna szpiczasta bródka i blizna na prawym policzku były dobrze znane, niemalże sławne, nawet wśród tych, którzy poszli raczej za jarlem Cathwallem czy sir Michałem. Co więcej, jarl Cathwall zginął, a sir Michał oczekiwał ich w Normandii... i nawet najgłupszy z nich musiał zdać sobie sprawę z faktu, że raczej tam nie dotrą. Co oznaczało, że każdy z tych ludzi patrzył na sir Jerzego Wincastera jak na przywódcę i opiekuna.

Rozstąpili się więc i zrobili mu przejście. Jeden czy dwaj odważniejsi od reszty wyciągnęli dłonie i dotknęli go, kiedy przechodził, żeby dodać mu otuchy, albo może zaczerpnąć odwagi z jego pewności siebie. Nie wiedział.

Sir Ryszard Maynton stał na czele tłumu i kiedy baron stanął obok niego, mężczyzna gwałtownie odwrócił głowę. Biorąc pod uwagę straty, jakie poniosła ekspedycja, sir Ryszard prawie na pewno stał się drugim po sir Jerzym w strukturach dowodzenia. Baron doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że nie jest on tym zachwycony. Z drugiej strony nie mógł nie zauważyć ulgi, która odbiła się w jego oczach.

- Dzięki Bogu! - powiedział szybko rycerz. - Obawiałem się, że ty także zginąłeś, mój panie!

- Tak? - Sir Jerzy zdołał się uśmiechnąć. - Doskonale to rozumiem. Ja także, raz czy dwa, myślałem, że już zginąłem! - Kilku innych rycerzy zachichotało z tej próby żartu, a baron poklepał towarzysza niedoli po ramieniu.

- W rzeczy samej - zgodził się sir Ryszard. - Tak naprawdę, mój panie, ja...

Rycerz zamknął usta z niemalże słyszalnym trzaskiem, a przez tłum, stojący naprzeciwko zakutych w zbroje obcych i ludzi-jaszczurek, przetoczyła się fala zduszonych okrzyków. Zabłyśło jaśniejsze światło. W przegrodzie ukazała się rysa, która błyskawicznie przekształciła się w otwór. Drzwi otworzyły się tak szybko, że oko z ledwością rejestrowało

ruch i w przejściu, czy we włazie, stanęła jeszcze inna obca istota.

Jeżeli brodawkowaci i jaszczuroludzie byli obcy, nowa istota była jeszcze dziwniejsza, chociaż, pod wieloma względami, wydawała się raczej komiczna niż groźna. Ubrana była również w ciemnoczerwony strój, podobnie jak ludzie-gady, ale nie posiadała błękitnych rękawów i nogawic. Na jej szyi wisiał błyszczący medalion, opadający aż na klatkę piersiową. Istota była niska, sięgała mu zaledwie do piersi. Odkrytą część szyi i twarz porastało gładkie, purpurowe futro. Podobnie jak pozostali, obcy chodził na dwóch nogach i miał dwie ręce. Trójpalczaste dłonie posiadały dodatkowy kciuk w miejscu, gdzie człowiek miałby mały palec. Już to wystarczało, aby uznać istotę za skrajnie dziwną, ale jej twarz była znacznie bardziej groteskowa, niż oblicze pacynki. Była szeroka i płaska, z dwoma szerokimi, pozbawionymi warg otworami, które przypominały usta i leżały jeden nad drugim. Istota najwyraźniej nie posiadała nosa. A co gorsza, miała troje czarnych oczu: jedno wielkie, czarne jak obsydian z niewidoczną źrenicą, położone na środku czoła, i dwoje mniejszych, ułożonych symetrycznie poniżej, po obu stronach dużego. I na koniec, aby ukoronować to absurdalne oblicze, szeroką, płaską twarz ozdabiała dwoje wielkich, szpiczastych uszu, również pokrytych purpurowym futerkiem.

Sir Jerzy gapił się na nowoprzybyłego. Nawet widok brodawkowatych i jaszczurów nie wstrząsnął nim tak bardzo. Oni przynajmniej roztaczali wokół aury zagrożenia i wrogości, co było dla niego zrozumiałe, ale ta istota...! Mogła być zarówno demonem, jak i królewskim błaznem i zastanawiał się, czy ma się śmiać, czy przeżegnać.

- Kto jest dowódcą tej grupy?

Głos był lekki, nawet delikatny i wysoki jak u małego dziecka. Obcy mówił doskonale po angielsku, a głos zdawał się wydobywać z górnego otworu jego twarzy, pomimo że pozbawione warg usta nie poruszały się zgodnie z padającymi słowami. Kiedy sir Jerzy usłyszał obcego, miał ochotę się zaśmiać, mimo tego, co się wydarzyło, gdyż głos pasował bardziej do błazna niż do demona. Ale pokusa była krótka i słaba. Nie mógł wyczuć w tonie obcego żadnych emocji, a na twarzy obcego nie pojawił się żaden wyraz. Co nie dziwiło - twarz należała do istoty zupełnie mu nieznannej i sir Jerzy został brutalnie sprowadzony na ziemię. Zdał sobie sprawę z faktu, że po raz pierwszy w życiu nie jest w stanie odczytać nawet najlżejszej wskazówki, myśli czy emocji z twarzy istoty, która do niego przemawia.

- Ja... - odparł po dłuższej chwili milczenia.

- A ty jesteś? - zapytał cienki głosik.

- Jestem sir Jerzy Wincaster, baron Wickworth w służbie jego wysokości Edwarda III, króla Anglii, Szkocji, Walii i Francji. - W jego słowach pojawiła się nuta żelaznej dumy;

poczuł, jak odruchowo się prostuje, ale...

- Mylisz się, sir Jerzy Wincasterze - powiedział mu dziecięcy głosik, ciągle bez najmniejszego śladu emocji. - Od tej chwili nie służysz człowiekowi. Teraz jesteś własnością mojej gildii.

Sir Jerzy zagapił się na małą postać obcego, a wśród jego ludzi, zebranych za jego plecami, przetoczył się gniewny pomruk. Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale demon-błazen go ubiegł.

- Bez interwencji mojego statku i mojej załogi bylibyście już martwi - powiedział. Uratowaliśmy was. I w związku z tym, jesteście teraz naszą własnością i możemy zrobić z wami, co chcemy. - Tuż za nim znów podniósł się nieartykułowany pomruk, pełen zarówno strachu, jak i gniewu, ale demon kontynuował bez zająknięcia. - Nie wątpię, że tak prymitywne umysły, jak wasze, będą potrzebować czasu, aby w pełni zrozumieć zmianę swego statusu - mówił bezosobowy głos. - Jednakże powinniście być na tyle inteligentni, żeby przyswoić sobie nowe zasady tak szybko, jak tylko się da i pozwoli wam ograniczony umysł.

- Przyswoić sobie...! - zaczął ktoś wściekle, ale sir Jerzy uniósł rękę i natychmiast ukrócił podnoszący się bunt.

- Jesteśmy Anglikami... panie - odpowiedział. - A Anglicy nie są niczyją własnością.

- To nierozsądne, spierać się ze mną, sir Jerzy Wincasterze - odparł demon-błazen, ciągle bezosobowym, pozbawionym wszelkich emocji głosem. - Jako grupa, ty i twoi ludzie są, a raczej mogą się stać wartościowym nabytkiem dla mojej gildii. Jednakże jako jednostka, żaden z was nie jest niezastąpiony.

Sir Jerzy zacisnął szczęki. Nie przywykł do tego, aby otwarcie mu grozić, a już z pewnością nie nawykł do gróźb ze strony karłowatej istoty, którą mógłby złamać na pół. Zdecydował, że przełknie zniewagę. Brodawkowaci i jaszczury, którzy stali za demonem-błaznem, byli niemym potwierdzeniem siły, jaką władał dziwaczny stwór. A co gorsza był boleśnie świadom obecności swojej żony i syna.

- Słusznie, czy nie - powiedział po długiej chwili ciszy - to ja dowodzę tymi ludźmi. I mam prawo i obowiązek przemawiać w ich imieniu. Jesteśmy wdzięczni za to, że nas uratowaliście, ale...

- Nie potrzebuję twojej wdzięczności. Moja gildia i ja pragniemy jedynie posłuszeństwa - przerwał mu demon. - Potrzebujemy was w jednym, określonym celu, który z pewnością nie wyda wam się ani trudny, ani nie do zaakceptowania, gdyż właśnie do tego zostaliście wybrani i wytrenowani.

Dłoń barona po raz kolejny zacisnęła się na rękojeści miecza, ale demon-błazen zignorował ten gest, tak jakby sama myśl, że ktoś chciałby zagrozić mu dziecinną zabawką, wydała mu się śmieszna.

- Chcemy, abyście dla nas walczyli. Tylko tego oczekujemy - mówił dalej. - Jeżeli się zgodzicie, będziecie dobrze traktowani i czeka was nagroda. Czas waszego życia zostanie wydłużony do niewiarygodnych granic, wasze zdrowie ulegnie dramatycznej poprawie, wasze... - Troje oczu spojrzało w punkt za plecami sir Jerzego i kreatura zawahała się na chwilę, tak jakby szukała odpowiedniego słowa. - Wasze towarzyszkę i młode będą miały wszystko, co potrzeba - kontynuował - a wy będziecie mieli do nich dostęp w regularnie wyznaczonym czasie.

- A jeżeli postanowimy nie walczyć dla ciebie? - zapytał słabo sir Jerzy.

- Wtedy zostaniecie zmuszeni do zmiany zdania - odparł demon-błazen. - Analiza wykazała, że takie działanie będzie bardzo proste. Oczywiście, jesteście prymitywni i pochodzicie z prymitywnej i barbarzyńskiej kultury, tak więc proste i bezpośrednie metody bez wątplenia okażą się najbardziej skuteczne. Moglibyśmy, na przykład, zacząć od wybrania przypadkowej piątki, lub szóstki waszych samic i młodych, i zabicia ich na waszych oczach.

W żołądku sir Jerzego zebrała się kula lodu. Spodziewał się podobnej groźby, jednakże nie sądził, że tak niesamowity brak emocji, całkowity brak zainteresowania czy gniewu w dziecinnym głosie demona tak bardzo wzmocni odczuwany lęk. Zmusił się do tego, aby nie odwrócić głowy i nie spojrzeć na Matyldę i Edwarda.

- Jeżeli to okazałoby się nieskuteczne, oczywiście, są jeszcze inni - kontynuował demon-błazen. - Jeżeli zawiodą wszystkie metody, możemy po prostu wymazać wam pamięć i przeprogramować was, ale to prawdopodobnie okazałoby się bardzo długotrwałe. Zresztą i tak nie miałyby sensu. Bardziej opłaca się po prostu wszystkich was unicestwić i pobrać kolejny oddział najemników. W końcu wszyscy barbarzyńcy są tacy sami.

- Ale ci barbarzyńcy są uzbrojeni, demonie! - zawołał inny głos.

Sir Jerzy gwałtownie odwrócił głowę, chociaż w żołądku poczuł zimne ukłucie pewności tego, co zobaczy. Sir Jan Denmore ledwie przekroczył dwudziestkę. Młodość, gorąca krew, a także spora porcja arogancji i pewności siebie sprawiły, że rycerz poparł każde słowo swego przemówienia machnięciem obnażonego miecza. Ostrze zaśniło w nienaturalnie jasnym blasku lamp. Młodzieniec skoczył do przodu, tnąc wściekle.

- Bóg i święty Je...!

Nie dokończył bitewnego zawołania. Miecz poleciał w kierunku demona, pomimo że istota nawet się nie poruszyła. Po prostu stała w miejscu i patrzyła na młodzieńca oczami

zupełnie bez wyrazu. Okrzyk zamarł na ustach młodego rycerza, kiedy ostrze uderzyło w niewidzialną barierę, jakby ścianę, zrobioną z powietrza. Miecz wyleciał mu z ręki, a sir Jan patrzył z otwartymi ustami, jak broń, obracając się wokół własnej osi, odpywa coraz dalej od niego. Po chwili otrząsnął się, warknął pod nosem i chwycił za sztylet.

- Dość! - zawołał sir Jerzy. - Odłóż natychmiast...

Ale było już za późno. Tym razem demon-błazen uczynił nieznaczny gest dłonią. Młodzieniec zagulgotał i znieruchomiał. Oczy wyszły mu na wierzch, a wyraz twarzy zmieniał się z gniewnego poprzez strach w panikę. Nie mógł nawet otworzyć ust. Wisiał, niczym złapany w niewidzialną pajęczynę gigantycznego pająka. Dłoń trzymał na rękojeści sztyletu, ale nie był w stanie się poruszyć. Demon popatrzył na sir Jerzego.

- Dobrze dla ciebie, że próbowałeś go powstrzymać zamiast dołączyć do tak głupiego postępu - poinformował barona. - Ale widzę, że naprawdę jesteście prymitywni i dlatego potrzebujecie dowodu, który potwierdzi wasz status. Bardzo dobrze. Dam wam ten dowód.

- Nie ma takiej potrzeby... - zaczął sir Jerzy.

- Jest, jeżeli ja tak mówię - zapiszczał demon-błazen i wyciągnął dłoń o dwóch kciukach w kierunku najbliższej stojącego jaszczura. Obce, srebrne oczy przez chwilę spoglądały na sir Jerzego, a potem człowiek-smok sięgnął do pasa i wyjął z pochwy dziwacznie wyglądające urządzenie. Podał przedmiot demonowi, który przesunął małą gałkę, zlokalizowaną na boku urządzenia.

- Myślicie, że tylko wy macie broń, sir Jerzy Wincasterze. Wasze miecze i strzały nie przestraszą ani mnie, ani żadnego z moich ludzi. Z drugiej strony, nasza broń...

Uniósł urządzenie i wycelował je w sir Jana niedbałym ruchem. Sir Jerzy wrzasnął ze strachu. Nie mógł się powstrzymać, ale ani teraz, ani nigdy w przyszłości nie miał o to do siebie pretensji. Nie był w stanie znieść widoku przerażającego białego promienia światła, podobnego do oswojonej błyskawicy, który wystrzelił z urządzenia i uderzył prosto w klatkę piersiową rycerza.

Jego dotknięcie oznaczało śmierć... ale nie zwykłą śmierć. Klatka piersiowa młodzieńca dosłownie wybuchła, tak jakby coś rozsadziło ją od wnętrza, jakby serce i płuca eksplodowały w jednej chwili. Deszcz krwi i poszarpanej tkanki ochlapał zebranych wokoło niego, smród palonego ciała wypełnił powietrze, a mężczyźni, którzy byli świadkami najgorszych okrucieństw wojny, odskoczyli z okrzykami przerażenia. Ale najgorsza ze wszystkiego, z czego sir Jerzy zdał sobie sprawę dopiero później, była nienaturalna cisza i milczenie skazanego na śmierć. Nawet kiedy piekielna broń wycelowała w niego swą paszczę, kiedy jego twarz zmieniła się ze strachu w agonię, młody rycerz nie wydał z siebie jednego

dźwięku. Nie był w stanie nawet otworzyć ust. Mógł tylko stać, nieruchomy, bardziej bezsilny niż jagnię, prowadzone na rzeź, podczas gdy demon-błazen bez mrugnienia okiem rozwalił go na części.

Nawet po śmierci ciało nie zostało opuszczone na podłogę. Pozostało wyprostowane, twarz była zniekształcona śmiertelnym bólem, a krew płynęła z rozerwanej klatki piersiowej i zalewała stopy ofiary.

Gdyby nie dowód na to, że obcego nie da się dotknąć, sir Jerzy bez wahania zaatakowałby demona, gołymi rękami, jeżeli zaszłaby taka potrzeba. Ale miał przecież dowód... a także obowiązki, odpowiedzialność, i rodzinę stojącą za plecami. Tak więc zrobił coś, co kosztowało go znacznie więcej niż beznadziejny atak.

Zmusił się do pozostania w bezruchu, z krwią podwładnego, kapiącą z jego twarzy, i nie zrobił nic.

Jego zachowanie uspokoiło garstkę innych, którzy także myśleli o ataku. Demon-błazen przyglądał się im przez chwilę w martwej ciszy. A potem wyciągnął rękę i nie odrywając potrójnego spojrzenia od sir Jerzego, podał świecą broń jaszczurowi.

- Wierzę, że ta lekcja zapadnie głęboko w serca twoich wojowników, sir Jerzy Wincasterze - zapiszczał. - A także w twoje. Możesz przemawiać w imieniu tych ludzi i możesz poprowadzić ich do walki, ale od dzisiaj nie jesteś już ich dowódcą. Ja nim jestem. Oczywiście do czasu, aż ktoś zakwestionuje ten fakt.

Istota poruszyła dłonią i zmasakrowane ciało, które kiedyś było aroganckim, młodym rycerzem, uderzyło o metalową podłogę z odgłosem, jaki wydaje świńska tusza.

- II -

Sir Jerzy wziął się w garść, słysząc odgłos z jakim zmasakrowane ciało Denmore'a uderza w pokład. Czuł za sobą wzrastającą wściekłość swoich ludzi, ale cały gniew został w jednej chwili zduszony, kiedy mężczyźni poznali siłę demona-błazna. Rozumiał ich strach, gdyż czuł to samo, a przecież nie bał się tylko o siebie. Nie mógł pozwolić sobie na strach o Matyldę i Edwarda. To mogłoby go osłabić, w chwili, kiedy musiał być silny. Tak więc stał nieruchomo i patrzył na demona-błazna.

- Więc teraz - Piskliwy głosik obcego był tak samo bezbarwny jak zawsze, tak jakby zabicie człowieka nie znaczyło nic więcej, jak pacnięcie muchy. - możemy przejść do następnego punktu. Radzę wam, żebyście nie zapominali, że żaden z was nie jest niezastąpiony.

Stał przez chwilę i patrzył na nieruchomych ludzi trojgiem oczu, a potem odwrócił się na pięcie. Drzwi, przez które przeszedł wcześniej, otworzyły się tak samo szybko i nieoczekiwanie, jak wcześniej, i obcy wyszedł bez słowa.

Baron patrzył jak istota znika i zastanawiał się, co ich teraz czeka. Starał się ze wszystkich sił sprawiać wrażenie spokojnego i pewnego siebie. Wątpił, czy to udawanie może kogokolwiek zmylić, ale przecież te same reguły obowiązywały i jego ludzi, którzy starali się ze wszystkich sił udawać, że mu wierzą. Ta myśl sprawiła, że uśmiechnął się lekko pod nosem. Grymas zniknął niemalże tak szybko, jak się pojawił, kiedy usłyszał jeszcze inny głos, docierający jakby z powietrza.

- Pójdziecie za światłami - powiedział. To był ten sam głos, który pierwszy ich powitał i był zupełnie niepodobny do tonu demona-błazna. W pewien sposób brzmiał bardziej jak ludzki głos. W aksamitnym tenorze nie słychać było wysokich, dziecinnych tonów i chociaż był równie beznamiętny, to jednak mniej... przerażający. - Mężczyźni idą za czerwonym światłem. Kobiety idą za zielonym światłem.

Sir Jerzy zeszytywniał, a jego dłoń po raz kolejny ześliznęła się na rękojeść miecza, wiszącego u pasa. Otworzył usta, wciągnął powietrze z zamiarem protestu, ale zanim zdołał się odezwać, poczuł, jak ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu.

Odwrócił głowę i zobaczył, że to Matylda. W jej ciemnoniebieskich oczach czaił się ten sam lęk przed rozdzieleniem, który on także czuł. Nagle zrobiło mu się wstyd, gdyż zobaczył,

że poza tym strachem jest także ból, jaki sprawiła jej śmierć ojca. Ale mimo żalu i przerażenia, jej oczy spoglądały na niego pewnie. Nie odezwała się, gdyż nie było takiej potrzeby. Baron zaczerpnął kolejny głęboki oddech, spokojniejszy niż poprzedni, i zmusił się do skinięcia głową.

Miała rację. Smród palonego ciała, poszarpanych organów i krwi, czyli tego, co zostało z sir Jana Denmore'a, przypominały mu doskonale o tym, co może ich spotkać, jeżeli nie okażą posłuszeństwa. Jednakże tak bardzo trudno było posłuchać rozkazów.

- Mężczyźni idą za czerwonym światłem. Kobiety idą za zielonym światłem - powtórzył niewidoczny mówca. Zamilkł na kilka sekund i znów się odezwał. - Mężczyźni idą za czerwonym światłem. Kobiety idą za zielonym światłem. Nieposłuszeństwo zostanie surowo ukarane.

W ostatnim zdaniu, tak jak w poprzednich, nie było nawet cienia emocji, jednakże groźba wytrąciła sir Jerzego z czasowego niezdecydowania. Wzdrygnął się, poklepał szczupłą dłoń, spoczywającą na jego ramieniu i odwrócił się przodem do mężczyzn i kobiet, którzy stali z tyłu.

- Wygląda na to, że nie mamy wyboru i musimy ich posłuchać - powiedział stanowczo. - Nie podoba mi się to tak samo, jak wam, jednakże wszyscy widzieliśmy, z jaką łatwością zabijają te istoty. Na chwilę obecną nie mamy innego wyjścia. Musimy się podporządkować.

Coś na kształt westchnienia przetoczyło się przez szeregi wyczerpanych, przesiąkniętych morską wodą ludzi i baron poczuł, jak uchodzi z nich chęć przeciwstawienia się obcym. Poczekał jeszcze chwilę, żeby się upewnić, a potem uściśnął dłoń Matyldy, po czym zdjął ją ze swego ramienia i uniósł do ust. Chwilę patrzył, jak żona odwraca się i z wysoko uniesioną głową odchodzi w kierunku zielonego światła. Lady Małgorzata Stanhope, żona sir Briana Stanhope, wystąpiła z tłumu i podążyła za nią; za chwilę ruszyły pozostałe kobiety. Sir Jerzy patrzył za żoną płonącym wzrokiem. Czuł jednocześnie dumę, strach i wstyd, że nie jest w stanie jej ochronić. Po chwili zwrócił się do mężczyzn i chłopców, wśród których stał także jego syn.

- Edwardzie - powiedział cicho i wyciągnął rękę, czując dumę z odwagi i spokoju chłopca. Twarz Edwarda była blada ze zmęczenia, a jego oczy starannie unikały zmasakrowanego ciała, rozciągniętego na podłodze, ale mimo tego chłopiec dumnie trzymał głowę i był równie odważny jak jego matka. I nawet, jeżeli jego ręka drżała, pewnie złapał dłoń, podaną mu przez ojca.

Sir Jerzy także uściśnął dłoń swego syna, jakby chciał powiedzieć mu, że jest z niego dumny, a potem odwrócił się w kierunku czerwonego światła i ruszył naprzód.

Pozostali mężczyźni poszli w jego ślady, najpierw pojedynczo i dwójkami, potem w grupkach. Dwóch brodawkowatych obcych poszło za nimi dziwnym, skocznym krokiem, który zadziwiająco pasował do ich żabiego wyglądu.

* * *

Światło prowadziło ich po polerowanej podłodze wielkiej ładowni, która zdawała się ciągnąć kilometrami. Oczywiście tak nie było, ale i tak wrażenie pozostawało wrażeniem. Być może przyczyną był fakt, że mężczyźni nigdy nawet nie wyobrażali sobie pomieszczenia tej wielkości. Największa katedra ich świata była niczym w porównaniu z tym, gdzie się znaleźli. Sir Jerzy podejrzewał, że w tej wielkiej, wyłożonej metalem jaskini zmieściłby się każdy, nawet największy budynek, jaki widział w życiu. Ba, weszłaby tu większość miasteczek, w jakich bywał. Porzucone kogi wyglądały jak porzucone zabawki, kiedy wreszcie dotarli do wznoszącej się niczym klify przegrody, zrobionej z tego samego metalu, co podłoga.

Czerwone światło paliło się przez cały czas i kiedy dotarło do ściany, pojawiły się w niej drzwi, takie same, jak wcześniej. Światło przepłynęło przez nie. Baron ruszył za nim, nie bez pewnej trwogi. Po wielkim, rozległym wnętrzu ładowni, z której wyszli, korytarz za drzwiami wydawał się mały i przytłaczający, nawet mimo tego, że musiał mieć nie mniej jak trzy i pół metra szerokości i wysokości. Baron spojrział w dół i uśmiechnął się do Edwarda, aby dodać mu otuchy, ale nie odważył się spojrzeć przez ramię na swoich towarzyszy.

Usłyszał, jak ich stopy wzbudzają echo, stukając po metalowej podłodze ciasnego korytarza. Docierały do niego także mamrotane komentarze, ale starali się mówić na tyle cicho, aby mógł udawać, że nic nie słyszy.

Przejście korytarzem trwało znacznie krócej niż podróż przez ogromną ładownię. Dotarli do kolejnych drzwi i pierwsze szeregi kolumny weszły do nowej komnaty. Ta była znacznie mniejsza niż pierwsza i wychodziło z niej kilka innych drzwi. Znajdowało się tam dziesięć łukowatych przejść. Nad dziewięcioma migąły czerwone światła, a nad dziesiątymi lampa paliła się stałym płomieniem.

- Przejdźcie przez drzwi ze stałym światłem - poinformował ich odczłowieczony głos i sir Jerzy wraz z Edwardem ruszyli w kierunku nieruchomego światła. Inni podążyli za nimi, ale część odłączyła się i podeszła do innych drzwi. Baron zatrzymał się.

Inni także się zatrzymali, podobnie jak reszta, która ciągle napływała przez drzwi z korytarza.

- Powiedziało, że mamy iść tam, gdzie pali się stałe światło - powiedział sir Jerzy.

- Wiem, mój panie - odparł ktoś. Był to Walter Skinnnet, sierżant jego konnicy. Uniósł rękę i pokazał na trzecie drzwi od lewej, które według niego oznaczone były niemigającym światłem. - To te - dodał.

Sir Jerzy popatrzył na niego, a potem znów spojrział na drzwi, w kierunku których szedł z Edwardem. Światło paliło się na czerwono, podczas gdy lampa nad drzwiami wybranymi przez Skinneta błyskała jaskrawo.

- Ja widzę stałe światło tutaj - powiedział mu pokazując na swoje drzwi.

- Ja także, panie - powiedział łucznik.

- I ja też - dodał ktoś inny.

- A ja widzę je tam - powiedział żeglarz z jednego ze statków, pokazując na trzecie drzwi.

- Nie - odezwał się inny człowiek. W jego głosie pobrzmiwał strach. - Jest tam!

Pokazał na zupełnie inne drzwi, a sir Jerzy odetchnął głęboko.

- Wszystko w porządku, chłopcy! - zmusił się do tego, aby w jego głosie brzmiała pewność siebie. - Po tym co widzieliśmy, nie wystraszymy się chyba takiej głupoty!

Narastająca panika odpłynęła nagle i baron roześmiał się chrapliwie.

- Nie wiem, jak oni to robią - powiedział - ale z pewnością to jakaś sprytna sztuczka. Widzimy stałe światło tam, gdzie oni chcą. Bez wątpienia chcą nas w ten sposób podzielić na mniejsze grupy i jeżeli się nad tym głębiej zastanowić, nie mogliśmy spodziewać się niczego innego, prawda?

Jeden czy dwóch potrząsnęło głowami. Baron wzruszył beztrząsramionami.

- Bardzo dobrze. Wy, którzy stoicie przy przejściu, przekażcie wieści chłopcom za wami, żeby wiedzieli, czego się mają spodziewać. A reszta - dodał - idzie za światłami, które wyglądają dla nich jak stałe.

Zatrzymał się na chwilę, żeby dopatrzeć, czy jego rozkazy są wykonywane, a potem uśmiechnął się jeszcze raz do Edwarda i przeszli razem przez drzwi.

Następne pomieszczenie było większe od przedpokoju, w którym stali wcześniej, ale i tak wydawało się mikroskopijne w porównaniu z ogromną ładownią, gdzie spotkali się z demonem-błaznem. Za nim i Edwardem do pokoju weszło więcej ludzi, aż w końcu w pomieszczeniu znajdowało się prawie sto osób. Zrobiło się nieco tłoczno, ale nie niewygodnie. Mężczyzna rozejrzał się wokoło ciekawie.

Pomieszczenie było owalne, ze ścianami z tego samego przypominającego brąz metalu. Sufit znajdował się znacznie niżej, ale nie był zbyt dobrze widoczny. A raczej zupełnie niewidzialny. Kiedy patrzył w górę widział tylko opalizujący zielonkawy blask. To było dziwne, tak samo jak wszystko inne, co spotkało ich z chwilą kiedy w chmurach ukazał się

brązowy kształt. Światło zdawało się padać z jakiejś głębokiej studni, albo z szybu, a nie z jednego, skoncentrowanego źródła. Miał uczucie, że nad nimi naprawdę znajduje się solidny sufit, ale nie był w stanie go dostrzec.

Odwrócił oczy od światła i bardzo się zdziwił, kiedy się zorientował, że jasne, intensywne światło, wypełniające pomieszczenie, ani trochę go nie oślepia. Nie zdołał jeszcze przeanalizować tej informacji i uporządkować wraz z innymi nowymi doświadczeniami, jakich był świadkiem, kiedy znów usłyszał tenorowy głos.

- Zdejmijcie z siebie całe ubranie i połóżcie je w schowkach - oznajmił głos i nagie metalowe ściany uniosły się nagle, odkrywając rzędy wąskich przejść. Sir Jerzy podszedł do najbliższego i przyjrzał się półkom, które je wypełniały.

- Zdejmijcie z siebie całe ubranie i połóżcie je w schowkach - powtórzył głos z nieludzką cierpliwością. Baron skrzywił się. Kolejny rozkaz nie podobał mu się wcale bardziej niż pozostałe, ale podobnie jak wcześniej, nie widział innego wyjścia niż posłuchać.

- Pomóż mi zdjąć zbroję, Edwardzie - powiedział spokojnie.

* * *

Schowki z półkami zniknęły w momencie, kiedy włożyli do nich ostatnią część odzieży. Sir Jerzy nie zdziwił się, chociaż wcale nie czuł się przez to lepiej, kiedy zobaczył, jak jego broń i zbroja znikają. Rozejrzał się wokoło po twarzach nagich mężczyzn i dostrzegł identyczne uczucie, jakie dzielił wraz z synem. Jednakże, mimo tego, że nie czuł się szczęśliwy na myśl o tym, że zabrano mu miecz, nie mógł nie opanować westchnienia ulgi. Demon-błazen dość stanowczo zademonstrował, jak nieskuteczne są wszelkie próby atakowania go, ale tak długo, jak długo mężczyźni posiadali broń, pokusa walki nadal się w nich tliła. Bez miecza czuł się bezbronny, a co więcej oręż wraz z ostrogami była znamiem jego rycerskiego statusu w królewskiej armii. Ale świadomość, że żaden z jego ludzi nie podzieli losu młodego Denmora z nawiązką kompensowała tamte straty.

- Teraz zostaniecie odkażeni - powiedział im głos. Ktoś krzyknął, kiedy do pomieszczenia zaczęła wsączać się gęsta para. Wydobywała się z podłogi i szybko osiągnęła poziom kolan, a potem ud. Sir Jerzy poczuł, jak dłoń Edwarda ścisną mocno jego rękę, kiedy para wspinała się coraz wyżej.

Baron dla uspokojenia uściśnął rękę syna i uśmiechnął się do niego. Pomyślał jednocześnie, że potrzeba dodania odwagi synowi na tyle rozproszyła jego uwagę, że sam uniknął pierwszej fali panicznego lęku.

Myśl zniknęła szybko, spojrzał w dół, gdzie para sięgała już do bioder. Była ciepła, a jej

dotyk sprawiał fizyczną niemalże przyjemność, kiedy minął pierwszy strach. Sir Jerzy poczuł, że się rozluźnia w otaczającym go cieple. Nigdy jeszcze nie czuł nic podobnego. Przypominało to nieco zanurzenie w gorącej kąpiel, ale czuł także przyjemne mrowienie, tak jakby drobne palce masowały jego skórę i rozcierały mięśnie, co było naprawdę odświeżające.

Kiedy para sięgnęła mu piersi, rozejrzał się wokoło i zobaczył, że jego towarzysze także poddali się przyjemnemu uczuciu. Kiedy para całkowicie go zakryła, wziął głęboki oddech. Czyste powietrze wypełniło mu płuca i poczuł, że odzyskuje siły.

Później nie był pewien, i nigdy nie udało mu się tego ustalić, jak długo stał wraz z towarzyszami spowity czyszczącą parą. Wątpił, czy trwało to tak długo, jak mu się wydawało, jednakże był przekonany, że musiało upłynąć wiele minut zanim para opadła, tak samo cicho i szybko, jak się pojawiła. Czuł się jak człowiek, który budzi się z głębokiego snu i kiedy spojrzał w dół, zobaczył, że zaognione od słonej wody otarcia na twarzy i czarne sińce na piersi od liny, którą był przywiązany na statku, żeby nie dać się zmyć fali podczas sztormu, zniknęły bez śladu.

Zmęczenie i wyczerpanie zniknęły wraz z sińcami. Czuł się świeży i wypoczęty, pełen energii. Zobaczył, jak jego ludzie prostują ramiona i przeciągają się, najwyraźniej tak samo odświeżeni.

- Cóż, chłopcy - zachichotał - nie zamierzam dziękować naszemu nowemu dowódcy na kolanach, ale jak na razie sprawy mają się lepiej, niż się obawiałem! - Kilku żołnierzy zaśmiało się i chociaż w śmiechu pobrzmiwały nadal histeryczne nuty, zignorował je. Odetchnął głęboko, przeciągając się. - Nie odmówiłbym tygodnia odpoczynku, ale myślę, że zrobiliśmy już spore postępy w odzyskiwaniu sił.

- Tak, panie - odparł jeden z jego podkomendnych i dowódca poklepał go po plecach.

- Najlepiej pamiętać, że nie wszystko, co ma nas spotkać, musi być... nieprzyjemne - powiedział baron i zignorował nutki zwątpienia w generalnym pomruku, który miał oznaczać zgodę. - Ja...

- Wyjdziecie z pomieszczenia za czerwonym światłem - przerwał mu bezcielesny głos i baron skrzywił się.

- Głos naszego pana - zauważył ironicznie i tym razem śmiech, jaki zabrzmiał w odpowiedzi, był bardziej zbliżony do normalności.

- Wyjdziecie z pomieszczenia za czerwonym światłem - powtórzył głos, ciepły jak gład. Wzruszył ramionami i z Edwardem u boku poprowadził swoich ludzi przez drzwi, które nagle się pojawiły.

* * *

- Jak sam wcześniej powiedziałeś, panie, zanim zostaliśmy poddani temu „procesowi”, nie widzę innego wyjścia, jak tylko zaakceptować warunki tej... istoty - powiedział ciężkim tonem ojciec Tymoteusz. - A przynajmniej w tej chwili.

- Nie podoba mi się ta rada - odparł sir Ryszard Maynton kwaśno. - Jednakże obawiam się, że w tej sytuacji nie mam lepszej.

- Ja również - Sir Jerzy starał się mówić spokojnie i z pewnością w głosie, ale wątpił, czy to kogokolwiek zmyli. A może i myliło. W końcu w tej chwili większość ludzi, zebranych w pomieszczeniu, chciało być oszukiwanych.

Baron opadł na oparcie okropnie niewygodnego krzesła, które, na rozkaz demona-błazna, zostało tu sprowadzone przez bezcielesny głos, czyli Komputer, o ile dobrze zapamiętał obce słowo. Żaden z ludzi nie miał pojęcia w jaki sposób pojawiły się krzesła i inne przedmioty. Po prostu wyskoczyły nagle z metalowej podłogi niczym magiczne muchomory. Wydawało się, że zrobiono je z tego samego metalu, co resztę statku. Jak ktoś mógłby zmusić brąz, czy stal, aby urosła do pożądanego kształtu? Albo uczynić ją miękką i ustępującą pod ciężarem ciała? Była to kolejna tajemnica z nieskończonego szeregu dziwów, który ich otaczał, ale tym razem cud okazał się korzystny, bo nagle mieli na czym usiąść.

Byłoby znacznie lepiej, gdyby krzesła miały proporcje odpowiadające ludziom, którzy na nich siedzieli. Ale niestety luksusowe wyposażenie pomieszczenia zaprojektowano dla kogoś o znacznie dłuższych nogach i krótszym tułowi niż ludzkie. Po raz kolejny zebrani przypomnieli sobie, w jak odmiennym świecie nagle się znaleźli.

Nie tylko meble im o tym przypominały.

Sir Jerzy popatrzył na dziwaczny strój, w który został ubrany. Był jednocześnie podobny i niepodobny do stroju demona-błazna i jego jaszczurczych strażników. Miał inny kolor i nie zakrywał dłoni, tak jak u tamtych. Był ciemnozielony, z czarnym pasem na rękawach i nogawkach. W skład stroju wchodziły niewiarygodnie wygodne buty, które były jakby przedłużeniem nogawek. Ubiór był także znacznie luźniejszy niż ten, który preferowały inne istoty, zamieszkujące statek. Mimo tego strój był i tak bardzo dopasowany, bardziej niż cokolwiek innego, co miał na sobie w swoim życiu. A także bardziej wygodny, co przyznał niemalże wbrew swej woli.

On i mężczyźni, którzy zostali poddani procesowi regeneracji wraz z nim znaleźli te dziwne, jednoczęściowe stroje tuż po wyjściu z pary. Wszystkie wydawały się jednego rozmiaru i żaden z nich nie wiedział, jak otworzyć dziwne zapięcia, które służyły tu za guziki

i sznureczki. Baron nie był jedynym, który okazał zmieszanie na widok nowych, dziwacznych strojów, ale tenorowy głos nalegał, a po chwili cierpliwie udzielił im instrukcji, jak otworzyć zapięcia i jak założyć na siebie nowe ubranie.

Kiedy już się ubrali, strój każdego z nich dopasował się do sylwetki. Poczuli się tak komfortowo, jak nigdy dotąd. Sir Jerzy również czuł to samo, co jego ludzie. Twardzi, zaprawieni w bojach żołnierze uśmiechali się jak dzieci, kiedy zauważyli, jak wygodne są ich nowe buty na grubych, elastycznych podszwach. Mężczyźni, którzy spędzili tak wiele czasu na marszach z i na pole bitwy umieli docenić wygodne buty, a z pewnością nawet król nie miał tak wspaniałego obuwia.

Sir Jerzy musiał przyznać, że dzieli ich radość z powodu butów, ale same ubrania sprawiły, że raczej nie był zadowolony. A to dlatego, że nie tylko oni musieli je nosić. Wszyscy, zebrani w pomieszczeniu byli ubrani tak samo, nawet Matylda i ojciec Tymoteusz. Kiedy spojrział na żonę poczuł świeży przypływ głębokiej urazy. On miał na sobie ubiór dopasowany, podczas gdy Matylda była dosłownie oblepiona zieloną materią, która podkreślała każdy szczegół jej figury. Baron nie mógł nie zauważyć, jak pozostali mężczyźni, zebrani w pomieszczeniu ze wszystkich sił starają się tego nie dostrzegać.

Z drugiej strony Matylda zdawała się zupełnie nie przykładać wagi do tego, jak wygląda w nowym ubraniu. Wątpił co prawda, że jego żona jest tak spokojna, na jaką wygląda, ale nie zamierzał wprawiać jej w zakłopotanie poprzez okazywanie gniewu na widok jej sylwetki. Poza tym Matylda oczywiście miała rację. Chociaż sam fakt, że ich nowi władcy kazali im ubrać się w takie same stroje, mógł być irytujący, a nawet wprawiający we wściekłość, i tak na tle wydarzeń, które miały miejsce, nie wydawał się być specjalnym zagrożeniem. A przecież, jak przypomniała mu żona cichym głosem, kiedy szli do tego pomieszczenia, nie wiadomo, co może ich jeszcze spotkać.

I rzeczywiście, na wypadek gdyby potrzebował przypomnienia, pod przeciwległą ścianą pomieszczenia stało dwóch brodawkowatych strażników, a także para jaszczuroludzi. Sir Jerzy podejrzewał, że strażnicy mają być dla nich przypomnieniem o własnej bezsilności. Z pewnością, jeżeli demon-błazen i bezcielesny głos brzmiali bezpośrednio przy ich uszach, kiedy zostali poddawani procesowi aklimatyzacji na statku, teraz też mogli podsłuchiwać ich rozmowę i nie musieli przysyłać do sali strażników. Obcy mieli im po prostu przypominać o obecności demona, i o jego rozkazach. Bez wątpienia baron zarządziłby takie właśnie spotkanie, gdyby pozostawiono mu jakiś wybór, ale nie miał możliwości porozumienia się z ludźmi. Zabolało go, kiedy to demon-błazen dał rozkaz do zwołania zebrania. Sir Jerzy był żołnierzem, przyzwyczajonym do wykonywania rozkazów, tak samo jak do ich wydawania,

ale nigdy nie sądził, że będzie musiał służyć demonowi, a beztronska arogancja tak idiotycznie wyglądającej istoty po prostu działała mu na nerwy. Wydawał rozkazy tak jakby on i jego ludzie znaczyli dla niego mniej niż sfora myśliwskich psów.

Ale chociaż ich nowy dowódca był naprawdę wkurzający, nie chciał pozwolić na to, aby dać ujście emocjom. Być może nie był w stanie odczytać uczuć i humorów demona-błazna, ale to przecież nie znaczyło, że stwór nie posiada ich. Ponadto obca istota pokazała aż nadto czytelnie, że nie zawaha się zabić. Tak więc kiedy dostał rozkaz, aby wykonać „spis inwentarza”, baron nie próbował nawet się spierać. Zresztą sam uważał, że takie rozeznanie jest konieczne, aby na nowo ustalić i umocnić podział władzy. Tak więc zasiadł w tej komnacie z sześcioma mężczyznami i jedną kobietą. On i Matylda zajęli dwa krzesła na samym przedzie z pewnością siebie, jaką dawało im prawo do przewodzenia. Baron nie pozwolił sobie nawet na ślad wahania czy wątpliwości i z wielką starannością ukrył westchnienie ulgi na widok pozostałych mężczyzn, którzy najwyraźniej nie zamierzali podważać jego autorytetu i prawa do władzy.

Ojciec Tymoteusz oraz sir Ryszard usiedli tuż obok niego i Matyldy, po obu stronach, co znacznie przyczyniło się do zdławienia wszelkiego oporu i pokusy wyzwania barona już w zarodku. Ojciec Tymoteusz wspierałby go w każdych warunkach, niezależnie od sytuacji, ale sir Ryszard to była inna sprawa. Biorąc pod uwagę śmierć jarla Cathwalla i dziwaczny sposób, w jaki zostali uratowani, a raczej porwani, w zależności od punktu widzenia, oczywiście, co zamieniło ekspedycję do Francji w całkowity chaos, sir Ryszard równie dobrze mógł wykorzystać zamieszanie i sięgnąć po władzę. W końcu pod osobistą komendą sir Ryszarda pozostawała mniej jak jedna trzecia wszystkich pozostałych przy życiu żołnierzy i łuczników. Ponad połowa została powołana pod broń przez jarla Cathwalla i baron podejrzewał, że można by dyskutować, czy ich przysięga nie przechodzi w tej sytuacji na Matyldę, a potem, w obliczu śmierci jej ojca, na niego. Jednakże kwestia należała do spornych i pozostali marynarze, żołnierze i łucznicy mogli przecież powiedzieć, że nigdy nie składali mu przysięgi, a więc nie może im rozkazywać.

Z drugiej strony do tej pory wszyscy już zdążyli się zorientować, że nigdy nie zobaczą Francji ani swoich domów, i dlatego desperacko poszukiwali kogoś, kto im powie, co robić.

- Ilu naszych przeżyło, ojcze? - zapytał baron po chwili milczenia.

- Jest lepiej, niż się obawiałem, panie - odparł dominikanin. Jako spowiednik sir Jerzego, ojciec Tymoteusz naturalnie podjął się roli głównego skryby dla tej części wyprawy. Pisarz jarla Cathwalla zginął wraz z nim samym. To sprawiło, że ojciec Tymoteusz przejął kontrolę nad wszystkimi zapiskami, a także stał się głównym kwatermistrzem. Zresztą świetnie

nadawał się do tej funkcji, gdyż miał łatwość do liczb, a stan duchowny sprawiał, że w jakiś sposób uspokajał żołnierzy, kiedy zbierał informacje. Wydał wargi i sięgnął pamięcią do chwil, kiedy liczył ocalonych. Sir Jerzy, który doskonale znał księdza, widział wyraźnie jak bardzo dominikaninowi brakuje choć świstka papieru i kropli atramentu, aby mógł zapisać wszelkie ustalenia, ale niestety nic takiego nie mieli. Pozostała im tylko pamięć ojca Tymoteusza.

- Z siedemnastu statków, jakie wyruszyły do Francji, sztorm przetrwało dziewięć - zaczął.
- Nie byłem w stanie przeprowadzić dokładniejszych obliczeń, ale Bóg był dla nas łaskawszy, niż mi się z początku wydawało i dzięki Jego miłosierdziu przeżyło znacznie więcej ludzi, niż śmiałybym przypuszczać. Na podstawie bieżących, niedokładnych kalkulacji ustaliłem, że obecnie nasza wyprawa liczy sobie stu osiemdziesięciu dwóch marynarzy, cztery setki i siedemdziesięciu trzech łuczników, dwie setki i czterdziestu żołnierzy, czterech rycerzy, dziewięciu giermków i, łącznie ze mną, sześciu pisarzy. Dodatkowo mamy pięćdziesięciu siedmiu mężczyzn zdolnych do walki, którzy pełnili funkcje tragarzy, kucharzy, stajennych, posłańców, pomocników, a także jest dwóch kowali. Czyli całościowo dysponujemy siłą dziewięciu setek czterdziestu pięciu mężczyzn w doskonałej kondycji, z czego większość stanowią żołnierze, niestety nie uzbrojeni.

Sir Jerzy pokiwał głową. Ojciec Tymoteusz miał rację. Ocalało znacznie więcej ludzi, niż ktokolwiek z zebranych w pomieszczenia śmiałby oczekiwać, jednakże ciągle było ich za mało. A przecież wszyscy podejrzewali, że ocaleli z potopu Anglicy będą jedynymi rodakami, więcej, jedynymi ludźmi, z jakimi od tej pory będą się spotykać.

- A kobiety i dzieci? - zapytał.

- Włączając twoją żonę, panie - powiedział kapłan. - Mamy trzydzieści dwie małżonki, chociaż nie wszystkie... dostały błogosławieństwa bożego przed skonsumowaniem związku oraz dwadzieścia siedem kobiet, które nie mają mężów. Ocalało także dwadzieścioro sześcioro dzieci poniżej dziesięciu lat i sześć niemowląt. I w końcu mamy jeszcze czternastu czeladników w różnym wieku, którzy terminowali u różnych rzemieślników.

- Rozumiem. - Sir Jerzy pokiwał głową z nieprzeniknioną twarzą, zastanawiając się nad tymi liczbami. Pięćdziesiąt dziewięć kobiet to było więcej, niż podejrzewał, ale i tak wypadła jedna na sześćdziesięciu mężczyzn i tylko Bóg jeden wiedział do czego to w końcu doprowadzi. Sądząc po minie ojca Tymoteusza, kapłan zastanawiał się nad tym samym problemem i baron podziękował Bogu, że dostał mu się właśnie Tymoteusz, a nie jakiś inny ksiądz o wąskim umyśle. Żołnierskie doświadczenie dominikanina sprawiało, że podchodził do tych spraw bardziej pragmatycznie i z mniejszym potępieniem niż większość jego

kościelnych towarzyszy, a w danej chwili potrzebowali właśnie takiego podejścia - jak najbardziej pragmatycznego i pełnego zrozumienia.

- Bardzo dobrze - kontynuował baron po krótkiej przerwie. - Dzięki ojcu Tymoteuszowi wiemy, jaką siłą dysponujemy.

- A przynajmniej siłą w ludziach, mój panie - wtrącił sir Ryszard pochylając się do przodu, aby spojrzeć zza niego na dominikanina. - Czy mamy jakiegokolwiek pojęcie o tym, co stało się ze zwierzętami, ojcze?

- Jeszcze nie - przyznał ksiądz. - I nie sądzę, aby wiele naszych zwierząt przeżyło sztorm, szczególnie, że oba statki z końmi zaginęły. Z tego co wiem, przeżyło kilka kurczaków i świnia pani Nan.

- Podejrzewam, że nasi ciemżyciele będą nas żywić - odezwała się Matylda Wincaster. - Chyba możemy na nich polegać pod tym względem.

Nawet jeżeli zebrani w pomieszczeniu zdziwili się, że lady Wincaster ośmieliła się odezwać, trzymali języki za zębami. Sir Ryszard i sir Antoni Fitzhugh, dwaj najstarsi rycerze, plasujący się rangą tuż za sir Jerzym, byli zbyt uprzejmi, aby to skomentować, a ojciec Tymoteusz znał Matyldę i jej męża, więc nie był zdumiony. Pozostała trójka - Rudolf Grayhame, Walter Skinnet i Dawid Howice, byli tak samo obcy z zachowaniem Matyldy, jak ksiądz. Grayhame był dowódcą łuczników od ponad sześciu lat, a Skinnet dowodził konnymi od dziesięciu. Howice nigdy nie służył pod baronem, ale ten siwowłosy, twardy jak dębina Walijczyk pełnił obowiązki zastępcy dowódcy straży przybocznej jarla Cathwalla od czasu, kiedy Matylda skończyła jedenaście lat. Sir Adrian du Col, zwierzchnik Howice'a, zginął wraz z jarlem, tak więc Walijczyk zajął jego miejsce. Baron żałował, że du Col nie żyje, ale Howice był doskonałym nabytkiem jako dodatek do pozostałych oficerów, gdyż miał ogromne doświadczenie jako żołnierz, ale też był absolutnie lojalny względem Matyldy.

- Nawet taka istota jak on musi zdawać sobie sprawę z tego, że ludzie muszą jeść - mówiła dalej Matylda. - A nie dał nam możliwości zabrania ze sobą zapasów. - Skrzywiła się lekko drwiąco, a jeden czy dwóch mężczyzn zachichotało. - A to oznacza, że on zamierza karmić nas po swojemu, tak sądzę.

- Zakładając, że to co jedzą, nie jest dla nas trucizną, pani - dodał Fitzhugh, spoglądając na brodawkowatych i jaszczuroludzi, którzy stali w milczeniu pod przeciwległą ścianą.

- Wątpię, żeby nasz nowy dowódca zdecydował się na porwanie kilku statków z ludźmi, nie upewniwszy się wcześniej, czy jest w stanie ich wyżywić - odparła Matylda. - Nie mówię, że nie mogę się już doczekać, żeby spróbować tego, co on uważa za jedzenie, ale przecież trucie nas nie miałyby sensu. Tak samo jak porzucenie nas na pastwę głodowej śmierci.

Rycerz patrzył na nią przez chwilę, a potem pokiwał głową. Matylda wzruszyła ramionami.

- Chociaż podejrzewam, sir Ryszardzie, że miałeś na myśli coś więcej, jak tylko jajka na bekonie - powiedziała.

- W rzeczy samej, moja pani. Jak powiedział ojciec Tymoteusz, straciliśmy oba statki z końmi i to jest dla nas poważny cios.

Sir Jerzy pokiwał ponuro głową. On także pomyślał o tym samym. Zresztą wcześniej czy później musiałyby zmierzyć się z tym problemem. Nawet gdyby nie stracili statków z wierzchowcami, mieliby zbyt mało koni, ponieważ zamierzali polegać na dostawach od sir Michała, który już od dwóch miesięcy przygotowywał się na ich spotkanie we Francji. Ze wszystkich żołnierzy, do walki konno przygotowanych było dwustu. Oczywiście jako kawaleria nie mogli wiele zdziałać w takiej sile, nawet z pomocą łuczników, których ocalało relatywnie dużo, ale bez koni zamieniali się w zwykłych żołnierzy piechoty.

- Z tego co mówił nasz... dowódca - zaczął baron, starannie dobierając słowa. - Jednym z powodów, dla których kazał nam ocenić swoje siły jest to, że być może zapewni nam niektóre przedmioty i zaspokoi nasze potrzeby, jeżeli takowe będziemy mieć. Z pewnością - prychnął pełnym goryczy śmiechem. - Zdaje sobie sprawę z faktu, że straciliśmy wiele potrzebnych rzeczy, do czego przyczynił się sposób, w jaki nas uratował.

- Gdyby chodziło tu o dowódcę człowieka, z pewnością bym się z tobą zgodził, mój panie - powiedział sir Ryszard, lekko skłaniając głowę. - Z drugiej jednak strony ci... te istoty są tak odmienne od nas. Postępują inaczej, dysponują inną siłą, tak więc mogą nie wiedzieć, czego tak naprawdę nam brakuje.

- Słuszna uwaga - zgodził się sir Jerzy. On także już wcześniej o tym pomyślał, ale był zadowolony, kiedy usłyszał, że sir Ryszard także bierze pod uwagę tę możliwość. - Jednakże - kontynuował baron - jeżeli tak jest, to moim zadaniem będzie przedłożenie naszych potrzeb... dowódcy.

- Wierzę, że mi wybaczysz, panie - wtrącił się sir Antoni. - Ale jestem szczęśliwy, że mogę tobie pozostawić to zadanie!

- Każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, by się z tego cieszył - wtrąciła Matylda z uśmiechem. - A tymczasem, moi panowie, myślę, że powinniśmy być na tyle mądrzy i roztropni, aby nie przypisywać naszemu nowemu dowódcy zbyt wielkiej siły.

Większość mężczyzn, zebranych w pomieszczeniu ze wszystkich sił powstrzymywała się, aby nie spojrzeć na małżonkę ich zwierzchnika z niedowierzaniem, ale ojciec Tymoteusz z wigorem pokiwał głową.

- Dobrze powiedziane, moja pani! - zgodził się. - Doskonale, w rzeczy samej. Jakąkolwiek moc ma ta istota, nie dorównuje Panu Zastępów, a nasz Bóg będzie przy nas w każdej godzinie, gdziekolwiek się znajdziemy.

- Oczywiście, że tak, ojciec - powiedziała Matylda. - Ale nie o to dokładnie mi chodziło. - Zerknęła na męża, który skinął głową, żeby mówiła dalej. - Moi panowie - kontynuowała błędząc wzrokiem po pomieszczeniu, podobnie jak jej ojciec miał w zwyczaju. - Miałam na myśli to, że nie powinniśmy brać tych istot za demony, albo diabły. To by nie było mądre. Prawda, są dziwacznicy w naszych oczach, posiadają wielką moc, a przecież nie znamy do końca ich możliwości. Nie rozumiemy, skąd się bierze ta siła. Temu nie można zaprzeczyć. Jednakże myślę, że dowódca nie demonstrowałby nam swojej siły, ani nie stawiał w tej sali strażników, którzy mają nas pilnować - Skinęła głową ku brodawkowatym i jaszczuroludziom, stojącym pod ścianą pokoju. - Gdyby sam nie był także istotą śmiertelną. W przeciwnym bowiem razie nie musiałby nas zastraszać, ani pilnować tak skrupulatnie. Gdyby był demonem, nie potrzebowałby tego.

- Bez wątplenia masz rację, pani - powiedział ojciec Tymoteusz po chwili. - Jednakże, czy są oni śmiertelni, czy nie, i tak dysponują siłą o wiele większą niż nasza.

- W rzeczy samej - odparła Matylda stanowczo. - I nie zamierzam nawet przez chwilę sugerować, aby fakt ich śmiertelności pchnął nas w ślady sir Jana. Skądkolwiek pochodzą te istoty, i czegokolwiek od nas chcą, dość jasno zademonstrowały nam, że nasza broń nie jest w stanie uczynić im krzywdy. Jestem pewna, że ta demonstracja miała określony cel. Nie, moi panowie, chcę tylko powiedzieć, że sądzę, że ich moc nie pochodzi od diabła, ale po prostu dysponują umiejętnościami i wiedzą, o której nie mamy pojęcia. Musimy o tym pamiętać, kiedy będziemy z nimi rozmawiać. A już szczególnie podczas pertraktacji z naszym nowym dowódcą. Mimo wielkiej mocy i cudów, jakimi dysponuje na pokładzie tego statku, bez wątplenia nie jest on nieomylny, a tym samym może źle pojąć nasze potrzeby, jeżeli nie wyjaśnimy mu ich dokładnie.

Sir Jerzy zauważył, że jego żona ani słowem nie dała do zrozumienia, że skoro ich porywacze są śmiertelni, można ich zabić, nawet jeżeli broń ludzi nie robi im krzywdy. Fakt ten wart był przedyskutowania, ale w przyszłości. Temat był niebezpieczny, i to nie tylko dlatego, że dowódca mógł podjąć wobec nich dodatkowe kroki. Nie, rozmawianie na ten temat mogłoby skusić któregoś z nich i prawdopodobnie podzieliliby wtedy okrutny los młodego Denmore'a.

- Z pewnością będę to miał na uwadze, kiedy zaczniemy rozmawiać o naszych możliwościach, moja droga - odparł baron z lekkim naciskiem na „możliwości”. Matylda

uśmiechnęła się lekko i skinęła głową.

- Bardzo dobrze - powiedział baron nieco pogodniej, zwracając się do mężczyzn zebranych w pomieszczeniu. - Znamy w przybliżeniu naszą liczebność i wiemy, że brakuje nam koni. Wierzę, że moja żona ma rację co do przypuszczeń, że dowódca zamierza nas karmić i ma ku temu możliwości. Skoro nasi nowi panowie powiedzieli nam, że mamy za nich walczyć, rozsądnym będzie zastanowić się teraz, jakie mamy braki w uzbrojeniu i sprzęcie. Jako że jest nas dość mało, byłbym bardzo zdumiony, gdyby okazało się, że dowódca zamierza użyć nas do oblegania, czy też szturmowania miast lub fortec, bez wystarczającego wsparcia. Jeżeli tak, wtedy z pewnością przecenia nasze możliwości, które - uśmiechnął się sucho. - Chyba tu się nie nadadzą.

Inni, ku własnemu zdumieniu, roześmieli się z cicha, a baron błysnął białymi zębami w gęstwinie brody.

- Myślę, że powinniśmy założyć, że gildia, o której mówił dowódca, zamierza wykorzystać nasze siły w polu. Dlaczego ktokolwiek, kto dysponuje taką siłą i możliwościami, chciałby użyć nas jako jednostki bojowej, nie mam pojęcia i nie zamierzam udawać, że wiem. Ale nie sądzę, żeby zadawali sobie trud zmuszania nas do tego, gdyby ich potrzeba nie była naprawdę poważna i prawdziwa. Jeżeli to prawda, sądzę, że musimy także założyć, że bitwy, w których przyjdzie nam brać udział, także będą bardzo ciężkie. A co za tym idzie, nasi nowi panowie będą żywo zainteresowani jak najlepszym wyposażeniem nas, abyśmy mogli odnieść zwycięstwo.

Kilku mężczyzn powoli pokiwało głowami; wszyscy wyglądali na zamyślonych, podczas gdy sir Jerzy mówił dalej.

- Ten ich statek, i wszystkie cudowne urządzenia, moc, jaką posiadają pozwala mi sądzić, że nasze rozsądne prośby nie napotkają trudności w realizacji. Z pewnością nawet skarbiec króla Edwarda nie mógłby dostarczyć choć ułamka cudowności, jakie się znajdują na samym tylko ich statku! Miejcie to na uwadze, kiedy będziecie zastanawiać się, co nam potrzeba. I proszę was, żebyście nie brali pod uwagę tylko tych przedmiotów, które mieliśmy na statkach, ale także te, które chcielibyśmy mieć, ale nie bylibyśmy w stanie ich wyprodukować. - Uśmiechnął się słabo. - Przyjaciele, postarajmy się, aby jak najlepiej wykorzystać sytuację. Jeżeli już musimy walczyć dla demona-błazna, bądźmy najlepiej wyposażoną armią, jaką Anglia kiedykolwiek wysłała w pole... nawet jeżeli sama Anglia nigdy się o tym nie dowie.

* * *

- Zapoznałem się z listą rzeczy, których potrzebujesz. - Głos demona-błazna był tak samo dziecięcy i pozbawiony emocji, jak zawsze i sir Jerzy po raz kolejny pożałował, że obca istota nie ma w sobie choć odrobiny człowieczeństwa, które objawiałoby się na przykład zmianą wyrazu twarzy. Stał naprzeciw Dowódcy po przeciwnej stronie pięknego, delikatnie rzeźbionego stolika, który najwyraźniej zrobiono z najlepszej jakości kryształu. Demon-błazen siedział na wygodnym, grubo wyściełanym fotelu, który doskonale pasował do jego sylwetki i byłby zbyt mały nawet dla najdrobniejszego człowieka. Sir Jerzy nie dostał żadnego krzesła. Za demonem-błaznem stało dwóch jaszczuroludzi, którzy najwyraźniej mieli dbać o bezpieczeństwo swego pana i obserwowali czujnie barona dziwacznymi srebrnymi oczami o wąskich, pionowych źrenicach.

Dowódca zamilkł na chwilę i zatopił wzrok w baronie. Nastawił lisie uszy. Bez wątplenia pozycja uszu w pewien sposób wyrażała emocje stwora. Sir Jerzy dopiero teraz na to wpadł. Ale nawet jeżeli tak było, baron nie potrafił odczytać nastroju obcego. Miał jedynie przecucie, że demon-błazen czeka na jego reakcję.

- Ale przecież nie powiedziałem ci jeszcze, czego potrzebujemy - powiedział baron ostrożnie po chwili milczenia.

- Nie ma potrzeby, żebyś mi mówił - powiedział mu demon. - Słyszałem wszystko, o czym rozmawiałeś ze swoimi podwładnymi, a komputer sporządził dokładną listę przedmiotów, o których dyskutowaliście.

Sir Jerzy nie miał błędnego pojęcia, kto to jest Komputer. I chociaż demon-błazen mówił o nim z pewną pogardą, jak o mniej ważnym urzędniku, baron domyślił się, że Komputer to coś więcej. Z tego, co do tej pory widział, a raczej słyszał, wywnioskował, że jest kimś w rodzaju kombinacji zarządcy demona, wojskowego dowódcy i głównego ministra. Anglicy zdążyli przywyknąć już do tenorowego głosu Komputera, który instruował ich i wprowadzał w reguły postępowania oraz zarządzenia, których musieli teraz przestrzegać. Zapoznał ich także częściowo z tajemniczymi urządzeniami, które ich otaczały i miał wiele roboty z nauczaniem ich, jak włączać i wyłączać niektóre cudowne mechanizmy w kwaterach, które im przydzielono. Sir Jerzy nie potrafił sobie wyobrazić, jak jedna osoba potrafi tak podzielić swoją uwagę, aby wykonywać wiele czynności jednocześnie... i jak to się stało, że tak utalentowana istota przyjmuje rozkazy od demona-błazna.

Ale w tej chwili to nie miało znaczenia. Ważny był fakt, że Dowódca przyswoił sobie (a przynajmniej tak mu się zdawało) szczegółowo spis towarów, jakich potrzebował baron... a w dodatku demon-błazen (albo Komputer) był w stanie podsłuchiwać wszystkie ich rozmowy. Sir Jerzy najpierw pochwalił siebie samego, że przewidział możliwość podsłuchu, a potem

postanowił jeszcze raz przypomnieć wszystkim, żeby przez cały czas uważali na to, co mówią.

- Zdobyć większość rzeczy, które wydają się wam niezbędne, nie stanowi dla nas problemu - kontynuował demon-błazen obojętnym głosem. - Osobisty pancierz, broń, uprzęż, siodła... to wszystko można szybko i z łatwością wyprodukować za pomocą syntetyzerów i automatycznych generatorów statku. Jediną możliwą niedogodnością jest fakt, że opisany przez was sprzęt jest tak prymitywny. Moduły przemysłowe skonfigurowane są do produkcji części zapasowych i składowych statku i systemów podtrzymujących, więc przeprogramowanie ich do produkcji tak prostych przedmiotów zajmie nam trochę czasu.

I znów baron poczuł, że unosi się na morzu niezrozumienia i całkowicie obcych mu pojęć i idei. Urządzenie, czy magiczna moc, która przekładała słowa demona na angielski najwyraźniej została zmuszona do wynalezienia całkowicie nowych słów na określenie obcych przedmiotów i urządzeń. To z pewnością był cud. Ale niestety nadanie przedmiotom nazwy nie oznaczało jeszcze, że nazwy te tłumaczą, o co chodzi. A demon-błazen tym bardziej nie zamierzał wysilać się, żeby wyjaśniać takie drobiazgi komuś, kogo uważa za tak nisko postawionego względem siebie.

- Jediną rzeczą, która mogłaby sprawić nam nieco kłopotu - powiedziała drobna istota - są konie. Ze względów techniczno-logistycznych, które ciebie nie dotyczą, transport tak wielkich zwierząt jest dość trudny. W przypadku podobnych im gatunków, przeżywalność w okresie wykorzystania napędu fazowego jest bardzo niska. Nie wiemy jeszcze, czy tak się stanie z waszymi końmi, ale prawdopodobieństwo jest duże.

Przerwał i spojrzał na niego bez wyrazu, oczywiście. Baron zmarszczył brwi.

- Masz na myśli... Dowódco, że nie ma sensu ich zdobywać?

- Mówię, że w końcu może się okazać, że to nie miało sensu - skorygował demon-błazen.

- Ale tego nie wiemy z całą pewnością. Nie wiem także, jak ważne są te zwierzęta z punktu widzenia waszej siły bojowej. Ty i twoi podkomendni rozmawialiście o koniach przez dość długi czas, ale żaden z was nie zadał sobie trudu, aby przeanalizować, po co ich potrzebujecie.

- Po co ich potrzebujemy? - Wbrew sobie, sir Jerzy nie był w stanie całkowicie pozbyć się z głosu nut niedowierzania, kiedy usłyszał zdanie tak pełne ignorancji.

- Jesteście prymitywni - powiedział demon-błazen swoim jak zwykle beznamytnym tonem. - Wasza broń i taktyka jest tak prymitywna, że żadne cywilizowane istoty nie są w stanie jej pojąć. Właśnie dlatego jesteście dla nas, dla mojej gildii tak cenni. Niestety, jednocześnie, jako prymitywni barbarzyńcy rozumiecie w tak odmienny sposób, że naprawdę nie jesteśmy w stanie was pojąć, gdyż nie posiadamy po temu odpowiedniego

kontekstu. To jak oczekiwać po cywilizowanej istocie, że pojmie, jak zabić i zdjąć skórę ze zwierzęcia własnymi zębami, a potem się w nią ubrać.

Sir Jerzy ze wszystkich sił starał się panować nad wyrazem twarzy mocno zaciskając szczęki. Nie mógł się zdecydować, co go bardziej denerwuje - to, że demon-błazen uważa Anglików za tępych brutalnych osiłków, czy swobodny, beznamiętny sposób, w jaki przekazywał te rewelacje.

Jednakże baron doszedł do wniosku, że istota mówiła takie rzeczy nie bez powodu. Było jasne, że Matylda miała rację. Demon-błazen i jego gildia nie byli wszystkowiedzący i nie mieli pojęcia o rzeczach, dla Anglików oczywistych. O rzeczach, których Anglicy nauczyli się już dawno temu, bo zostali do tego zmuszeni.

Demon-błazen przerwał po raz kolejny i rycerz w myślach uściśnął sobie dłoń.

- Używamy koni do wielu celów, Dowódco - powiedział po chwili. - Z drugiej jednak strony, chociaż jeszcze niezbyt dobrze rozumiem naturę twojej gildii, a także jej... zdolności, zdaje mi się, że nie będziemy potrzebowali zwierząt do wielu rzeczy. Mówię o zwierzętach pociągowych, koniach i wołach, które zaprzęgaliśmy do wozów i platform. Używaliśmy ich także do orania pól i tym podobnych prac.

Przerwał, a uszy demona-błazna po raz kolejny poruszyły się lekko.

- Nie będziecie potrzebowali zwierząt pociągowych ani wołów do orania pól - potwierdził piskliwym głosem.

- Tak właśnie myślałem - powiedział kiwając głową. - Ale nawet jeżeli nie będziemy potrzebować zwierząt do pracy, ciągle są one niezbędne do walki, jeżeli mamy walczyć jak najefektywniej. Kiedy zajdzie potrzeba, wszyscy nasi ludzie mogą walczyć pieszo, ale nie do tego ich wyszkolono. Będziemy musieli zrezygnować z mobilności. Żaden z moich ludzi nie walczył nigdy jako żołnierz ciężkiej jazdy, ale ich zdolność do szybkiej zmiany pozycji na polu walki i... umiejętność nagłej i zorganizowanej szarży na przeciwnika sprawia, że są znacznie skuteczniejsi jako konnica niż pieszo.

- Rozumiem. - Demon-błazen usiadł wygodniej na krześle i milczał przez kilka sekund, a potem znów zwrócił na niego dziwaczne oczy.

- Mówisz, że twoi ludzie będą skuteczniejsi jako jazda. Czy potrafisz ocenić o ile ich efektywność wzrośnie? - Istota zamilkła i sir Jerzy zaczął się zastanawiać popatrzył czego dotyczyło to pytanie.

- Jesteś jeszcze prymitywniejszy, niż mi się wydawało, że jest to możliwe - powiedział demon-błazen po kilku sekundach. - Sądzę, że to proste, jasno sformułowane pytanie, na które nawet ty nie jesteś w stanie odpowiedzieć. Chcę, żebyś ocenił, czy twoi ludzie będą dwa razy

bardziej skuteczni jako konnica, czy może trzy razy, a może cztery.

- Powiedziałbym, że będą co najmniej dwa razy efektywniejsi - odparł po krótkiej przerwie. Kilka kolejnych sekund zmarnował na utwierdzenie się w przekonaniu, że panuje nad swoimi uczuciami, a potem postarał się, żeby jego głos brzmiał spokojnie i rzeczowo. - Ale jednocześnie, Dowódcu, rozważania nad ich efektywnością tylko w kontekście prostej wymiany ciosów byłoby błędem. To nie jest jedyny czynnik, na który wpływ ma posiadanie lub brak konia.

- Wyjaśnij - rozkazał demon-błazen.

- Oni są tylko częścią mojej... twojej... jednostki bojowej. Każda część posiada swoją własną zdolność bojową, swoje słabości, a także swoją rolę do odegrania na polu walki. Jeżeli jedna część całości jest osłabiona, wszyscy mają mniejsze możliwości i armia, pojmowana jako całość, ma mniejszą efektywność. Jeżeli nie mam konia, moja mobilność, zdolność do szybkiego reagowania na zmiany, do wypatrywania i wykorzystywania możliwości, będzie znacznie zredukowana.

Znów przerwał, zastanawiał się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

- Podejrzewam, Dowódcu, że wiele zależy od tego, z jakim przeciwnikiem mamy się spotkać, i dlaczego. W walce czysto defensywnej utrata konnicy nie jest tak wielkim problemem. Oczywiście, będzie mi ich brakować, a ich brak osłabi moje siły, ale nie aż tak bardzo. Podczas ataku na umocnione pozycje, znów, konie nie mają takiego znaczenia i nie będzie mi ich brakowało. Ale jeżeli mamy toczyć bitwy na otwartej przestrzeni, gdzie zdolność manewru jest sprawą kluczową, a warunki zmieniają się z chwili na chwilę, utrata koni sprawi, że moje siły znacznie osłabną. Dodatkowo w bitwach często ukształtowanie terenu wymaga szybkich przegrupowań, a w każdej bitwie teren jest inny.

- Rozumiem - powiedział demon-błazen. - Nie sądziłem, że coś tak staroświeckiego i niecywilizowanego, jak dosiadanie zwierząt, ma aż takie znaczenie dla operacji militarnych. Ale, jak powiedziałem, moja gildia nie nawykła do rozumowania w tak prymitywny sposób. W naszej historii te sprawy nie odegrały wielkiej roli, ale w ostatnich czasach sprawy się nieco... zmieniły. Tak więc być może będę musiał od dziś przykładać większą wagę do potrzeb, wymagań i umiejętności twoich, i twoich ludzi.

Przerwał ponownie i przez chwilę sir Jerzy sądził, że istota po prostu się nad czymś zastanawia. Ale po chwili zdał sobie sprawę, że usta obcego nadal się poruszają, chociaż nie mógł usłyszeć ani słowa. Dotarło do niego, że tak naprawdę nigdy nie słyszał prawdziwego głosu demona-błazna, tylko zawsze maszynę, czy istotę, która tłumaczyła język Dowódcy na ludzką mowę. Czy nie słyszał go dlatego, że jakieś moce gildii nie pozwalały mu na to? Czy

może chodziło o coś innego? Czy to możliwe, że ludzkie uszy po prostu nie są w stanie usłyszeć demona-błazna, a jeżeli tak, to dlaczego?

Dał sobie mentalnego kuksańca w bok, kiedy zobaczył, że usta demona-błazna przestały się poruszać. Obca, porośnięta purpurowym futrem twarz, nie zdradzała żadnych emocji i baron nie był w stanie ocenić, o czym istota mogła mówić, ani do kogo się zwracała. Sir Jerzy po raz kolejny złapał się na tym, że pragnie ze wszystkich sił, aby na twarzy obcego ukazał się jakikolwiek wyraz.

- Dałem rozkaz powrotu na wasz świat - powiedział mu demon-błazen i baron, wbrew sobie, głośno przełknął ślinę. Nie był do końca zdziwiony. Od samego początku w głębi siebie wiedział, że niesamowity statek, zrobiony z metalu podobnego do brązu, nie pochodzi ze świata ludzi. Doszedł więc do wniosku, że on, jego żona i syn, i wszyscy inni ludzie zostaną przewiezieni do obcego świata. Nie miał pojęcia, gdzie ten nowy świat się znajduje, ale sądził, że zdołał się mentalnie przygotować na to, że wraz z towarzyszami został zabrany ze swojego świata i od dzisiaj jest wygnańcem. Jednakże kiedy usłyszał, jak istota potwierdza jego przypuszczenia w tak obojętny sposób, poczuł, jakby dostał pięścią w twarz.

- Pozyskamy niezbędną ilość materiału genetycznego i sklonujemy tyle koni, ile ci potrzeba - kontynuował demon-błazen. - Są pewne minusy takiego postępowania, ale zalety znacznie je przewyższają. Między innymi będziemy mieli zapewnione źródło zwierząt, nawet jeżeli, tak jak się obawiam, konie nie są dobrze przystosowane do pozostawania w stajach podczas pracy napędu fazowego. Jeżeli dobrze zgramy wszystko w czasie i zastosujemy techniki przyspieszonego wzrostu, zdołamy wyprodukować świeże konie dla twoich ludzi na każdą bitwę.

Sir Jerzy wzięł głęboki oddech i w duszy poprosił Boga o to, aby dał mu cierpliwość. Nie, żeby Bóg ostatnimi czasy tak chętnie wysłuchiwał modlitw.

- Dowódco, nie zrozumiałem wiele z twojej przemowy. Na przykład w ogóle nie wiem, co to znaczy klonować. Ale jeżeli dobrze pojąłem sedno sprawy, obawiam się, że nie doceniłeś wad metody, którą mi opisałeś.

- Wyjaśnij - powiedział demon-błazen.

- Jeżeli proponujesz mi, że przed każdą bitwą wyhodujesz mi za pomocą magii nowe konie, nie bierzesz pod uwagę tego, że musimy te konie najpierw wytrenować i przyzwyczaić je do siebie, tak samo, jak nas do nich. To zajmuje wiele czasu... nawet lata, żeby dobrze ułożyć konia do walki, Dowódco. Tego nie da się zrobić w dzień, czy dwa przed bitwą. Co więcej, każdy koń i każdy człowiek jest inny, i żeby jeździec był najbardziej efektywny w bitwie, musi się doskonale porozumiewać ze swoim wierzchowcem. Oni nie walczą osobno,

walczą jako... jedność, drużyna i dlatego musimy dać im wystarczającą ilość czasu, aby mogli się dogadać.

- To zła wiadomość - powiedział obcy. - A więc mówisz mi, że w jakiś sposób musimy zapewnić wam wytrenowane konie?

- Tak byłoby najlepiej - odparł szczerze sir Jerzy. - Jeżeli to okaże się niemożliwe, jesteśmy w stanie sami wytrenować konie, zakładając, że będziemy mieć do dyspozycji wystarczającą ilość miejsca i czasu, aby to zrobić.

- Podejrzewam, że to lepiej niż nic - powiedział demon-błazen. - Ale, jak rozumiem, to ciągle mało. Kiedy będziecie trenować konie, statek będzie musiał lecieć z co najwyżej pięćdziesięcioprocentową wydajnością napędu fazowego. Biorąc pod uwagę wydajność i krzywe translacji, redukcja mocy będzie miała poważny wpływ na naszą mobilność.

- Dowódcu, mówisz o rzeczach, których zupełnie nie rozumiem, więc nie mam pojęcia, co mógłbym ci doradzić - odpowiedział baron.

- Najwyraźniej tak - odparł demon-błazen tonem, który miał być protekcyjny, chociaż sir Jerzy nie wyczuł najłżejszej zmiany. Obcy patrzył na niego przez kilka sekund, a potem znów się odezwał.

- Z drugiej strony, są inne rzeczy, co do których możesz mi doradzać. Z powodów, które nie powinny cię obchodzić, pragniemy ograniczyć kontakty z twoją planetą do minimum. Nie chcemy, aby ludzie nas zapamiętali. Szczerze mówiąc, właśnie dlatego wybraliśmy wasze statki. Odpowiadaliście naszym potrzebom, ponieważ bez nas i tak byście zginęli. Wasi przyjaciele po prostu sądziliby, że utonęliście w morzu. Jednakże, jeśli wrócimy na wasz świat po konie dla was, ryzykujemy pozostawieniem świadka. To może spowodować... nieoszacowane komplikacje dla mojej gildii. Dlatego też musimy znaleźć takie miejsce, gdzie są wierzchowce, najlepiej już wyszkolone, a w dodatku nie pilnuje ich zbyt wielu ludzi, którzy mogliby nas zobaczyć.

- Zakładam - powiedział sir Jerzy bardzo ostrożnie - że będziesz chciał, żebyśmy sami wybrali się do tego miejsca i nabyli konie dla ciebie?

- Zakładasz prawidłowo - odparł demon-błazen.

- Jeżeli tak, i skoro nie chcesz, żeby ktokolwiek zauważył ciebie albo kogoś z twoich ludzi, bez wątpienia najlepiej będzie wybrać się do jednej ze stadnin, należących do szlachty, najlepiej w nocy, kiedy nikt nie będzie w stanie cię zobaczyć.

- Czy te stadniny są położone na uboczu? Czy będzie tam mało ludzi?

- Zależy od miejsca, ale raczej tak - odparł. - Oczywiście wiele zależy od tego, gdzie zechcesz się udać. Ale nawet w najlepszym razie, będzie tam co najmniej kilka osób.

Stajenni, ujeżdżacze koni, inni pracownicy... Zawsze jest tam kilku chłopów wraz z rodzinami. Oni także mogą cię zobaczyć, nawet jeżeli będzie bardzo ciemno.

- Nie musisz się tym martwić. Dobrze będzie wybrać dwór, w którym nie ma wielu ludzi, ale nawet jeżeli ktoś nas zobaczy, nie będzie miał okazji do opowiedzenia o tym komukolwiek.

To spokojne oświadczenie sprawiło, że sir Jerzy poczuł zimny dreszcz na plecach. Nie mógł udawać, że nie rozumiał, o co chodzi demonowi. Baron poczuł nagłe ukłucie poczucia winy. Zaprzagnął nagle powiedzieć Dowódcy, że zmienił zdanie, że konie tak naprawdę nie są potrzebne... nie są warte tego, aby demon-błazen podejmował ryzyko powrotu na Ziemię! Ale to nie miało sensu. Drobną istotą i tak by mu nie uwierzyła, nie po tym, jak sir Jerzy skończył właśnie tłumaczyć, dlaczego potrzebował koni. I nawet jeżeli demon w jakiś cudowny sposób uwierzy w tę zmianę nastawienia, miał obowiązki względem swoich ludzi. Konie nie tylko zwiększą ich efektywność, ale także sprawią, że żołnierze z większym prawdopodobieństwem przeżyją bitwy, które ich czekają.

Ale niestety nie poczuł się przez to lepiej, kiedy zdał sobie sprawę, że właśnie skazał całą niewielką populację jakiegoś dworu na niechybną śmierć.

- Powstaje pytanie - kontynuował demon-błazen, jakby był zupełnie nieświadom tego, w jakie zdumienie wprowadził sir Jerzego. - Który dwór powinniśmy wybrać.

Usta poruszyły się znów, nie wydając dźwięku i blat stołu zmienił się nagle z przejrzystego kryształu w pełen szczegółów obraz. Obcy przywołał sir Jerzego bliżej i baron zmarszczył brwi. Ten obraz coś mu przypominał... Ale nie mógł sobie uświadomić, co to jest, gdyż nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego. A może widział?

Zmarszczył brwi, a potem głośno wciągnął powietrze. Nic dziwnego, że wyglądało to tak dziwacznie. Z pewnością żaden człowiek nie marzył nawet, że mógłby z takiej wysokości spoglądać na powierzchnię Ziemi! Nawet najwyżej latający ptak nie zdołałby osiągnąć takiego pułapu. Gdyby nie to, że baron został właśnie porwany na pokład wielkiego obiektu o kolorze brązu, z pewnością twierdziłby, że nic na świecie nie jest w stanie wznieść się na taką wysokość. Teraz jednakże uczył się, że słowo „niemożliwe” znaczy znacznie mniej, niż kiedyś uważał.

Jego zachwycone oczy przesunęły się powoli po zadziwiającym obrazie. Nigdy nie patrzył na nią w ten sposób, nie w takich szczegółach, ale z pewnością wyspa, uwidocziona na blacie, musiała być Anglią. Widział także Irlandię, Morze Irlandzkie, i Kanał! A tam...

Cały zachwyt odpłynął w jednej chwili, kiedy zdał sobie sprawę, że ten wspaniały obraz to świat, z którego został porwany wraz ze swoimi ludźmi. I tam gdzieś był ten dwór, który

został właśnie skazany na niebyt... a demon-błazen wskazał sir Jerzego Wincastera, aby zdecydował, kto ma zginąć.

Popatrzył z tęsknotą na wyspę, której już nigdy nie ujrzy, i po chwili odwrócił wzrok. Jeżeli ktoś musi zginąć, niech to nie będą Anglicy. Ani Walijszczy... nawet nie Szkoci! Nie. Jeżeli ma skazać niewinnych na śmierć, wybierze ich spośród tych, których zniszczenie może osłabić monarchę, przeciwko któremu toczył walkę król, który pasował go na rycerza.

Popatrzył na demona-błazna, a potem z powrotem na mapę. Wyciągnął palec i położył go na magicznie przedstawionych dolinach, lasach i polach Francji.

- Polecam któryś dwór z tej okolicy - powiedział sir Jerzy Wincaster, trzeci baron Wickworth do małej, dziwacznej istoty, która obwołała się jego nowym panem.

- III -

- Ten to prawdziwy diabeł.

- Bez wątpienia - zgodził się sir Jerzy. Stał obok Waltera Skinneta i patrzył na Seamusa McNeely'ego, który trzymał wielkiego, czarnego jak węgiel ogiera.

Stali w jednym z wielu pomieszczeń, tak samo wyłożonym stopem w kolorze brązu. Pod pewnymi względami Anglicy przyzwyczaili się już do swego nowego domu. Z drugiej jednak strony takie pomieszczenia, w których się obecnie znajdowali, wprawiały ich nieodmiennie w osłupienie.

Oczywiście nie mógł być pewny w stu procentach, ale podejrzewał, że wnętrze ogromnego statku demona-błazna nie jest stałe. Brzmiało to niedorzecznie, ale widział na własne oczy, że ich panowie bez trudu potrafili modyfikować i zmieniać określone jego części. Kiedy podczas narady barona z głównodowodzącymi pododdziałów i ocalałymi rycerzami po raz pierwszy zobaczyli, jak z podłogi wyrastają krzesła, wydawało się to niemożliwym wręcz cudem. Ale od tego dnia mieli do czynienia z taką ilością niewiarygodnych zdarzeń, że ich podziw dla twórców statku zaczął powoli maleć. Oczywiście, cuda nadal były cudami, ale zaczęły im już powszednieć.

Tak jak stajnie. Baron wiedział, że statek nie ma przestrzeni, przeznaczonej dla przetrzymywania koni, których Anglicy zażyczyli sobie tak stanowczo. Obcy nie mieli przecież zwierząt, więc nie posiadali także stajni. Poza tym demon-błazen i tenorowy głos Komputera spędzili niemalże trzy godziny na projektowaniu odpowiedniego pomieszczenia dla koni wedle jego wskazówek. Nie musieliby tego robić, gdyby posiadali te informacje.

Jednakże kiedy tylko konie wreszcie znalazły się na pokładzie (po raz kolejny umysł sir Jerzego odwrócił się od rozpamiętywania o tym, jaką cenę zapłacił dwór, z którego wzięli zwierzęta), stajnie były gotowe i czekały na swoich nowych mieszkańców. Były to wielkie pomieszczenia, większe niż baron był w stanie sobie wyobrazić, połączone z terenem do ćwiczeń, który liczył sobie nie mniej jak trzy akry, i to wszystko zmieściło się we wnętrzu wielkiego statku. Kiedy rozglądał się po stajniach nie był w stanie dostrzec niczego, co mogłoby podpowiedzieć mu, czym było to pomieszczenie wcześniej.

Oczywiście stajnie nie były jedyną częścią statku, zmodyfikowaną dla ich bieżących potrzeb. Mimo lekceważenia, zabarwionego pogardą, z jakim demon-błazen traktował swoich

ludzkich jeńców, ofiarował im pomieszczenia, wyposażone wręcz komfortowo, i nawet nie zdawał sobie sprawy, jak wiele cudów tam się znajdowało. Jednym z nich był Komputer. Sir Jerzy ciągle nie wiedział, czym jest Komputer, ale podejrzewał, że istota ta jest w stanie realizować znacznie większą liczbę zadań, niż mu się na początku wydawało. Baron odczuwał pokusę, aby myśleć o Komputerze jako o familiarze demona-błazna, chociaż ze wszystkich sił starał się unikać tego porównania. Mimo wielu „magicznych” przedmiotów, zgromadzonych na statku, ciągle gadanie demona-błazna o „zaawansowanych gatunkach” i „technologii” przekonało go, że to co widzi nie jest tak naprawdę magią, a tylko rzemiosłem, rozwiniętym daleko poza możliwości ludzi. A to przecież nie znaczyło, że ta wiedza zawsze będzie poza zasięgiem ludzi, chociaż Dowódca zdawał się nie dostrzegać tej możliwości... ani jej potencjalnych konsekwencji. Żeby nie wiem jak zaawansowane były maszyny demona-błazna, był on tak samo arogancki i głupi, jak każdy Francuz, którego sir Jerzy spotkał w swoim życiu. Bez wątpienia Dowódca czuł się bezpiecznie pod ochroną swoich cudownych urządzeń i jaszczuroludzkich strażników, ale tylko głupiec okazywałby pogardę żołnierzom, którzy pozostają pod jego rozkazami, nieważne w jaki sposób zostali do tego zmuszeni.

Ta arogancja ujawniała się najbardziej w chwilach, kiedy demon-błazen posługiwał się mieszaniną grózb i przekupstwa, aby wymusić na nich odpowiednie postępowanie. Groźbą aż nadto wyraźną było zamordowanie sir Jana Denmore'a. Przekupstwa ujawniały się stopniowo, ale na swój sposób były tak samo imponujące, jak groźby, a Komputer był ich częścią.

To Komputer kierował nimi podczas operacji przyjęcia na statek i tak samo, jak głos demona-błazna, docierał do każdej istoty, znajdującej się na pokładzie. Ale, w odróżnieniu od nowego Dowódcy, a także brodawkowatych i jaszczuroludzi, którzy, nawiasem mówiąc, nie odezwali się jeszcze do nikogo w jakiegokolwiek zrozumiałej mowie, Komputer potrafił też słuchać. Wystarczyło tylko wypowiedzieć jego imię i Komputer odzywał się natychmiast, nieważne gdzie i kiedy znajdował się jego rozmówca. Komputerowi nie robiło także różnicy, kto się do niego odzywa, gdyż odpowiadał tak samo prędko na wezwanie sir Jerzego, jak i najmłodszego żołnierza. I kimkolwiek, czy czymkolwiek był, miał w sobie dziwaczną mieszaninę pogardy demona-błazna dla Anglików z natychmiastową gotowością do wyjaśniania i uczenia nawet najtępszych ludzi, i to z wielką cierpliwością.

To właśnie komputer nauczył Anglików, jak wykorzystywać różnorodne cudowne urządzenia, zlokalizowane w ich kwaterach, które były częścią przekupstwa demona-błazna. I wbrew sobie sir Jerzy musiał przyznać, że te łapówki były kuszące. Nawet sam król Edward nie byłby w stanie podarować im takiej ilości luksusów, które oferowano nawet najmniej ważnemu z jego ludzi. Prawda, ich kwatery były ciasne, ale każdy z oficerów barona, nawet

jeżeli nie miał żony ani towarzyszk, miał co najmniej mały pokój do własnej dyspozycji. Zwykli żołnierze i mała garstka cywili musieli zadowolić się zwykłymi wieloosobowymi pomieszczeniami, ale nawet tam mieli takie cuda, jak zimną i ciepłą bieżącą wodę, łóżka, stoły i krzesła, które wyrastały z podłogi i chowały się na jedno skinienie, oraz mgłę, która odświeżała ich i odnawiała utracone siły... wszystko na jedno życzenie, zgłoszone do Komputera.

Jednakże Komputer także miał pewne ograniczenia, a dotyczyły one przeważnie udzielania informacji. Zawsze odpowiadał, kiedy usłyszał swoje imię, ale często odpowiedź na zadane pytanie brzmiała „ta informacja jest niedostępna na tym poziomie dostępu”. Najwyraźniej Komputer miał rozkaz, aby nie wyjawiać Anglikom niczego, co mogłoby zdradzić im naturę gildii demona-błazna, albo też rolę jaką odgrywają oni w tym wszystkim i co ich spotka na końcu drogi. Rozkazu tego Komputer przestrzegał całkowicie i absolutnie, jednakże wymknęło mu się kilka okruszków informacji.

Pod pewnymi względami Anglicy z trudem zmuszali się do pamiętania, że kiedyś, nie tak dawno temu, nie znajdowali się na pokładzie zadziwiającego statku demona-błazna. Jeżeli baron mógł wierzyć Komputerowi, a nie widział powodu, dlaczego ten miałby kłamać, kiedy w każdej chwili mógł przecież odmówić odpowiedzi, statek przez cały czas podróżował między gwiazdami, nawet w chwili, kiedy on rozmawiał z Walterem Skinnetem. Idea takiej podróży zbliżała się niebezpiecznie do herezji, a co najmniej do bluźnierstwa, chociaż na szczęście koncepcja rzeczywistości w pojęciu sir Jerzego zyskiwała coraz to nowe granice. Zresztą nie miał wielkiego wyboru w tej kwestii. Mógł zaakceptować fakty, albo pogрузić się w szaleństwo, a przecież miał obowiązki. A poza tym Matyllda nigdy by mu tego nie wybaczyła, pomyślał, uśmiechając się do siebie w duchu.

Uśmiech zniknął powoli, kiedy tak patrzył na McNeely'ego i ogiera. Nie potrafił dokładnie określić, od jak dawna byli na pokładzie statku demona-błazna, gdyż nie było tu słońca ani księżyc, dni, ani nocy. W korytarzach i przejściach wielkiego statku, a przynajmniej tej części, którą demon oddał do dyspozycji sir Jerzego i jego ludzi, nigdy nie było tak do końca ciemno. Światło jednakże było przygaszane w regularnych odstępach, które mniej więcej odpowiadały cyklowi dobowemu. Oczywiście baron nie miał możliwości, aby sprawdzić, czy tak jest naprawdę, a tym samym sprawa ta dołączyła do szeregu pozostałych, które przyprawiały barona o ból głowy. Komputer najwyraźniej nie widział powodu, aby mierzyć im czas, a bez kalendarza i choć orientacyjnej oceny, jak ich obecne „dni” mają się do ziemskiej miary czasu, nie byli w stanie określić, kiedy przypadają święta, dni patronów, Boże Narodzenie czy Wielkanoc. Nie wiedzieli nawet, kiedy jest niedziela!

Ojciec Tymoteusz jako jedyny ksiądz z pełnymi święczeniami na pokładzie statku, zwrócił uwagę na ten fakt. Na szczęście miał na tyle rozumu, żeby zrobić to na osobności. On, Matyllda i sir Jerzy mogli zatem przedyskutować tę sprawę między sobą, zanim ktokolwiek inny wpadł na podobny pomysł. W końcu Tymoteusz zyskał kolejny obowiązek w postaci prowadzenia oficjalnego pomiaru czasu podróży.

- Nie możemy zrobić nic więcej - powiedział w końcu baron. - Bóg z pewnością zrozumie, z jakimi problemami się borykamy i bez wątplenia udzieli nam dyspensy. Bez wschodu i zachodu słońca możemy jedynie w przybliżeniu mierzyć upływ czasu i tym samym obchodzić niedziele i święta wtedy, kiedy tak nam wypada z obliczeń.

- Nie powiem, żeby mi się to podobało, panie - powiedział ojciec Tymoteusz z ciężkim sercem. - Jednakże nie widzę innej możliwości. I, tak jak powiedziałaś, Bóg w swoim niezmiernym miłosierdziu wybaczy nam, jeżeli popełnimy błąd.

- Bez wątplenia tak będzie - zgodziła się Matyllda. - Ale obawiam się, że część naszych ludzi może zareagować dość... nerwowo, kiedy w pełni dotrze do nich znaczenie tego faktu. Niektórzy i tak z trudem akceptują to, że jaszczuroludzie i brodawkowaci są śmiertelnikami, a nie demonami. I to niezależnie od tego, co im mówimy.

- Dlatego ważne jest, abyśmy prezentowali w tej kwestii całkowitą jednomyślność - powiedział jej mąż, kiwając głową. - Musimy być pewni, że sir Ryszard i sir Antoni, i wszyscy pozostali starsi oficerowie zostaną ostrzeżeni i przygotowani do zajęcia tej samej pozycji, kiedy ogłosimy publicznie nasze ustalenia.

- Podobnie jak ci, którzy nie są żołnierzami - powiedziała Matyllda, zamyślona. - Myślę, że powinnam to najpierw przedyskutować z lady Małgorzatą. Sir Brian nie jest oczywiście starszym rycerzem, ale jego żona ma otwarty umysł i inne kobiety od początku szukają u niej rady i pomocy, tak samo jak u mnie.

- Doskonały pomysł, pani - powiedział ojciec Tymoteusz. - A ja porozmawiam na osobności z Tomaszem Westmanem.

Sir Jerzy pokiwał głową. Westman był ich głównym kowalem i jako doskonały rzemieślnik cieszył się wyjątkowym poważaniem wśród zwykłych ludzi.

- Można także - odezwała się Matyllda po chwili. - Podkreślić fakt, że daty świąt, ustalanych przez Kościół zmieniają się i od czasu do czasu, aby jak najlepiej oddać to, że coraz bardziej rozumiemy, kiedy one powinny przypadać. Nie możemy skorzystać z pomocy biskupa, ale z pewnością Bóg nas poprowadzi. Nasza wiara pomoże nam ustalić odpowiednie daty, do czego zostaliśmy zmuszeni przez sytuację.

- Ale tylko tak długo, jak nikt nie będzie podejrzewał, że uzurpuję sobie autorytet Rzymu!

- powiedział ojciec Tymoteusz, śmiejąc się niepewnie.

- Nikt nie oskarży cię o uzurpowanie sobie czegokolwiek, Tymoteuszu - odparł sir Jerzy.

- Ale musisz pogodzić się z tym, że jesteś jedynym z nas, który najbardziej zbliża się do biskupa, czy arcybiskupa. I nie możemy liczyć na nikogo innego.

- Nie mogę przypisywać sobie takiego autorytetu, panie!

- Nie mówię, że musisz - powiedział spokojnie. - Jednakże, czy tego chcesz, czy nie, jesteś jedyną osobą, która może nas prowadzić w sprawach wiary. Jedyną, zarówno spośród szlachetnie urodzonych, jak i zwyczajnych ludzi. - Uśmiechnął się z lekkim współczuciem i położył dłoń na szerokim ramieniu swego spowiednika. Ksiądz spoglądał na niego z niepewnością. - Przestań, Tymoteuszu! Czy to nie ty nauczyłeś młodego chłopca, że żaden człowiek nie może odwrócić się plecami, kiedy słyszy wołanie Boga? Przecież nie jesteś sam... Bóg zawsze jest z tobą, zawsze jest z nami i zawsze możesz poprosić Go, aby cię prowadził. Ja nie mam tego komfortu, gdyż obawiam się, że nie potrafiłbym odczytać boskiej rady z taką łatwością, z jaką uczestniczyłem w spotkaniach z królem i jego doradcami!

- Niech się stanie, jak powiedziałaś, panie. - Ojciec Tymoteusz pogodził się z losem i chociaż nadal miał pewne wątpliwości co do obowiązków, jakie mu przydzielono, nie wykazywał żadnych wątpliwości co do ustalania dat świąt kościelnych. Mimo jedności przywódców, niektórzy ludzie ciągle byli niespokojni i baron doskonale o tym wiedział. Ale to była tylko niewielka część jego zmartwień i poczuł ulgę, że mógł przekazać chociaż część swoich trosk w kompetentne dłonie ojca Tymoteusza. Wreszcie był w stanie ustalić regularny czas niedzielnych mszy. Czy będą się odbywać w „prawdziwą” niedzielę nie miało większego znaczenia. Niedziela to niedziela i ludzie z pewnością uspokoją się, kiedy przywróci im jeden z ważniejszych elementów ich tradycji i wiary.

Na szczęście wyjaśnienie demonowi-błaznowi, dlaczego potrzebują oddzielnego pomieszczenia, gdzie mogliby modlić się do swego Boga, okazało się łatwiejsze, niż sądził. Obcy skomentował prośbę na swój sposób, mamrocząc coś o „prymitywnych wierzeniach, ale baron tego właśnie oczekiwał. Był to oczywisty element pogardliwego stosunku do ludzi, jaki Dowódca przejawiał w każdej niemal chwili, i sir Jerzy zastanawiał się czasami, czy tak dziwaczne istoty, jak demon, czy jaszczuroludzie i brodawkowaci strażnicy mają dusze, o które muszą się martwić na pierwszym miejscu.

To zresztą był kolejny problem do rozwiązania dla ojca Tymoteusza i baron nie martwił się tym zbyt szczególnie. A już na pewno nie w chwili, kiedy miał tak wiele problemów do rozwiązania, łącznie z tym, który przyprowadził do niego dzisiaj Walter Skinnet.

- Wiem, że cenisz sobie w koniach odwagę i ducha walki, panie - powiedział postawny

weteran - i nie widziałem nigdy lepszego jeźdźca od ciebie. Ale uważaj - dodał z uśmiechem, który czaił się w kącie jego ust. - Widziałem wielu równie dobrych. Tak, i wielu z nich nigdy nie znalazło takiego konia, który by im odpowiadał, kiedy się dobrze zastanowię!

- Z pewnością tak - przyznał sir Jerzy.

- I tak samo Seamus - powiedział Skinnet, pokazując brodą na łysego trenera, który oceniał kroki ogiera.

Seamus McNeely, Irlandczyk, który był głównym stajennym barona od wielu lat, pracował uważnie z koniem. Baron patrzył na niego, skrywając uśmiech. Seamus rozpoczął swoją karierę jako chłopak stajenny w wieku sześciu lat. To było jakieś czterdzieści lat temu i niewiele końskich dziwactw mogło go zaskoczyć. Ze sposobu, w jaki odnosił się do konia, sir Jerzy wnioskował, że mózg Seamusa na podstawie wieloletnich doświadczeń zaczął wysyłać sygnały alarmowe.

- Wybacz, że tak mówię, panie - kontynuował Skinnet z nieśmiałym uporem, na który pozwalał sobie tylko ze względu na długoletnią służbę u barona. - Ale byłoby lepiej, gdybyś trzymał się od niego z daleka. Albo każ go wykastrować.

- Nie - powiedział stanowczo.

- Jeżeli nie chcesz go kastrować, to lepiej odstaw go do ogierów rozplodowych. Wiem, to nie zawsze jest prawdą, kiedy mówią, że tylko głupiec jeździ na niekastrowanym koniu, ale ten tu... - Doświadczony kawalerzysta pokręcił głową. - Z pewnością on kiedyś kogoś zabije - dodał Skinnet ponuro. - Zobaczysz, że mam rację!

- Dopóki to będzie właściwy ktoś, nie mam obiekcji - odparł łagodnie. - I wolę mieć pod sobą konia z temperamentem, kiedy znajdę się w opałach.

- Nie zamierzam się z tobą spierać, panie! - zawołał Skinnet. - Ale temperament to coś innego niż czysta, mordercza złośliwość, a ten diabeł ma jej w sobie mnóstwo.

- Może tak, a może nie. Zobaczymy, co powie Seamus, za dzień, czy dwa.

- Z całym szacunkiem, panie, Seamus McNeely powie, że słońce wschodzi na zachodzie, jeżeli tak mu każesz. - Potężny weteran ze śmiechem pokręcił głową. - Nie, to nie jest sprawiedliwe dla starego Seamusa. On nie powie, że słońce wschodzi na zachodzie, ale zrobi wszystko, żeby tak się właśnie stało!

- I tak powinno być, jeżeli mu każę - odparł sir Jerzy z szerokim uśmiechem i Skinnet zaśmiał się głośno. Ale śmiech trwał krótko i kiedy znów potrząsnął głową, jego twarz miała poważny wyraz.

- Bardzo dobrze, mój panie, bardzo dobrze. Ale nikt z nas nie będzie się śmiał, kiedy skęcisz kark przez tego diabła! Pal licho, gdyby to się stało we Francji, ale teraz...?

- Biorę pod uwagę, to co mówisz, Walterze - odparł baron po dłuższej chwili. - Ale jeżeli mam być waszym dowódcą i wydawać rozkazy, to muszę to robić dobrze i na polu walki będę potrzebował pomocy samego Szatana!

- Tak? Jeżeli chcesz Szatana, mój panie, myślę, że właśnie ci go znalazłem.

* * *

- Jakie zrobiliście postępy w trenowaniu wierzchowców?

Sir Jerzy znów stał przed demonem-błaznem, od którego oddzielał go ten sam kryształowy stolik. Pomieszczenie, w którym się znajdowali, zmieniło się od ostatniego razu. Ściany nabrały ciemnego, kojącego zielonego koloru, a przestrzeń tuż za Dowódcą zamieniła się w realistyczny, zapierający dech w piersiach obraz cienistego lasu. Drzewa i gęste, niskie krzaki, obsypane błyszczącymi karminowymi i złotymi kwiatami nie przypominały żadnych znanych mu roślin. Liście drzew były siedmiodzielne, delikatne i mocno wydłużone, a kora, okrywająca pnie, wyglądała niemalże jak miękkie futro kota. Krzaki z kolei miały liście w kształcie noży, niemal czarne, z czerwonymi żyłkami. Podczas gdy patrzył na las, do krzaków zbliżyło się małe, nieostrożne stworzenie. Zarośla wygięły się, i zadrżały, jakby uderzył w nie nagły, silny wicher. A potem gałęzie rzuciły się do przodu.

Sir Jerzy nie potrafił tego inaczej określić. Gałęzie rzuciły się, uderzając w dół, z liśćmi nastawionymi jak ostrza noży, które tak przypominały. Ofiara pisnęła wysoko i cienko, kiedy ostre krzewy złapały ją i rozdarły na strzępy. Krzak trzeszczał i podskakiwał przez parę chwil, a potem znieruchomiał.

- Jakie zrobiliście postępy w trenowaniu wierzchowców? - powtórzył demon-błazen i sir Jerzy z trudem oderwał wzrok od cienistej gęstwiny.

- Bardzo duże, Dowódczo - odparł. - Niektóre z nich tak naprawdę nie nadają się na konie bojowe, ale mamy wystarczającą ilość dobrych wierzchowców, żeby posadzić na nich dwie setki ludzi. Oczywiście, wolałbym potrenować z nimi jeszcze trochę, ale etap, jaki osiągnęliśmy, uważam za satysfakcjonujący.

- Cieszę się, że to słyszę - powiedział mu demon-błazen. - Zbyt długo już lecimy na połowie ciągu. Teraz będziemy zmuszeni podnieść moc do dziewięćdziesięciu procent, żebyśmy mogli nadrobić stracony czas. A to pociąga za sobą pewne ryzyko dla statku i wszystkich na pokładzie, dlatego musimy zaraz zaczynać. Jeżeli będziemy czekać jeszcze dłużej, poziom mocy i czynnik ryzyka stanie się całkiem nie do zaakceptowania.

- Przykro mi, jeżeli opóźnimy twoją podróż - powiedział baron, bardzo nieszczerze. - Ale trening był niezbędny. Bez niego nie moglibyśmy walczyć dla ciebie z pełną

efektywnością.

- Jestem tego świadom. I gdybym nie był przekonany, że to konieczne, byłbyś już martwy - zapiszczał demon-błazen.

Sir Jerzy nie odpowiedział. Nie mógł na to nic powiedzieć, nawet jeżeli chciał, a przecież wcale nie miał ochoty.

Demon-błazen patrzył na niego trojgiem oczu jeszcze przez kilka chwil, a potem lekko poruszył uszami.

- Ty, twoi ludzie i wasze konie, na czas uruchomienia napędu fazowego, zostaniecie umieszczeni w komorach stażowych. Za pierwszym razem, kiedy będziecie usypiani, możecie ulec uczuciu paniki, szczególnie, że dotyczy to takich prymitywów, jak wy. Zadaniem twoim i oficerów będzie utrzymywanie porządku podczas procesu i po przebudzeniu.

- Ty i Komputer wspominaliście o... stazie, już wcześniej - powiedział sir Jerzy jak najbardziej rzeczowym tonem. - Ani ja, ani moi oficerowie, nie mamy pojęcia, na czym polega ten proces, ani jak się do niego przygotować. Jeżeli mamy utrzymywać porządek, bardzo by nam pomogła chociaż szczątkowa wiedza o tym, co ma się stać.

Zapadła długa chwila ciszy, podczas której demon-błazen zastanawiał się nad jego słowami. A potem przemówił cienkim, beznamiętnym głosem kogoś, kto tłumaczył jego słowa.

- Żywe istoty nie przeżywają z powodu fizycznego szoku, jaki powoduje przebywanie na pokładzie statku, wykorzystującego napęd fazowy, którego pole generowane jest z efektywnością wyższą, niż pięćdziesiąt procent. Prędkość nadświatlna wywiera taki właśnie efekt na żywe organizmy i tego nie da się zmienić. Aby uchronić załogę i pasażerów naszych statków, umieszczamy ich w komorach stazy. Twój prymitywny język i prosty opis rzeczywistości nie pozwala mi na dokładne wyjaśnienie tego zjawiska. Jednakże możesz myśleć o tym jak o głębokim śnie, z którego obudzisz się dopiero wtedy, kiedy nasza podróż się zakończy.

- Śnie? - Sir Jerzy popatrzył na demona-błazna ze starannie skrywanym sceptycyzmem, a potem zerknął na zawsze milczących i obojętnych jaszczuroludzi, którzy stali czujnie za plecami Dowódcy.

Wbrew sobie czuł, że jaszczuroludzie go fascynują. On i jego ludzie byli na statku, który stał się ich więzieniem, już od wielu tygodni. W trakcie pobytu udało im się chociaż częściowo poznać brodawkowatych. Mieli swój język, a przynajmniej coś w tym rodzaju, ale robił on wrażenie bardzo ubogiego i topornego; składał się głównie z chrząknięć i mruknięć, przerywanych okazjonalnie gwizdem. W odróżnieniu od jaszczuroludzi i Anglików,

brodawkowaci nie nosili także jednoczęściowego stroju. Zamiast tego mieli na sobie ciężkie tuniki, nabijane metalowymi ćwiekami, które przypominały skórzane jaki... i, w odróżnieniu od ludzi, niektórym pozwolono zatrzymać broń. Od chwili, kiedy statek przeszedł na napęd fazowy, o którym demon-błazen tak ciągle mówił, nikt nie widział ich w zbroi, czy z toporami, które zdawały się być najbardziej pasującą im bronią. Byli uzbrojeni tylko wtedy, kiedy pojawiali się w towarzystwie demona-błazna albo załogi statku. Ale kilku z nich zawsze nosiło przy sobie ciężkie kije, prawie pałki. Ustawili się pod ścianą pomieszczenia, kiedy łucznicy po raz pierwszy dostali zgodę na trening. Mimo protestów zdegradowanych żołnierzy, strzały pozbawiono grotów, co w ich opinii sprawiało, że strażnicy stawali się w zasadzie zbyteczni, ale demon-błazen najwyraźniej nie był nią zainteresowany.

Brodawkowaci od tej pory coraz częściej pojawiali się w części statku, przeznaczonej dla ludzi, szczególnie podczas treningów z bronią ćwiczebną, dostarczoną w tym celu przez Komputer. Ich zadaniem było najwyraźniej pilnowanie i zastraszanie Anglików, ale udało się to im tylko częściowo. Nikt nie był na tyle głupi, żeby sądzić, że tak silne i wielkie istoty będą łatwymi przeciwnikami, ale angielscy żołnierze nie dawali się tak łatwo zastraszać. Podobnie jak sir Jerzy, jego oddziały były całkowicie pewne, że bez problemu pokonają brodawkowatych, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Oczywiście, próba ataku na dłuższą metę z pewnością okazałaby się porażką, ponieważ brodawkowaci, którzy mogli wchodzić do kwater ludzi, byli nie więcej jak zbytecznymi osiłkami. Prawdziwym wrogiem był demon-błazen. Brodawkowaci nie byli nawet w stanie otwierać i zamykać nagle się pojawiających drzwi, dopóki jakiś członek załogi nie zrobił tego za nich. Jakąkolwiek funkcję pełnili oni na statku, nikt, nawet oni sami, nie uważał ich za załogę.

Sir Jerzy z pewnością tak nie sądził. Baron dostrzegł oczywistą hierarchię wśród mieszkańców statku demona-błazna, a brodawkowaci plasowali się w niej na pozycji ledwie tresowanych psów... co, prawdę mówiąc, znaczyło, że znajdują się nieco wyżej od ludzi. Baron widział zaledwie kilku prawdziwych członków załogi, chociaż nie miał pewności, czy po prostu dostrzegł niewielki ułamek obsługi, czy może ten wielki statek nie potrzebował większej załogi. Skłaniał się raczej ku pierwszej teorii, mimo że Komputer i demon-błazen na każdym kroku demonstrowali, co może osiągnąć jednostka z pomocą ich „technologii”.

Większość członków załogi, na których się natknął, nie należała ani do gatunku brodawkowatych, ani jaszczuroludzi, ale zdawała się być przedstawicielami jeszcze innego rodzaju istot. Byli oni bardzo wysocy i przypominali nieco wrzeciona. Mieli bardzo długie nogi w stosunku do całego ciała i sir Jerzy poczuł pewność, że krzesła, z jakich korzystali

podczas pierwszego posiedzenia rady starszych oficerów, były zaprojektowane właśnie dla takich istot.

Ludzie poznali jeszcze tylko jednego przedstawiciela gatunku, z którego wywodził się demon-błazen. Nazywano go Lekarzem i najwyraźniej zajmował drugą pozycję w hierarchii statku. Komputer okazjonalnie określał go jako „lekarza pokładowego”, albo „chirurga”, ale nie przypominał on ani trochę ludzkiego doktora. Nie używał żadnego z instrumentów, z jakimi zaprzyjaźnił się podczas długiej kariery żołnierza. Zamiast tego posługiwał się tajemniczymi urządzeniami z błyskającymi światełkami, które okazjonalnie wydawały buczące dźwięki albo robiły „ping!”, wypełniając ten ogromny statek irytującym hałasem. Oczywiście ludzie nie mieli pojęcia, jak działają te urządzenia, a ich ciemniejący nie kwapili się, żeby cokolwiek wyjaśnić. Również Dickon Yardley, starszy chirurg w służbie u sir Jerzego, nie był w stanie udzielić żadnych odpowiedzi. Mimo niewiedzy i marnego pojęcia, co właściwie robi Lekarz, każdy człowiek, mężczyzna, kobieta i dziecko, został zmuszony do odwiedzenia go w pomieszczeniu, które Komputer nazywał „szpitalem pokładowym”, gdzie obcy poddał ich gruntownym badaniom.

Z jakiegoś dziwnego powodu fakt, że Lekarz nie był człowiekiem, w jakiś sposób ułatwiło im przejście przez badania, chociaż i tak dla wielu Anglików były one bardzo uciążliwe. Sir Jerzy był tak bardzo onieśmielony spotkaniem z Lekarzem i jego przyrządami, że z całych sił zaprzagnął towarzyszyć Matyldzie, albo chociaż Edwardowi, kiedy nadeszła ich kolej. Jednakże nie pozwolono mu, i być może tak było lepiej. Matylda, co było dla niej nietypowe, bardzo niechętnie rozmawiała o swojej wizycie w szpitalu pokładowym, ale powiedziała mu na tyle dużo, że sam wątpił, czy byłby w stanie patrzeć spokojnie, mimo gróźb i poleceń, jak Lekarz popycha ją i poszturchuje.

Mimo brutalnego traktowania, musiał przyznać, że dzięki jego zaleceniom, połączonym z drakońskimi zasadami higieny, wprowadzonymi przez Komputer, stał się pewnego rodzaju cud. Po raz pierwszy w swojej militarnej karierze baron nie musiał borykać się z chorobami. Nikt wśród jego ludzi nie cierpiał na żadną przypadłość. Nikt nie przechodził przeziębienia, ani gorączki, nawet zwykłego kataru. Nic.

To sprawiało, że zabiegi Lekarza nie wydawały się takie bardzo złe.

Możliwość obserwacji pozostałych członków załogi umocniła go w przekonaniu, że jaszczuroludzie zajmowali pozycję pomiędzy wrzecionowatymi, czyli prawdziwymi panami statku, a brodawkowatymi. W odróżnieniu od tych ostatnich, ludzie-jaszczurki nigdy nie wydawali z siebie dźwięku, a przynajmniej żaden człowiek tego nie słyszał. Oczywiście, Anglicy nie spotykali jaszczuroludzi tak często, jak brodawkowatych, gdyż ci pierwsi, w

odróżnieniu od ostatnich, nigdy nie wchodzili do kwater, przeznaczonych dla ludzi, kiedy już przebrnięto przez procedurę przyjęcia i rada starszych oficerów odbyła pierwsze posiedzenie. Być może to właśnie sprawiło po części, że sir Jerzy tak się nimi interesował - brak bliskości nie pozwalał mu oswoić się z dziwnym wyglądem obcych.

Chociaż nie spotykał jaszczuroludzi tak często, jak brodawkowatych, i tak miał z nimi więcej do czynienia niż reszta. Za każdym razem, kiedy przechodził do części statku, zajętej przez załogę, żeby zdać sprawozdanie albo usłyszeć rozkazy demona-błazna, towarzyszył mu co najmniej jeden człowiek-smok, niczym milczący, szarzielony cień. I już od dawna wiedział, że jaszczuroludzie w niczym nie przypominają brodawkowatych.

Istoty z wypustkami na twarzach poruszały się dziwnym, żabim krokiem, który znakomicie pasował do ich potężnych, niezgrabnych cielsk. Nie było w nich ani odrobiny wdzięku. Emanowali czystą, niebezpieczną przemocą, tak jakby rzeczywiście byli tylko bezmyślnymi osiłkami, jak o nich myśleli ludzie. Byli tylko... wykonawcami woli demona-błazna, dłonią, która wymierzała karę zgodnie z taktyką, zaprezentowaną pierwszego dnia, kiedy Dowódca zabił młodego Denmore'a.

Ale jaszczuroludzie, mimo obcego wyglądu, poruszali się z wielką gracją. Sir Jerzy podejrzewał, że byli silniejsi, niż na to wyglądali, może nawet bardziej niż brodawkowaci, chociaż nie otaczała ich atmosfera zagrożenia. I, w odróżnieniu od istot z brodawkami, które w określonych warunkach uzbrojone były w pałki, ludzie jaszczurki zawsze mieli przy sobie płomienną broń, która zabiła Denmore'a.

Jednakże mimo tego wszystkiego baron był pewny, że milczący jaszczuroludzie także nie są członkami załogi, podobnie jak on sam. Być może bardziej im ufano, niż Anglikom, i lepiej ich traktowano, ale i tak byli gorsi. I tak byli... niewolnikami.

Strażnik, który stał za demonem-błaznem, odpowiedział na pytające spojrzenie barona całkowicie nieprzeniknionymi, dziwnie pięknymi i nieludzkimi srebrzystymi oczyma.

- Jak moglibyśmy spać przez tak długi czas? - zapytał w końcu sir Jerzy, odwracając wzrok od człowieka-jaszczurki i spoglądając na Dowódcę.

- Przecież nie powiedziałem, że będziecie spać. Powiedziałem, że możesz o tym myśleć, jak o długim śnie - odparł demon-błazen.

Jak zwykle baron nie potrafił powiedzieć, czy istota czuje zniecierpliwienie albo wręcz irytację z powodu zadawanych pytań. Głos Dowódcy był jak zwykle beznamiętny. Z drugiej strony odkrył, że demon-błazen, mimo wielu swoich wad, a Bóg jeden wiedział, ile ich było, nigdy by go nie ukarał za zadawanie pytań. Jeżeli męczyło go odpowiadanie, po prostu je ignorował. To było wszystko... chociaż baron obawiał się, że pytania mogą być potraktowane

jako objaw buntu, który demon-błazen potrafił zdusić w zarodku. Sir Jerzy był odważnym i twardym człowiekiem, jednakże wspomnienie zdarzenia, kiedy spierał się z Dowódcą i powiedział o jedno zdanie za dużo, ciągle jeszcze sprawiało, że oblewał się zimnym potem. Słowo „kara”, nabrało zupełnie nowego znaczenia, kiedy trójjaka, obca istota dotknęła kryształowego wisiora, wiszącego jej na szyi, i kości człowieka stały się nagle rozgrzanymi sztabami żelaza, schowanymi w ciele.

- Użyłem terminu sen, ponieważ nie ma sensu próbować wyjaśniać wam mechanizmu tego procesu - powiedział demon-błazen. - Mógłbym użyć całej masy słów i określeń, żeby wytłumaczyć ci, co to jest staza i po co się wprowadza w nią istoty żywe, ale twój prymitywny język i mózg nie byłby w stanie pojąć ich znaczenia. Więc mówię ci, co jest najważniejsze, i co jesteś w stanie przekazać swoim ludziom. Po prostu zapadniecie w sen, a potem się obudzicie, wypoczęci i pełni sił, kiedy osiągniemy punkt docelowy naszej podróży.

- Rozumiem. - Demon-błazen może i nie karał za zadawanie pytań, powiedział sobie w duchu, ale był świetny w odpowiadaniu na nie w taki sposób, że nie można było wątpić w to, że żywi całkowitą pogardę dla pytającego. Dzisiejszego dnia wcale nie był bardziej pogardliwy, niż zwykle. Sir Jerzy zastanawiał się wielokrotnie, czy demon-błazen zdaje sobie sprawę z tego, jak traktuje swoich rozmówców. Czy może sądzi, że ludzie są tak głupi, że i tak nie rozumieją jego nastawienia. A może wcale nie widział różnicy między tymi dwoma możliwościami.

- Kiedy przybędziemy na miejsce - zapytał baron po chwili przerwy - Co się stanie?

- To nie wasze zmartwienie - zapisał demon-błazen w odpowiedzi. - Kiedy nadjedzie czas, zostaniecie powiadomieni o wszystkim, co będzie niezbędne, abyście mogli podjąć swoje działania.

- Z całym szacunkiem, Dowódczo - odparł. - Jeżeli naszym działaniem ma być stawienie czoła twoim wrogom na polu walki, lepiej będzie, jeżeli powiesz mi już teraz, z kim będziemy mieć do czynienia. Potrzebuję tej informacji, aby zastanowić się nad taktyką i zapoznać z planem moich ludzi.

- Będziecie walczyć, kiedy każemy wam walczyć, z tym, z kim każemy wam walczyć i tam, gdzie każemy wam walczyć - poinformował go demon-błazen.

- Nie powiedziałem wcale, że nie będziemy - powiedział bardzo ostrożnie. - Ale jeżeli przypomnisz sobie sprawę koni, i moje wyjaśnienie, po co ich potrzebujemy, to może pomyślisz, że nasza rozmowa wtedy uświadomi ci, dlaczego potrzebuję tej wiedzy. I dlaczego powinieneś pozwolić mi na opracowanie własnego planu bitwy.

- A po co niby miałbym to robić? Jak taki prymityw, jak ty, może zrozumieć nasze

powody, dla których postanowiliśmy wykorzystać was w walce. Jak mógłbyś opracować lepszy plan od nas?

- Moglibyśmy zaskoczyć cię naszym zrozumieniem powodów, dla których bierzemy udział w twojej bitwie - powiedział sir Jerzy spokojnym głosem, patrząc prosto w troje oczu obcego. - Kieruję się jedną z ważniejszych zasad pola walki. Mądrze jest powiedzieć dowódcy oddziałów, jaki cel zamierzasz osiągnąć, tak żeby mógł on dostosować swoją strategię i jak najefektywniej wykorzystywać nieoczekiwane zmiany sytuacji, które zawsze się zdarzają podczas walki. Ale, oczywiście, decyzja należy do ciebie. Jednakże, jakkolwiek jest twój cel - dodał po chwili. - Natura przeciwnika, liczebność, broń, styl walki to niezbędne informacje dla kogoś, kto w pełni rozumie możliwości swoich oddziałów. To niezbędna wiedza dla osiągnięcia zwycięstwa. I, jak sam powiedziałaś, twoi ludzie są zbyt zaawansowani, aby w pełni poznać możliwości i ograniczenia moich prymitywnie uzbrojonych i wyposażonych żołnierzy. Ja, z drugiej strony, doskonale zdaję sobie sprawę z ich możliwości i ograniczeń.

- Nie będę udawał, że chętnie walczyliśmy dla ciebie, Dowódcu. I tak byś mi nie uwierzył, ponieważ wiesz równie dobrze, jak ja, że nigdy dobrowolnie nie wybralibyśmy służby dla twojej gildii. Ale możesz mi wierzyć, kiedy mówię ci, że moi ludzie nie zamierzają ginąć dla ciebie, i zdaje mi się, że ty także podzielasz to pragnienie. Chcesz, żebyśmy walczyli dla ciebie, i zwyciężyli. My chcemy pozostać przy życiu, a to znaczy, że musimy wygrać dla ciebie bitwę tak szybko, jak się da, aby ograniczyć nasze straty. Tak więc zdaje mi się, że im lepiej poznam naszych przeciwników i będę miał swobodę w doborze taktyki i strategii, tym lepsze osiągnę rezultaty i zrealizuję twój cel.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zamknął usta. Czuł, że i tak powiedział już zbyt wiele i bezwiednie zacisnął szczęki w oczekiwaniu na przenikliwy ból, który już raz stał się karą, wymierzoną dłonią demona-błazna. Jednakże nawet w tej chwili jego oczy ani na chwilę nie odrywały się od twarzy Dowódcy, gdyż to, co przed chwilą powiedział, było tylko i wyłącznie szczerą prawdą. Już sama myśl o tym, że demon-błazen miałby planować taktykę walki na polu bitwy wystarczało, aby ugięły się pod nim kolana. Mieszane siły sir Jerzego, złożone z łuczników i kawalerii były doskonałą i elastyczną siłą, ale tylko w dłoniach kogoś, kto w pełni rozumiał jej możliwości i znał słabości. I kto umiał coś więcej, niż zmuszanie ludzi do działania za pomocą gróźb i zastraszania.

I cokolwiek myślał sobie o demonie-błaznie, o jego gildii, czy wątpliwościach, baron nie zamierzał pozwolić na to, aby zginęło więcej jego ludzi, niż wymagały tego okoliczności.

- Możliwe, że jest coś w tym, co mówisz - odparł demon-błazen po długiej, szarpiącej

nerwy przerwie. - Tak jak ty jesteś ze mną zawsze szczerzy, tak samo i ja postępuję. Jeżeli będziesz walczył dobrze dla mojej gildii, nagrodzimy cię długim życiem, dobrym zdrowiem i doskonałą opieką. Jeżeli nie będziesz się starał wygrać dla nas, zniszczymy cię i poszukamy innych prymitywnych osiłków, którzy pomogą nam w osiągnięciu celu. I, jak zauważyłeś, nie znamy tak dobrze jak ty wszystkich możliwości i słabości twoich ludzi. Ale jeżeli pozwolimy ci na zaplanowanie własnej taktyki, będziemy od ciebie oczekiwać pełnego zwycięstwa. I jeżeli takiego nie dostaniemy, istnieje realna możliwość, że po prostu pozbędziemy się ciebie i postawimy na czele jednego z twoich oficerów.

- Rozumiem - odparł sir Jerzy głucho.

- Mam nadzieję, że tak - powiedział demon-błazen cienkim, beznamiętnym głosem. - Ponieważ, jeżeli pozbędziemy się ciebie i zastąpimy kimś innym, nie będziemy mieli powodu, aby utrzymywać przy życiu twoją partnerkę.

* * *

Sir Jerzy Wincaster gwałtownie otworzył oczy.

Leżał nieruchomo przez kilka powolnych, głębokich uderzeń serca, patrząc na opalizujące sklepienie z wielkiego, podobnego do trumny urządzenia, w którym poddano go stazie.

Ciężka, szara mgła, która wypełniła tubę, kiedy się w niej położył, została wyszana i zastąpiona przez normalne powietrze statku, które miało lekki, ale wszechobecny posmak błyskawicy. Był nagi, tak samo jak w chwili, kiedy zasypiał i przypomniał sobie swój gniew. Wszyscy ludzie zostali umieszczeni w stazie nago, mężczyźni i kobiety. Lekarz najwyraźniej zupełnie nie przejmował się tym, że może to wywołać pewne emocje i tylko wspomnienie kary, jaką demon-błazen mógł im wymierzyć, i obawa, że może ona dotyczyć równie dobrze Matyldy i Edwarda, powstrzymało sir Jerzego przed zbuntowaniem się przeciwko nowemu poniżeniu.

Ale pamiętał o tej karze i chociaż miał odwagę wziąć ją na siebie, nie mógł nawet myśleć o tym, że mogłaby ona spotkać żonę i syna. Ale ponieważ tak mogło się stać, a poza tym nie mógł pozwolić, aby za jego przykładem poszli inni członkowie jego grupy i tak samo zostali ukarani, w jakiś sposób udało mu się powstrzymać. Nie sądził, że potrafi tak mocno zaciskać szczęki i panować nad mięśniami.

Nawet mimo złości i żalu, czuł także wielką dumę na widok Matyldy, która z królewską dumą wysoko trzymała głowę, kiedy kazano jej zdjąć ubranie w obecności tuzinów mężczyzn. W jakiś sposób zamieniła poniżenie w odwagę i spokój. Baron był także na swój

sposób dumny z tego, że jego oficerowie odwracali wzrok od jego nagiej żony. Niektóre z kobiet zaczęły protestować. Inne płakały, a jedna wpadła w prawdziwą histerię, aż Lekarz musiał dmuchnąć jej w twarz jakimś środkiem, ale pozostałe, znaczna większość, wzięły przykład z Matyldy. I podobnie, większość mężczyzn zachowała się tak, jak jego oficerowie.

Kiedy powoli wracała mu świadomość, wiedział, że będzie musiał po raz kolejny stawić czoła podobnej sytuacji. Cieszył się więc, że może jeszcze chwilę poleżeć w tubie i dać swoim zmysłom parę minut na przyzwyczajenie się do ponownego odbierania bodźców. Powietrze, które go otaczało było chłodne, prawie zimne. Demon-błazen lubił zimno i temperatura, panująca w kwaterach ludzi nie bardzo mu odpowiadała. Baron zadrżał lekko, ale dyskomfort, powodowany przez chłód był niewystarczający, aby zakłócić poczucie, że jest w pełni sił i doskonale wypoczęty. Czuł się tak, jakby uczucie czystości, siły i zdrowia, jakie pozostawiał po sobie czyszczący opar, zostało zwielokrotnione w momencie, kiedy spał. Czuł się, jakby mógł przeskoczyć przez wysokie mury fortecy w pełnej zbroi albo wznieść się na skrzydłach wiatru do samych niebios.

Wziął głęboki oddech, delektując się poczuciem siły i zdrowia, a potem usiadł powoli w tubie (Lekarz nazywał urządzenie łóżkiem stazy, ale w oczach sir Jerzego wyglądało ono jak trumna) i rozejrzał się dookoła.

Pozostali mężczyźni także siedzieli w swoich łóżkach. Sir Ryszard, sir Antoni, sir Bryan i Rolf Grayhame znajdowali się nie więcej jak dziesięć metrów od niego. Kiedy przesunął wzrokiem po ich łóżkach, poczucie euforii zniknęło.

Łóżka stazy po obu jego stronach były ciągle zamknięte, ciągle wypełnione szarą mgłą... z Matyldą i Edwardem w środku.

- IV -

Nie ma powodu, aby ich budzić tym razem - powiedział demon-błazen. W jego głosie, jak zwykle, nie było śladu emocji. Anglik nie potrafił odczytać nastroju obcego z jego zachowania, ale zastanawiał się, czy Dowódca jest zadowolony, że dzisiaj towarzyszy mu dwóch milczących jaszczuroludzi, którzy stali tuż za jego plecami. Mimo tego wszystkiego, co się wydarzyło, mimo przypadku młodego Denmore'a, mimo kary, jaką poniósł kiedyś osobiście, baron nie był do końca pewny, czy uda mu się powstrzymać przed złapaniem demona-błazna za gardło. Na szczęście byli też strażnicy.

- Nie potrzebujemy ich teraz. Potrzebujemy ciebie i twoich wojowników - kontynuował demon-błazen. - Ich obecność tylko by was rozpraszała, kiedy musicie przygotowywać się do czekającej was bitwy i skoncentrować na walce. Cała wasza uwaga musi być skupiona na tym jednym zadaniu.

- Nasza zdolność do koncentracji zostanie znacznie upośledzona, kiedy będziemy się martwić o bezpieczeństwo naszych... partnerek - wyrzucił z siebie przez zaciśnięte zęby.

- Wasze towarzyski i dzieci są całkowicie bezpieczne tak długo, jak będziecie dobrze walczyć i zwyciężycie - powiedział mu demon-błazen. - Nic im nie grozi w łózkach stażowych, a jeżeli zdobędziecie dla nas upragnione zwycięstwo, obudzimy ich i połączycie się. To będzie dla was uczciwie zarobioną nagrodą. Jeżeli nie będziecie dobrze walczyć, oczywiście, nie będziemy mieli powodu, aby ich budzić.

Sir Jerzy patrzył na pokrytą purpurowym futrem twarzyczkę z głęboką nienawiścią. Sam nie spodziewał się, że jest zdolny do takiego uczucia. Jednakże nic nie mógł zrobić. Nic... z wyjątkiem wypełniania poleceń swojego Dowódcy, a raczej pana, który żądał tego w zamian za obietnicę obudzenia ukochanej.

- Bardzo dobrze, Dowódco - udało mu się powiedzieć głosem, którego sam nie rozpoznawał. - W takim razie pozwól nam rozpocząć przygotowania.

* * *

Sir Jerzy spoglądał w dół, jak gdyby unosił się bezcieleśnie na dużej wysokości ponad równiną, porośniętą głęboką purpurową trawą. Wielkie, istoty o sześciu kończynach powoli wlokły się przed siebie. Każda z nich miała co najmniej dwa i pół metra wysokości; kroczyły

na dwóch masywnych nogach, i wyciągały przed siebie cztery ramiona. Całe pokryte były długimi, szorstkimi włosami. Kolor futra wahał się pomiędzy matowym żółto-brunatnym, poprzez rdzawy do niemalże oślepiającej jaskrawej czerwieni. Każda istota dodatkowo wyróżniała się wyjątkowym układem czarnych lub brązowych łatek w kształcie kropek i pierścieni.

Baron widział dwie armie istot, idące na siebie dziwnie wyglądającym krokiem. Były zgarbione i niezręczne, a jednak poruszały się z zadziwiającą prędkością. Żadna z nich nie miała zbroi, chociaż spomiędzy włosów wyglądała gdzieś gruba skóra. Wyglądała na tak mocną, że z powodzeniem mogła zastąpić osłony. Jako broń większość używała dwóch obosiecznych toporów, które były większe nawet od tych, należących do brodawkowatych. Pozostałe istoty niosły pałki, kije albo długie, podobne do pik włócznie. Niewielu, około pięć procent ogółu, posługiwało się długimi strzałami, przypominającymi raczej oszczepy.

Kiedy dwie armie zbliżyły się do siebie, wojownicy, uzbrojeni w oszczepy, zaczęli je rzucać. Odcieleśniony baron spróbował złożyć nieistniejące usta do pełnego zadziwienia gwizdnięcia. Oszczepnicy mieli ze sobą jakiś rodzaj patyków. Sir Jerzy patrzył, jak obcy mocują tylną część oszczepów do końców tyczek. Następnie istoty wyrzucały w górę ramiona ruchem pełnym gracji, a tyczki stawały się przedłużeniem ich rąk. Obcy posiadali znacznie dłuższe kończyny od ludzi, a tyczki jeszcze je przedłużały, a więc pozwalały na osiągnięcie większego nacisku, który wysyłał ich oszczepy z furkotem na niewiarygodną odległość.

Sir Jerzy nigdy nie widział nic podobnego, chociaż tyczki przypominały mu nieco procę, którą kiedyś widział w rękach pasterza. Nigdy się nie dowiedział, skąd ten człowiek, Szkot, wziął procę. Zresztą chłopak niezbyt sobie z nią radził, ale i tak był w stanie wyrzucać kamienie na niewiarygodne wprost odległości. Z drugiej strony, te posiadające kilka rąk potwory, posługiwały się bronią z morderczą skutecznością. Oceniał, że mają zasięg podobny do tego, jaki osiągalni genueńscy kusznicy. Jego łucznicy byli w stanie strzelać na nieco większą odległość, i z większą szybkością wypuszczali strzały, ale w porównaniu do kuszników, obce istoty były znacznie szybsze. Z czterema rękami i dwoma tyczkami do wyrzucania oszczepów każdy z potworów niebezpiecznie zbliżał się pod względem skuteczności i szybkości do pojedynczego łuczniaka.

Na szczęście w obu armiach miotaczy było niewiele i baron zastanawiał się, dlaczego. Gdyby to on był dowódcą tych istot, skoncentrowałby się na szkoleniu jak największej ich liczby!

Ale powód, jaki by nie był, stał się natychmiast nieważny, kiedy obie armie weszły w chmurę pocisków przeciwnika. Krew istot, jak zauważył, była koloru pomarańczy i w niczym

nie przypominała ludzkiej. Tylko sposób, w jaki płynęła i tryskała, kiedy oszczepy wbijały się w brzuchy i klatki piersiowe potworów był aż zanadto ludzki. Ich korpusy padały na ziemię z hukiem niczym martwe mięso, skrzeczały i wiły się w agonii, tak samo jak ludzie, padający na polu walki.

Nawet strzelając z wielką prędkością, żaden z miotaczy po obu stronach nie opróżnił kołczanu kiedy wreszcie dwie szarżujące armie uderzyły w siebie. Sir Jerzy zmrużył oczy. Demon-błazen nazywał Anglików prymitywami. Baron zastanawiał się, jak zatem nazwie te istoty. Jako żołnierz znał dobrze strach i wyjący chaos, który towarzyszył nieodmiennie walce wręcz. Znał uczucie, kiedy nagle świat każdego z walczących zawęży się do małej przestrzeni w zasięgu jego broni. Ale podczas żadnej z bitew, w jakich brał udział, nie widział niczego podobnego... nawet w walkach ze Szkotami! W duchu wątpił czy ktokolwiek widział taki styl walki od chwili, kiedy ludzie wreszcie przestali malować swoje ciała na niebiesko, zanim wyszli z jam żeby łapać i mordować swoich sąsiadów.

Walczący nie zachowywali żadnej formacji, nie widział ani krzty wysiłku, aby utrzymać linie czy odstępy. Były to po prostu dwie kupy dwu i pół metrowych potworów, każdy uzbrojony w dwa topory albo włócznie, albo, tu i tam, w topór i włócznię lub w wielką pałkę, które młóciły na oślep, nie patrząc, kto wchodzi w zasięg ich broni. Baron patrzył na niewiarygodny chaos, bez kontroli i dowodzenia. Cała walka trwała dłużej, niż się spodziewał.

Podczas starcia doszło do ciężkich strat. Nawet jeżeli skóra istot była gruba, a futro amortyzowało uderzenia, w końcu i tak pokazało się nagie mięso i kość, tym bardziej, że żadna z istot nie miała tarczy. O ile dobrze widział, żaden z wielkich potworów nie próbował nawet odeprzeć, czy zasłonić się bronią przed ciosem przeciwnika, kiedy miał możliwość zaatakowania. Był tylko atak, w miejsce obrony. Krew zmoczyła trawę i zmieniła suchą glebę w lepkie błoto. Czy walczący byli pod wpływem bitewnego szału, czy może byli zbyt głupi, żeby zdawać sobie sprawę z tego, jak wielkie są straty... a może byli aż tak nieludzcy w jego oczach, że śmierć tak naprawdę nie miała dla nich znaczenia. Był w stanie wymyślić tylko takie wyjaśnienia powodu, dla którego obie armie zmagaly się tak długo twarzą w twarz, bez wahania masakrując się nawzajem niczym bezrozumne bestie.

Ale w końcu jedna ze stron uznała, że ma dość. Wojownicy, którzy pozostali przy życiu, rzucili się do ucieczki. Jak zawsze w takich sytuacjach ich wrogowie ruszyli w pościg, wyjąc wściekle i siekąc odkryte plecy swoich oponentów.

Jednakże w efekcie uciekinierzy zdołali wyprzedzić swoich prześladowców, częściowo dlatego, że odrzucili ciężką i nieporęczną broń, ale także z powodu znanego faktu, że ci,

którzy biegną, aby ocalić życie, zawsze są nieco szybsi od tych, którzy chcą ich po prostu zabić.

Sir Jerzy unosił się ponad polem bitwy i patrzył, jak zwycięzcy prowizorycznie opatrują rannych i podrażniają gardła żyjącym jeszcze wrogom. Po chwili wizja powoli zniknęła.

* * *

Sir Jerzy usiadł prosto na wygodnie tapicerowanej ławeczce i, jak poinstruował go Komputer, zdjął nakrycie głowy, które głos nazywał „interfejsem neuralnym”.

Lekko drżącymi dłońmi odłożył na bok urządzenie. Komputer powiedział mu, czego ma się spodziewać, ale nie miał doświadczenia, aby w pełni zrozumieć, co mówi mu niewidzialny głos. Nie zdawał sobie sprawy, że to będzie takie... prawdziwe, że będzie mógł słyszeć wrzaski rannych, czuć delikatny, miedziany zapach krwi obcych i tak znajomy kloaczny smród poszarpanych jelit i śmierci. To był jeden z niewielu cudów demona-błazna, których mechanizmu działania baron wcale nie był ciekawy. Nie w tej chwili. Nie, dopóki znajome dreszcze i skurcze żołądka, które były zwyczajowym echem walki, skończą się wreszcie i pozwolą na pełną koncentrację.

Usłyszał za sobą cichy dźwięk. Odwrócił się i zobaczył, jak sir Ryszard, Rolf Grayhame, Walter Skinnnet i David Howice siadają na swoich ławeczkach. Ich reakcje na to, co właśnie zobaczyli, były bardzo interesujące. Grayhame i Howice wyglądali prawie zupełnie normalnie, być może byli nieco bardziej zamyśleni. Skinnnet był bardziej przybity, niż dwaj łucznicy, ale z pewnością dlatego, że zastanawiał się już nad wielkością i możliwościami przeciwników, z którymi on i jego żołnierze mieli się spotkać oko w oko. Ale sir Ryszard najwyraźniej odczuwał to samo, co on i baron złapał się na tym, że uśmiecha się z sympatią do tego lekko starszego rycerza.

- Twarde bydlaki, jeżeli wybaczysz mi słownictwo, panie - powiedział Grayhame po chwili. - I nie chodzi mi tylko o te oszczepy, które miotają na takie odległości.

- Mnie to się też nie podoba - zgodził się Howice. - Chociaż, Rolf, zdaje mi się, że twoi chłopcy i tak mają nieco większy zasięg.

- Niewiele większy - mruknął Grayhame. - Nie na tyle większy, jak bym sobie życzył!

- Ta... - warknął Skinnnet. - Ale przynajmniej twoi chłopcy będą znajdować się na odległość strzału od tych bydlaków. Moi chłopcy nie dostąpią tego luksusu.

- Nie - zgodził się sir Jerzy. - Nie dostąpią. Z drugiej jednak strony nie zamierzam posyłać was na spotkanie z nimi, zanim ich nieco nie zmiękczymy, Walterze. Nie ma mowy! Przecież sam będę z wami jechał!

- Z całym szacunkiem, panie - wtrącił się Maynton. - Sądzę, że nie powinieneś z nimi jechać. Pod żadnym pozorem. Nie możemy sobie pozwolić na to, abyś stracił życie.

- Nie możemy sobie pozwolić na stratę kogokolwiek, jeżeli tylko możemy coś na to poradzić - odparł. - A jeżeli mam posłać moich ludzi do walki, ja także z nimi pojedę.

- Możesz równie dobrze dać za wygraną, sir Ryszardzie - powiedział Skinnnet kwaśno. - Od lat próbuję go przekonać, że nie ma sensu posyłać głównodowodzącego wraz z pierwszą linią szarży. Mógłbyś pomyśleć, że jest Francuzem.

- Nie ma powodu, żebyś mnie obrażał, Walterze - odparł sir Jerzy łagodnie.

- Przez całe moje życie nazywałem rzeczy po imieniu, panie. Nie zamierzam tego teraz zmieniać.

- Cóż, zamierzasz, czy nie zamierzasz - dodał. - Ja zamierzam teraz zastanowić się przez chwilę i opracować jakiś plan. Sądzę, że nie będzie tak źle.

- A na jakiej podstawie doszedłeś do takiego wniosku, jeśli wolno spytać, mój panie? - zapytał Skinnnet z niedowierzaniem długoletniego podkomendnego, który wie, że jego pan ufa mu całkowicie.

- Sam poddałeś mi tę myśl, kiedy mnie napastowałeś, kilka chwil temu - odpowiedział. - Może i mają po dwa i pół metra, i są porośnięte włosami, ale styl walki i bezpośredni atak przypomina mi francuską szlachtę albo Szkotów. Komputer mówi, że to co widzieliśmy jest typowe. Tak więc myślę, że pokonamy ich w ten sam sposób, w jaki jego wysokość pokonał Szkotów w bitwie pod Wzgórzem Halidońskim.

* * *

- Nie podoba mi się ten plan - zapiszczał demon-błazen.

- Ja też nie mogę powiedzieć, że jestem z niego w pełni zadowolony, Dowódco - odparł sir Jerzy spokojnie. Znow siedział po drugiej stronie kryształowego stolika. - Niestety, moje szacunki sił wroga na podstawie danych, jakie dostarczył Komputer, w połączeniu z zasięgiem oszczepów tych istot nie pozostawiają innego wyboru. Zgodnie z najlepszymi wyliczeniami Komputera będą mieli przewagę co najmniej sześciu do jednego, a nasze łuki nie dadzą nam takiej przewagi na dystans, jak bym sobie życzył. Co więcej, mimo braku zbroi i osłon, istoty będą bardzo niebezpieczne kiedy dojdzie do wymiany ciosów... nie wspominając już o tym, że każdy z nich ma po dwa razy więcej rąk niż moi ludzie.

- Jeżeli układ sił jest tak niekorzystny - powiedział demon-błazen. - Powinieneś użyć wszystkich swoich ludzi.

- Mój plan zakłada wykorzystanie wszystkich wyszkolonych ludzi. - Sir Jerzy położył

mocny nacisk na słowo wytrenowanych w nadziei, że niewidzialny tłumacz także je podkreśli i Dowódca zrozumie jego wagę.

- Ale w ten sposób pozbawisz się ponad dziesięciu procent ludzi - oznajmił demon-błazen. Baron pokiwał głową.

- Oczywiście masz rację, dowódco - przyznał. - Ale przecież wielokrotnie powtarzałem mi, że moi ludzie są dla twojej gildii pewną wartością. Ludzie, których zamierzasz wykorzystać w bitwie, nie są do tego celu przygotowani. Rozpoczęliśmy już ich szkolenie, ale nauka strzelania z łuku zajmuje dużo czasu. Marynarze i tragarze, którzy uratowali się wraz z nami, nigdy nie byli żołnierzami. Jeżeli będziemy chcieli wcielić ich do oddziału łuczników, będą tylko wchodzić w drogę ludziom, którzy są doświadczonymi żołnierzami i znają się na swojej robocie. Tak samo kawalerzyści. Oni nigdy nie siedzieli na koniu i szczerze wątpię, czy w ogóle utrzymają się w siodle, kiedy zaczniemy szarżować. A jeżeli pošlemy ich do walki jako piechotę, a szczególnie przeciwko takiemu wrogowi, dojdzie do niepotrzebnej rzezi.

- Jeżeli są tak nieprzydatni - zasugerował demon-błazen. - Nie ma powodu, aby dalej ich trzymać.

Sir Jerzy poczuł, jak po plecach przebiega mu lodowaty dreszcz. Nie miał wątpliwości co do znaczenia słów demona.

- Nie powiedziałem, że nie mają wartości - odparł baron, starannie dobierając słowa. - Miałem na myśli to, Dowódco, że w tej chwili nie są do końca wyszkoleni. To słabość, którą możemy z czasem wyeliminować. Wątpię, czy wielu z nich stanie się łucznikami, którzy odpowiadałoby standardom Rolfa Grayhama czy Dawida Howice'a, chociaż tu mogę się mylić. W każdym razie nie wątpię, że uda się zrobić z nich porządną piechotę, która stanie się doskonałym i oczekiwanym uzupełnieniem naszych sił. W przyszłości możemy nauczyć ich wielu rzeczy, posyłanie ich do walki teraz byłoby po prostu wyrzucaniem ich życia do śmieci, a to nikomu nie przyniesie korzyści. To byłoby... marnowaniem zasobów twojej gildii.

- Rozumiem. - Demon-błazen siedział zamyślony przez kilka chwil. Przymknął dwoje mniejszych oczu i zastanawiał się nad jego słowami. Po dłuższej chwili troje oczu otworzyło się szeroko i spojrzało wnikliwie na swojego rozmówcę.

- Bardzo dobrze. Rozumiem twoje argumenty i chociaż nie podobają mi się wnioski końcowe, zmuszony jestem przyznać, że oszczędzanie zasobów gildii jest dobrym pomysłem. Jednakże nie podoba mi się sposób, w jaki zamierzasz wykorzystać swoich ludzi w nadchodzącej walce. Powinieneś zaatakować wroga, a nie zajmować pozycje defensywne.

- W zderzeniu z taką liczbą musimy zająć stanowisko obronne - wyjaśnił sir Jerzy z

cierpliwością, której wcale nie czuł.

Demon-błazen otworzył usta, ale baron szybko się wtrącił, nie dopuszczając istoty do głosu.

- Dowódco, poinformowałeś mnie, że celem twojej gildii jest pokonanie tych istot i przekonanie ich, aby zawarli z tobą umowy handlowe. (Chociaż, pomyślał sobie sir Jerzy, nie jestem w stanie wyobrazić sobie co takie istoty mogłyby sprzedawać i jaką by to miało mieć wartość, i co więcej, jak to mogło przyciągnąć tutaj twoją gildię!). Z tego, co ty i Komputer mi powiedzieliście, aby osiągnąć ten cel musicie siłą zmusić plemię Thoolaas, aby poddało się waszej woli, ponieważ jest ono silne i cieszy się poważaniem wśród sąsiadów, którzy z pewnością pójdą jego śladem, kiedy się wam podda. Aby to osiągnąć, musimy pokonać Thoolaasów w bitwie, chociaż ich wojownicy przewyższają nas liczebnie i to siedmiokrotnie. Jeżeli zaatakujemy ich i damy im przewagę w postaci pozycji defensywnej, poniesiemy ciężkie straty, nawet jeżeli zwyciężymy. Ciężkie straty oznaczają, że stracimy wartość dla twojej gildii w przyszłych kampaniach. Co więcej, jeżeli jakieś plemię nie zechce iść w ślady Thoolaasów, moi ludzie nie będą w stanie siłą zmusić ich do posłuszeństwa.

- To oznacza, że musimy zmusić Thoolaasów, żeby zaatakowali nas w miejscu i w czasie, który sobie wybierzemy. Z pomocą Komputera przestudiowaliśmy ich strategię i styl walki i jestem przekonany, że powinniśmy nie tylko ich pokonać, ale także zdołamy zadać im większe straty, jeżeli uda nam się zmusić ich do tego, aby postępowali tak, jak chcemy. A kiedy zostaną osłabieni na polu walki, stracą zapał, kiedy zobaczą, że jesteśmy poważnymi przeciwnikami, a także i my poniesiemy mniejsze straty, a tym samym osiągniemy większą efektywność, Jeżeli ciągle tego chcesz.

- A jeżeli nie zechcą atakować?

- Sądzę, że to mało prawdopodobne - odparł sir Jerzy. - Z pomocą Komputera. - Z rozmysłem podkreślał rolę bezcielesnego doradcy w planowaniu bitwy. - Moi starsi oficerowie i ja oglądaliśmy kilka kampanii tych istot. Plemiona mają zaledwie szczątkowy pogląd na walkę obronną w polu, chociaż ich osady są mocno obwarowane, zabezpieczone ziemnymi wałami i palisadami z drewna. Zdaje mi się, że raczej lepiej sobie radzą z obroną umocnień, niż z walką na otwartym polu na pozycji defensywnej. W dodatku ich miotacze są znacznie bardziej niebezpieczni i skuteczni, kiedy kryją się za palisadą niż na otwartej przestrzeni, gdzie z kolei moi strażnicy mają przewagę.

- Na szczęście zdaje się, że oni nie lubią tego stylu walki i decydują się na niego tylko wtedy, kiedy ich wioskom zagrażają siły większe, niż oni sami są w stanie zebrać. Jeżeli liczebność jest wyrównana po obu stronach, wolą atakować niż być atakowanymi. A skoro

będą mieli nad nami aż taką przewagę i skoro nie mają pojęcia, jaką krzywdę może im wyrządzić nasza broń, jestem przekonany, że z niecierpliwością zaatakują niezależnie od okoliczności. Jednakże nawet w takiej sytuacji postanowiłem pracować zgodnie z zaleceniami Komputera, aby opracować strategię, która sprawi, że na pewno nas zaatakują. To właśnie dlatego wybrałem to specjalne miejsce na pole walki.

Pokazał dłonią na obraz, unoszący się na blacie kryształowego stolika. A przynajmniej na tym, co uważał za blat. W rzeczywistości zaczynał mieć wątpliwości, czy mebel miał choć w przybliżeniu coś, co porządny Anglik nazwałby blatem. Stolik miał w sobie coś dziwnego. Baron nie znalazł okazji, aby dobrze mu się przyjrzeć. Żaden przedmiot, który demon-błazen kiedykolwiek postawił na stoliku, nie wydał w momencie zetknięcia z gładką powierzchnią najmniejszego dźwięku. Przedmioty zdawały się ślizgać po powierzchni niczym po tafli polerowanego zimowym wiatrem lodu. W danej chwili jednakże natura stolika demona-błazna i jego tajemnica bladła w zderzeniu z obrazami, które się na nim wyświetlały i sir Jerzy pomyślał sobie, że z całego serca akceptuje sztukę przywoływania plastycznych map, czego nie mógł powiedzieć o wszystkich cudownych arkanach demona-błazna.

Od czasu, kiedy demon-błazen po raz pierwszy pokazał mu Anglię oraz jej sąsiadów, widzianą oczami orła, który musiał być posłańcem Boga, baron spędził wiele czasu na studiowaniu cudownych „elektronicznych” map i „satelitarnych oraz napowietrznych wizualizacji”, produkowanych przez Komputer na każde żądanie. Na początku miał problemy z rozróżnianiem szczegółów na obrazach satelitarnych, ponieważ nie przypominały one w najmniejszym stopniu map ludzi, z jakimi kiedykolwiek pracował. Jednakże ćwiczenia i przyzwyczajenie pozwoliły mu na przezwycięzenie trudności i baron z zachwytem wpatrywał się w szczegółowe obrazy, dostarczane przez Komputer. Żadna z map, które widział na Ziemi, nie mogła się z nimi równać pod względem precyzji i dokładności... szczególnie w porównaniu z „trójwymiarową, holograficzną topografią”, która pozwalała na obejrzenie każdego, nawet najmniejszego wzgórza i wąwozu, każdej rozpadliny i rzeczki, aż do najmniejszych źródełek, i to w formie plastycznej, a nie płaskiej jak kartka papieru. Baron jako taktyk zawsze przykładął wielką wagę do ukształtowania terenu, ale żaden ludzki dowódca nie posiadał możliwości wizualizacji pola walki z tak morderczą dokładnością. Mimo określonego stosunku do demona-błazna, żołnierz w głębi swego serca nie wahał się wykorzystać nawet najmniejszej przewagi. A przecież te mapy znacznie podnosiły efektywność planowania.

Obraz, który aktualnie był wyświetlany nad stolikiem, należał do kategorii hologramów i pokazywał spore wzgórze, porośnięte gęstą, purpurową trawą, typową dla tego świata o

szarym, mętnym niebie. Góra wznosiła się na jakieś osiemnaście czy dwadzieścia metrów ponad poziom otaczającej ją równiny. Była idealnie okrągła, więc, mimo sporych rozmiarów, nie mogła być naturalnym tworem. Wzgórze było na tyle duże, że baron zdołałby umieścić na jego szczycie całe swoje siły, a i tak pozostałoby nieco miejsca, jeżeli starannie ustawi żołnierzy. Kamienne ściany wzniesienia wznosiły się dość ostro ponad równiną i dopiero w pobliżu szczytu zbocza robiły się coraz łagodniejsze i płynnie przechodziły w wierzchołek.

- Komputer powiedział mi, że to wzgórze jest świętością dla plemienia Thoolaas - zwrócił się sir Jerzy do demona-błazna. - To grobowiec, w którym chowają swoich pogańskich królów i kapłanów. Miejsce jest dla nich tym, czym dla nas Jerozolima. Jeżeli ustawię tam nasze siły, z pewnością zaatakują.

Baron nie dodał, że wybrał to miejsce z jeszcze jednego powodu. Gdyby coś poszło źle, Anglicy nie mieliby gdzie uciekać. Nie podobało mu się to, jeszcze bardziej niż Dowódcy, zakładając, że mała istota w ogóle zwróciłaby na to uwagę, ale nie widział innego wyjścia. Było oczywiste, że on i jego ludzie stanowią wartość dla gildii tylko wtedy, kiedy będą w stanie wygrywać bitwy. Jeżeli stracą tę wartość, gildia nie będzie miała powodu, aby korzystać z ich usług i nie miał on wątpliwości, że demon-błazen bez mrugnięcia okiem zabije ich w najtańszy i najprostszy sposób, żeby w ten sposób zatrzeć wspomnienie o kiepskim interesie. A co gorsza, podejrzewał także, że demon-błazen, mimo arogancji i poczucia wyższości względem Anglików, był tak samo kompetentny jak wsiowy, bełkoczący głupek, kiedy przychodziło do planowania i organizowania pojedynczych bitew. A co dopiero mówić o całej kampanii.

Sir Jerzy wcale się nie spodziewał, że Komputer będzie znacznie lepszym źródłem informacji na temat Thoolaasów i innych lokalnych plemion. Niebawem doszedł do wniosku, że demon-błazen nie przeprowadził obiektywnej oceny miejscowych warunków i był zbyt pewny siebie. Prawda, Thoolaasowie byli największym i najsilniejszym plemieniem w okolicy, a ich król narzucał sąsiednim ludom swoją władzę, co wiązało się także z wymuszaniem haraczu. Ale z tego, co mówił Komputer, jego pozycja wynikała bardziej z tradycji niż prawdziwej siły. Jego wasale byli nieposłuszni, niezależni i zbuntowani, i wiecznie pozostawali w stanie wojny z sąsiadami. I, kiedy wyruszali na kolejną wyprawę wojenną, nie kłopotali się wcale pytaniem swego nominalnego władcy o pozwolenie. Tylko długowieczna tradycja rzucania się sobie do gardeł i zdolność władców Thoolaas do utrzymywania zależnych od nich przywódców w ciągłym stanie wojny sprawiała, że do tej pory żadne z plemion nie wykazywały chęci do zawarcia tymczasowego sojuszu i obalenia nominalnego władcy, który nie byłby w stanie się przed nimi obronić.

Z punktu widzenia sir Jerzego oznaczało to, że pokonanie Thoolaasów jest tylko pierwszym krokiem na drodze, która zaprowadzi demona-błazna do celu. Te istoty były tak samo niepokorne jak Szkoci i tak samo podzielone jak Irlandczycy, co oznaczało, że pokonanie jednego plemienia, nawet jeżeli jego porażka będzie dotkliwa i odbije się szerokim echem po okolicy, nie zmusi okolicznych rywalizujących plemion do uznania zwierzchnictwa. Baron uważał, że zanim uda im się podporządkować sobie lokalnych wodzów i watażków, będą musieli pokonać co najmniej jedno, czy dwa inne plemiona, a może nawet siły, składające się z kilku połączonych osad. Napomknął o tym delikatnie podczas pierwszego spotkania, na którym planowano strategię walki, ale demon-błazen całkowicie go zlekceważył. Dowódca był przekonany, że eliminacja Thoolaasów rozwiąże wszystkie jego problemy i baron postanowił nie dyskutować o tym więcej. Zaznaczył wyraźnie, co sądzi o całej sytuacji i być może nawet demon-błazen będzie skłonny przyznać się do błędu, kiedy zobaczy, że się pomylił.

A może nie. Żołnierz widział w życiu bardzo wielu szlachetnie urodzonych ludzi, którzy byli tak bardzo przekonani o swojej nieomyślności i mądrości, że ignorowali nawet najbardziej oczywiste i bolesne lekcje, jakich udzielało im życie. A już szczególnie w chwilach, pomyślał baron smutno, kiedy to ktoś inny musiał płacić za ich głupotę krwią, bólem i śmiercią. W przypadku demona-błazna mógł mieć do czynienia właśnie z takim przypadkiem, chociaż Dowódca cały czas powtarzał, że stanowią wysoką wartość dla jego gildii. Jeżeli mówił szczerze, to być może jest na tyle inteligentny, aby docenić wartość jego rad i uwag.

Cokolwiek niosła ze sobą przyszłość, w chwili obecnej Dowódca oczekiwał, że sir Jerzy odniesie szybkie i pełne zwycięstwo. Była to prawda, trudna do przełknięcia. Baron zdołał odwieść go od planowanego całościowego frontalnego ataku na główną osadę Thoolaasów, ale to było jedyne ustępstwo, jakie wywalczył. Był także przekonany, że skoro demon-błazen ustąpił w tej kwestii, oczekuje od niego całkowitego i szybkiego osiągnięcia celu, jakim było zapanowanie nad plemionami, a jeżeli tego nie dostanie, zostanie surowo ukarany. W najlepszym wypadku. Stanie się z pewnością żywym, a raczej martwym przykładem dla pozostałych ludzi. Taka jest cena za błąd. Matylda i Edward prawie na pewno umrą wraz z nim, prawdopodobnie Dowódca nawet ich nie obudzi. Miał nadzieję, że będą mieli to szczęście.

Jego umysł próbował uciec przed tą myślą, niczym płochliwy koń, ale zmusił się do spokojnego rozważenia przyszłej sytuacji. To było także częścią odpowiedzialności, jaką ponosił za swoich ludzi. Jeżeli demon-błazen postanowi go usunąć, z pewnością będzie należał na to, aby przejąć całkowitą kontrolę nad tym, kto zastąpi barona.

A to spowoduje katastrofę i sprowadzi śmierć na wszystkich, którzy obecnie pozostają pod jego opieką.

Z tego właśnie powodu sir Jerzy postanowił ustawić się na pozycji, z której nie ma odwrotu. Na dłuższą metę nie miał wyboru, mógł tylko osiągnąć totalne zwycięstwo, albo zginąć, a miejsce, które wybrał, dawało dużą szansę na wygraną. Pomyślał, że ludzie, którzy nie mają dokąd uciekać, muszą walczyć na śmierć i życie.

- Jeśli uda mi się zwabić ich w wybrane przeze mnie miejsce - powiedział z pełnym przekonaniem, którego wcale nie czuł. - Obiecuję ci, że osiągnę zwycięstwo, którego tak bardzo pragniesz, Dowódcu.

Demon-błazen obserwował go w milczeniu przez dłuższą chwilę.

- Bardzo dobrze - powiedział w końcu. - Ciągle wolałbym szybki, miażdżący atak, który zaskoczyłby Thoolaasów i zniszczył w jednej chwili, ale, tak jak powiedziałeś, masz znacznie większe doświadczenie niż ja w walce tak prymitywną bronią i taktyką. Pozwolę ci rozegrać tę bitwę, jak chcesz... ale radzę ci, abyś wywiązał się z obietnicy i wygrał tę walkę, tak jak oczekuje tego moja gildia.

Sir Jerzy pomyślał sobie, że to zadziwiające, jak wiele mrozącej krwi w żyłach groźby zawrzeć można w kilku całkowicie pozbawionych emocji i akcentu słowach.

* * *

- Nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobała ta pozycja, panie. - Rolf Grayhame odchrząknął i splunął gęstą plwociną na nienaturalną, purpurową trawę. Obrócił głowę i przesunął wzrokiem po otaczającej wzgórze równinie, która nie miała żadnych znaków orientacyjnych. Dzięki informacjom Komputera, Rolf tak samo jak on wiedział, jak szybko rdzenni mieszkańcy tego świata poruszają się swoim dziwnych krokiem... i wiedział także, że żaden człowiek nie jest w stanie przed nimi uciec, nawet jeżeli będzie miał szansę na wyrwanie się stąd. - Tak samo, jak całe to miejsce - dodał, krzywiąc się niemiłosiernie.

- Ja także nie szaleję z radości na ich widok - odparł spokojnie i spojrzał na solidnie zbudowanego łucznika. - Na nieszczęście mamy tylko to, tak więc podejrzewam, że będziemy musieli jak najlepiej je wykorzystać.

Grayhame zachichotał kwaśno, pokiwał głową i odrzucił włosy z czoła.

- Za pozwoleniem, panie, lepiej pójde i jeszcze raz wszystko sprawdzę.

- Idź, Rolf - powiedział sir Jerzy z uśmiechem. - I przypomnij chłopakom, że cokolwiek on tam sobie gada - baron skinął głową w kierunku dziwnego urządzenia, które Komputer nazywał „latającym pojazdem”, które unosiło się nienaturalnie w powietrzu tuż ponad ich

głowami - ta mała potyczka jest naprawdę dla nas ważna.

Zobaczył cień zdumienia na twarzy łucznika i zaśmiał się chrapliwie. Reakcja Grayhama ani trochę go nie zaskoczyła. Demon-błazen spędził prawie godzinę na zagrzewaniu swoich oddziałów do walki w imieniu jego gildii. Gdyby nie to, że trzymał w garści ich życie i decydował o śmierci, jego pełne pychy i arogancji przemówienie z pewnością wywołałoby salwy śmiechu i szyderstwa. Już samo stwierdzenie: „służymy naszej ukochanej gildii i oddamy za nią krew i życie” wystarczyłoby, aby nawet najtwardszy weteran z jego armii turlał się po ziemi ze śmiechu. A myśl o tym, że demon-błazen mógł choć przez chwilę sądzić, że są tak głupi, aby brać na serio jego gadkę, była nawet gorsza.

- Och, nie dałbym złamanego grosza za tę jego drogocenną gildię i jego samego! - warknął baron do zdumionego łucznika. - Jak dla mnie to mogą sobie zdechnąć i zgnić, im prędzej, tym lepiej! Jednak cokolwiek sobie o nich myślimy, nasze życie zależy od tego, czy przekonamy ich o tym, że nas potrzebują. A to oznacza, że musimy wygrać.

- Nie wspominając już o tym, że jeżeli przegramy, te diabły o czterech rękach poderzną nam gardła, panie - dodał kwaśno Walter Skinnnet, a sir Jerzy zachichotał w odpowiedzi.

- Tak, o tym nie można zapomnieć - zgodził się i skinął ręką Grayhamowi. - Więc znikaj, Rolf. I przekaz innym moje słowa.

- Nic się nie martw, panie - odparł ze skrzywionym uśmiechem i pokłusował w kierunku żołnierzy, podczas gdy sir Jerzy odwrócił się, by od nowa obserwować teren, rozciągający się u podnóża wzgórza.

Pomiędzy Ziemią, a tym miejscem istniało wiele subtelnych, istotnych różnic, tak więc cała sceneria wydawała się nieco odrealniona, niczym sen spowodowany gorączką albo halucynacjami. Słońce było zimniejsze i dawało mniej światła. „Drzewa”, które porastały równinę, otaczającą grobowiec, były zbyt wysokie, zbyt wrzecionowate i miały całkowicie nieodpowiedni kolor. Baron czuł, że jest coś nie w porządku z jego wagą był zbyt lekki i nadmiernie naładowany energią. Już dawno przyzwyczał się do tego, że przed bitwą czuł nagły przyływ podniecenia, ale tym razem było inaczej. Powiedział o tym Komputerowi. Kiedy "szalupy" przewiozły Anglików wraz ze sprzętem i końmi ze statku demona-błazna na powierzchnię dziwnego świata. W odpowiedzi usłyszał, że na tej planecie jest słabsza grawitacja, a lokalne powietrze zawiera więcej tlenu niż ziemskie, do którego Anglicy byli przyzwyczajeni.

Baron nie miał pojęcia, co to jest grawitacja albo tlen, ale jeżeli to dzięki nim czuł się tak wspaniale, zamierzał w pełni wykorzystać tę przewagę!

Na tę myśl uśmiechnął się do siebie, ale szybko ponownie skupił się na obserwowaniu

terenu, mrużąc oczy.

Aż po horyzont ciągnęła się równina, porośnięta trawą w dziwnym kolorze. Gdzieś tam majaczyły małe gromadki drzew oraz wiała się mała, ale głęboka rzeczka o stromych brzegach opływająca od zachodu wzgórze, na którym stali Anglicy. Krajobraz był na tyle płaski, że baron mógł z łatwością dostrzec główne miasteczko Thoolaasów. Znajdowało się za rzeką jakieś siedem kilometrów od wzgórza. Baron widział doskonale, jak obok wioski zbiera się coraz większa grupa wojowników plemienia. Thoolaasowie kręcili się w wysokiej trawie, która człowiekowi sięgałaby do pasa, a im zaledwie do pół uda, i organizowali kolumnę marszową. Pierwsze szeregi już ruszały w kierunku brodu na rzece, który dzielił ich wioskę od pogrzebowego wzgórza. Nawet z uwzględnieniem szybkości, z jaką się poruszali, dotarcie do Anglików musiało im zająć sporo czasu. I chociaż baron nie widział zbyt wiele szczegółów ze swego punktu obserwacyjnego, słyszał słabo głucho dudnienie kotłów bojowych wroga.

- Komputerze, jak wielu mają oszczepników? - zapytał cicho.

- Około dziewięciuset siedemdziesięciu ze wszystkich sześciu tysięcy dwustu dziewięciu - odparł Komputer prosto do jego ucha.

Mimo tego, że sir Jerzy wiedział, że Komputer natychmiast przekazuje każde słowo demonowi-błaznowi i pozostałym członkom załogi, poczuł się znacznie lepiej, słysząc znajomy głos. Z drugiej strony treść przekazu nie poprawiła mu samopoczucia. Przekonał demona-błazna, aby nie wysyłał do walki marynarzy i mężczyzn niewyszkolonych, więc miał ze sobą zaledwie ośmiuset żołnierzy. Wprawdzie sześćdziesiąt procent jego sił stanowili łucznicy, ale nawet w tym przypadku wróg przewyższał ich liczebnością dwukrotnie. Łucznicy byli znacznie lżej opancerzeni, w porównaniu do pozostałych żołnierzy; mieli tylko sztylety, krótkie miecze lub pałki i toporki. Broń ta uzupełniała ich podstawowe wyposażenie - łuki. Jeżeli wróg przedrze się na ich pozycje, łucznicy będą tylko przeszkadzać.

Co oznaczało, że nie mogą dopuścić, aby Thoolaasowie podeszli za blisko. Dlatego powbijali w zbocze wzgórza drewniane, zastrzone pale. Nie wspominając o kotewkach, ukrytych na brzegach rzeki i rozrzuconych obficie w gęstej trawie, ciągnącej się od brzegu rzeki aż do podnóża góry. Pomiędzy palami, przed pierwszą linią łuczników skryła się także piechota. Baron pomyślał sobie, że to bardzo śmieszne. Po zacieklej kłótni z demonem-błaznem, kiedy to starał się przekonać go o potrzebie posiadania koni, uczynił ze wszystkich swoich ludzi, z wyjątkiem pięćdziesięciu, piechotę, i to już w pierwszej bitwie.

Oczywiście, przypomniał sobie, oglądając się na konie, stłoczone na tyłach, kiedy Thoolaasowie pójdą w rozsypkę... jeżeli pójdą w rozsypkę... będzie potrzebował

wierzchowców, aby ich ścigać, jak to sobie zaplanował. Ale w międzyczasie, Skinnet i pięćdziesięciu konnych pod bezpośrednim dowództwem sir Ryszarda i jego samego, byli jedyną prawdziwą rezerwą.

Przynajmniej jego ludzie byli najlepiej uzbrojoną i wyposażoną armią, jaką prowadził kiedykolwiek do bitwy. Starał się o tym nie zapominać. Mimo pogardy, jaką demon-błazen żywił do ich prymitywnego i prostackiego sprzętu, „moduły industrialne” wielkiego statku gildii sprostały wszelkim zamówieniom, jakie złożyli on oraz jego doradcy.

Podobnie jak wszyscy dowódcy jego czasów, sir Jerzy aż za dobrze znał się na kosztach odpowiedniego ekwipunku dla żołnierzy. Rycerze i konni strażnicy zazwyczaj mieli pierwszeństwo, ponieważ to właśnie oni odgrywali decydującą rolę w bezpośredniej walce, kiedy właściwa ochrona przed ciosami przeciwnika była kluczem do sukcesu... a także dlatego, że rycerze byli zazwyczaj na tyle bogaci, że stać ich było na lepszy sprzęt. Jednakże żaden udzielny pan ani rycerz nie byłby w stanie wyposażyć na takim poziomie całej armii, tak więc łucznicy i zbrojni piesi musieli radzić sobie z mniej efektywną, a zatem tańszą bronią i osłonami. Łucznik był szczęśliwy, jeżeli mógł pozwolić sobie na brygantynę w miejsce zwykłej skórzanej jaki, a pieszy cieszył się z przesywanicy. Nawet rycerze i zbrojni nierzadko musieli zastępować zbroję zwykłymi kawałkami gotowanej skóry, które także stanowiły pewną ochronę przed ciosami.

To nie dotyczyło ludzi sir Jerzego. Ich broń i zbroje nie były wprawdzie zrobione z tego wspaniałego stopu, którego użyto do budowy statku albo do wyposażenia brodawkowatych, ale i tak wykonano je ze stali znacznie lepszej od metali wykuwanych na Ziemi. Jednak było coś jeszcze. Niezależnie od rangi i przydatności w walce, każdy z konnych miał na sobie identyczną zbroję... a każda była taka sama, jak ta, którą mieli na sobie jego rycerze. Baron nie widział nigdy lepiej wyposażonych żołnierzy. Cały oddział nabrał prawdziwie królewskiego wyglądu. Przed wyruszeniem do Francji, nie marzył nawet o tym, że jego armia może tak kiedykolwiek wyglądać.

Ludzie są jednakże tylko ludźmi... a Anglicy Anglikami, więc kiedy okazało się, że nie dostaną broni i wyposażenia, która została zabrana podczas pierwszych godzin po porwaniu, wśród żołnierzy zawrzało. Narzekania skończyły się jak ucięte nożem, kiedy weterani przekonali się, jak udoskonalone wersje broni otrzymali w zamian. Baron nawet w myślach nie zdobył się na niezadowolenie. Prawda, tęsknił za swoją zbroją, która niegdyś należała do jego ojca, ale przemawiała za nim jedynie nostalgia, tęsknota za czymś, co łączyło go z ludźmi i miejscami na zawsze utraconymi. Jego nowe opancerzenie było znacznie lżejsze i wytrzymalsze; dużo lepiej chroniło przed ciosami wroga, a on sam był zbyt praktyczny, aby

tego nie doceniać.

Nawet ich konie były lepiej chronione. Wierzchowce, które demon-błazen i jego mechaniczni służący ukradli pamiętnej krwawej nocy we Francji nie były wprawdzie ciężkimi, masywnymi końmi rycerskich szarż i nie posiadały, jak tamte, tak ciężkiego opancerzenia, ale czuł się w pełni usatysfakcjonowany, gdyż cenił sobie bardziej możliwość manewrowania i wytrzymałość w miejsce siły. Jako że nigdy nie lubował się w ciężkich, kawaleryjskich koniach, w przeciwieństwie do swoich towarzyszy, był zachwycony uprzężą i ochronnym pancerzem, wytworzonym przez urządzenia demona-błazna. Podobnie jak jego zbroja, osłony koni były o wiele lżejsze i wytrzymalsze od tych, z jakimi miał do czynienia na Ziemi, co pozwalało na osiągnięcie doskonałej ochrony zwierzęcia bez zbytniego przeciążania go. Było to nie bez znaczenia, gdyż przewidywania Dowódcy co do kondycji koni przewożonych statkiem o napędzie fazowym okazały się słuszne. Komputer poinformował go, że podczas podróży do tego miejsca (gdziekolwiek się ono znajdowało) stracili co najmniej dziesięć zwierząt. Z niechęcią myślał o tym, co to oznaczało na przyszłość.

Jednak patrząc na hordę nadciągających Thoolaasów, baron przypomniał sobie, że zanim zacznie martwić się o przyszłość, musi poradzić sobie z teraźniejszością.

Uniósł rękę i przywołał sir Ryszarda i Skinneta. Rycerz i sierżant podali wodze adiutantowi jednego z nich i podeszli do barona.

- Wygląda na to - powiedział szybko nie odrywając wzroku od groźnych wojowników. - Że te... istoty zamierzają zrobić dokładnie to, na co mieliśmy nadzieję, czyli zaatakować wprost. Jeżeli tego nie zrobią, waszym zadaniem będzie trzymanie ich z daleka od naszych pleców, aż zdołamy zmienić front. Chcę, żebyście się przegrupowali i odsunęli na jakieś sto pięćdziesiąt kroków, żeby mieć oko na tyły i flanki.

- Tak, mój panie - odparł Ryszard. Skinnet po prostu skinął głową i razem wycofali się szybko do swoich oddziałów zaczynając wydawać rozkazy.

Sir Jerzy pozostawił ich w spokoju i powrócił do uważnej obserwacji wroga.

Stosunek sił jest nieco tylko gorszy niż podczas bitwy z królem pod Dupplin, pomyślał. Podkreślił to podczas swojej własnej, nieco mniej nadętej i bardziej profesjonalnej przemowy przed bitwą i prawie ich przekonał. Dzisiejszą strategię opracował na bazie tamtej bitwy i naprawdę spodziewał się, że odniesie zwycięstwo, jednakże w obecnej sytuacji dostrzegł wiele różnic pomiędzy polem bitwy pod Dupplin, a miejscem, w którym się znajdował. Po pierwsze, armia króla Edwarda III liczyła nie więcej jak pięciuset rycerzy i piętnaście setek łuczników, a Szkotów było prawie dziesięć tysięcy, a więc stosunek sił był jak pięć do

jednego, a nie osiem do jednego. Po drugie Szkoci nie mieli łuczników, podczas gdy wśród Thoolaasów było wielu oszczepników. A po trzecie, ich szkoccy przeciwnicy nie mieli po trzy metry wzrostu i po cztery ręce.

Ale przecież nie takie rzeczy robiliśmy w przeszłości, powiedział sobie stanowczo w myślach, kiedy nadchodzący wojownicy dotarli do przeciwległego brzegu strumienia i zaczęli brnąć przez wodę, wyjąc i zawodząc głośno. W tle grzmiały wojenne bębny obcych.

Właśnie teraz powinni dobiegać do... kotewek, pomyślał baron.

Tak jakby jego myśl była podpowiedzią, przez przednie szeregi naciągających Thoolaasów przebiegł potężny dreszcz. Wojenne okrzyki zamieniły się nagle we wrzaski zaskoczenia i bólu, kiedy wielkie, szerokie stopy o sześciu palcach nadepnęły na zastrzone kotwy. Były to proste, znane od stuleci urządzenia zbudowane z czterech zastrzonych drutów, złączonych razem tak, że niezależnie od tego, jak je rzucono, jeden zawsze sterczał do góry. Zaprojektowane do walki z konnicą, były równie skuteczne w starciu z piechotą... szczególnie jeżeli atakujący niczego się nie spodziewali. A tym razem z pewnością tak było. Bosonodzy Thoolaasowie nigdy nie spotkali się z taką bronią, dlatego też wrzeszczeli z bólu, kiedy ostre kolce przebijały im stopy. Setki obcych padły, wijąc się w agonii, wrzeszcząc jeszcze głośniej, kiedy ich ciała przebijały kolejne kotewki, a wielu z nich utonęło w wodzie po kolana.

Pierwsze linie nacierających obcych - o ile tak bezładny tłum można było określić mianem linii, rozpadły się na pojedyncze grupki. Wróg nie zatrzymał się. Gorączka bitewna, pogarda dla kurdupłowatych, mizernych cherlaków, stojących na przeciwnym brzegu rzeki, wrogie nastawienie do gildii demona-błazna i wściekłość na myśl o zbezczeszczonym wzgórzu pogrzebowym pchała obcych naprzód i sir Jerzy z zadowoleniem patrzył, jak zmienia się formacja wrogich oddziałów. Na jego prośbę zeszłej nocy słudzy demona-błazna po cichu i ostrożnie rozrzućli kotwiczki na brzegach rzeki i w wodzie na przestrzeni kilkuset metrów kwadratowych, zarówno w górę, jak i w dół jej biegu. Ale bród, znajdujący się dokładnie naprzeciw wzgórza pogrzebowego, pozostał wolny od pułapek i Thoolaasowie tam właśnie się kierowali, kiedy zdali sobie sprawę, że paskudne, niewidoczne kolce nie blokują szarży na wzgórze.

Baron mruknął z zadowoleniem, kiedy potwory zbijały się w coraz większą i bezradniejszą kupę. Ogromny ścisk z pewnością mocno osłabi, o ile w ogóle nie wyeliminuje, efektywność thoolańskich włóczników, gdyż nie będą mieli miejsca, aby się porządnie zamachnąć i śmiercionośne pociski nie sięgnął celu. Żołnierz stał nieruchomo przez pięć uderzeń serca, a potem kiwnął gwałtownie na Rolfa Grayhama, który obserwował go

uważnie.

- Nałożyć strzały na cięciwę i napiąć łuki! - wrzasnął Grayhame.

* * *

Sir Jerzy podzielił swoich łuczników na połowę i ustawił na obu flankach tak, że byli nieco bardziej wysunięci niż pozostali żołnierze. Łucznicy chronieni byli palisadą z zaostrzonych pali i mieli na celowniku całą, mocno upakowaną kolumnę Thoolaasów, szarżujących na ich pozycje przez rzekę w fontannach wodnego pyłu. Wszyscy łucznicy byli weteranami, a każdy z nich potrafił wypuścić dwanaście strzał w przeciągu minuty i trafić do celu wielkości człowieka z odległości dwustu kroków. Ale dzisiaj odległość była znacznie mniejsza, a ich cele większe od najpotężniejszego człowieka. Na okrzyk Grayhama w powietrze uniosło się pięć setek strzał.

- Teraz! - zawył i pięć setek cięciw zagrało jednym głosem.

Nikt, kto nie widział angielskich łuczników w akcji, nie byłby w stanie wyobrazić sobie tego okrutnego, niosącego śmierć syku, jaki wydawała nawałnica strzał pędząca w kierunku wroga. Najpierw zagrział ogłuszający syk, kiedy promienie strzał otarły się o majdany łuków. A potem pole walki wypełnił wściekły syk piór, które przecinały powietrze. Strzały pędziły w kierunku wroga niczym wielki, pochłaniający światło słońca cień śmierci i spadły na Thoolaasów jak setki zerwanych ze smyczy demonów.

Kiedy śmiertelny deszcz opadł na szeregi wroga, Thoolaasowie zawyli ze strachu i bólu, znacznie gorszego niż ten, spowodowany przez kotwiczki. Każda strzała miała metr długości i zakończona była szerokim, ostrym grotem, który bez przeszkód przebijał się przez skórę nieopancerzonych obcych. Na sekundę przed wrzaskiem baron doskonale słyszał ze swojego miejsca, jak żelazo uderza w ciało z głuchym, mlaszczącym dźwiękiem. Padły setki Thoolaasów. Sir Jerzy zamrugał ze zdziwieniem, gdyż nie spodziewał się, że strzały spadną na tylne szeregi. Zdumiony obracał głową i patrzył, jak pierwsze linie Thoolaasów atakują zaciekle nawet wtedy, kiedy pięćdziesiąt metrów za nimi ich towarzysze padają na ziemię i wiją się z wrzaskiem w agonii. Grayhame wrzeszczał wściekle na swoich łuczników. Niektórzy z nich wyglądali na zagubionych, ale dowódca nie dał im czasu na myślenie i nie dopuścił do wybuchu paniki. Grayhame wydał nowe rozkazy i druga fala strzał popłynęła w niebo.

Pociski spadły bliżej zamierzonego celu i łucznicy wpadli wreszcie w dobrze im znany rytm. Niebawem do góry poszybowały kolejne strzały. I kolejne. I następne.

Łucznicy wyczuli dystans dopiero przy czwartej salwie i sir Jerzy patrzył z

niedowierzaniem na rozgrywającą się przed nim scenę, do której nawet doświadczenia pod Duplin czy Halidon Hill nie mogły go przygotować. Komputer powiedział mu, że wojowników Thoolaasów jest sześć tysięcy. W przeciągu następnych dziewięćdziesięciu sekund łucznicy barona wypuścili w powietrze dziewięć tysięcy strzał. Kiedy ostatnie pociski opadły na ziemię, bitwa w zasadzie dobiegła końca. Łucznicy oczywiście strzelali jeszcze przez dwie, trzy minuty, ale rzeź, jaka miała miejsce na samym początku rozbiła całkowicie siły Thoolaasów. Mimo zasięgu i skuteczności ich włóczników, obcy nigdy nie doświadczyli tak nagłego i niszczącego ostrzału. W tym pierwszym, krwawym starciu, które trwało zaledwie dziewięćdziesiąt sekund, prawdopodobnie zginęła co najmniej połowa żołnierzy, a znaczna część odniosła poważne rany. Jedna czwarta została zabita lub ranna podczas bezładnej, pełnej wrzasku i przerażenia ucieczki. Sir Jerzy wyprostował się i z zadowoleniem patrzył, jak uciekają.

Przez chwilę przyglądał się pozostałościom po armii Thoolaasów, rozciągniętym na obu brzegach rzeki, a także leżącym na dnie koryta niczym dziwaczne, najeżone strzałami kawały mięsa, które barwiły spływającą wodę na jaskrawy pomarańczowy kolor. Piętrzące się wysoko ciała poruszały się i wiły, wydając z siebie niehumanitarne, w każdym tego słowa znaczeniu, odgłosy, a wrzaski i jęki wznosiły się ku górze niczym hymn na cześć piekła.

Patrzył na ten odrażający obraz i mimo tego, że był doświadczonym żołnierzem, czuł, że ogarnia go strach na myśl o masakrze, jaką spowodowała jego strategia. W końcu odwrócił się i skinął na młodego Tomasza Snellgraya, swego adiutanta i chorążego.

Tomasz był bardzo blady i baron zauważył, że trzęsą mu się ręce, ale gdy popatrzył na swego dowódcę pewnie zamachał sztandarem dając umówiony wcześniej sygnał. Angielskie linie złamały się i zaczęły przegrupowywać. Piesza kawaleria, która miała wzmacniać ochronny szereg piechoty, ruszyła w kierunku koni. Sir Ryszard i Walter Skinnnet nadjechali, aby do nich dołączyć. Sir Jerzy także podszedł do nerwowego chłopca, trzymającego wielkiego, czarnego jak noc ogiera.

Baron kiwnął głową chłopcu stajennemu, wziął wodze i wspiął się na siodło. Był to manewr, który opanował, mimo ciężaru zbroi, kiedy był niewiele starszy od swojego syna, ale tutaj to wydawało się znacznie łatwiejsze. Czy to z powodu „grawitacji” i „tlenu”, o których Komputer tak często gadał? Nie wiedział i zastanawiał się przez chwilę, czy któryś z tych czynników ma również wpływ na większy zasięg, który tak zdziwił łuczników. Być może później Komputer mu to wyjaśni, kiedy się zapyta, ale w tej chwili nie zamierzał się nad tym zastanawiać.

Koń, któremu nadał imię Szatan, ruszył miękko szarpiąc lekko wodze i tocząc wokoło

szalonym spojrzeniem. Przewracał oczami za każdym razem, kiedy ktokolwiek, człowiek lub zwierzę, podszedł zbyt blisko. Sir Jerzy dostrzegł wyzwanie, jakie ogier rzucał otoczeniu, ale nie miał czasu, aby martwić się takimi drobiazgami. Pochylił się w siodle i uderzył konia między uszami opancerzoną pięścią. Nie był to mocny cios, ale osiągnął pożądany cel. Baron już jakiś czas temu ustalił z Szatanem zasady postępowania i nie musiał siłą przypominać ogierowi, że mniejsza od niego istota, która siedzi mu na grzbiecie, jest tutaj panem. W tej zależności był pewien symbol, analogia, której on sam nie zamierzał rozpatrywać zbyt dokładnie. Obejrzał się przez ramię na młodego Snellgraya, który wkładał właśnie nogę w strzemień i wdrapywał się na grzbiet swego wierzchowca.

Sir Ryszard zajął swoje miejsce po prawicy sir Jerzego i ze Skinnetem u boku. Baron po raz ostatni skinął głową z zadowoleniem. Oddział kawalerii był mały, biorąc po uwagę fakt, że co najmniej tysiąc Thoolaasów umknęło z masakry na brzegach rzeki. Ale, mała czy nie, to wszystko co miał i musiało mu wystarczyć. Przynajmniej każdy żołnierz siedział na dobrym koniu, miał doskonałą broń i był dobrze wyszkolony.

Spojrzał na swoich ludzi i zmusił się do zaakceptowania faktu, że niektórzy z nich zginą. Jednostronna masakra, jaką zgotowali obcym łucznicy, nie zostanie dzisiaj powtórzona. Być może mógł pozostawić w spokoju ocalałych Thoolaasów. Po tak krwawej masakrze z pewnością ich wodzowie i szamani poddadzą się woli demona-błazna bez dalszego rozlewu krwi. Jednak nie mógł być do końca tego pewny poza tym dostał rozkaz, aby ich zmiażdżyć całkowicie. Nie śmiał zostawić sprawy niedokończonych, szczególnie, że los jego ludzi zależał od tego, czy okażą się przydatni tej obcej gildii. I dlatego zamierzał się upewnić, że Thoolaasowie są całkowicie rozbici i w przyszłości nie będą się opierać, nawet jeżeli oznaczało to, że będzie musiał zabić kolejnych obcych, tracąc przy tym choć kilku swoich cennych, nie do zastąpienia żołnierzy.

- No dobrze, chłopcy - powiedział spokojnie. - Trzymajcie się drogi wolnej od kotwiczek i nie traćcie czasu. W drogę.

* * *

Dźwięk trąbki sprawił, że mała formacja angielskiej kawalerii rozciągnęła się na lewej flance i kolumna, ciągle w ruchu, zmieniła się w linię. Manewr był szybki i doskonale przeprowadzony, każdy dowódca byłby zadowolony. Sir Jerzy pomyślał ponuro, że ma doskonałych żołnierzy. Rzeka została trzy kilometry za nimi, a do miasteczka mieli niecałe pięć kilometrów. Pomiedzy nimi a zabudowaniami poruszała się masa uciekających Thoolaasów, których było cztery setki, czyli dwa razy więcej niż Anglików. Co gorsza

uciekinierzy zorientowali się, że są ścigani. Oszczepnicy zaczęli ustawiać się w linie, a ci niosący topory zawyli z wściekłości.

Baron nie był szczęśliwy, że musi stawać twarzą w twarz z tak przeważającymi siłami. Jeżeli uda mu się rozbić ich całkowicie, istnieje niewielka szansa, że w przyszłości zdołają zebrać nową armię. Przynajmniej była ich zaledwie jedna trzecia tego, co naliczył Komputer tuż po masakrze nad rzeką.

Musiał się jedynie upewnić, że tylko jedna z armii zostanie rozbita w tym starciu.

Rozejrzał się szybko wokoło i sprawdził pierwszą linię swoich szeregów. Mruknął z zadowolenia. A potem skinął na trębacza i zamknął zasłonę basinetu.

- Wszystko gotowe! - zawołał przez otwory w zasłonie; zagrała trąbka.

Mógł wykorzystać Komputer do przekazywania rozkazów nawet tutaj, na otwartym polu, ale postanowił inaczej. Jego żołnierze przyzwyczajeni byli do sygnałów trąbki i postanowił, że nie będzie im narzucał zbyt wielu nowych zwyczajów, które często wprawiały ich w zakłopotanie. W końcu była to ich pierwsza bitwa w zupełnie nowych warunkach. Później będzie miał dużo czasu na poprawki i wprowadzanie udogodnień, zakładając, że wygrają tę walkę.

Pierwsze szeregi Anglików opuściły lance na głos trąbki. Sir Jerzy był wśród nich. Usiadł pewnie w siodle, podczas gdy Szatan niecierpliwie przebierał nogami.

- Stępa! - rozkazał i trąbka znów się odezwała.

Kawaleria ruszyła w kierunku tłumu Thoolaasów, wymachujących bronią. Odczekał kilka chwil, zanim znów zawołał:

- Klusem!

Linia konnych ruszyła szybciej, kopyta mocniej uderzyły w ziemię. Konie nabierały prędkości. Wojownicy Thoolaasów wrzasnęły głośniejsze i ruszyli im na spotkanie.

- Galopem!

Trąbka zagrała po raz ostatni, a żołnierze odpowiedzieli jej głębokim, donośnym zaśpiewem. Klus przeszedł w galop. Sir Jerzy nie widział zbyt dobrze przez wizurę, ale zdążył się zorientować, że oszczepnicy biorą zamach górną parą ramion i w ich stronę poleciały cienkie, podobne do strzał oszczepy wyskakujące z urządzeń miotających. Poczł kurz, koński i swój własny pot, zobaczył słońce, które wydawało się tak blade na tle mulistego nieba, ale i tak mocno rozgrzewało mu zbroję. Otaczał go huk setek końskich kopyt, uderzających w ziemię. Oszczepy mknęły na ich spotkanie. Jeden z nich uderzył w tarczę barona; prędkość i masa nadały mu siłę młota. Usłyszał kwiki koni, a także wrzaski ludzi, ale nie miał teraz czasu, aby o tym myśleć. Nie mógł pozwolić sobie na to, żeby

cokolwiek go rozpraszało w danej chwili.

Wielki Thoolaas podbiegł do niego. Był naprawdę ogromny, nawet jak na standardy swego ludu. W każdej parze rąk trzymał po ogromnym toporze. Był tak wysoki, jak sir Jerzy, siedzący na grzbiecie Szatana. Wrzeszczał z nienawiścią, kiedy się zbliżał. Chociaż był wielki i miał długie ramiona, i tak były one krótsze niż trzymetrowa lanca. Obcy wrzasnął znowu, kiedy zimna stal grotu wbiła się w jego pierś.

Thoolaas upadł na ziemię, ale siła uderzenia wyrwała broń z rąk barona. Był zbyt doświadczony, aby walczyć o lancę, gdyż wiedział, że skończyć się to może utratą równowagi i wysadzeniem z siodła, więc w jednej chwili wyciągnął miecz z pochwy. Ruch ten był tak automatyczny, jak oddech.

Szatan popędził naprzód, rżąc dziko, jakby on też miał swoje zawołanie bitewne. Mimo swej natury, ciągle jednak poddawał się kontroli jeźdźca, który kierował nim naciskiem kolan. Razem pomknęli na spotkanie kolejnego wroga. Obcy wymachiwał toporem i ogromnym, grubo ciosanym cepem. Baron zebrał uderzenie na tarczę i niewiarygodna siła niemalże wytrąciła go z siodła. W niewyjaśniony sposób uderzenie topora, które nastąpiło niemalże jednocześnie, pomogło mu odzyskać równowagę. Ostrze trafiło w nową, wykonaną z jednej płyty osłonę pleców tuż pod karkiem i pchnęło go naprzód i lekko w bok, czyli w przeciwnym kierunku niż uderzenie cepem. Baron poczuł się tak, jakby złapano go pomiędzy dwa potworne młoty, ale udało mu się utrzymać w siodle i ze śmiertelną precyzją zaczął zadawać ciosy mieczem.

Drugi Thoolaas opadł na plecy, a z jego gardła sikała fontanna krwi. Szatan stratował go i nagle sir Jerzy znalazł się poza pierwszą linią wroga. Uśmiechnął się krwiożerczo, kiedy jego wierzchowiec pomknął na spotkanie oszczepników.

Oddziały obcych, miotających pociski, w ogóle nie były wyposażone w broń do starć bezpośrednich. Dwie ostatnie włócznie uderzyły w barona - jedna odbiła się od napierśnika, a druga ześlizgnęła po osłonie lewego uda; trzecia uderzyła w opancerzoną pierś Szatana. A potem uderzyli w pierwszy szereg. Uniósł się w strzemionach, kiedy mijali kolejnych obcych. Jednemu odciął ramię ciosem idącym w dół, a drugiemu rozplątał czaszkę, wznosząc miecz płynnym ruchem. Trzeci ruszył na niego, wyciągając ręce, tak jakby chciał wyjąć go z siodła. Poczul na sobie uderzenia grotów z brązu, którymi z wściekłością atakowali go pozostali obcy. Ale jego zbroja z powodzeniem chroniła go przed oszczepami. Baron uderzył tarczą w twarz najbliższego Thoolaasa. Obcy zatoczył się w tył. Baron kątem oka zobaczył, jak jeden z jego ludzi, który najwyraźniej zdołał oswobodzić lancę, mija go w pełnym galopie. Grot lancy wbił się głęboko w brzuch ogłuszonego Thoolaasa. Sir Jerzy i jego towarzyszy ostro zdarli

konie, gdyż impet wyniósł ich daleko poza ostatnie linie obcych.

Szatan zawrócił niczym antylopa, nie okazując nawet śladu buntu czy niechęci. Żołnierz obrzucił pole walki uważnym spojrzeniem.

Formacja Thoolaasów, jaka by nie była, pękła niczym kryształ pod naporem jego atakujących wojsk. Jako jednostki obcy byli potężni i pełni siły, ale w starciu ze zdyscyplinowaną i dobrze chronioną przez pancerze armią, nawet mniej liczną i złożoną ze słabszych istot, przekonali się, że cztery ręce, wyposażone w broń, nie wystarczą do osiągnięcia zwycięstwa. Co najmniej połowa obcych leżała na ziemi i kiedy Snellgrave podjechał do barona, dzierżąc jego sztandar, garstka wojowników, którzy nie zdołali uciec, właśnie była dożynana przez Anglików. Część sił barona pędziła z hukiem śladem uciekających Thoolaasów i bezlitośnie zadawała ciosy w odsłonięte plecy wroga, wymierzając odwieczną karę kawalerzystów, która należy się piechocie, łamiącej szyk i rzucającej się do panicznej ucieczki. Jednakże ta piechota była prawie tak szybka, jak konnica i sir Jerzy poszukał wzrokiem swego trębacza.

- Zagraj odwrót!

Zabrzmiała trąbka, słyszalna nawet w najgorszym hałasie bitewnym i trzasku krzyżującej się stali. Oddziały odpowiedziały niemalże natychmiast. Tu i tam niektórzy marudzili jeszcze, docinając obalonego przeciwnika, ale żołnierze barona byli doświadczonymi weteranami, a wielu z nich odebrało szkolenie bezpośrednio od niego samego i Waltera Skinneta. Nie byli wszakże Francuzami. Byli profesjonalistami, którzy nie dopuszczali do tego, aby ponosił ich entuzjizm czy opacznie pojęte poczucie honoru, które mogłoby zaćmić zdrowy rozsądek. Żołnierze porzucili więc ściganych i natychmiast zgromadzili się pod sztandarem dowódcy.

Sir Jerzy szybko przeliczył żołnierzy. Ze swojego miejsca widział co najmniej tuzin swoich ludzi, leżących na ziemi pomiędzy rannymi i martwymi Thoolaasami. Kilku zostało pozbawionych swoich wierzchowców, a niektóre konie jeźdźców, ale na pierwszy rzut oka wydawało się, że piesi raczej spadli, niż że obcy pozabijali ich wierzchowce w trakcie starcia. Baron nie wiedział, jak wiele z tych opancerzonych postaci rozciągniętych na podeptanej, spryskanej krwią purpurowej trawie jest martwych, a ile po prostu rannych, ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co stanie się z takim rannym, kiedy zakradnie się do niego ocalały Thoolaas. W innych warunkach polegałby na spieszonych żołnierzach, którzy wystarczyliby do obrony rannych towarzyszy, ale Thoolaasowie byli po prostu zbyt potężni dla ludzi bez koni, niezależnie od ich opancerzenia i wyszkolenia. Baron uniósł zasłonę hełmu i skinął na Skinneta.

- Walterze! Wyznacz dwudziestu ludzi do pilnowania rannych!

- Tak, panie!

- Sir Ryszardzie!

- Tutaj, panie!

- Jedziemy do miasteczka. Kiedy tam dotrzemy, weźmiesz połowę ludzi, objedziesz palisadę i zabezpieczysz bramę od wschodniej strony.

- Tak, panie!

- Bardzo dobrze. - Sir Jerzy po raz kolejny obrzucił pole walki wnikliwym spojrzeniem, a potem mruknął z wdzięcznością, kiedy jeden ze spieszonych żołnierzy podał mu zapasową lancę.

- Dziękuję ci - powiedział do żołnierza na ziemi i odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Skinneta, który wdrapywał się na konia, stojącego tuż obok Szatana. Ogier rzucił łbem, jakby zamierzał ugryźć kawał ciała z wałacha Skinneta, ale baron automatycznie szarpnął za wodze. Niedźwiedziowaty weteran zachichotał ponuro.

- Mówiłem ci, że ten tu ma w sobie diabła - powiedział głosem doświadczonego koniarza.

- Tak, mówiłeś... ale w taki dzień jak dzisiaj to się bardzo przydaje!

- Nie będę się z tobą kłócił, mój panie. Nie teraz.

- To dobrze! - Uśmiechnął się szeroko, a białe zęby błysnęły na tle przyciętej w szpic brody, skrytej w cieniu basinetu. - Czy jesteśmy już gotowi?

- Tak, panie. - Skinnet pokazał na dwudziestoosobową grupę, która miała pozostać z rannymi, skinął głową z zadowoleniem. Rozpoznał dowódcę, surowego, zrównoważonego mężczyznę z hrabstwa York o imieniu Dickon, który towarzyszył Skinnetowi zanim ten ostatni przyłączył się do niego. Był typem człowieka, który nie traci głowy i dzięki temu będzie trzymał podkomendnych w kupie, nie dopuszczając do złamania szyków czy rozproszenia ludzi. Baron wiedział, że może liczyć na Dickona w razie, gdyby doszło do starcia z rozsądnie małą grupką Thoolaasów, którzy odważą się zagrozić rannym. A ponadto, pomyślał ponuro, Dickon był na tyle doświadczony, że podejmie w odpowiedniej chwili decyzję o odwróceniu z jak największą grupą tych, których uzna za zdolnych do ucieczki, jeżeli na horyzoncie pojawi się większa grupa wrogich istot i nie poświęci wszystkich swoich żołnierzy w beznadziejnej obronie ciężko rannych.

- Bardzo dobrze - powtórzył. - Ruszajmy w drogę.

* * *

- Szkoda, że nie będą mogli już z tego korzystać, panie! - mruknął sir Antoni. - Jeżeli my nie zdołaliśmy się przez to przebić, to oni też nie dadzą rady, a oddział łuczników strzelający

zza zasłony załatwi sprawę każdego oblężenia w godzinę!

W głosie rycerza pobrzmiwał niesmak. Sir Jerzy nie mógł się z nim nie zgodzić.

Blade słońce tego zanurzonego w wiecznym półmroku świata zmierzało ku zachodowi. Dym i trzaskanie płonącej palisady, otaczającej miasteczko Thoolaasów, unosiły się w ciemniejące niebo. Większość ludzi, wołałaby puścić z dymem całe miasteczko, a nie tylko umocnienia, ale baron miał ściśle rozkazy. Najstarszy stopniem Thoolaas, który pozostał przy życiu, poddał się wraz z resztką żołnierzy pod warunkiem, że ich osada ocaleje. W zamian zgodził się poddać zwierzchnictwu gildii demona-błazna. Byłoby mu znacznie łatwiej, gdyby naprawdę wierzył, że zgoda na przedstawione warunki oznacza ulaskawienie osady, czy chociaż złagodzenie ucisku... i że obietnice złagodzenia będą naprawdę dotrzymane. Poza tym, pomyślał baron cynicznie, miasteczko i tak niebawem zostanie zniszczone. On i jego ludzie zabili, bądź ciężko zranili co najmniej dziewięćdziesiąt procent wojowników plemienia. Spokój nie będzie trwał długo, bo z pewnością zaraz znajdzie się jakiś sąsiad, który dokończy dzieła, rozpoczętego przez Anglików.

Ta refleksja zniknęła jednak w morzu myśli, kiedy wraz z sir Antonim obserwował mechaniczne pojazdy demona-błazna, unoszące się nad równiną wokół miasteczka. Niektóre były bardzo podobne do osobistego pojazdu powietrznego obcego, tylko znacznie większe. Sir Jerzy patrzył, jak jeden z nich obniża lot i ląduje, a potem szybko się podrywa.

- Zdaje mi się, że tym razem to koń - powiedział cicho ojciec Tymoteusz.

Ksiądz dołączył do nich tak szybko, jak to tylko było możliwe. Zdaniem sir Jerzego, który cenił sobie spokój ducha, zbyt szybko. Baron wiedział, że wiara Tymoteusza czyni go prawie całkowicie odpornym na strach przed śmiercią, tak samo jak zdawał sobie sprawę z tego, że wieloletnie żołnierskie doświadczenie zarówno uczula księdza na niebezpieczeństwa pola walki, jak i pozwala mu ich unikać. Mimo tego sama myśl o tym, ile kosztowałaby go utrata starego przyjaciela, spowiednika i przewodnika dusz jego ludzi, sprawiła, że nie zdołał powstrzymać się od komentarza, kiedy Dominikanin do niego dołączył.

- Wśród łuczników nie było rannych - odparł ksiądz przytomnie. - Ale tutaj znalazłoby się paru umierających i ciężko rannych, potrzebujących duchowej pomocy.

Te słowa uciszyły barona, nawet jeżeli nie zdołały stłumić emocji, które wybuchły na początku rozmowy. Nie mógł przecież narzekać na gotowość Tymoteusza do niesienia pomocy i wypełniania księżyich posług, ale powiedział sobie w myślach, że musi poprosić Matyldę, aby zajęła się tą sprawą. Jeżeli ktokolwiek potrafi przekonać starca o tym, że nie jest niezastąpiony, to będzie jego żona... a sir Jerzy doskonale wiedział, z własnego doświadczenia, jak bezlitosna potrafi być Matylda w dyskusji, kiedy wie, że ma rację.

Na tę myśl uśmiechnął się lekko, ale uśmiech szybko zniknął z jego twarzy, kiedy przypomniał sobie, że Matylda i Edward ciągle pozostają w śpiączce, jako nieświadomi zakładnicy, będący rękojmiami zadowolających wyników barona i jego armii.

Patrzył na wznoszący się pojazd, z księdzem u swego boku, i zmarszczył brwi.

- Jak myślisz, co z nimi robią? - zapytał, a ojciec Tymoteusz wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, panie - przyznał, a w jego głosie pobrzmiwał niepokój. - Takie same... pojazdy pozbierały naszych rannych tuż po bitwie. Po co zabierają zmarłych, a już szczególnie martwe zwierzęta... nie powinni raczej zostawić naszych ludzi, żebyśmy sprawili im porządną pogrzeb? Nie rozumiem tego. I jestem więcej niż pewny, że powód, dla którego to robią, raczej by mi się nie spodobał.

- Tak jak i mnie, ojcie - mruknął sir Antoni, kiwając głową; sir Ryszard również przytaknął i podszedł bliżej do barona.

- Pozostaje dla mnie tajemnicą, dlaczegoż mielibyśmy lubić, czy podziwiać cokolwiek związanego z tą przeklętą gildią - zauważył Maynon. Rycerz dowodził oddziałem podpalającym palisadę i najwyraźniej zbytnio się zaangażował w swoją pracę. Świadczył o tym wygląd jego zbroi i przypalona gdzieniegdzie tunika. Dłonią klepał się po klatce piersiowej, gasząc tłący się materiał, kiedy podszedł do barona.

- Nie mógłbym się z tobą nie zgodzić, nawet biorąc pod uwagę fakt, że większość z nas przeżyła tę bitwę - odpowiedział mu sir Jerzy i wyciągnął opancerzoną dłoń, aby pomóc mu w gaszeniu tłącego się ubrania. - Ale z drugiej strony, fakt, że ciągle jesteśmy przy życiu jest niekwestionowanym argumentem w tym sporze i nie sposób go pominąć.

- Tak, zgoda - przyznał sir Ryszard. Zgasła ostatnia uparta iskierka i rycerz skinął głową w podzięcie swemu lordowi. - Ale ja to widzę inaczej - mówił dalej. - Dla mnie jest oczywiste, że żyjemy tylko i wyłącznie dzięki tobie, mój panie.

- Nie sposób temu zaprzeczyć - wtrącił się sir Antoni swoim głębokim głosem. - W swoim życiu widziałem już niejedną walkę, i nie powiedziałbym, żeby ci... Thoolaasowie - Nazwę obcej rasy wymówił bardzo starannie, ale niestety źle. - byli najlepiej zorganizowaną armią, z jaką miałem do czynienia. Ale z drugiej strony nie byli też aż tak bardzo źli. Tak, widziałem Szkotów i Francuzów, którzy mieli gorsze dowództwo, a ci obcy byli najtwardszymi wojownikami, z jakimi przyszło mi się mierzyć! Jakkolwiek to może wyglądać teraz, kiedy już skopaliśmy im tyłki, na początku wcale nie wydawało się to łatwe, wbrew temu, co starałeś się nam wmówić.

- Sądzę, że masz rację - zgodził się sir Jerzy. - Ale to ty, sir Ryszard, i inni, a już szczególnie łucznicy Rolfa, zrealizowaliście moje plany we wspólny sposób. I jakkolwiek

łatwo to wyglądało, fakt pozostaje faktem. Straciliśmy co najmniej piętnastu ludzi, i to zakładając, że żaden z rannych nie umrze.

- Piętnastu ludzi za tak wspaniałe zwycięstwo to niska cena, mój panie - zauważył sir Ryszard, podczas gdy czterech mężczyzn obserwowało latającą maszynę wielkości wołu, która miała kształt fontanny i lądowała właśnie obok gromady pieszej kawalerii. Konie szarpały się nieco na uwięzi, kiedy wehikuł siadał na ziemi, ale żołnierze zgromadzili się wokoło bez śladu wahania. Fontanna zimnej, krystalicznie czystej wody trysnęła ze szczytu urządzenia, i z poszumem i śpiewem wylądowała w szerokim basenie u podstawy maszyny. Mężczyźni podchodzili grupkami i pili do woli, zanurzając spocone twarze w oczyszczającej wodzie. Następnie trzech zaczęło nosić wodę w hełmach dla czekających koni.

- Piętnastu ludzi to niska cena - stwierdził sir Jerzy. - A raczej byłaby niska w Szkocji, a nawet we Francji. Ale tutaj, gdzie nie możemy przecież uzupełnić strat, nawet jeden człowiek to cena bardzo wysoka.

- Obawiam się, że masz całkowitą rację - zgodził się ojciec Tymoteusz i pozostali trzej rycerze zdali sobie sprawę, że przemawia przez niego stary żołnierz, nie tylko Sługa Boży. - Z drugiej strony, nigdzie nie jest powiedziane, że każdy wróg, z jakim przyjdzie się nam zmierzyć, będzie tak niebezpieczny jak ci tu Thoolaasowie.

Znacznie lepiej wymówił obce słowo niż sir Antoni i sir Jerzy przywołał na twarz zmęczony uśmiech.

- Oczywiście, że tak nie jest, Tymoteuszu. Ale nie jest też powiedziane, że nie będzie odwrotnie, prawda? Załóżmy, że ci Thoolaasowie mieliby porządną stal zamiast brązu. Albo, że byliby tak samo dobrze opancerzeni, jak nasi chłopcy. Albo, że mieliby właściwy stosunek miotaczy oszczepów do toporników. Kto powiedział, że nasz następny przeciwnik nie będzie miał tego wszystkiego?

- Możemy tylko pokładać wiarę w Bogu i modlić się, żeby tak nie było - odparł ksiądz po chwili i tym razem sir Jerzy roześmiał się, co zdziwiło nawet jego samego.

- Och, z pewnością dołączę się do tej modlitwy, Tymoteuszu! - zachichotał. - Chociaż ciągle uważam, że Bóg prawdopodobnie uważniej wsłuchuje się w twoje modły niż w moje i dopilnuję, abyś sumiennie wywiązywał się ze swojej części. Podczas gdy ja zajmę się utrzymaniem równowagi pomiędzy zapewnianiem naszego Dowódcy, że jego gildia potrzebuje właśnie nas do osiągnięcia swoich celów a upewnianiem się, że nie myśli o nas jako o wszechmocnych wojownikach, którzy są zdolni do pokonania każdego, kto tylko stanie im na drodze, bez oglądania się na koszty. - Baron zatoczył ramieniem, wskazując na płonące palisady, a potem na ciemniejące w zmierzchu pole bitwy.

* * *

- Wygląda na to, że mieliście rację - powiedział demon-błazen i przerwał, jakby spodziewał się odpowiedzi.

Po raz kolejny on i sir Jerzy siedzieli po obu stronach stolika, który mógł, ale nie musiał być wykonany z kryształu. Jednakże komnata, w której siedzieli, ani trochę nie przypominała miejsca ich ostatniego spotkania. Tym razem stół stał na czymś, co przypominało dno ogromnego jeziora, otoczony czystą wodą i warkoczami rośliny, przypominającej algi i kołyszącej się delikatnie; w gąszczu zieleni przemykały istoty, podobne do ryb. Gdyby sir Jerzy nie miał tak wielu doświadczeń bezpośrednich z obrazami, generowanymi przez Komputer i nazywanymi przez niego „hologramami”, realizm iluzji z pewnością sprawiłby go w przerażenie. Nawet w tej chwili czuł się nieco nieswojo, kiedy zobaczył coś, co wyglądało jak rekin i przepłynęło jakieś pięć metrów ponad jego głową.

Jeżeli demon-błazen czuł chociaż najłżejszy dyskomfort, doskonale to ukrywał. Zakładając, że to on właśnie wymyślił tę ekstrawagancką dekorację, musiał się tu czuć jak ryba w wodzie. Jednakże baron zakładał także inną możliwość. Być może wcale nie czuł się on tu aż tak komfortowo, ale chciał, aby jego rozmówca także został wyprowadzony z równowagi. W życiu wiele było sytuacji, kiedy tak dobierał warunki spotkania, aby inni czuli się mocno niekomfortowo.

Ponieważ istniała możliwość, że demon-błazen miał taki właśnie zamiar, sir Jerzy postanowił nie postępować w sposób oczywisty. Zamiast panikować, założył ręce za plecami i czekał spokojnie, aż mały obcy podejmie przerwany wątek.

- Resztki Thoolaasów, które uniknęły śmierci, zaakceptowały warunki mojej gildii - odezwał się Dowódca po chwili - Jednakże nie zrobiło tego żadne z sąsiednich plemion. Wręcz przeciwnie, dwa inne: Laahstaar i Mouthai próbowały zniszczyć urządzenia komunikacyjne, jakie do nich wysłałem z rozkazem poddania się. Oczywiście nie byłoby w stanie ich zepsuć, ale ich odpowiedź nie wydaje się... obiecująca. W świetle tych wydarzeń zostałem zmuszony do ponownego rozważenia analizy lokalnych zjawisk socjologicznych, jaką przedstawiłeś mi wcześniej. Podejrzewam, że to było nieuchronne. Ktoś, kto jest znacznie bliższy prymitywnym i barbarzyńskim istotom, zdoła lepiej je zrozumieć niż jednostka w pełni ucywilizowana. Jak by nie było, fakt jest faktem. Pozostałe plemiona zdają się nie dostrzegać nieuchronności poddania się mojej gildii i jej prawom. Dlatego też istnieje spore prawdopodobieństwo, co zresztą także poruszałeś w swojej analizie, że będą niezbędne kolejne bitwy, które oznajmią barbarzyńcom tę nieuchronność. Bieżące analizy komputera są

zgodne z twoimi wnioskami. Komputer uważa, że powinniśmy wstrzymać się na pewien czas i nie atakować tych prymitywnych istot. To pozwoli lokalnym plemionom dokonać niezbędnych przegrupowań i zawrzeć nowe sojusze, co w efekcie umożliwi nam zidentyfikowanie najbardziej efektywnych przywódców wśród tych, którzy stawiają nam czoła. Będziemy też mogli skorzystać z niechęci jednych frakcji do drugich.

Demon-błazen przerwał po raz kolejny i wbił spojrzenie nieruchomych oczu w swojego rozmówcę. Baron patrzył na istotę przez kilka sekund, a potem dowódca zrobił mały ruch ręką.

- Proszę, odpowiedz mi na to, co powiedziałem - rozkazał.

- Jeżeli sobie życzysz - zgodził się sir Jerzy i w zamyśleniu wydał wargi aby po chwili przemówić.

- Nie jestem zdumiony, że Komputer zgadza się z moją pierwotną oceną, a teraz ty i on mieliście możliwość przekonać się na własne oczy, jak wygląda sytuacja, szczególnie w przypadku reakcji Laahstaarów i Mouthai. Sądzę, że należy rozważyć możliwość natychmiastowego działania, czyli zmiażdżenia najgłośniejszych wołających plemion, które odrzucają zwierzchność gildii. Dodatkowa bolesna lekcja, przeznaczona konkretnie dla tych, którzy zrobili siebie przywódcami opozycji, skutecznie zniechęci pozostałe plemiona do pójścia w ich ślady. Jednakże zdaje mi się, że Komputer ma dla ciebie inną radę, ma ona także swoje zalety, co mówię otwarcie, ale także mam tu kilka osobistych uwag.

- Przedstaw mi więc zalety tego planu - powiedział demon-błazen.

- Są dwie najbardziej oczywiste. Po pierwsze jeżeli dasz plemionom, które nie chcą podporządkować się tobie i twojej gildii, odpowiednią ilość czasu, stawiają ci czoła otwarcie, co pozwoli na zidentyfikowanie przywódców. Ale nie tylko, bo dzięki temu uda ci się zebrać ich razem, jako jedną frakcję. A jeżeli oni razem utworzą jedną grupę, jej pokonanie będzie oznaczało, że za jednym zamachem pozbędziesz się całej opozycji. A także, jak zauważył Komputer, da ci to możliwość wykorzystania tych, którzy dostrzegą swoją szansę w sprzymierzeniu się z tobą. To nie tylko da nam sprzymierzeńców w dodatkowej kampanii, którą z pewnością będziemy musieli zaplanować, ale także powie ci, którzy z miejscowych przywódców w przyszłości będą chętni do dbania o twoje interesy, jak o swoje własne, kiedy ty już stąd odleczysz.

- Zwięzłe podsumowanie analizy Komputera - zauważył demon-błazen i po raz kolejny sir Jerzy mocno zapragnął jakiegokolwiek przewodnika, który umożliwiłby mu odczytywanie uczuć obcego. Czy stwierdzenie demona-błazna było aprobujące, na co wskazywałaby treść pozbawionych emocji słów? A może było to ironiczne odrzucenie argumentów sir Jerzego?

- Jednakże zauważyłem, że masz jakieś uwagi - kontynuował demon-błazen. - Opisz mi je.

- Najpoważniejsza to taka, że im więcej czasu miejscowi będą mieli na rozważania nad losem Thoolaasów, tym większa szansa, że dostrzegą błędy popełnione przez sąsiadów, które przyczyniły się do ich klęski. Każdemu byłoby trudno zmienić głęboko zakorzenione przyzwyczajenia, zgodnie z którym walczy od zawsze, Dowódco. Z pewnością moi ludzie zobaczyli wiele dowodów, popierających to stwierdzenie podczas kampanii w Walii i Szkocji, nie wspominając o Francji. Jednakże trudno nie znaczy to samo, co niemożliwe. Jeżeli Laahstaarowie i Mouthai zastanowią się dobrze nad tym, co przydarzyło się Thoolaasom, mogą w przyszłości przemyśleć sprawę i zrobić lepszy użytek z oszczepników. Teraz, kiedy osobiście stawiałem im czoła, mogę powiedzieć, że moi łucznicy są daleko bardziej efektywni w starciu z miotaczami Thoolasów, niż się spodziewałem. Moi ludzie mogą tutaj osiągać naprawdę zadziwiający dystans, dzięki niższej „gravitacji” tego miejsca, jak mi powiedział Komputer.

Przerwał i na chwilę zapadła cisza. Potem odezwał się demon-błazen.

- Bez wątplenia masz rację - powiedział. - Nie dziwi mnie, że ten efekt cię zaskoczył. Jesteś wszakże prymitywny i nie masz doświadczenia w kwestii zmian naturalnego środowiska różnych planet. Być może powinienem brać pod uwagę takie rzeczy i mówić ci o nich wcześniej, ale nie mam zbyt wiele do czynienia z tak prymitywną i wymagającą siły mięśni bronią jak twoja, dlatego nie myślę w tych kategoriach.

Opadł na oparcie, tak jakby powiedział już wszystko, więc sir Jerzy wzruszył ramionami.

- Jakakolwiek byłaby tego przyczyna - powiedział. - Nasza broń ma większy zasięg niż ich. Znacznie większy. Jednakże jeżeli zdołają zebrać duży oddział oszczepników i zasypać nas zmasowanym ogniem, doznamy cięższych strat. A to jest moim największym zmartwieniem: straty. Lekarz zdołał przywrócić większość rannych do służby. A w zasadzie zapewnił ojca Tymoteusza, że pozostali ranni wrócą do nas jutro, a najpóźniej za dwa dni.

Baron postanowił nie wspominać o swoim zdumieniu na wieść o rannych. Nawet teraz, kiedy był świadkiem tak wielu cudów na pokładzie tego statku, nie wierzył, że to możliwe. Nawet ciężkie rany brzucha i klatki piersiowej, które na ziemi i oznaczałyby śmierć, tutaj ani przez chwilę nie niepokoiły Lekarza.

- Nawet jeżeli wszyscy ranni powrócą do zdrowia - mówił dalej. - Straciliśmy piętnastu ludzi i jedenaście koni, których przecież nie da się zastąpić, i...

- Czterech ludzi i sześć koni - przerwał mu demon-błazen i sir Jerzy ze zdumieniem zmarszczył brwi.

- Przepraszam? - powiedział.

- Powiedziałem, że uaktualnione straty wynoszą czterech ludzi i sześć koni - powtórzył demon-błazen. - Pozostała jedenastka i konie byli w na tyle dobrym stanie, aby opłacało się ich reanimować.

- Reanimować? - zapytał ostrożnie.

- To bardzo prosta procedura, nawet dla średnio cywilizowanych ras - odparł obcy. - Tak długo, jak mózg nie jest poważnie uszkodzony, a organy wewnętrzne w miarę dobrym stanie, reanimacja i bioreperacja nie są trudne, chociaż wysokie koszty i czas często sprawiają, że gra nie jest warta świeczki. Zdaję sobie sprawę, że te pojęcia leżą daleko poza pojmowaniem twojej prymitywnej i podejrzliwej rasy. Tak czy inaczej, fakt pozostaje faktem. Medyczny system statku jest w stanie przywrócić do życia wszystkich twoich żołnierzy poza czterema terminalnie martwymi i sześcioma końmi.

Sir Jerzy gapił się na demona-błazna tak ogłupiały, jak nie był od czasu pierwszego dnia na pokładzie statku. Wierzył, że codzienna ekspozycja na cuda nowoczesnej „technologii” demona-błazna przygotowała go na wszystkie zjawiska, jakie jeszcze obcy może wyprodukować, ale najwyraźniej się mylił. Jeżeli dobrze rozumiał, jedenastu ludzi, którzy byli martwi, nie po prostu ranni, ale martwi, nie biło im serce i nie oddychali, miało właśnie wrócić do życia, podobnie jak wielu nowożytnych Łazarzy.

To porównanie sprawiło, że po kręgosłupie przebiegł mu dreszcz. Przecież naprawdę wierzył w to, co mówił swoim ludziom od samego początku. Że demon-błazen. mimo wszystkich swoich cudowności i sztuczek Jest tak samo śmiertelny, jak oni. Że po prostu jego rasa osiągnęła poziom rozwoju, do jakiego ludzkość jeszcze nie dorosła. Ale to...! Jeżeli gildia demona-błazna potrafiła wskrzeszać zmarłych, tak samo jak Stwórca, czy są oni naprawdę śmiertelnikami? A jeśli już o tym mowa, czy dla takich jak oni istnieje w ogóle pojęcie śmiertelności?

Nie. W myślach wziął się w garść. Demon-błazen, kimkolwiek by nie był, z pewnością nie miał w sobie boskości. Jeżeli lekarz potrafił używać „technologii”, zgromadzonej w ambulatorium, do leczenia ludzi, którzy mieli przebite kiszki albo uszkodzone płuca, tak że puszczali nosem krwawe bańki, a powietrze świstało w dziurach wybitych w klatce piersiowej, to czy następny krok, czyli przywracanie oddechu zmarłym, to było naprawdę tak wiele?

Część jego umysłu upierała się, że tak, ale inna, większa, zgadzała się, że to tylko kolejny stopień na skali, a nie inny rodzaj. Baron przypomniał sobie także, że mimo pełnej cudów „technologii” demon-błazen nie był nieomylny. Nie zdołał bowiem dostrzec błędów w swojej

analizie sytuacji, z jaką zetknął się na tym świecie. Sam przyznał, że prymitywne istoty, które ukradł z Ziemi, znacznie lepiej rozumieją lokalne zależności i prawdopodobne reakcje, niż on sam.

- Bardzo dobrze - odparł baron po chwili. - Czterech ludzi i sześć koni. Chociaż te liczby są niższe niż w moich szacunkach, ci których straciliśmy, są nie do zastąpienia. Jeżeli będziemy zmuszeni do kolejnej walki z miejscowymi, którzy dodatkowo zawrą między sobą sojusz, a więc będzie ich więcej niż Thoolaasów, nasze straty będą większe, nawet przy najkorzystniejszym układzie. Jeżeli twoi oponenci nie tylko zgromadzą większą armię, ale też przeanalizują to, co spotkało poprzednie plemię i zmienią taktykę, straty po naszej stronie jeszcze wzrosną. Co więcej, kotwiczki, które okazały się tak skuteczną bronią przeciwko Thoolaasom, w następnej bitwie nie będą już dla nikogo zaskoczeniem, a przynajmniej nie na taką skalę. Nawet jeżeli jedyną zmianą taktyki obcych będzie większe zastanowienie przy ataku, a tym samym unikanie pułapek podobnych do tych, jakie zastawiliśmy na Thoolaasów w okolicy brodu, i tak znacznie zwiększą efektywność swoich wojowników, co w odpowiedzi zwiększy nasze straty, jeżeli będziemy musieli ich pokonać.

- Czy żołnierz taki jak ty boi się śmierci? - zapytał demon-błazen.

- Oczywiście, że się boję - odparł. - Każdy boi się śmierci, a już szczególnie wtedy, kiedy nie ma możliwości przyjęcia sakramentów. Jednakże w tym przypadku mówię raczej jako dowódca, który boi się, że każdy stracony człowiek zmniejsza jego siłę militarną, a nie jako ktoś, kto po prostu lęka się śmierci. A kiedy zmniejsza się nasza siła, maleją także szanse na zwycięstwo, którego przecież twoja gildia ode mnie oczekuje.

- A więc nie wierzysz, że uda ci się pokonać sojusz lokalnych plemion?

- Nie powiedziałem tego - odparł sir Jerzy. - Jeżeli rzeczywiście uda się zidentyfikować plemiona, które postanowią wesprzeć cię w walce z Laahstaarami i Mouthai, prawdopodobnie będziemy mogli wykorzystać ich wojowników na polu walki. Jeżeli moje siły będą rdzeniem większej armii nasza skuteczność znacznie wzrośnie, a straty będą mniejsze. Mniej się obawiam tej walki niż dalszej przyszłości pod twoim dowództwem, gdyż mogę nie sprostać twoim oczekiwaniom.

- Rozumiem. To dobrze, że myślisz w kategoriach przydatności dla gildii, ale nie powinieneś teraz się tym martwić. Te decyzje ja podejmuję, zarówno jako twój Dowódca, jak i najstarszy obecny tutaj reprezentant gildii. Ty masz się przejmować tylko właściwym wykonywaniem moich rozkazów. I z najlepszym skutkiem. Mogę brać po uwagę twoje rady i spostrzeżenia, ale w ostatecznym rozrachunku decyzja należy do mnie, a nie do ciebie, i bądź pewny, że ją podejmę.

Sir Jerzy mocniej zacisnął dłonie, złożone za plecami i zmusił się do zachowania milczenia. Demon-błazen przyglądał mu się w milczeniu przez kilka chwil.

- Jednakże podsumowując - odezwał się w końcu mały obcy. - Jestem zadowolony z tego, jak skutecznie ty i twoi żołnierze walczyliście dla mojej gildii. Niebawem skontaktuję się z nimi, aby osobiście wyrazić moje zadowolenie. Dodatkowo, jako nagrodę za waszą odwagę i waleczność, obudzę wasze towarzyszek i młode ze stazy i będziecie mogli razem oczekiwać na dalszy rozwój wydarzeń na planecie obcych. Wierzę, że okażecie mi wdzięczność za tę nagrodę.

- O tak! - odparł sir Jerzy, pokazując zęby w uśmiechu, który nawet demon-błazen musiałby, chociaż może pod presją, uznać za mało szczery. - O tak, Dowódco. Jestem pewien, że wszyscy moi ludzie będą ci wdzięczni i bez trudu zrozumieją, jaki jest powód, dla którego otrzymali taką... nagrodę.

Wartownik, który stał przed pawilonem, wyprostował się jak struna, kiedy sir Jerzy zbliżył się do wejścia. Baron skinął głową w odpowiedzi na salut strażnika, a potem przeszedł pod podniesioną zasłoną, odpiął pas z mieczem i odłożył broń w pochwie na drewniany stojak. Usłyszał ciche stąpanie po luksusowym dywanie, leżącym za jego plecami i odwrócił się z uśmiechem. To Matylda wyszła z jednej z wewnętrznych komór ogromnego namiotu. Podeszła do niego i wspierała się na palce, podsuwając mu usta, a baron ucałował ją głośno.

- Jak ci poszło spotkanie? - zapytała, opadając na pięty, kiedy już skończyli się całować.

- Podobnie jak wszystkie pozostałe - odparł ze wzruszeniem ramion. - Co znaczy, że mogło pójść lepiej, ale także znacznie gorzej.

- Kiedy byłeś chłopcem, kochany, Tymoteusz wpoił ci zbyt wiele filozoficznych nauk - powiedziała Matylda z odrobiną surowości w głosie.

- Dziwne, że akurat ty to mówisz - odparł jej mąż z krzywym uśmieszkiem i wyciągnął rękę po kielich z doskonałym winem, który podał mu jeden z latających służących demonabłazna, oddany mu do dyspozycji. - Mój ojciec, od czasu do czasu, też tak twierdził. Zazwyczaj wtedy, kiedy mój tyłek właśnie oczekiwał na spotkanie z jego pasem na skutek tego, czy owego splotu niekorzystnych dla mnie okoliczności.

- To ani trochę mnie nie dziwi - powiedziała Matylda.

- Tak sobie właśnie pomyślałem. - Wziął drugi kielich z tacy, umieszczonej na szczycie szumiącej cicho metalicznej kuli i pokazał brodą na parę obozowych krzesel, stojących przy stole, który znajdował się tuż obok centralnego masztu pawilonu. Na blacie stały szachy. Matylda przyjęła to zaproszenie bez słów i usiadła na krześle od strony białych figur. Gra została przerwana w dość zaawansowanym stadium i czekała na dokończenie. Sir Jerzy ukrył uśmiech, kiedy zobaczył, że Matylda nawet w tej chwili poświęciła chwilę na ponowne rozważenie sytuacji na szachownicy i zaplanowanie następnego ruchu.

Zatrzymał się jeszcze na krótką chwilę, żeby złożyć kolejny szybki pocałunek na jej włosach, a potem podał jej kielich i zajął drugie krzesło. Wyciągnął przed siebie długie nogi i opadł na oparcie. Pozwolił oczom na chwilę wytchnienia i obrzucił spojrzeniem bogato wyposażony namiot.

Materiał, z którego uszyto pawilon, wyglądał jak najwspanialszy jedwab, ale nim nie był.

W rzeczywistości materia była nawet mocniejsza i lżejsza od jedwabiu, a jednak znacznie efektywniejsza jako ochrona przed warunkami atmosferycznymi. Kołysała się lekko na wietrze, wiejącym pośród obozowiska, a przez cienkie ściany było słycać dziwne, jękliwe pieśni istot, które na tym świecie pełniły funkcję ptaków. Zapachy, które przenikały powietrze, w ciągu tygodni, jakie Anglicy spędzili na tym miejscu, stały się dobrze znajome i zwyczajne, jednakże kiedy skupił się na nich, dostrzegał ich całkowitą odmienność od ziemskich woni. Co prawda z trudem potrafił określić, na czym polegają te różnice, ale nie mógł zaprzeczyć ich obecności. Jakby były kolejną rzeczą, która przypominała mu, że to nie jest planeta ludzi.

Spojrzał przez wyjście na otwartą przestrzeń, jego wzrok Prześlizgnął się po wartowniku, który stał tyłem do namiotu. Kilku młodzieńców ścigało się po łące. Mieli ze sobą wędkę i najwyraźniej udawali się nad rzekę, płynącą po zachodniej stronie obozowiska. Był wśród nich Edward i baron pokiwał głową z zadowoleniem, kiedy zauważył, że za gromadką idą dwaj mężczyźni w pełni uzbrojeni i odziani w pancerze, przydzieleni do ich pilnowania. Nie miał wątpliwości, że przy kolacji Edward uraczy jego i Matyldę opowieścią o ogromnej rybie, która chyba tylko cudem umknęła mu w ostatniej chwili. I że strażnicy z pełną powagą poświadczą wielkość utraconej zdobyczy. Szkoda, że Komputer musiał ich ostrzec przed rybami tego świata, które były śmiertelnie trujące dla ludzi, ale to i tak nie zmniejszyło wielowiekowej fascynacji wodą, wędkami i przynętami, które zawsze pociągały chłopców w wieku Edwarda.

Patrzył, jak dzieci znikają mu z pola widzenia, a potem spojrzał na sam obóz. Wszystkie namioty były prawie tak luksusowe, jak jego własny, postawiono specjalnie dla rycerzy jego armii. Poza nimi w obozowisku stało wiele skromniejszych namiotów, gdzie spali oficerowie i sierżanci. Zwykli żołnierze spali po dwunastu w mniejszych pawilonach, ustawionych wokół głównego namiotu i sięgających aż do palisady i ziemnych wałów, które otaczały obozowisko. Na stanowczą prośbę sir Jerzego, demon-błazen dostarczył małe, dwuosobowe namioty dla każdego mężczyzny, któremu towarzyszyła żona. Samotne kobiety wraz z dziećmi mieszkały w dwóch dużych pawilonach, pilnie strzeżonych przez dzień i noc przez przydzielonych do tego zadania strażników.

Przed kilkoma namiotami paliły się ogniska, chociaż tak naprawdę nie było takiej potrzeby. Każdy namiot wyposażony był w „grzejniki”, które dawały wystarczającą ilość ciepła. Sir Jerzy pomyślał sobie, że niektórzy mogliby to uznać za niepotrzebne marnotrawstwo opału. Ale dla Anglików był to jeszcze jeden sposób na udawanie, że tak naprawdę coś ich jeszcze łączy z poprzednim życiem, a w tym nie było nic głupiego.

Mimo braku jakichkolwiek uczuć, malujących się na twarzy demona-błazna, z jego komentarzy jasno wynikało, że był... zakłopotany prośbą barona, który chciał założyć obozowisko poza terenem statku. Pod wieloma względami rozumiał on wątpliwości Dowódcy. Chociaż namioty były bardzo wygodne, i tak nie dawały się porównać z pełnym cudowności i udogodnień pokładem statku. Pawilony zostały tak starannie wyposażone, że nawet najniższy w hierarchii żołnierz mógł poszczycić się kwaterą dorównującą pomieszczeniom koronowanych głów na Ziemi. A ponadto obozowisko dawało ludziom jeszcze coś, co było absolutnie bezcenne - iluzję, chociaż kruchą i przelotną, że ciągle są wolnymi ludźmi.

Spojrzał na odłożony na półkę miecz i w chwili kiedy jego prawa dłoń unosiła kielich do ust, lewa opadła na pas i dotknęła pochwy ze sztyletem, tak jakby chciała się upewnić o jej obecności. Na pokładzie statku demona-błazna baron i jego ludzie mieli całkowity zakaz noszenia broni, z wyłączeniem mieczy treningowych o stępionych ostrzach, ale nawet te kiepskie namiastki musiały być oddawane pod koniec każdego treningu. Żaden człowiek nie mógł także nosić na sobie zbroi poza salą, gdzie odbywały się ćwiczenia. A także żadnego przedmiotu, wykonanego ze stali czy żelaza.

Tutaj jednakże było inaczej. W pewnym zakresie musiało być. Komputer, z pomocą sir Jerzego, wybrał miejsce na obozowisko. To maszyna wreszcie powiedziała mu, że świat obcych nazywa się Shaakun. Obóz znajdował się na tyle daleko od miejsc zamieszkałych przez lokalne plemiona, że atak był raczej mało prawdopodobny. Oczywiście nieprawdopodobny nie znaczy to samo, co niemożliwy, tak więc sytuacja wyglądała nieco podobnie do tej, która miałaby miejsce we Francji, gdyby kiedykolwiek tam dotarli. Broń i zbroje musiały zawsze być pod ręką. To prawdopodobnie było dość głupie, biorąc pod uwagę nieskuteczność broni w starciu z demonem-błaznem, co zresztą obcy dobitnie im zademonstrował, ale posiadanie pod ręką dobrego, uczciwego miecza, lancy, czy łuku sprawiało, że ludzie, którzy zaczynali czuć się jak przedmioty, znów stali się ludźmi.

Raczej nie sądził, że demon-błazen rozumiał ich na tyle, aby to rozpoznać. Z pewnością ta mała zabawnie wyglądająca istota wykazała się bezbłędną umiejętnością mówienia całkowicie nieodpowiednich rzeczy w zupełnie nieodpowiednich chwilach. Sir Jerzy czasami zastanawiał się, czy jego Dowódca zaznajomił się chociaż z jednym traktatem, który mówiłby, jakie słowa dowódca powinien kierować do swoich podwładnych, aby zagrzać ich do walki. Obcy zachowywał się jak jakiś urzędnik, który napchał sobie głowę wiedzą z ksiąg i brzydził się jakimkolwiek kontaktem z rzeczywistością, czy doświadczeniem! Jednakże, jeżeli naprawdę przeglądał go z pewnością był on bardzo kiepski... albo może napisany dla

istot, które ani trochę nie były podobne do ludzi, pozostających pod komendą barona.

Skrzywił się lekko, tak jakby chciał się uśmiechnąć na wspomnienie idiotycznej przemowy, jaką demon-błazen wystosował do zebranych żołnierzy po zwycięstwie odniesionym nad Thoolaasami. Powiedział w niej, że nagrodą za zwycięstwo będzie możliwość rozbicia obozowiska poza pokładem statku, a ponadto wszyscy pozostali ludzie, także kobiety i dzieci, zostaną wybudzeni ze stazy i zamieszkają w namiotach wraz z nimi. Gdyby Dowódca miał choć odrobinę wyczucia, ograniczyłby się do suchego przekazania tych dwóch ogłoszeń, a resztę, czyli zagrzewanie do następnej bitwy, pozostawiłby w gestii sir Jerzego. Nie był jednak w stanie zrobić nic tak sensownego, tak więc oddział stał na baczność przez prawie całą godzinę, podczas gdy demon-błazen swoim piskliwym głosem bełkotał o „heroicznej odwadze” i „niespotykanym męstwie” oraz „bezwzględnym oddaniu dla dobra naszej gildii”. Tylko groźne spojrzenia oficerów i jedna, czy dwie krwiozercze groźby, które wymuskiły się z na wpół otwartych ust Rolfa Grayhama i Davida Howice'a powstrzymały ludzi przed otwartymi wybuchami śmiechu i wesołości. Sir Jerzy nie winił swoich ludzi, ale naprawdę odetchnął z ulgą, kiedy demon-błazen wreszcie skończył i jego pojazd zabrał go z powrotem na statek. Dowódca mógłby zareagować w nieprzewidywalny sposób, gdyby zorientował się, że jego „lojalni i odważni wojownicy” śmieją się z jego napuszonej przemowy.

Może baron źle go oceniał? Było całkiem możliwe, że demon-błazen wcale by się nie przejął brakiem szacunku. W końcu czemu taka zaawansowana cywilizacyjnie istota jak on miałaby się przejmować tępymi i prymitywnymi uwagami takich barbarzyńców, jak ludzie?

- Znowu wyglądasz, jakbyś się nad czymś poważnie zastanawiał - powiedziała Matylda, a baron potrząsnął głową i znów skoncentrował uwagę na żonie.

- Wybacz mi, kochana. Przypominałem sobie właśnie przemowę naszego Dowódcy, tę, która miała miejsce tuż po bitwie. Szkoda, że tego nie słyszałaś.

- Też żałuję - odparła, ale obrzuciła go jednocześnie badawczym spojrzeniem. Baron wzruszył ramionami. Bez wątpienia miała prawo się martwić, gdyż wymuskiło mu się zbyt wiele prawdy na temat tej „inspirującej mowy”, kiedy o niej opowiadał. Wyglądało na to, że Komputer doskonale słyszał ich rozmowy w zasadzie w każdym punkcie obozowiska. Zresztą jasno poinformował ich, że słyszał dobrze, o czym rozmawiał w namiotach i pawilonach, a to znaczyło, że monitoruje ich rozmowy, tak samo, jak robił to na pokładzie statku. Baron, ojciec Tymoteusz i sir Ryszard odkryli w obozowisku cztery, czy pięć miejsc, gdzie Komputer nie odpowiadał na wezwanie, a sir Jerzy dokładnie zapamiętał te miejsca, ale nawet tam nie odważyłby się na prowadzenie jakichkolwiek ryzykownych konwersacji. To, że

Komputer nie odpowiadał na ich wezwania nie znaczyło jeszcze, że ich nie słyszał.

Z drugiej strony powoli dochodził do wniosku, że bariera komunikacyjna istniała w obu kierunkach. Baron nie był w stanie rozpoznać emocji swego rozmówcy na skutek upośledzonego tłumaczenia, które nie oddawało tonu głosu, ale demon-błazen miał ten sam problem. Nie odważyłby się na przetestowanie swego spostrzeżenia, ale był ze sobą na tyle szczery, żeby przyznać, że podczas kilku rozmów z Dowódcą nie do końca udawało mu się kontrolować emocje. Ten jednak wydawał się nie dostrzegać tych uchybień.

- Powróćmy do mojego pierwszego pytania - mówiła dalej Matylda. - Jak poszło twoje spotkanie z Dowódcą?

- Rzeczy mają się tak, jak przewidywałem - powiedział jej, ponownie wzruszając ramionami. - Laahstaarowie i Mouthai nie przestają wrzeszczeć i ciskać gromów, i nie zamierzają przystać na warunki gildii. Nie wspominając o krwawych groźbach pod naszym adresem. Komputer świetnie sobie poradził i udało mu się podsłuchać nawet ich tajne narady - kontynuował, unosząc jedną brew, a jego żona pokiwała szybko głową, żeby dać mu znać, że zrozumiała aluzję. - I wydaje się prawie pewne, że przywódca uważa, że kiedy nas pokona, jego plemię zajmie miejsce Thoolaasów, czyli plemienia królewskiego. Z tego, co mówił do swoich podkomendnych, przywódcę Mouthai czeka niespodziewany śmiertelny w skutkach wypadek w trakcie bitwy z nami. Laahstaar nie zamierza dzielić się z nikim władzą ani wpływami, tak jak to robili Thoolaasowie.

- Zupełnie jak w domu - mruknęła Matylda z uśmiechem i sir Jerzy skinął głową.

- Mnie to raczej przypomina spory szkockich klanów z irlandzkimi królami - zgodził się. - A już szczególnie, że Mouthaiowie planują dokładnie to samo, co Laahstaarowie.

- O matko - Matylda potrząsnęła głową. - To strasznie nieuczciwe, że takie niewiniątka wpadają w łapy kogoś takiego, jak ty, kochanie.

- Nie w moje - skorygował sir Jerzy. - W łapy Dowódcy. Ja jestem tylko najmniej znaczącym doradcą, podobnie jak Komputer. Ostateczna decyzja należy całkowicie do niego.

- Oczywiście - powiedziała szybko z lekko zmienionym wyrazem twarzy. Sir Jerzy pomyślał sobie, że trochę się przestraszyła, więc wyciągnął rękę ponad stołem i dotknął delikatnie jej policzka. Wiedział, że Matylda obawiała się, że demon-błazen może uznać kompetentnego podwładnego za zagrożenie. - Biorąc pod uwagę okrucieństwo dziwnie wyglądającego obcego i pogardę, jaką żywił dla niechcianych ludzkich żołnierzy, ani Matylda, ani sir Jerzy, jeśli już o tym mowa, nie mieli wątpliwości, że jeżeli ktokolwiek z nich w oczach Dowódcy stanie się zagrożeniem, umrze bardzo szybko.

On sam doskonale rozumiał obawy swojej żony, i nie zamierzał ich ignorować, ale w

miarę upływu czasu przekonywał się coraz bardziej, że demon-błazen w żadnym wypadku nie jest w stanie nawet przez chwilę rozważać możliwości, że baron, albo którykolwiek inny człowiek, mogą stać się choć cieniem zagrożenia dla tak wspaniałej i cywilizowanej istoty, jak on.

Dowódca podjął wiele kroków, mających na celu zabezpieczyć samego siebie i statek. Żaden człowiek nie był w stanie otworzyć luków i drzwi, które prowadziły poza obszar statku, jaki został im przydzielony. Żaden z nich nie mógł nosić przy sobie broni, a przez cały czas pilnowali ich brodawkowaci (którzy, jak poinformował go Komputer byli członkami rasy zwanej Hathori), tak aby ludzie ani przez chwilę nie zapominali o swoim statusie. Nawet tutaj, w odizolowanym obozowisku, znajdował się pełen oddział ciężko opancerzonych i uzbrojonych w topory Hathori. Zazwyczaj obcy zajmowali wzgórze, wznoszące się ponad obozowiskiem, na którym stał „lądownik”, umożliwiający kontakt ze statkiem. Anglicy mieli teraz broń, i po tym, jak pokonali Thoolaasów, nawet tak głupie istoty jak Hathori musiały zdać sobie sprawę, że sir Jerzy i jego ludzie rozprawią się z nimi bez problemu, kiedy tylko przyjdzie im do głowy taka myśl. Ale demon-błazen ani trochę się tym nie przejmował. Hathori tak naprawdę nie byli strażnikami ludzi. Mieli być tylko siłą bijącą na alarm przy pierwszym objawie buntu. Gdyby ludzie byli tak głupi, żeby ich zaatakować, zemsta demona-błazna spadłaby na nich w jednej chwili i zniszczyła całkowicie. I wiedzieli o tym bardzo dobrze.

Jednakże mimo wszystkich tych zabezpieczeń, a może właśnie z ich powodu, demon-błazen nigdy tak do końca nie uwierzył, że którykolwiek z jego barbarzyńskich, prymitywnych najemników tak naprawdę może mu zagrozić. Nawet jeżeli spróbowaliby, jego urządzenia bez trudu zdławią bunt i prawdopodobnie dlatego właśnie nie dbał o to, co ludzie mogą myśleć i robić. Z pewnością sir Jerzy, gdyby był na jego miejscu, nie zachowywałby się tak bez troski.

Oczywiście nie żeby to w ogólnym rozrachunku robiło jakąkolwiek różnicę, ponieważ nawet jeżeli byli doświadczonymi wojownikami, urządzenia demona-błazna naprawdę spełniały swoją funkcję. Baron obawiał się nawet marzyć o ucieczce. I chociaż nie mógł się powstrzymać przed codziennym rozważaniem możliwości przechytrzenia Dowódcy i powrotu do domu, jak do tej pory nie znalazł nawet najłżejszej rysy w systemie zabezpieczeń obcego. Było to tym bardziej irytujące, że powodzenie planu zależało od opanowania „technologii” demona, a niestety całkowita lojalność Komputera wykluczała jego, przecież niezbędną, pomoc. Bez „technologii” Dowódca, załoga statku, Hathori prawdopodobnie nawet milczący i tajemniczy jaszczuroludzie nie stanowiliby trudnego przeciwnika dla weteranów sir Jerzego.

Ale niestety demon-błazen miał przewagę i baron nie pozwalał sobie na zapominanie o tym.

- Ale tymczasem - kontynuował z wymuszonym uśmiechem na twarzy. - Plemiona, które postanowiły zaakceptować naszą... a raczej Dowódcy... ofertę, zaczynają podejmować konkretne kroki. Dwa z nich już podjęły decyzję i zaprzysięgły wieczną lojalność i posłuszeństwo Dowódcy i jego gildii. - Przewrócił oczami i Matylda zasłoniła sobie usta dłonią, aby powstrzymać śmiech. - Co najmniej cztery inne skłaniają się ku temu samemu rozwiązaniu, a mechaniczni posłańcy Komputera i Dowódcy negocjują z kilkoma jeszcze innymi.

- A druga strona? - zapytała Matylda.

- Wydaje się bardzo prawdopodobne, że Laahstaarowie i Mouthai przyciągną do siebie więcej plemion, niż my - przyznał wzruszając ramionami. - Komputer i ja ciągle próbujemy poczynić chociaż prawdopodobne oceny i przeliczyć te uwarunkowania na jakieś choć przybliżone liczby, które będą wchodzić w grę, kiedy dojdzie do bitwy. Jednak sytuacja ciągle jeszcze się nie wyklarowała. W danej chwili zakładam, że wraz z naszymi sprzymierzeńcami będzie nas półtora razy mniej. Oczywiście te liczby mogą się jeszcze zmienić, ale sądzę, że bardzo mało.

- To znaczy, że będą mieć sporą przewagę - powiedziała Matylda cierpko i uśmiechnęła się.

- Ja też bym wolał, żeby przewaga była po naszej stronie - przyznał. - Szczególnie, że Laahstarowie najwyraźniej wzięli sobie do serca to, co przydarzyło się Thoolaasom. Myślę, że będą dużo bardziej ostrożni, niż ich poprzednicy... a przynajmniej będą próbować za wszelką cenę. Chociaż zawsze łatwiej jest dowódcy zachować ostrożność i rozwagę, niż przekonać oddziały, żeby postępowały tak samo. Kiedy zaczyna się bitwa, to żołnierze mają największe znaczenie, a te istoty są tak przyzwyczajone do bezpośredniej szarży na oślep, że nie sądzę, aby jakikolwiek dowódca był w stanie nad nimi zapanować i zmusić do zmiany taktyki.

Ale nawet jeżeli zdołają zebrać dużo większe siły niż my, z pewnością będą potrzebować wielu tygodni, aby dorównać nam organizacją, dyscypliną i sprawnym dowództwem. To będzie gorsze, niż próba zapanowania nad armią Anglików, kochanie, chociaż nigdy nie sądziłem, że coś może być gorsze od tego! I kiedy oni będą zajęci sobą, Rolf, Walter i ja zajmiemy się szkoleniem naszych sprzymierzeńców. A kiedy już wyszkolimy tych ich oszczepników i przygotujemy, aby mogli współpracować z łucznikami, jestem pewien, że damy sobie radę z siłami, jakie Laahstaarowie i Mouthai rzucą przeciwko nam.

- Ale kosztem jakich strat? - zapytała Matylda cicho, a jej piękne niebieskie oczy

posmutniały. Sir Jerzy uśmiechnął się do niej, aby dodać jej odwagi. Wiedział, że jego żona martwi się śmiercią każdego żołnierza, ale zdawał sobie sprawę, o kogo chodzi jej przede wszystkim.

- Mężczyźni giną w bitwach, Matyldo - powiedział łagodnie. - Nawet wtedy, kiedy mają lokalnych sprzymierzeńców. I wiem, że część naszych ludzi zginie w niedalekiej przyszłości. Ale myślę, że niewielu. - Popatrzyła na niego płonącymi oczyma, a baron spokojnie oddał spojrzenie. - Mówię prawdę, kochanie - powiedział. - Zanim zmierzyliśmy się z Thoolaasami nie miałem pojęcia, jak dobre są nowe zbroje i broń, dostarczone przez Dowódcę. Najmniej ważny i najgorzej wyposażony żołnierz naszej piechoty jest równie doskonale opancerzony jak rycerze, służący pod królem Edwardem we Francji, a nasze konie mają lepsze osłony niż te, które widziałem na polach bitewnych Ziemi. Nasza broń jest o niebo lepsza od tej, jaką posiadają miejscowi, podobnie jak doświadczenie i trening. Dlatego jestem przekonany, że nasze straty będą niskie, chyba że zły los sprawi, że poniesiemy całkowitą klęskę, ale to mało prawdopodobne.

- Ja to wiem, tutaj - powiedziała, dotykając czoła. - Ale tam - pokazała na serce. - Rozum nie ma przystępu. Jesteś dobry mężem i dobrym człowiekiem, Jerzy, i kocham cię. Ale myślę też, że czasem nie do końca rozumiesz, jak trudno jest patrzeć na kogoś, kogo kochasz, kiedy wyrusza na wojnę, a ty nie możesz jechać wraz z nim.

- Prawdopodobnie nie - zgodził się z nią i znów pogłaskał ją po policzku. - Ale chociaż rozumiem dobrze, dlaczego tak mało zazdroszczę ci tego ciężaru - mówił dalej. - I zrobiłbym wszystko, żeby ci tego oszczędzić. Ale niestety tutaj jeszcze bardziej nie mam wyboru, tak jak nie miałem go w Anglii. I przynajmniej wiem, że nasz Dowódca traktuje nas jako „cenny nabytek” i dlatego zadba o nasze bezpieczeństwo, o ile będzie to możliwe. - Uśmiechnął się i dodał lżejszym tonem. - A ty nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, moja pani! Nawet jeżeli padnę w bitwie, Lekarz i jego sztuczki przywrócą mnie do życia.

- To nie był najśmieszniejszy dowcip, jaki w życiu od ciebie słyszałam, Jerzy - odparła i sir Jerzy, który spojrzał jej w oczy, natychmiast przestał się uśmiechać.

- Masz rację - powiedział. - Nie był. Wybacz mi.

- Oczywiście, że ci wybaczam, ty głupcze! - zawołała, złapała go za rękę i ścisnęła mocno. - Wybacz mi, że byłam taka głupia i tak opatrnie zrozumiałam twoje słowa. Wiem, że chciałeś mnie tylko uspokoić. Ale...

Zamilkła i zadrżała lekko, a on pokiwał głową ze zrozumieniem i uściśnął lekko jej dłoń. Demon-błazen miał rację. Jedenastu martwych ludzi wróciło do nich od Lekarza i reakcja pozostałych na ten niespotykany fakt mogła być naprawdę katastrofalna. Baron podejrzewał,

że tylko ostrzeżenie, jakie demon-błazen przekazał im jak zwykle lekkim tonem powstrzymało żołnierzy od gorszego jeszcze zachowania, chociaż przyjęcie zmartwychwstańców i tak było okropne.

Ozdrowieńcy nie pamiętali nic od chwili, kiedy zostali powaleni na ziemię, aż do momentu, kiedy odzyskali przytomność w pomieszczeniach Lekarza. A przynajmniej nie były to jasne wspomnienia. Po powrocie przez dzień czy dwa ich reakcje były spowolnione, a myśli przytępione. Zachowywali się trochę jak ludzie, którzy nadużyli wina, a ich ruchy parodiowały sposób poruszania się niektórych mechanicznych urządzeń demona-błazna. Z trudem rozpoznawali swoje imiona, kiedy je słyszeli, a na pytania odpowiadali bez sensu i bełkotliwie jakby byli niespełna rozumu.

Wszyscy ranni, którzy trafili do Lekarza, ozdrowieli w nieprawdopodobnym tempie. Tylko niektórzy pamiętali dokładnie, w jaki sposób uleczono ich rany. Jeden czy dwóch mówiło o tym, jak zamknięto ich w ciasnej, dopasowanej do kształtu i jakby kryształowej kabinie, z której wystawała tylko głowa, a do środka napuszczono czegoś, co przypominało czyszczącą mgłę, z jaką mieli do czynienia w łaźniach na statku. Ale ten opar był inny... mocniejszy, gęstszy, raczej jak płyn, a nie jak gaz, a kiedy omywał ich ciała, parzył i powodował mrowienie. Wszyscy zgodzili się, że to nie bolało, chociaż nie wszyscy mieli jednakową co do tego pewność. To było... inne uczucie. Nie potrafili go opisać, a sir Jerzy miał nadzieję, że sam nigdy nie będzie musiał tego doświadczyć.

Jednakże, czymkolwiek było i jakkolwiek działało, zostawiło na ciele rannych pewne ślady. Ranne części ciała zmieniły kolor na ciemnoczerwony. Nie był to kolor krwi, ale raczej głęboki odcień gotowanego homara, jaki często obserwuje się na skórze głupich Anglików, wystawiających się na palące słońce Hiszpanii albo wybrzeży Morza Śródziemnego. Mimo "oparzeń", skóra nie bolała ani nie była wrażliwa na dotyk, a po kilku dniach zabarwienie całkowicie ustępowało.

Jedenastu Łazarzy także miało na skórze ten sam odcień czerwieni, ale w odróżnieniu od reszty, cali ulegli przebarwieniu. Kolor bladł wolniej niż u pozostałych. Sir Jerzy podejrzewał, całkiem logicznie, że ten sam znak sprawi, że ranni i wskrzeszeni będą czuli się w jakiś sposób zjednoczeni w nieszczęściu, które ich spotkało, ale tak się nie stało. Wręcz przeciwnie, czerwona skóra jeszcze zwiększyła strach i popłoch, jaki wzbudzali wskrzeszeni wśród niemalże wszystkich pozostałych żołnierzy, kiedy się wśród nich pojawiali.

Nie, pomyślał sobie. Bądźmy szczerzy. Nie tylko żołnierze się ich bali, ale także on sam czuł lęk, mimo ostrzeżeń demona-błazna. Naprawdę mogło dojść do nieszczęścia, gdyby nie ojciec Tymoteusz. Dzięki Bogu był na tyle rozsądny, że wziął księdza na bok i przestrzegł go

tak szybko, jak tylko mógł! Tymoteusz był nie mniej zaszokowany. A tak naprawdę, jego przerażenie było jeszcze większe, ponieważ zawsze uczono go, a on nauczał innych, że cudowne ozdrowienia i uleczenia są darami od Boga, a nikt przy zdrowych zmysłach nie uznałby demona-błazna za jednego z boskich świętych!

Na szczęście ojciec Tymoteusz miał prawie całe dwa dni, aby przygotować się na najgorsze. Sporą część tego czasu spędził na modlitwach i poście, szukając boskiego przewodnictwa, a kiedy wreszcie wyłonił się ze swojej samotni, jego oczy były spokojne i pełne wiary. Podczas gdy wszyscy żołnierze uciekali przed wskrzeszonymi jak przed trędowatymi, wykonując gesty mające chronić przed złem, a nawet wyciągając broń, Tymoteusz wziął ich pod swoje skrzydła niczym jakiś potężny, białobrody wysłannik niebios. Potężnym głosem rozwiewał lęki żołnierzy i wzywał ich do zaakceptowania cudownego boskiego postępu, nawet jeżeli okoliczności aktu były co najmniej dziwaczne i nietypowe. Nawet aniołowie byliby z niego dumni. A potężni wojownicy, którzy nie cofali się przed niczym, wyglądali jak mali chłopcy, którzy kulą się ze strachem przed gniewem swego nauczyciela, kiedy jego dudniący głos dopadał ich znieca.

Jednakże mimo zaangażowania ojca Tymoteusza, ciągle wśród żołnierzy czał się strach. Po pierwsze wszędzie dźwięczało niewypowiedziane pytanie - czy ludzie, którzy do nich powrócili są naprawdę tymi samymi, którzy odeszli. Czy to są ci sami ludzie? A może ktoś ich podmienił? Może to puste ciała, ożywione przez... coś innego?

Sir Jerzy naprawdę wierzył, że ojciec Tymoteusz ma rację. Oczywiście, że ma! W końcu Bóg może posłużyć się kimkolwiek chce, nawet demonem-błaznem, który samą swoją osobą urągał Ziemi, stworzonej przez Pana. Ale ciągle...

- Ufam Tymoteuszowi - powiedział do Matyldy stanowczo.

- Jeżeli on mówi, że zmartwychwstanie jest cudem bożym i tak mamy je postrzegać, to kimże jestem, aby się z nim spierać? Ale obawiam się, że nawet jeżeli mu ufam i wierzę, że ma rację, moje emocje to coś zupełnie innego niż wiara i intelekt. - Uśmiechnął się do niej. - Nie tylko ty nadal uważasz, że całe to zdarzenie jest osobliwe, moja pani! I gdybym ja też w ten sposób tego nie postrzegał, nie byłbym tak głupi, żeby próbować stłumić swoje obawy niestosownym żartem.

- Obawiam się, że w przyszłości będziemy świadkami kolejnych osobliwych zjawisk i będziemy musieli się dostosować - odparła i po raz ostatni uścisnęła jego dłoń. Potem puściła ją i opadła na oparcie obozowego krzesła. Pociągnęła łyk wina.

- Zawsze miałaś dar operowania niedomówieniami, kochanie - powiedział drwiąco, a Matylda prychnęła.

- Powiedz raczej, że zawsze miałam tę wadę, że mówiłam to, co mi pierwsze przyszło do głowy, a będziesz bliżej sedna!

- Raczej nie, chociaż czasami zdaje mi się, że twój ojciec prawdopodobnie nie miał pojęcia, co czyni, kiedy zachęcał cię do nauki czytania. Biedny, niczego się nie spodziewający świat!

- Och, myślę, że on doskonale wiedział, co się stanie - odparła z uśmiechem. Z czasem ból spowodowany stratą ojca coraz mniej dawał o sobie znać. - Myślę, że był więcej, niż szczęśliwy, że jego najmłodszym dzieckiem jest akurat córka, którą mógł bezkarnie psuć i nie sądzę, żeby się martwił tym, jaki kłopot sprawia nieszczęsnemu człowiekowi, który w przyszłości postanowi zostać jego zięciem! - Prychnęła ponownie. - W zasadzie podejrzewam, że on to zrobił specjalnie, gdyż chciał abym była tak samo twardym przeciwnikiem dla swojego małżonka jak on sam!

- Prawdopodobnie masz całkowitą rację - zgodził się sir Jerzy i teraz to on się zaśmiał. Po chwili przestał patrzeć z uczuciem na swoją żonę.

Wiedział, że jest nieszczęśliwa z powodu tego, że dała mu tylko jedno dziecko. Zanim urodziła Edwarda, poroniła dwukrotnie, a po narodzinach syna straciła jeszcze dwoje następnych dzieci. Myśl o tym, że nie jest w stanie dać mu kolejnego potomka, który będzie gwarancją sukcesji ciężko wywalczonych ziem i tytułów sprawiała, że naprawdę cierpiała i uważała, że jest to jej największa porażka. Cóż, sir Jerzy dzielił jej smutek, tak samo jak żal i ból po stracie kolejnych dzieci. Spędził wiele bezsennych nocy u łóżka Edwarda, który niejednokrotnie leżał słaby, zmożony jakąś dziecięcą chorobą i martwił się tym, jak wiele planów i nadziei wiąże z tym jednym jedynym tak kruchym przecież potomkiem. Było tak wiele chorób, na jakie mogło umrzeć dziecko, zanim wzięłoby w posiadanie swoje dziedzictwo. Tak wiele nieszczęśliwych wypadków, i nie było dnia, żeby baron o tym nie myślał.

Mimo tego wszystkiego, nawet przez chwilę nie rozważał na poważnie możliwości wzięcia do łóżnicy innej kobiety, która obdarzyłaby go synami i potomkami, co wielu szlachetnie urodzonych uznałoby za postępek całkiem sensowny i niezbędny. Był tylko człowiekiem i wielokrotnie, szczególnie kiedy był poza domem i tęsknił, a jednocześnie w dwójnasób zdawał sobie sprawę ze swojej śmiertelności, odczuwał różne pokusy. Niektóre były bardzo silne, gdyż baron był mężczyzną pełnym wigoru, a w pobliżu zawsze znajdowała się atrakcyjna kobieta. To były tylko chwile, nic więcej. Niektórzy jego towarzysze drwili sobie z jego wierności i wstrzemięźliwości, jednak tylko najbliżsi mieli czelność mówić mu to prosto w twarz, gdyż sir Jerzy Wincaster był człowiekiem porywczym i niewielu miało

odwagę stawić mu czoła na udeptanej ziemi.

Chociaż docinki w większej części miały w sobie duży ładunek zawołanego podziwu... podziwu mężczyzn, którzy widzieli kogoś, kto postępuje tak, jak oni nigdy nie byliby w stanie. I chociaż męczyło ich podejrzenie, że także powinni tak postępować, tak naprawdę wcale nie mieli na to ochoty. Ale prawda była taka, że dla niego to nigdy nie było problemem. Częściowo dlatego, że był człowiekiem, który poważnie podchodził do obietnic i przysiąg, a przecież podczas ślubu złożył swojej żonie poważną obietnicę. Ale chociaż zapewniał siebie samego, że to właśnie przysięga małżeńska i żelazne poczucie honoru broniło go przed pokusami, wiedział, że dwa pozostałe powody były nie mniej ważne. Po pierwsze, podczas swoich rozlicznych podróży nigdy nie spotkał kobiety piękniejszej i bardziej pociągającej niż jego małżonka. A po drugie, co było znacznie ważniejsze, baron kochał swoją żonę bardziej niż siebie samego, bardziej nawet niż honor. Co mogło wydawać się nieco nieludzkie. Mógł być tak samo niezdarny i niezręczny jak każdy inny człowiek. Mógł ranić ją swoją bezmyślnością albo beztroską. Mógł nawet, chociaż przelotnie, gniewać się na nią i chłostać ją okrutnymi słowami, których potem żałował. Ale jednej rzeczy po prostu nie mógł zrobić, i wiedział o tym. Nie był w stanie jej zdradzić ani uderzyć. Prędzej by umarł.

Część jego myśli musiała pokazać się na jego twarzy, ponieważ oczy Matyldy złagodniały i baron odetchnął głęboko, kiedy po raz tysięczny zachwycił się jej pięknem. Wiedział, że nie każdy nazwałby ją pięknnością. Była zbyt wysoka jak na kobietę, Wyższa od wielu mężczyzn. Miała wydatny nos i mocno zarysowaną szczękę, co świadczyło o jej niezłomnej woli i upartym charakterze. Nie dość, że była zbyt wysoka, miała zbyt szerokie ramiona i długie, mocne palce, w niczym nie przypominające białych, delikatnych paluszków „prawdziwych” szlachcianek. Poruszała się z gibkością i zręcznością wieloletniego jeźdźca. Przy energicznym usposobieniu, suknie zawsze ograniczały jej swobodę ruchu, a przepiękne złote włosy często upinała w ciasny węzeł, aby nie przeszkadzały jej w lekturze ulubionej książki, albo w codziennych zapiskach, czy przy szkicowaniu rysunków, którymi zapełniała całe stronnice od czasu, kiedy jej ojciec sprowadził włoskiego malarza. Miała wtedy trzynaście lat. Jej twarz była owalna, a figura bardzo szczupła. Przy swoich dwudziestu dziewięciu latach często była zatem brana za nastolatkę. A ponadto każdy mieszkaniec zamku Wickworth mógł dodać, że miała temperament godny samego szatana. Każdemu, kto by spytał powiedziałby także, że nie była mściwa, a gniew wzbudzały w niej nikczemne postęпки oraz kłamstwo, bezmyślność i niesprawiedliwość.

Lady Matylda Wincaster nie była żoną dla każdego... ale baron nie wyobrażał sobie innej

kobiety u swego boku. Przeszył go zimny dreszcz, kiedy po raz kolejny zdał sobie sprawę, jak potężne narzędzie nacisku trzyma w dłoniach demon-błazen, chociaż prawdopodobnie nie jest tego świadom.

- Znowu masz ten wyraz twarzy - powiedziała.

- Naprawdę?

- Tak, w rzeczy samej. A w dodatku jest środek dnia - dodała afektowanym tonem.

Sir Jerzy wyjrzał przed namiot. Mętne słońce Shaakun skłaniało się ku zachodowi, na wpół schowane za najwyższe gałęzie wrzecionowatych drzew, otaczających obozowisko od tej strony. Baron popatrzył na żonę.

- Południe już dawno minęło - zaprzeczył spokojnie.

- Co najwyżej godzinę temu - odparła. - A co z Edwardem?

- On i jego koledzy nie wrócą znad tego swojego grajdołka jeszcze przez kilka godzin - powiedział z pełnym przekonaniem.

- Być może nie. Ale przecież nie tylko on może tu przyjść, żeby się z tobą spotkać, prawda?

- Prawda, ale tylko on tu wpadnie bez pukania.

- Och, więc jesteś taki pewny, że ojciec Tymoteusz nie przyjdzie do nas, aby podyskutować o ostatniej niedyskrecji Elżbiety Goodthorne? Albo sir Ryszard i Walter nie dojdą do wniosku, że dzisiejszy wieczór jest doskonałą porą na omówienie sposobu reorganizacji konnej straży przybocznej? Albo Rolf i David nie przyjdą...

- Nie, ale jestem pewien, że jeżeli powiem strażnikowi przed namiotem, aby mówił im wszystkim, że jestem... zajęty, zostawią nas w spokoju - powiedział jej z lekkim uśmiechem.

- Jestem zaszokowana! Jestem przerażona, że takie myśli przychodzą ci do głowy w chwili, kiedy masz tyle obowiązków, mój panie!

- Obarcz lepiej winą naszego Dowódcę, który ubrał cię w to coś, a nie szukaj słabości po mojej stronie - zasugerował, a Matylda roześmiała się perliście niczym trącone struny harfy. Podejrzewał, że prawidłowo myślący mąż powinien być całkowicie przeciwny temu, aby jego żona paradowała publicznie w tym jednoczęściowym, obcisłym stroju, który praktycznie wszystko odsłaniał. Ale po prawdzie, ten niewiarygodnie nieskromny ubiór doskonale leżał na jego wysokiej, szczupłej żonie. Nie wszystkie kobiety, które były zmuszone go nosić, były tak szczęśliwie zbudowane, chociaż do tej pory wszystkie musiały się z tym pogodzić i podporządkować, gdyż nie miały innego wyjścia. Ale sir Jerzy doszedł do wniosku, po wcale niełatwej walce ze swoim własnym sumieniem, że z tą innowacją demona-błazna godzi się w całej rozciągłości.

- A, jeżeli mogę spytać, co dokładnie miałeś na myśli, mój panie? - zapytała.

- Oczywiście, że możesz pytać, pani - odparł z całą powagą, zakłóconą jedynie wesołymi iskierkami w oczach. - Jednakże zdaje mi się, że biorąc po uwagę okoliczności, łatwiej mi będzie po prostu ci to pokazać, a nie wytłumaczyć.

- Czy naprawdę? - zatrzepotała rzęsami.

- O tak - odparł miękko, wstał i podszedł do niej, obchodząc stolik szachowy. - Tak będzie o wiele łatwiej.

* * *

- Dzisiaj to wygląda trochę inaczej, panie.

- Drobnie niedopowiedzenie, Walterze - odparł baron sucho.

We dwóch stali pod sztandarem sir Jerzego i patrzyli na szeregi wroga, które przypominały raczej niezorganizowany tłum połączonych plemion pod dowództwem Laahstaarów i Mouthai.

To była wielka, rozciągnięta formacja. Komputer dostarczył najnowsze dane dotyczące liczebności sił, jakie lokalny sojusz może pchnąć na pole walki, ale kiedy baron patrzył przed siebie na to kipiące morze potężnych, czterorękich wojowników, zastanawiał się, czy tym razem Komputer się nie pomylił. Zgodnie z najnowszymi obliczeniami osiem plemion, które zawarły sojusz i zgodziły się na zwierzchnictwo najstarszego z plemienia Laahstaarów zebrało około czterdzieści jeden tysięcy żołnierzy, z czego jakieś trzy czwarte mogło w chwili obecnej wziąć udział w bitwie bez przygotowania. A to oznaczało, że sir Jerzy, jego ludzie i miejscowi sprzymierzeńcy, prowadzeni przez plemiona Sherhai, Naamaal i Tairnanto, mieli stawić czoło armii liczącej około trzydziestu tysięcy wojowników.

W tej chwili sir Jerzemu zdawało się, że na pozycje maszeruje dwa razy tyle obcych o szerokich stopach, tratując trawę i zamieniając ziemię w pył. Bez wątplenia z wrażenia niektórych liczył więcej niż raz, ale i tak zdawało mu się, że ma przed sobą niewiarygodną siłę.

Cóż, oczywiście tak jest, pomyślał sobie. W końcu obcy są dwa razy od nas więksi. Dlatego nic dziwnego, że wydaje mi się, jakby ich było dwa razy więcej!

- No dobrze, panie, lepiej będzie, jak wrócę do sir Ryszarda. - Główny koniuszy patrzył na swojego suzerena przez kilka chwil, a potem uśmiechnął się krzywo. - Zrób nam tę przyjemność i spróbuj nie dać się zabić - zasugerował.

- To właśnie miałem w planach - odparł. - Moja żona nigdy by mi nie wybaczyła, gdyby do tego doszło.

- Z całym szacunkiem dla twojej żony, panie, to nie o niej myślałem w tej chwili - powiedział Skinnet. - Myślałem o tym, co się będzie działo, jeżeli ktokolwiek inny. - Pokazał kciukiem w kierunku powietrznego pojazdu, który unosił się nad ich głowami. - Spróbujcie ciągnąć dalej ten cyrk.

Sir Jerzy spojrział do góry na statek powietrzny i wydał z siebie coś pomiędzy przytłumionym śmiechem a westchnieniem pełnym rozpacz.

- Rozumiem, o co ci chodzi - powiedział do swojego podkomendnego. - A teraz przejedź się do sir Ryszarda i dopilnuj, aby entuzjazm nie wziął góry nad zdrowym rozsądkiem!

- Nie martw się o to, panie - zapewnił go Skinnet. - Sir Ryszard i ja doszliśmy do porozumienia. A nawet jeżeli nie, z pewnością ja i jego adiutant rozumiemy się doskonale. - Twardy, stary weteran zaśmiał się brzydko. - Jeżeli doszedłbym do wniosku, że nie mamy innego wyjścia, zeszłej nocy wysłałbym kogoś do jego kwater z małym nożykiem, żeby zrobił coś z poprzęgiem jego siodła.

- Jesteś złym człowiekiem, Walterze Skinnetcie! - zawyrokował sir Jerzy z szerokim uśmiechem.

- Czyżby? - Skinnet zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem rzucił głową, co w przypadku opancerzonego człowieka było ekwiwalentem wzruszenia ramion. - Bez wątpienia masz rację, panie. Ale ciągle, mówią, że czyściec to wcale nie jest takie złe miejsce. I pomyśl o tych wszystkich książętach i jarlach, którzy dotrzymają mi towarzystwa!

Zaśmiał się ponownie, zawrócił konia i pokłusował w kierunku konnicy, zebranej wokół osobistego sztandaru sir Ryszarda. Sir Jerzy wolałby być z nimi i dosiadać Szatana, ale nie mógł. Oficjalnie armia lokalnych mieszkańców została zgromadzona na wezwanie demonabłazna. Istniała możliwość, że sam zainteresowany święcie w to wierzył, ale on i jego ludzie wiedzieli lepiej. To baron, poprzez urzędników tłumaczących Komputera, złożył tę armię do kupy. I to właśnie baron był tym, który miał ją dowodzić, zarówno ludzką, jak i obcą częścią.

Niektóre ze sprzymierzonych plemion przez wiele pokoleń darzyły się wręcz wrodzoną nienawiścią i wrogością, a rodowe zemsty były niemalże tak skomplikowane, jak wendety szkockich klanów. Bieżąca potrzeba i chęć uzyskania przewagi mogła na pewien czas sprawić, że topór wojenny był zakopywany, ale sama myśl o tym, że musieliby zjednoczyć się pod wodzą jednego z nich, który przecież mógł być zapiekłym wrogiem, była nie do zaakceptowania. Z drugiej strony sir Jerzy był wybrańcem „boskiej” istoty. To demonbłazen namaścił go na dowódcę, ten dziwny, wszechmocny obcy, którego oddziały, mimo niekorzystnej sytuacji liczebnej, całkowicie zniszczyły Thoolaasów i zabiły co najmniej pięć

tysięcy wojowników, tracąc przy tym jedynie czterech swoich żołnierzy. Wiedział, że uważają go prawie za tak niesamowitego, jak samego demona-błazna. Nieskrywany podziw w połączeniu z faktem, że baron pochodził z zewnątrz i nie miał nic wspólnego z lokalnymi sporami, sprawiał, że był jedynym możliwym do zaakceptowania kandydatem na przywódcę. A to oznaczało, że musiał znajdować się właśnie w tym miejscu, w samym środku swoich linii, gdzie wszyscy podkomendni mogli go widzieć, a także skąd on mógł widzieć ich dobrze podczas całej bitwy.

Osobiście bardzo by się cieszył, gdyby oszczędzono mu chwały głównodowodzącego, podobnie jak odpowiedzialności, z którą wiązało się to stanowisko, ale nie miał wyboru. Tak więc spędził ostatni miesiąc (a przynajmniej ojciec Tymoteusz, który prowadził kalendarz, tak twierdził) łącząc trzy duże plemiona, które postanowiły sprzymierzyć się z demonem-błaznem, z mniejszymi oddziałami mniej znaczących klanów, w jedną wielką armię, która liczyła sobie dziewiętnaście tysięcy wojowników oraz angielskich żołnierzy. To nie było proste zadanie, jednakże pod pewnymi względami łatwiejsze, niż oczekiwał. Miejscowi przywódcy byli tak samo zdradzieccy, przewidywalni i pozbawieni skrupułów, jak dowódcy jakiegokolwiek feudalnej armii ziemskiej, ale nie sięgali ziemianom do pięt, kiedy przychodziło do realizacji tych planów. Sir Jerzy nie spędziłby ostatnich piętnastu lat swojego życia na składaniu do kupy wielorakich militarnych sił w Anglii, gdyby nie musiał mieć do czynienia ze znacznie bardziej doświadczonymi krętaczami. - A że był absolwentem dużo lepszej szkoły, bez trudu wygrywał niechęci jednej strony przeciwko drugiej.

Najtrudniejszą częścią zadania było trzymanie demona-błazna z dala od negocjacji. Po pierwsze baron ciągle nie wiedział, po co demon-błazen i jego gildia tak bardzo pragną mieć ten świat. O ile zdołał się zorientować, lokalne plemiona nie miały absolutnie nic, co mogłoby zainteresować kupców zajmujących się obrotem „cudów”, z jakich korzystał demon-błazen. A nawet jeżeli miejscowi ukrywali na planecie jakiś skarb, droga do zdobycia go, opracowana przez Dowódcę, po prostu wydawała się głupia. Musiał być jakiś powód, dla którego tajemnicza gildia angażowała się w walkę z plemionami, ale nie miał pojęcia, co by to miało być. Jeżeli gildia chciała przejąć kontrolę nad planetą, dlaczego nie użyła do wymuszenia posłuszeństwa swojej znakomitej broni? Mała armia wyposażona w strzelające urządzenia, w jakie wyposażeni byli jaszczuroludzie, z łatwością pokonałaby siły znacznie od siebie większe... większe nawet od tych, które stały naprzeciw armii sił Jerzego. I nawet mimo tak nieudolnego dowódcy, jak demon-błazen. No, może przesadziłem, pomyślał. Pod dowództwem demona-błazna raczej by im się nie udało. Obecny Dowódca wzniósł się na takie wyżyny militarnej niekompetencji, że nawet Francuzi nie zdołaliby go dogonić.

Ta niekompetencja stała się jawnie widoczna, kiedy tylko demon-błazen zaczął czynić próby zmontowania koalicji miejscowych plemion, co wedle sir Jerzego było niezbędne dla realizacji dalszych planów. Dla usprawiedliwienia, pewną przyczyną niezręczności obcego był fakt, że nigdy nie sądził, aby taki alians był naprawdę potrzebny, ale to była tylko część problemu. Najwyraźniej demon-błazen oczekiwał od sir Jerzego i jego ludzi, że zmiążdżą lokalnego władcę jednym, potężnym niszczącym uderzeniem, potem on sam podyktuje warunki i szybko stąd odlecą. Na nieszczęście na planecie nie było jednego władcy, nie takiego, z którym można by było zawierać generalne układy, a nawet jeżeli takowy się rodził, pierwsza bitwa, w której pokonali Thoolaasów, całkowicie zablokowała jego powstanie. Najwyraźniej demon-błazen nie przemyślał długofalowych skutków zniszczenia militarnej przewagi istot, które miały wymusić swoje warunki na konkurencyjnych plemionach. A tym samym nie ułatwił sobie sprawy.

Im dłużej baron obserwował demona-błazna podczas akcji na Shaakun, tym bardziej się dziwił. Nawet nie biorąc pod uwagę zagadnienia, dlaczego ktoś o możliwościach i spręcie Dowódcy potrzebuje pomocy rycerzy i łuczników, pozostawało pytanie, jak demon-błazen może być tak niekompetentny w posługiwaniu się prymitywną siłą angielskich wojsk, skoro je już ma. Wyglądało to tak, że od pierwszej chwili, kiedy porwał ich z Anglii, mały obcy miał zaledwie mgliste pojęcie o tym, co musi osiągnąć i jak. Mimo przekonania o swojej wielkości i nieporównywalnie większej wiedzy, zdawało się, że demon-błazen uczy się dopiero swoich obowiązków, i to w trakcie ich wykonywania... a niestety najwyraźniej nie był najbystrzejszym studentem.

W pewnym sensie było to korzystne. Tak długo, jak akceptował doradztwo kogoś, kto naprawdę znał się na rzeczy i pozwalał mu ustalać praktyczne aspekty kampanii, negatywne konsekwencje niekompetencji mogły być maksymalnie ograniczane. A odkrycie, że polityczne rozeznanie i umiejętność negocjacji sir Jerzego były mu tak samo potrzebne jak jego zdolności militarne, mogło się nawet Anglikom przydać. W obecnej chwili układ ten funkcjonował całkiem nieźle, chociaż istniała możliwość, że w przyszłości sir Jerzy narazi się na osobiste niebezpieczeństwo. Żaden mądry generał nie lubił sytuacji, w których był całkowicie zależny od kogoś innego, kogo żołnierze uważają za prawdziwego dowódcę. Więcej niż raz w historii świata tacy niezastąpieni ludzie byli odsuwani na bok i mordowani po cichu, kiedy ich gwiazda zaczynała przyćmiewać zwierzchników. Z drugiej strony od samego początku demon-błazen całkowicie nie brał pod uwagę możliwości, że porwani przez niego Anglicy mogą być dla niego zagrożeniem. I właśnie dlatego nie przychodziło mu do głowy, że prawdziwy dowódca jego armii może podnieść na niego rękę, a on sam miał

nadzieję, że nic nie wpłynie na zmianę nastawienia demona-błazna.

Cokolwiek czekało ich w przyszłości, to sir Jerzy i Komputer zajmowali się identyfikowaniem frakcji i ambicjonalnych przywódców spośród swoich aliantów i manipulowali nimi, aby demon-błazen mógł osiągnąć swój cel. I w efekcie osiągnęli to, pomyślał baron, patrząc ze szczytu wzniesienia na swoje szeregi, złożone z miejscowych wojowników i ludzi.

Jego linie rozciągnięte były na dobry kilometr w każdym kierunku od miejsca, w którym stał, a więc znacznie bardziej, niżby mu się podobało, mimo tego, że miał w odwodzie jeszcze pięć tysięcy wojowników, a główna formacja i tak miała w krytycznych punktach co najmniej dwanaście szeregów, a więc więcej, niż się spodziewał. Dlatego właśnie Skinnet i sir Ryszard pełnili funkcję pomocniczego dowództwa na prawej flance. Sir Brian Stanhope wraz z Davidem Howicem, którzy pilnowali jego pleców, dowodzili kolejnym mniejszym oddziałem kawalerii na lewym skrzydle, podczas gdy Rolf Garyhame i sir Antoni Fitzhugh stali na czele łuczników, ustawionych w centrum. Rozbicie kawalerii na dwa oddziały zmniejszyło jej efektywność, ale także pomagało kontrolować oddziały obcych, których lojalność była dyskusyjna.

Jednakże w tej chwili nie zamartwiał się rozproszeniem kawalerii, gdyż zamierzał właśnie zrobić, to, czego nie dokonał jeszcze żaden ludzki dowódca w historii świata: pchnąć do walki armię liczącą sobie dwadzieścia tysięcy... ludzi. Na Ziemi nawet próba kontrolowania takiej siły byłaby daremna, ale sir Jerzy korzystał z udogodnień, które na jego rodzimej planecie były nieznane. Mechaniczne urządzenia Komputera miały obserwować przebieg bitwy z lotu ptaka, a rezultaty kompilowano w raport, który był o niebo dokładniejszy niż te, które składali mu zwiadowcy na Ziemi. A nawet więcej, Komputer przemawiał do niego, podobnie jak do podkomendnych, z taką samą łatwością, jak w obozowisku, mimo że byli na otwartej przestrzeni, więc baron mógł bez trudu wydawać rozkazy i odbierać meldunki.

Sir Jerzy żałował, że nie zdecydował się skorzystać z tych udogodnień przed pierwszą bitwą z Thoolaasami, mimo że już dawno temu zwrócił uwagę na możliwości, jakie mu dają. Ale z oczywistych powodów podczas tamtej walki nie chciał wprowadzać do taktyki kolejnego zadziwiającego elementu „technologii” demona-błazna, aby nadmiernie nie niepokoić swoich ludzi. Od tamtego czasu wprowadził regularne treningi z wykorzystaniem tego sprzętu i kontynuował je do czasu, aż jego ludzie się przyzwyczaili. Fakt, że nie potrzebował już trąbek sygnałowych i kurierów całkowicie zmienił oblicze walki. Naturalnie ciągle nie mógł wykluczyć, że pewne rzeczy mogą pójść źle, ale w przeszłość odszedł strach

przed całkowitą rozsypką armii na skutek niedostatecznego przekazywania rozkazów. Możliwość natychmiastowego komunikowania się z podkomendnymi sprawiła, że jego armia stała się przedłużeniem jego ciała. Miał do dyspozycji narzędzia, które sprawiały, że jego polecenia były wykonywane natychmiast, co pozwalało na znacznie większą elastyczność. Takich możliwości nie miał żaden ludzki dowódca.

Nabór tak dużego oddziału obcych do pewnego stopnia zaburzał funkcjonowanie jego armii, ale „urządzenia komunikacyjne” demona-błazna i w tym przypadku okazywały się pomocne. Sir Jerzy chciałby, żeby było ich więcej, ale nawet te, którymi dysponował, zostały przekazane przywódcom plemion i ich zastępcom, a Komputer na bieżąco tłumaczył rozkazy barona na język miejscowych. Z jakiegoś powodu, którego nie mógł pojąć, mechanizm był trochę niezadowolony z tego pomysłu. Co nie znaczy, że coś powiedział, ale sir Jerzy nauczył się już rozpoznawać ton, w jaki wpadał Komputer, kiedy pytania i prośby barona zbyt blisko ocierały się o informacje zastrzeżone przez demona-błazna. Na początku myślał, że prośba zostanie odrzucona automatycznie, ale potem Komputer zmienił zdanie (lub być może to demon-błazen podjął decyzję) i sir Jerzy zastanawiał się, co sprawiło, że niewidzialny głos się zawahał. Możliwość szybkiej i pewnej komunikacji była całkowicie bezcenna na polu walki i dawała znaczną taktyczną przewagę. A poza tym urządzenia te traktowane były przez tubylców jako boskie artefakty i upewniały ich w przekonaniu, że Dowódca jest co najmniej półbogiem.

Sir Jerzy, dobry chrześcijanin mimo swoich wad, czuł wewnętrzny opór przed tym, aby wmawiać prymitywnym wojownikom, że demon-błazen jest bogiem. Fakt, że uważają go za kogoś w rodzaju archanioła, wprawiał go w jeszcze większe zakłopotanie, ale był na tyle praktyczny, że widział korzyści, płynące z tego nieporozumienia. W końcu, zapewniał się w duchu, żadna z tych istot nigdy w życiu nie słyszała o Chrystusie, więc i tak wszyscy są skazani na piekło, chyba, że miłosierny Bóg przewidział dla nich jakiś inny los. A jeżeli tak, sir Jerzy żadnym swoim postępkami nie wpłynie na ich dalszą duchową drogę.

Zachichotał, nie odrywając wzroku od powoli się zbliżających się wroga, przypominając sobie wyraz twarzy ojca Tymoteusza, kiedy mu o tym opowiedział. No cóż. Bez wątpienia Tymoteusz wymyśli dla niego odpowiednią pokutę.

Odepchnął kłębiące się myśli na bok. Wróg nadchodził znacznie wolniej i ostrożniej niż Thoolaasowie, ale i tak pierwsi wojownicy byli już tak blisko, że powinien porzucić jałowe rozważania i skupić się na chwili obecnej.

Nadciągająca formacja wroga mniej przypominała tłum, niż mu się z początku wydawało. Ciągłe nie dostrzegał wśród wojowników śladu dyscypliny we właściwym rozumieniu tego

słowa, ale teraz, kiedy armia podeszła bliżej, dostrzegł w jej kształcie zamysł dowódców. W kierunku centrum jego sił podążały dwie ogromne kolumny, szerokie na jakichś stu wojowników. W każdej z tych kolumn musiało być nie mniej jak osiem, czy dziewięć tysięcy obcych, a kolejne cztery czy pięć oddelegowano do zabezpieczania flank. Reszta wojowników, skłębiona masa miotaczy oszczepów, szła pomiędzy kolumnami. Baron skrzywił się na ten widok. Miotaczy było co najmniej siedem albo osiem tysięcy i tym razem miejscowi postarali się o taki rodzaj formacji, aby oszczepnicy nie utrudniali sobie nawzajem brania zamachów.

Ich zamiary były oczywiste. Planowali zalać środek jego sił powodzią oszczepów, a potem uderzyć dwoma kolumnami, niczym bliźniaczymi taranami, na rozbite i pomieszane szyki. Jako taktyka, metoda ta była zarówno prosta, jak i do maksimum wykorzystywała ich przewagę liczebną. Prawda, była też prymitywna, ale z doświadczenia sir Jerzy wiedział, że subtelność była kiepskim substytutem znacznej przewagi liczebnej.

Z drugiej strony jednak...

- Tairnanto zaczynają się niecierpliwić - beznamiętny, jak zawsze, głos Komputera odezwał się wprost w jego ucho. - Niektórzy z oficerów nalegają, aby dać hasło do ataku.

- Powiedz wodzowi Staramhanowi, aby przypomnieli im, jaki jest plan! - warknął sir Jerzy.

- Zrozumiałem - odparł Komputer spokojnie, a baron wsadził rękę pod basinet i podrapał się ze złością po nosie. Jeszcze tego mu brakowało, żeby jego „alianci” w ostatniej chwili rujnowali taktykę i wracali do swoich starych praktyk!

W duchu nie wątpił, że gdyby dać im wolną rękę, tak właśnie by postąpili, nie bacząc na to, że przewaga liczebna wroga oznacza ich natychmiastową i nieodwołalną porażkę. Byli jeszcze bardziej francuscy, niż myślał. Tylko jego „anielska” reputacja pozwoliła mu na złamanie ich oporu i stłumienie igraszy galijskiej impulsywności, chociaż nie do końca mu się to udało. Na nieszczęście nie mógł być pewny, że w ostatniej chwili nie wyrwą się spod jego kontroli.

Podciągnął się na siodło i wziął wodze od Snellgraya. Przez chwilę zastanawiał się, czy może nie podjechać na pozycje Staramhana i osobiście nie przywołać ich do porządku, ale oparł się pokusie. Dotarcie tam zajęłoby kilka dobrych minut, nawet na Szatanie, a nie miał ani chwili czasu na zmarnowanie. Z tego miejsca miał znacznie lepszy widok na pole walki niż z lewej flanki, gdzie stali wojownicy Staramhana. Poza tym jeżeli pojedzie w jedno miejsce, które sprawia kłopoty, z pewnością nie będzie go tutaj, aby radzić sobie z kolejnymi problemami, jakie mogą się pojawić. Lepiej zdać się na Komputer i jego możliwości w

przekazywaniu rozkazów, i zostać tu, gdzie jest.

Poleganie na sieci komunikacyjnej musi mi jeszcze wejść w krew, pomyślał sobie ironicznie. Stare przyzwyczajenia mogą sprawić, że odrzuci możliwości, jakie daje nowy sprzęt, a do tego nie powinien dopuszczać.

Wróg wyraźnie przyspieszał. Obcy ciągle byli zbyt daleko, aby mógł usłyszeć pojedyncze głosy, a nawet jeżeli byłby w stanie je rozróżnić, i tak by nie zrozumiał, co wołają. Tak naprawdę, nie potrzebował słuchać pojedynczych okrzyków ani rozumieć języka, aby wiedzieć, czego dotyczą. Głęboki, niski pomruk bitewnych okrzyków przetaczał się wśród żołnierzy maszerujących kolumn, bębny wojenne zagrały głośniejsz, mocniejsz, szybciej. Cała wroga armia zaczęła przyspieszać.

W okrzykach wojennych pojawił się nowy ton, który, zdaniem barona, miał w sobie nutkę pogardy. Obcy wrzeszczeli do swoich krajanów, żeby ci raczej się wycofali i nie atakowali, jak na prawdziwych wojowników przystało. W liniach jego armii zawrzało, ale przywódcy i oficerowie szybko uspokoili żołnierzy. Sir Jerzy, kiedy wojownicy znów stanęli nieruchomo, pozwolił sobie na brzydki uśmiech. Jego sprzymierzeńcy zdołali utrzymać linie, a to znaczyło, że nadciągający obcy niebawem przekonają się, jaka jest różnica między wojownikiem, a żołnierzem.

Obcy przeszli z miarowego, długiego kroku, jakim miejscowi zazwyczaj się poruszali w swoich podróżach, do pełnego biegu. Runęli do przodu i sir Jerzy skulił się w duchu, kiedy znad miotaczy uniosła się chmura oszczepów.

- Tarcze w górę, Komputerze! - zawołał i cała jego formacja w jednej chwili skryła się pod wielkimi, prostokątnymi pawężami, które niedawno wprowadził. Uniesione w górę tworzyły ochronny dach nad głowami żołnierzy.

Miejscowi alianci barona protestowali gniewnie, kiedy po raz pierwszy zapoznał ich z koncepcją tarcz. Żaden z nich nie odniósł się pozytywnie do pomysłu, aby rezygnować z połowy broni na rzecz czegoś, co w zasadzie było bezużytecznym kawałem drewna. Kiedy nalegali pokazał im, jaki można zrobić użytek z tarczy i większość protestów skończyła się jak nożem uciął. Oczywiście obcy ciągle mieli zastrzeżenia, ale postanowili dać osłonom szansę... szczególnie po tym, jak Komputer przekazał im informację na temat ilości miotaczy, zgromadzonych w armii wroga.

Kiedy oszczepy spadły na jego armię niczym śmiertelny deszcz, usłyszał, jak ich groty z brązu odbijają się od nastawionych tarcz. Tu i ówdzie zabrzmiały okrzyki bólu, kiedy pocisk przebił się jakoś przez zasłonę i trafił w ciało albo kość, ale znakomita większość odbiła się od tarcz, nie robiąc nikomu krzywdy albo utknęła w drewnie.

Miotacze zawahali się na chwilę, kiedy zobaczyli, że ich deszcz strzał napotkał na nieoczekiwaną przeszkodę i sir Jerzy uśmiechnął się ponownie. Pawęże były używane na ziemi raczej przy oblężeniach, gdzie miały chronić łuczników przed ogniem wroga, a nie na otwartym polu. Ale to dlatego, że ziemscy łucznicy potrzebowali obu rąk, aby naciągnąć łuk, tak więc każda pawęż musiałaby być trzymana przez oddzielnego człowieka albo przytwierdzona na stałe w jednym miejscu. Mieszkańcy Shaakun mieli po cztery ręce, tak więc byli w stanie trzymać tarczę, a i tak zostawały im jeszcze dwie ręce na broń. W porównaniu z wojownikami, którzy mieli w dłoniach cztery sztuki broni, mogli sprawiać wrażenie niedozbrojonych, ale baron pomyślał sobie, że chyba się do tego przyzwyczają. Wrzeszczeli tak samo głośno jak ich wrogowie, a większość z tego, co wołali była najwyraźniej obelgami skierowanymi pod adresem wrogich miotaczy.

Reszta armii wrzeszczała wściekle i ledwie się powstrzymywała przed frontalnym atakiem. Dowódca spodziewał się tego. Kiedy dwie kolumny podeszły bliżej, wydał kolejny rozkaz i do akcji wkroczyli jego miotacze. Ponieważ oni także nieśli pawęże, strzelali wolniej niż przeciwnicy, ale mimo mniej liczebnej armii, sir Jerzy miał więcej miotaczy niż wróg, gdyż bezlitośnie wybierał ich z każdego plemienia. To nie było łatwe, gdyż miejscowi byli przywiązani do tradycji walki wręcz jak francuscy rycerze, co tłumaczyło małą ilość strzelców, co obserwował za pierwszym razem. Wyrzutnia oszczepów, zrobiona z długiego kija, była popularną bronią myśliwską na Shaakunie i większość wojowników miała choć mgliste pojęcie o jej użytkowaniu, ale i tak upierali się przy walce bezpośredniej.

Sir Jerzy rozwiązał ten problem, będąc jeszcze bardziej upartym niż oni i dlatego był w stanie zasypywać wroga większą ilością strzał, tak więc wymiana ognia nie była sprawiedliwa. Miotacze odrzucali pawęże tylko wtedy, kiedy wyrzucali pociski, a to trwało bardzo krótko. Z drugiej strony ich cele nie miały żadnej osłony, a nadchodzące kolumny już zaczynały się potykać o przebite strzałami ciała swoich kolegów.

Połowa miotaczy skoncentrowała się na czele kolumn. Druga część mierzyła w sam środek oddziału strzelców wroga. Ogień nieprzyjacielski zelżał, kiedy pierwsze oszczepy uderzyły w linie. Powietrze zrobiło się gęste od pocisków, wojennych okrzyków, pyłu i wrzasków rannych i umierających obcych. Sir Jerzy wyteżał wzrok, żeby zobaczyć w pyle tysiące szarżujących stóp.

- Komputer! Niech Rolf skoncentruje się na prawej kolumnie!

- Zrozumiałem - odparł beznamiętny głos i chwilę później coś brzęknęło niczym tysiąc niezgodnych harf. Ludzkich łuczników było znacznie mniej niż lokalnych miotaczy, ale strzelali szybciej, mieli większy zasięg, byli bardziej dokładni i mieli lepszy pancerz,

całkowicie odporny na nadlatujące oszczepy. Osłony zostały wyprodukowane w „modułach przemysłowych” demona-błazna.

Strzały uderzyły w prawą kolumnę wroga, czyli tę, która najmniej ucierpiała od ognia miotaczy. Konsekwencje były natychmiastowe. Powolny przypływ rannych zamienił się nagle w powódź i cała kolumna zatrzymała się, zaplątana w stosy ciał i rannych. Stała tak przez chwilę, a ci, co przeżyli, próbowali otrząsnąć się z zaskoczenia i strachu. Pograżeni po kolana w masie wijących się ciał nagle podjęli decyzję i dowodzący wiedział już, że ta kolumna przegrała. Baron widział to na wielu innych polach... w jednej chwili przekonanie o nieuchronnym zwycięstwie zmienia się w przecucie całkowitej klęski i rozpoznał to teraz.

Kolumna stała przez kilka chwil, uginając się pod naporem śmiertelnych ławic strzał i oszczepów, które w nią uderzały, a potem nagle rozproszyła się. Wojownicy nie uciekali, nie biegli. Po prostu... rozproszyli się. Przed chwilą była to solidna masa wojowników, a po chwili rozhisteryzowany tłum pojedynczych uciekinierów, z których każdy szukał wybawienia na własną rękę.

- Niech Rolf przerzuci się na miotaczy! - warknął. - I każ Walterowi i sir Ryszardowi podejść trochę w kierunku flanki Mouthai z prawej strony. Jeżeli zdołają, chcę żeby zaszli wroga od tyłu i zaatakowali z zaskoczenia!

- Przyjąłem.

Sir Jerzy usłyszał potwierdzenie Komputera, ale ledwie je zauważył. Prawa kolumna została rozbita i zmuszona do ucieczki, ale lewa ciągle się zbliżała. Wolałby zniszczyć ją ostrzałem łuczników, tak jak poprzednią, ale atakujący nie uderzyli prosto w środek jego linii. Ustawił tam swoich łuczników, żeby odpierali atak, ale sposób, w jaki wróg zbliżał się do lewej flanki wykluczał użycie łuczników, którzy byli zbyt daleko z prawej. Dodatkowo niewielkie wzniesienie terenu zabezpieczało wroga przed łucznikami Grayhama. Lepiej było kazać łucznikom spokojnie wykończyć oddziały miotaczy wroga i pozwolić aliantom, wzmocnionym przez sir Bryana i jego ciężkozbrojnych pieszych i konnych, aby zajęli się tą kolumną.

Oszczepy uderzały w nadchodzących wojowników aż do ostatniej chwili, a mordercza siła ognia wrywała wielkie dziury w ich formacji. Ciągłe się zbliżali, na skrzydłach bojowego animuszu, wrzeszcząc i wykrzykując okrzyki bojowe. Rzędy zaostrzonych pali i rozsiane kotwiczki spowalniały ich bieg, ale i tak nadchodzili. Wojownicy pierwszych linii absorbowali kotwy i pale, tak jak wcześniej przechwytywali oszczepy i strzały tak, że ostatnie rzędy miały wolniejszą drogę do swoich przeciwników.

Ale alianci sir Jerzego byli przygotowani na ten atak. W przeciwieństwie do atakującej

kolumny, byli pewni siebie i czuli już smak zwycięstwa. Oni także ponieśli straty na skutek ostrzału, ale w porównaniu z tym, co mogło ich spotkać, ubytki były naprawdę niewielkie. A gdyby nowy dowódca nie zmusił ich do używania pawęży? Nawet najbardziej uparty obcy zdawał sobie sprawę, że tarcze uratowały im życie. Wiedzieli także, że ich wrogowie byli już na wpół rozbici.

Wielu z nich odrzuciło tarcze, gdyż wreszcie doszło do walki twarzą w twarz. Miotacze odrzucili oszczepy i złapali za topory. Sir Jerzy usłyszał radosne zawodzenie, dochodzące od strony swoich aliantów, którzy mknęli na spotkanie pozostałości lewej kolumny. Miotacze wroga przez chwilę korzystali z tego, że ich przeciwnicy nie mają już tarcz, które tak skutecznie zwalczały ich ostrzał, ale i tak na niewiele się to zdało. Część miejscowych oddziałów armii barona, która nie brała udziału w bezpośrednim starciu, nadal razila wroga oszczepami, ale to łucznicy sprawili, że formacja naprawdę się załamała. To nie znaczy, że strzały były bardziej destruktywne ani celniejsze. Tak naprawdę liczył się fakt, że były symbolem, emblematem dziwacznych, dwuręcznych demonów, które całkowicie odmieniły sposób prowadzenia wojen.

Prawa kolumna także poszła w rozsypkę. Miotacze ruszyli w pogoń za uciekinierami, dożynając ich bez litości, najpierw pojedynczo, potem całymi grupami. Mimo odwagi, miejscowi obcy nie mieli na tyle wpojonej dyscypliny, aby stać karnie pod ostrzałem i cały oddział w jednej chwili uległ rozsypce.

Lewa kolumna ciągle jeszcze się broniła, ale przednie szyki zostały całkowicie rozbite. Co najmniej połowa atakującej armii została zepchnięta z pola, a podeptana, śliska od krwi trawa usiana była ciałami wojowników, dla których ta bitwa była ostatnia. Obcy poczuli, że czeka ich klęska, a im bardziej alianci sir Jerzego naciskali na pierwsze linie, tym bardziej ich wrogowie czuli się przytłoczeni i pozbawieni nadziei. Formacja, która podczas ataku dawała tak wiele korzyści, teraz przeszkadzała w skutecznej obronie. Wojownicy uwięzieni w środku kolumny, mogli tylko stać w miejscu, nie byli zdolni do przegrupowania, ani ucieczki, podczas gdy wrogowie bezkarnie wycinali w pień obie flanki.

A potem sir Ryszard Maynton i Walter Skinnet dokończyli dzieła zniszczenia. Garstka ludzkiej kawalerii była niczym zakuty w stal grot włóczni, naostrzony czubek hartowanego miecza, na jaki składały się trzy tysiące miejscowych, tak samo szybkich pieszo jak ludzie na koniach. Szarża przemknęła po jego prawej stronie a potem, zgodnie z rozkazami, objechała oddział wroga, wyznaczony do obrony lewej flanki i zaatakowała resztkę pozostałych przy życiu oszczepników na tyłach. A kiedy już się z nimi rozprawiła, zaatakowała jedyną pozostałą kolumnę wroga od tyłu.

Baron patrzył, jak żołnierze wroga idą w rozsypkę, niczym torba metalowych opilków, wyrzucona w górę podczas silnego wiatru. Formacja rozpadła się na tysiące pojedynczych wojowników, uciekających w popłochu, i baron wiedział, że wygrał tę bitwę. Co prawda walka się jeszcze nie skończyła, bo na polu ciągle zostały tysiące wrogich żołnierzy i niektórzy z pewnością będą walczyć na śmierć i życie. Jego sprzymierzeńcy stracą wielu wojowników zanim wszystko dobiegnie końca, i on także będzie się musiał pogodzić ze stratami. Ale wynik nie pozostawiał cienia wątpliwości i baron pozwolił sobie na luksus krótkiej, dziękczynnej modlitwy.

A potem otworzył oczy, wyprostował się w siodle i skinął na młodego Snellgraya.

- Ruszajmy - powiedział i pokłusował na Szatanie aby dołączyć do masakry.

- VI -

- Dobrze się spisałeś. Gildia będzie zadowolona - zapiszczał demon-błazen wprost do ucha sir Jerzego.

Mały obcy siedział w swoim powietrznym stateczku, który unosił się nie więcej jak dwa metry nad ziemią, tak więc baron, siedzący na grzbiecie Szatana, mógł bez trudu patrzeć na rozmówcę przez uchylone okno. Wysoki, pozbawiony emocji głos brzmiał jeszcze bardziej groteskowo, niż zwykle, biorąc pod uwagę okoliczności. Sir Jerzy odwrócił głowę i popatrzył na otaczające go góry ciał zabitych obcych. Nigdy w całym swoim życiu, nawet pod Dupplin ani Halidon Hill, nie widział takiej masakry. Nawet po bitwie z Thoolaasami na polu walki nie pozostało tyle trupów. Chociaż nie byli ludźmi, miejscowi ranni i umierający wrzeszczeli i jęczeli prawie tak samo. Pole walki po bitwie, smród i widoki, a już szczególnie dźwięki, zawsze najbardziej działały na wyobraźnię barona i nawiedzały go w snach. Ale efekt tej bitwy sprawił, że baron najpierw z trudem się otrząsnął, a potem wpadł w furję.

Jego zbroja była lepka od krwi. Podobnie jak miecz, dodatkowo przyozdobiony strzępami materiału i kępkami włosów, zanim go oczyścił. Bolał go każdy, najdrobniejszy nawet mięsień. Finałowa, pełna desperacji szarża wojowników, którzy zdali sobie sprawę, że i tak zostaną pokonani i jedynym celem w ich krótkim życiu miało być zadanie jak największych strat przeciwnikowi, który był architektem ich klęski, prawie odwróciła los bitwy. Wyjący tłum uzbrojonych w topory barbarzyńców uderzył w osobistą straż barona, i chociaż on zdołał się obronić, padł jego giermek. Thomas Snellgrave nie zostanie już nigdy pasowany na rycerza, pomyślał baron ponuro. Młodzieniec wpadł pomiędzy trzech wrzeszczących Laahstaarów i swojego pana, kiedy ten był zaangażowany w walkę z kolejnymi dwoma i teraz nawet Lekarz nie byłby w stanie przywrócić go do życia. Przeciwnicy bowiem obcięli mu głowę, a ciało poćwiartowali ze ślełą zaciekłością wojowników, którzy wiedzą, że i tak nie wyjdą z bitwy cało.

Młody Snellgrave nie był jedynym zabitym. Ze straży sir Jerzego padło jeszcze siedmiu mężczyzn i z raportów dowiedział się, że co najmniej dwóch już się z tego nie wylizze, nawet z pomocą magii uzdrawiającej Lekarza. Trzy życia to być może niezbyt wygórowana cena za tysiące dusz przeciwnika, które tego dnia opuściły ciała, ale w pewien dziwny sposób to właśnie ta mała liczba budziła największy sprzeciw. Ludzki umysł potrafił ogarnąć małe,

osobiste straty. Gdyby zginęły setki, strata nie byłaby tak bolesna. A w przeciwieństwie do ciał obcych, zaścielających ziemię aż po horyzont, zmarli ludzie byli przecież częścią jego życia. To byli jego ludzie, znał ich twarze, był za nich odpowiedzialny. Ruszyli do bitwy pod jego rozkazami i tam zginęli, a jeden z nich osierocił żonę i trójkę dzieci.

Baron ugiął się pod ciężarem żalu i bólu na myśl o tej stracie. Sir Jerzy Wincaster był człowiekiem twardym i panującym nad emocjami. W swoim życiu wystarczająco napatrzył się na masakry i okrucieństwo, popełniane bez potrzeby, w bitwach, w których naprzeciwko siebie stawali ludzie. Nie był też odporny na dumę, którą odczuwał na myśl o tym, że zwycięża przeciwnika, który tak bardzo przewyższa go liczebnie. Tak, tego nie mógł się wyprzeć. Ale był też człowiekiem, który zaplanował tę masakrę. To przez niego na purpurowej trawie tego obcego świata rozlała się kałuża krwi. To on doprowadził do powstania przymierza, które sprawiło, że doszło do bitwy. To jego głos pchnął ludzi i obcych do walki. Wiedział o tym i poczucie winy za to, co się tu stało, przygniotło go niczym kamień młyński wymontowany z bożego młyna.

A teraz demon-błazen przyleciał do niego i unosił się w powietrzu niczym jakiś zły czarownik z legend, ponad krajobrazem, przypominającym piekło, nietknięty i czysty mimo otaczającej go rzezi. I gratulował mu. Mówił, tym swoim beznamytnym głosem, jak dobrze się spisał. Bez wątplenia ten brak zabarwienia wynikał z niedoskonałości urządzenia, które tłumaczyło słowa demona-błazna na angielski. Ale nie tylko. Sir Jerzy spędził z Dowódcą zbyt wiele czasu, słyszał zbyt wiele upomnień wygłaszanych w stosunku do załogi statku, którą baron uważał za równą demonowi pod względem statusu, aby mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Zadowolenie Dowódcy było szczere, chociaż w głosie nie wyczuwał żadnych emocji, a ta satysfakcja nie została nawet odrobinę zmacona przez obraz rzezi, który nękał go nieustająco. Demon-błazen i jego przewspaniała gildia odpowiadali za każdą kroplę krwi, każdą ranę, każde ciało... a obcy ani trochę się tym nie przejmował.

Czy demon-błazen w ogóle się nad tym zastanawiał? Czy pomyślał o tym, że inne istoty, ludzie i nie tylko, które z taką lekkością poświęcał, także są żyjącymi, myślącymi jednostkami? Sir Jerzy nie był w stanie tego stwierdzić, ale raczej w to wątpił. Ciała, które walały się po polu bitwy przez demona-błazna nigdy nie były postrzegane jak członkowie jego własnej rasy. Były zaledwie obiektami, prymitywnymi obcymi, którzy mają się podporządkować jego woli albo zginąć. Tak samo traktował Anglików, których wykradł z macierzystej planety. A nawet jeżeli na widok rzezi poczułby żal i wyrzuty sumienia... czego oczywiście nie czuł, wina spadłaby na niego samego i jego ludzi, a nie na demona-błazna. Jeżeli, oczywiście, takie prymitywy były zdolne do odczuwania wyższych emocji.

Baron zacisnął szczęki i zwalczył ogarniający go gniew, kiedy patrzył na prawdziwego autora okrucieństw, których był wykonawcą. Wysiłek wymagał zaangażowania każdego grama silnej, żelaznej woli, wykształconej przez dwadzieścia lat wojennego rzemiosła i politycznych negocjacji, ale jakoś udało mu się odeprzeć przyływ ślepej nienawiści. Gniew uderzał w zaciśnięte zęby, ale udało mu się go nie wypuścić. Zamiast krzyknąć głośno, przełknął gorzkie obelgi, jakie jego dusza pragnęła rzucić w beznamietną twarz o podwójnych ustach. Przeżuł smakujące metalem słowa i połknął ostre repliki, i zmusił się, aby pokiwać głową w odpowiedzi na słowa istoty, która miała w ręku życia wszystkich jego ludzi i ich rodzin.

- W rzeczy samej, Dowódco - powiedział. - Moi ludzie walczyli dzielnie, a nasi alianci wykazali się lepszą dyscypliną niż się spodziewałem.

- Takie też są moje obserwacje - odparł demon-błazen. - Nie sądzę, żeby Laahstaarowie i Mouthai wysuwali jakieś dalsze obiekcje.

Nie, pomyślał baron z gniewem, ja też nie sądzę. Nie zostało ich wystarczająco dużo.

- Oczywiście będę musiał się upewnić - kontynuował demon-błazen, nieświadomy reakcji człowieka. - A jako że okazałeś się zadziwiająco skuteczny w negocjacjach z miejscowymi plemionami i rozumiesz doskonale te prymitywne istoty, będę potrzebował twojej asysty przy dokładnym negocjowaniu warunków handlowego kontraktu.

- Jak rozkażesz - odparł. Na samą myśl o tym, że będzie musiał dalej służyć interesom demona-błazna, czuł obrzydzenie, ale jednocześnie zauważył, że słowa obcego są dowodem na to, że istota coraz bardziej sobie ceni jego usługi.

Baron po raz kolejny odwrócił wzrok od pojazdu i popatrzył na pole bitwy, gdzie w oddali mechaniczni słudzy demona-błazna ciągle zbierali rannych... i przynajmniej niektórych martwych. Próbował przekonać demona-błazna, żeby Lekarz zajął się też rannymi lokalnymi sprzymierzeńcami, ale jego Dowódca stwierdził, że to inwestycja, która nie ma szansy się zwrócić i nic z tego nie przyjdzie ani gildii, ani im samym. Myśl o tym, że być może jest za nich moralnie odpowiedzialny, nawet nie przyszła mu do głowy, ale przynajmniej przekonał go, żeby tubylcy mogli skorzystać z wody, a także zabrać swoich rannych i zanieść ich do wiosek, gdzie miejscowi szamani mieli się zająć ich leczeniem. Ludzie doskonale zdawali sobie sprawę, jak skuteczne było takie leczenie w porównaniu z umiejętnościami, posiadanymi przez Lekarza, ale czteroręcy nie posiadali takiej wiedzy. W ich oczach już sam fakt, że mogą zabrać rannych z pola walki i zanieść ich do wiosek, był pewnym rodzajem cudu i baron doskonale ich rozumiał. Sir Jerzy uważał, że to co ich spotkało, to jawna niesprawiedliwość, ale zdawał sobie sprawę, że i tak osiągnęli znacznie więcej, niż

zazwyczaj. Wiedział o tym, ale to nie znaczy, że to akceptował, a część jego duszy cierpiała, kiedy widział, że postępek demona-błazna zjednał mu jeszcze więcej podziwu wśród miejscowych. Podczas gdy Dowódca uważał ich za bezrozumne bydło.

- Bez wątpienia czekają na ciebie niecierpiące zwłoki obowiązki - zapiszczał obcy. - Tak więc nie zatrzymuję cię dłużej. Poinformuj swoich ludzi, że jestem z nich zadowolony. Oczywiście sam im to powiem w odpowiedniej chwili.

- Oczywiście, Dowódco - zdołał wykrztusić prawie normalnym głosem i patrzył, jak bezgłośny pojazd odpływa w niebo ciężkie od istot, będących shaakuńskim odpowiednikiem kruków.

* * *

Kiedy wszedł do pawilonu, Matylda i Edward unieśli wzrok znad kolorowo ilustrowanego manuskryptu, który opisywał dzieje króla Artura, leżącego na stoliku pomiędzy nimi. Od bitwy minął prawie tydzień, ale przez ten czas rzadko się widywali, gdyż demon-błazen bardzo często korzystał z jego usług. Baron nie tylko lepiej niż Dowódca rozumiał miejscowych, ale był także personifikacją kosztów, jakie niosła ze sobą odmowa współpracy z demonem. Przywódcy plemion, którzy walczyli pod jego rozkazami, darzyli go ogromnym szacunkiem i traktowali niemalże jak boga, podczas gdy potencjalni wrogowie bali się go jak samego anioła śmierci.

Tydzień był naprawdę ciężki.

Edward zerwał się na równe nogi i sięgnął po schłodzony dzban wina, ale baron potrząsnął przecząco głową i osunął się ciężko na wolne obozowe krzesło.

- Zostań tam gdzie jesteś, chłopcze - powiedział i skrzywił się. - Mam w sobie już tyle wina, że wystarczy jak na jeden dzień.

Matylda zmrużyła oczy i popatrzyła na męża podejrzliwie. Zobaczył wyraz jej twarzy i zaśmiał się krótko.

- Och kochanie, nie jest tak źle - powiedział jej. - Po prostu nasz Dowódca był bardzo... hojny - skrzywił się drwiąco na te słowa - i otworzył swoje piwnice szeroko. - Wziął głęboki oddech. - Wygląda na to, że jego sprawy tutaj na Shaakun dobiegły końca - mówił dalej. - Jest mi bardzo wdzięczny za pomoc, chociaż, oczywiście, jako członek naprawdę zaawansowanej rasy, i beze mnie dałby sobie radę.

W błękitnych oczach Matyldy zamigotał strach, ale baron szybko zaprzeczył.

- Nie martw się, wcale nie jestem pijany - powiedział. - To nie dlatego nie chcę już wina. Całą drogę tutaj pokonałem bez jednego potknięcia a moja głowa jest na tyle jasna, że

zdołałem dokładnie powtórzyć ci jego słowa.

Jego żona rozluźniła się, kiedy usłyszała, że użył słów demona-błazna i nie pozwolił, aby zmęczenie i niesmak pchnęły go do niedyskrecji.

- A więc pozostałe plemiona przystały na jego warunki? - zapytała.

- Tak, w rzeczy samej. Zresztą nie wydaje mi się, żeby miały jakikolwiek wybór - odparł, znów się wykrzywiając. - Tak naprawdę musieliśmy tylko... wytłumaczyć im to. I zasugerować, że to, co spotkało Thoolaasów, Laahstaarów i Mouthai może także przydarzyć się im, jeżeli odmówią.

- Powinam była się domyślić - zgodziła się Matylda. - A więc jest zadowolony z ich uległości? - Sir Jerzy pokiwał głową, a Matylda uniosła brew. - Muszę ci wyznać, kochany, że to wszystko jest dla mnie niezrozumiałe.

- Miałem taką nadzieję! - prychnął, a w jego głosie zabrzmiały nuty prawdziwego zdumienia. - Ja także nie mogę zrozumieć, co się dzieje, i to od chwili, kiedy nas porwano i dostaliśmy się na pokład tego przeklętego statku!

- Wiesz doskonale, że nie o to mi chodziło! - zbesztła go, a baron znów pokiwał głową i spojrzał na nią ze skruchą. - Ciągłe nie wiem, co te istoty mają w swoim posiadaniu, na czym aż tak zależy naszemu Dowódcy i jego gildii. Ponieśli wiele wysiłków, aby to zdobyć. Po pierwsze musieli nas tu sprowadzić. A potem użyli nas, aby dosłownie zmasakrować miejscowych.

- Ja także tego nie wiem na pewno - przyznał jej mąż. - Ale przez kilka ostatnich dni dowiedziałem się wielu rzeczy. Odkryłem, że pewna ruda, wydobywana na tej planecie, jest bardzo wartościowa dla gildii, ale do wczoraj nikt nie wyjaśnił mi, w jaki sposób się ją ekstrahuje. Ciągłe nie mam pojęcia, co to jest i dlaczego jest tak cenna dla Dowódcy, ale zdaje mi się, że odkryłem, dlaczego miejscowi są tak... niechętni do dzielenia się urobkiem z gildią. I nie jest tak, jak na początku myślałem. Widzisz, zdawało mi się, że obcy są potrzebni, aby wydobywać rudę i to będzie właśnie główna część umowy.

- A nie są? - zapytała zdumionym tonem.

- Nie. Dowódca i Komputer wyjaśnili mi wczoraj, że inna gildia zainstalowała już na tym świecie maszyny wydobywcze, tak więc siła robocza obcych nie będzie potrzebna. Urządzenia same wydobywają rudę i składują ją, dopóki nie przyleci po nią statek.

- Jakaś inna gildia - powtórzyła Matylda powoli.

- Tak - zmarszczył brwi. - Komputer wyjaśnił mi większość rzeczy, ale niewiele zdołałem pojąć. - Patrzył w oczy żony przez chwilę, aż zrozumiała bez słów, że Dowódca nałożył na Komputer pewne ograniczenia i dlatego nie dowiedzieli się wszystkiego. Pokiwała głową. -

Ale z tego, co zrozumiałem - mówił dalej baron - Wydaje się, że ta gildia jako pierwsza uzyskała prawo do wydobywania rudy, czymkolwiek ona jest. Kupili je od Thoolaasów, jakiś czas temu. Te prawa zostały teraz przeniesione na gildię Dowódcy.

- Ale jeżeli już raz zdecydowali się przekazać te prawa komuś innemu, dlaczego tak bardzo się opierali naszemu Dowódcy, kiedy tu przybył? - zapytała Matylda. - Czy byłoby aż tak niezłomni w kwestii zachowania dawnych zobowiązań?

- Raczej nie! - prychnął sir Jerzy. - O ile mi wiadomo, Thoolaasowie tak samo niechętnie odnosili się do poprzedniego władcy przywilejów wydobywczych, jak i do nas. Z tego, co udało mi się odkryć, proces wydobywania rudy jest bardzo destrukcyjny i niebezpieczny dla miejscowych. W proces zaangażowane jest zbyt wiele „technologii” których nie rozumiem, dlatego nie jestem w stanie wyjaśnić ci, jak to działa. Ale niezależnie od sposobu funkcjonowania, obszary na których odbywa się wydobywanie całkowicie nie nadają się do zamieszkania. Zgodnie z danymi Komputera, proces wydobywczy powoduje śmierć wszystkich istot żyjących w bezpośredniej bliskości, a także zatrzuwa wodę i ziemię na wiele setek lat.

- A ci... ludzie pozwalają, aby to się działo na ich ziemi?

- Zakładam, że Thoolaasowie tak samo nie mieli wyboru podczas pierwszych negocjacji, jak nasi dzisiejsi sojusznicy - powiedział sir Jerzy drwiąco. - Z drugiej strony, wydaje mi się, że teraz daleko lepiej rozumiem postawę Laahstaarów i Mouthai. Chociaż Thoolaasowie zostali zmuszeni do przekazania praw, przynajmniej wywalczyli sobie, że teren, na którym odbywa się wydobywanie, będzie znacznie oddalony od ziem ich plemienia. A Laahstaarowie znajdowali się bliżej, tak więc kopalnie weszłyby w sam środek ich terenów, i sądzę, że ten właśnie fakt sprawił, że tak bardzo się opierali wraz ze swoimi sojusznikami. Nie zależało im na prawie wydobywania.

- Słodki Jezu - mruknęła Matylda i objęła się ramionami. - W jej oczach pojawił się strach i ból na myśl o tym, jaką zagładę sprowadzili na ten świat. Chociaż nie mieli wyboru.

- Ale skoro ten proces jest tak destrukcyjny i niebezpieczny, jaką gwarancję ma nasz Dowódca, że miejscowi nie zniszczą kopalni i sprzętu, jak tylko stąd odlecimy? Szczególnie że przemysł zagraża ich ziemiom i życiu współplemieńców? - zapytała po chwili.

- Nie mogą - odparł krótko. - Nie zamierzam udawać, że rozumiem, jak to ma być osiągnięte, kochanie, ale Komputer mówi, że sprzęt chroniony jest przez urządzenie, które nazywa się „pole siłowe”. Poza tym teren wokół kopalni jest tak bardzo zanieczyszczony, że każdy miejscowy, który odważy się tam wejść, umrze, zanim zdoła cokolwiek osiągnąć.

- Rozumiem... tak mi się zdaje - powiedziała Matylda powoli, ale jednocześnie

zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową. - Ale jeżeli ich sprzęt jest niezniszczalny, a miejscowi i tak nie mogą zbliżyć się do kopalni, bo to śmiertelne zagrożenie, to po co w ogóle szukać porozumienia i oficjalnie przekazywać prawa do wydobywania? Czy nie łatwiej po prostu zbudować kopalnię i zignorować mieszkańców planety, skoro i tak oni nic nie mogą zrobić, żeby zapobiec wydobywaniu?

- To pytanie, nad którym ciągle się zastanawiam - przyznał sir Jerzy. - O ile dobrze zrozumiałem, istnieje jakaś nadrzędna władza, której podlegają wszystkie gildie. Czy ta władza to coś w rodzaju rządu? Tego nie wiem i nie umiem powiedzieć, gdyż za mało o niej usłyszałem. Ale jej decyzje są wiążące dla wszystkich gildii. Najwyraźniej istnieją dekry, które regulują sytuacje, takie jak te, aby zachować porządek wśród gildii. I dlatego gildia musi się ubiegać o zgodę na wydobywanie u rdzennych mieszkańców planety.

- A czy nasz Dowódca nie martwi się, że gildia, która utraciła prawa do tego świata, będzie składać skargę do władz? Przecież zagarnął ich teren.

- Najwyraźniej nie. Tak jak mówiłem, nie mam pełnej wiedzy, gdyż Dowódca uznał, że te informacje nie są mi potrzebne przy wypełnianiu obowiązków. Ale najwyraźniej nowa umowa automatycznie unieważnia starą i Dowódca jest przekonany, że nie ma powodów do skargi.

- A więc jego gildia przejmuje po prostu wszystko to, co należało do jego rywali? Ale nawet jeżeli zdobyli te prawa, jak zabezpieczą się przed tym samym? Jeżeli, kiedy już nas tu nie będzie, przyjdzie ktoś inny i zacznie handlować z miejscowymi? Z tego co mi powiedziałaś wnioskuję, że nie będziemy tutaj długo. Nie będzie mógł zatem doglądać swojego kontraktu i każdy, kto dysponuje podobną mocą, w każdej chwili może tu przybyć i po prostu zażądać, żeby miejscowi zawarli kontrakt właśnie z nim? Albo, jeśli już o tym mowa, może skłamać, że jest członkiem gildii Dowódcy.

- O to samo zapytałem Komputer - odparł sir Jerzy. - Odpowiem najpierw na twoje ostatnie pytanie. Komputer powiedział mi, że miejscowi nie będą mieć żadnej możliwości handlu z obcymi, tak długo jak obowiązuje bieżąca umowa, ponieważ zostawimy tu coś, co nazwał „orbitalnym monitorem ruchu”. Mówi, że to coś „orbituje” wokół świata, co oznacza, że stale okrąża planetę. Tak powiedział, a ja nie mam powodu mu nie wierzyć. Zresztą, jakkolwiek dziwacznie by to brzmiało, na pokładzie tego czegoś jest jeszcze więcej tej ich „technologii”, a Dowódca umieści tam również kopię umowy. Każdy statek, który zbliży się do Shaakun będzie musiał powiadomić o swojej obecności i zidentyfikować się, a wtedy urządzenie poinformuje go, że gildia jest jedynym przedstawicielem handlowym na tej planecie. Nadlatujący zostaną też ostrzeżeni, że każda próba nawiązania stosunków

handlowych z miejscowymi jest przestępstwem i będzie podlegała wysokiej karze. O ile dobrze zrozumiałem, kary te zaczynają się od wysokich grzywien, a kończą na konfiskacie statku.

- Ale skoro prawo zabrania innym handlować z planetami, które objęte są już jakimś kontraktem, to czy sam Dowódca nie pogwałcił przepisów?

- Nie, zgodnie z tłumaczeniem Komputera. Dowódca pochodzi z bardzo starej cywilizacji, kochanie. Mają wiele praw i zwyczajów, które, jak mówi Komputer, regulują niemalże każdy aspekt ich życia i interesów. Sam Dowódca nie zabiera ze sobą nawet grama rudy, a więc technicznie nie doszło do wymiany handlowej z nikim na tej planecie. On tylko... wynegocjował nowy kontrakt, który pozwala jego gildii od tej pory bezpiecznie i legalnie handlować z plemionami. Cała ruda, która została wykopana i przerobiona za czasów obowiązywania poprzedniej umowy, należy do gildii, która tę umowę wynegocjowała, i dlatego Dowódca nie może jej zabrać, bo złamałby prawo. Ale kiedy przyleci tu statek tamtej gildii, aby zabrać urobek od ostatniej wizyty, a Komputer mówi, że statek pojawia się raz na jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat, nie będzie mógł zabrać ani grama rudy, wydobytej po tym, jak jego umowa została zerwana i nowa gildia wynegocjowała warunki. Jednakże wszystko, co wykopano wcześniej zanim tu przybyliśmy, należy do tamtej gildii i ziomkowie Dowódcy będą musieli bardzo starannie prowadzić zapiski, żeby upewnić się, że własność poprzedniej gildii nie została naruszona ani skradziona.

- To brzmi dość skomplikowanie - westchnęła Matylda.

- Z pewnością nie mogę się z tobą nie zgodzić w tej materii - przytaknął małżonce. - Ale Komputer twierdzi, że zwyczaje i tradycje są tak mocno zakorzenione, że nikt nawet nie pomyśli o ich pogwałceniu. Co nie znaczy, o ile dobrze pojąłem, że nie będą poszukiwać pilnie jakiejś luki, która pozwoli im oszukać prawo czy obejść zwyczaj, tak długo, jak mogą to zrobić nie uciekając się do nielegalnych praktyk.

- Przynajmniej pod tym względem przypominają ludzi - zauważyła jego żona, a baron zaśmiał się kwaśno.

- Pod pewnymi względami są tacy sami, jak my. Ale pod innymi, mam wrażenie, że im dłużej ich znam, tym trudniej mi ich pojąć.

- Sądzę, że to normalne, biorąc pod uwagę to, jak bardzo się różnimy - powiedziała Matylda. - Ale ciągle zdaje mi się, że skoro Dowódca i jego gildia zmusili Thoolaasów, i inne plemiona, żeby ci przekazali prawo do eksploatacji rudy na całej planecie i w dodatku nie pogwałcili przy tym żadnych przepisów prawa, z pewnością ktoś inny może zrobić im to samo.

- Ja też o tym pomyślałem - odparł sir Jerzy. - Zapytałem Komputer o taką możliwość i przyznał, że ona istnieje, ale nie był zbyt przejęty. Z tego, co wiem, takie praktyki nie są niczym niespotykanym. Ponieważ ruda odbierana jest z planety co jakieś pięćdziesiąt, czy sześćdziesiąt lat, być może po prostu ilość zdobytego surowca jest wystarczająca, aby taka operacja, jaką podjął nasz Dowódca, opłacała się.

- A czy on, albo Komputer, nie wyjaśnili ci, po co potrzebowali łuków, mieczy i twoich ludzi, skoro mogli użyć swojej broni?

- Tego mi nie powiedzieli - odparł baron i spochmurniał. - I nie sądzę, żebym się tego prędko dowiedział. Ale jakakolwiek jest przyczyna, pokazaliśmy im, że jesteśmy przydatni. Z tego, co powiedział mi Komputer i Dowódca wnioskuję, że niebawem czeka nas podobne zadanie w innym świecie. I, jak powiedziałem, Dowódca wyraził swoją wdzięczność. Zrozumiałem, że dzisiaj wieczorem osobiście przekaze żołnierzom słowa uznania.

- Rozumiem - zmiana w tonie głosu nie zwiódła Matyldy. Kobieta spojrzała na niego pochylając głowę. - A czy dał ci do zrozumienia, w jaki sposób zamierza wyrazić swoją wdzięczność?

- W rzeczy samej - popatrzył jej w oczy. - Zamierza nagrodzić nas dwutygodniowym pobytem tutaj, na Shaakun... zanim znów nas uśpi i przemieścimy się w kolejne miejsce.

Matylda westchnęła ze smutkiem, a baron wyciągnął rękę, złapał jej dłoń i ścisnął mocno.

- Też chciałbym, żeby to było dłużej - powiedział tonem znacznie lżejszym, niż się czuł. - Ale przynajmniej spędzimy te dni razem, ty, ja i Edward. I nie będziemy musieli przejmować się negocjacjami z upartymi czterorękami ani obmyślaniem strategii kolejnych bitew. I przecież żadne z nas nie myślało, że zostaniemy tu na zawsze.

- Nie, ale... - zaczęła i przerwała niemal natychmiast.

- Wiem - powiedział łagodnie. - I, prawdę mówiąc, byłem zaskoczony jego łaskawością. Nie wiem jak długo zamierzał pozostać na tym świecie, ale sądzę, że i tak miało być to o wiele krócej. Bardzo się spieszy, ale sądzę, że przekonaliśmy go jak ważny jest dla nas odpoczynek na wolnym powietrzu, poza ścianami statku. I wierzę, że on naprawdę docenia moje rady, podobnie jak militarne umiejętności. Z pewnością na dłuższą metę to przyniesie nam zmianę warunków na lepsze, nie tylko dla nas samych, ale też pozostałych ludzi.

- Tak, oczywiście, że tak - wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się do niego. - Tak, kochany, jestem z ciebie dumna. Bardziej nawet niż na Ziemi. Z pewnością żaden z królewskich dowódców nie miał takiej umiejętności balansowania na linie jak ty!

- W pewnym sensie, bez wątplenia - zgodził się. - Ale mam doskonałych doradców i asystentów, a ty zajmujesz wśród nich poczesne miejsce. I - uśmiechnął się nagle - chociaż

muszę się nieźle nakombinować, przynajmniej cele mam jasno określone i całkiem proste!

Matylda zaśmiała się w odpowiedzi, a baron wstał i przytulił ją. Wolną ręką objął Edwarda i przyciągnął go do siebie.

- Tylko Bóg wie, jak daleko jesteśmy od świata, który kiedyś nazywaliśmy naszym domem - powiedział cicho do syna i żony. - Ale chociaż to bardzo daleko, niebawem znów będziemy podróżować, a na końcu kolejnego etapu znów czeka nas bitwa. A potem następna, i następna, i jeszcze jedna. - Patrzył przez chwilę w oczy Matyldy, a potem pochylił się, aby zajrzeć w twarz syna. - Nie jesteśmy panami swojego losu - powiedział Edwardowi. - Ale robimy to, co każe nam Bóg. I zmierzmy się z zadaniem, które nas czeka, zrobimy to, co musimy. Nie mamy wyboru, ale cokolwiek nas spotka, nigdy nie zapomnimy, że jesteśmy ludźmi, Anglikami i Angielkami. I będziemy pamiętać, że mamy obowiązki i bliskich, o których musimy dbać.

Edward patrzył na niego w milczeniu przez dłuższą chwilę. A potem stanowczo pokiwał głową. Sir Jerzy uśmiechnął się z dumą i zmierzwił włosy chłopca.

- Bardzo dobrze - powiedział i spojrzał na żonę. - Przynajmniej wiemy jak wiele czasu mamy, aby cieszyć się wolnością, a sir Brian i jego żona zaprosili nas na ucztę na dzisiejsze popołudnie. Czy masz ochotę się do nich przyłączyć, pani?

- Z wielką chęcią, mój panie - odparła, a mąż przytulił ją mocniej i z zadowoleniem pokiwał głową.

- Dobrze - powiedział. - A więc nie zwlekajmy i chodźmy.

- VII -

Ładownik statku kosmicznego był co najmniej dziesięć razy mniejszy niż macierzysty pojazd. Miał nie więcej jak trzysta metrów długości i był zrobiony z tego samego stopu o kolorze brązu. Mimo tego, że był mniejszy, jego ładownia wyglądała niczym wielka, pusta jaskinia. Pojazd zaprojektowano tak, aby mógł przewozić duże ładunki ze statku... a także, żeby dostarczać angielskich żołnierzy na powierzchnie światów, które mieli podbijać. Żołnierze przez ostatnie lata naoglądali się do syta wnętrza ładowni, ale przynajmniej ten pokład nie tańczył i nie kołysał się jak przeklęte, nienawistne kogi.

Ta sama myśl wędrowała w umyśle sir Jerzego wielokrotnie. Baron pochylił się i poklepał Szatana po szyi. Wierzchowiec potrząsnął łbem, zadźwięczała zbroja, chroniąca jego wygiętą szyję i przestąpił z nogi na nogę. Podkova zagrzmiała niczym grom na metalowym pokładzie i dowódca uśmiechnął się lekko. On i jego ogier przechodzili przez to tak wiele razy. Do tej pory powinni się już przyzwyczaić, i tak najwyraźniej było. Ale żaden z nich nie poddał się jeszcze rezygnacji.

Zabrzmiał ostrzegawczy gong. Sir Jerzy uniósł się w strzemionach i odwrócił, aby pokivać ludziom, zebranych za nim. Obok nich stał oddział pokrytych brodawkami Hathori o pomarańczowej skórze odzianych w ciężkie płytowe zbroje i uzbrojonych w wielkie topory. Rozmieszczeni byli pod ścianami ładowni, ale ich zadaniem nie było wspieranie Anglików. Jak zawsze, mieli pchnąć ich naprzód, gdyby ludzie się zawahali, i zabić tych, którzy próbowaliby uciekać.

Nie żeby ludzie zamierzali uciekać... czy trzeba było ich zachęcać do walki.

Baron i jego żołnierze całkowicie zagubili się w czasie. Ojciec Tymoteusz musiał w końcu przyznać, że nie jest w stanie określić dnia ani roku, który był teraz na dawno opuszczonej przez nich Ziemi, chociaż przez długi czas walczył desperacko, aby nie zatracić całkowicie poczucia czasu. Sir Jerzy poprosił Komputer, żeby ten pilnował dla nich daty, kiedy ksiądz przyznał się w końcu do porażki. Z pewnością to zadanie nie było niemożliwością dla tak tajemniczej, wszytkowiedzącej istoty, niewidocznej dla oka, ale słyszalnej doskonale w każdym miejscu, nie tylko na statku. A przynajmniej w porównaniu do wielu niemożliwych rzeczy, których Komputer dokonywał na jego oczach.

Ale Komputer odmówił. A nawet więcej, istota poinformowała barona, że to jest

zabronione. Nie może powiedzieć ludziom, jak długo pozostają na niechcianych usługach gildii demona-błazna.

Już sam opór powiedział baronowi bardzo wiele. Demon-błazen zachowywał się bardzo beztrusko i w wielu przypadkach Komputer mógł dzielić się z Anglikami swoją wiedzą. Często Dowódca nieprecyzyjnie określał wiadomości zastrzeżone. Wiele informacji wyciągał z Komputera podstępem, a każda z nich była na swój sposób przydatna, kiedy na danej planecie negocjował z demonem-błaznem coraz korzystniejsze dla siebie warunki. Ponadto zawsze był zdania, że przyda mu się jak najwięcej informacji o lokalnym terenie i przeciwniku, z jakim ma się spotkać. Komputer często także udzielał mu wielu wskazówek dotyczących polityki i historii danego świata. Sir Jerzy podejrzewał, że nieraz nauczył się więcej o planecie i potencjalnych korzyściach, jakie można było z nich wyciągnąć (nawet jeżeli nie wiedział, po co się używa tych korzyści), na której byli, niż demon-błazen by sobie życzył. Uzbrojony w tę wiedzę był w stanie wywalczyć sobie i swoim ludziom więcej przywilejów albo czasu, spędzanego na powierzchni planety z dala od Dowódcy, gdyż demon-błazen zawsze był wdzięczny, kiedy jego rady i spostrzeżenia okazywały się słuszne.

Ale być może ważniejsze były inne rzeczy, których baron dowiedział się w trakcie podróży. Rzeczy, które uznane byłyby na dawno opuszczonej Ziemi za herezję. Większością tej wiedzy podzielił się z ojcem Tymoteuszem i członkami swojej rady, chociaż jeden czy dwa niepokojące zjawiska (albo teorie) pozostawił dla siebie. Wątpił, czy demon-błazen zdaje sobie sprawę z tego, jak wiele się dowiedział, chociaż nie wszystko do końca rozumiał, o wielkim wszechświecie, który przemierzał na statku Dowódcy. Komputer bez przerwy używał terminów, które były całkowicie niezrozumiałe dla barona - słów takich, jak „kwazar”, „nowa”, „neutrino”, „rodzaj spektrum” i wielu, wielu innych, które dopiero zaczynał poznawać. Ale demon-błazen nie miał pojęcia, że baron nauczył się od Komputera co to jest „prędkość światła” (choć jego umysł burzył się na samą myśl o tym, że światło ma jakąś określoną prędkość, gdyż to przeczyło nie tylko temu, czego się kiedyś uczył, ale także obserwacjom całego życia) i „relatywistyczne opóźnienie czasowe”. Co prawda precyzyjne definicje tych pojęć i konsekwencje, jakie ze sobą niosły, ciągle nie były do końca zrozumiałe, ale pojmował je na tyle, żeby wiedzieć, że kiedy statek leci z prędkością zbliżoną do prędkości światła, czas na jego pokładzie płynie wolniej niż w pozostałej części wszechświata, stworzonego przez Boga.

Biorąc pod uwagę fakt, że statek obcego niemalże przez cały czas lata z planety na planetę i wozi Anglików z jednego przesiąkniętego krwią pola bitwy na drugie, efekt „opóźnienia czasowego” musiał być brany pod uwagę. Oczywiście nie był w stanie stwierdzić

jak to wpływa na ziemski kalendarz i baron podejrzewał, że Komputer nie chce ujawnić tych danych, aby Anglicy nie dowiedzieli się, jak wiele czasu upłynęło na Ziemi od ich porwania. Myślał sobie, że pewnie do tej pory umarli już wszyscy, których kiedykolwiek znał, chociaż wedle obliczeń Tymoteusza nie minęło więcej jak jedenaście lat. Oczywiście jedenaście świadomych lat. Żaden z nich nie miał bladego pojęcia, jak wiele lat minęło podczas gdy pozostawali w stazie.

Cóż, z pewnością wiedzieli jedną rzecz. Podczas gdy spali, minęło bardzo wiele lat.

Nie żeby mogli to poznać w twarzach swoich towarzyszy, a przynajmniej nie w twarzach dorosłych. Na podstawie czasu, który spędził przytomnie, nie śpiąc, sir Jerzy stwierdził, że ma co najmniej czterdzieści sześć lat. Ale w rzeczywistości był pewny, że jest znacznie starszy, chociaż żaden z jego włosów nie posiwał ani odrobinę. Nie czuł bólu i sztywności w stawach, miał zdrowe zęby (a co więcej, odrosły mu trzy brakujące, które stracił dawno temu), wzrok miał lepszy niż kiedykolwiek na Ziemi, i pod każdym względem, o ile był w stanie ocenić, nie był ani o jeden dzień starszy niż tego burzowego wieczoru, kiedy statek obcych uniósł ich z powierzchni morza.

Komputer i Lekarz mówili do niego o „nanotechnologii”, „retrowirusach” i „samoreplikujących się technikach regeneracji”. Ale mimo wszelkich wyjaśnień baron nie był w stanie pojąć o co chodzi. Mogli równie dobrze być czarownikami i rzucać zaklęcia czarnej magii, ale przecież nie mógł zaprzeczyć efektywności ich metod. Demon-błazen obiecał im dłuższe życie, które miało być jedną z nagród za służbę gildii, i wyglądało na to, że wiedział, co mówi. Sir Jerzy często się zastanawiał, jak bardzo można przedłużyć ludzkie życie, ale żaden z jego ludzi nie był tak naiwny, żeby uwierzyć, że ten dar rzeczywiście miał być nagrodą. Po prostu zapewniał nieograniczone życie swoim narzędziom, aby służyły mu jak najdłużej.

I był pewien, że będą. O tak, dobrze się zabezpieczył! Do tej pory prawie wszyscy ludzie „umarli” co najmniej raz. Niektórzy, być może gorzej wyszkoleni, albo po prostu bardziej pechowi niż ich towarzysze, ginęli dwa, a nawet trzy razy. Stefan Meadows miał niechlubny zaszczyt dzierżyć palmę pierwszeństwa w tej dyscyplinie. Lekarz przywracał go do życia nie mniej jak pięć razy. On sam był poważnie ranny tylko raz i nawet wtedy nie wymagał zabiegów ożywiania, ale to było raczej nietypowe.

Przynajmniej ta stała i niezmienna ilość wskrzeszeń odsunęła na bok strach ludzi przed Łazarzami! A dodatkowo żołnierze mieli niepowtarzalną okazję niemalże bez końca ćwiczyć swoje umiejętności walki, tak że inni ziemscy wojownicy nie mogli się z nimi równać. Być może spędzili poza Ziemią tylko jedenaście świadomych lat, ale sporą część tego czasu

poświęcili na walkę na wielu światach. Przyzwyczajali się do zmian w składzie powietrza, którym oddychali, nauczyli się co oznacza często używane przez Komputer słowo „grawitacja” i jak zmiany teże wpływają na ich broń i na nich samych. Wypracowali triki i strategie wykorzystujące te zmiany i nabrali gładkiej, ekonomicznej sprawności na polu walki. Śmierć była doskonałym nauczycielem, szczególnie że nie zatrzymywała swoich studentów po nieudanej lekcji.

Medyczne cudowności Lekarza w połączeniu ze stałą gotowością bojową, wymaganą przez demona-błazna, pozwoliły sir Jerzemu i jego ludziom zapakować doświadczenia całego życia w ciałach, które biologicznie dopiero osiągały szczyt fizycznego rozwoju. Nawet bez imponującej i stałej poprawy uzbrojenia i osłon, produkowanych przez moduły obcego, żołnierze i łucznicy barona zmienili się w najbardziej śmiercionośną broń, jaką oglądał on na polu walki. Nie mógł sobie wyobrazić lepszych żołnierzy.

I ta myśl przywiodła go z powrotem do oczekującego go zadania.

* * *

Wielu jego ludzi niegdyś było żeglarzami, ale okoliczności postawiły ich przed takim samym wyborem... albo brakiem wyboru, jak jego żołnierzy. W tej chwili nie było możliwości, aby odróżnić ich od profesjonalnych oddziałów wojskowych, które kiedyś były tylko pasażerami. W końcu teraz i oni stali się profesjonalistami, a na ich twarzach malował się wyraz charakterystyczny dla doświadczonych wojowników - nie byli zrelaksowani, ale spokojni i zamyśleni, kiedy przypominali sobie odprawy przed bitwą i czekali, aż wprowadzą rozkazy w życie. Konna straż przyboczna i garstka rycerzy stała wokół niego, tworząc barierę ochronną pomiędzy ciągle zamkniętymi wrotami z metalu a mniej opancerzonymi, a tym samym wystawionymi na większe ryzyko łucznikami. Wszyscy jego ludzie mieli znacznie lepsze osłony niż na Ziemi. To było oczywiste od samego początku, ale teraz różnica była jeszcze większa. Sir Jerzy, Tomasz Westman i Komputer spędzili wiele długich godzin na udoskonalaniu zbroi żołnierzy. Brak jakichkolwiek limitów ze strony pieniędzy czy możliwości wytwórczej był niemalże odurzający. Mimo wielu swoich wad, demon-błazen nigdy nie skąpił na wyposażenie, w jakie zaopatrywał swoich jeńców. Biorąc pod uwagę wrażliwość istoty na zyski i straty, to zachowanie sugerowało, że moduły przemysłowe produkują wszystkie te przedmioty niskim kosztem. Ale to znaczyło także, że nie miał obiekcji, kiedy sir Jerzy całkowicie zmieniał wizerunek istniejącej zbroi, aby lepiej wyposażać swoich żołnierzy. Pod wieloma względami całkiem nowe, magicznie lekkie stopy, dostępne dzięki modułom, były w oczach barona jednymi z większych cudowności, z jakimi

zetknął się na statku.

Wszyscy jego rycerze i strażnicy byli obecnie zaopatrzeni w pełne zbroje płytowe, znacznie wytrzymalsze i odporne na ciosy niż najlepsza stal na Ziemi, a jednocześnie niewiarygodnie lekkie. Sir Jerzy w miarę dorastania przyzwyczajał się do ciężaru kolczugi i stalowych blach. Dla porównania jego obecna zbroja była prawie tak wygodna jak jednoczęściowe ubiory, jakie demon-błazen kazał im nosić jako codzienny strój. Nawet jego łucznicy nosili wspaniale wykonane pancerze, co nigdy by się nie zdarzyło w armii Edwarda III. Ziemiańscy łucznicy z radością witali ochronny ekwipunek, ale jednocześnie wiedzieli, że ich bezpieczeństwo zależy od mobilności, skuteczności ostrzału z długich łuków, i od umiejętności znacznie ciężiej uzbrojonych rycerzy i konnych, którzy bronili ich przed toporami i mieczami wrogów.

Teraz łucznicy cieszyli się niemalże takim samym stopniem pancerza, jak konnica. Wszyscy byli daleko lepiej chronieni niż na Ziemi. Oczywiście to nie zmieniało faktu, że łucznicy nadal robili użytek ze swojej broni i nie angażowali się w walkę wręcz. I tak jak zawsze polegali na zbrojnych, którzy trzymali wroga z dala od nich. Łucznicy mieli strzelać do przeciwnika, a nie angażować się w walkę. Zbroja, czy jej brak, mała armia sir Jerzego mogła zostać zniszczona w prawie każdej bitwie, jaką stoczyli w ostatnich latach, ze względu na przeważające siły barbarzyńskich plemion, gdyby nie łucznicy i żelazna dyscyplina, obowiązująca każdego, konnego czy pieszego, którzy zatrzymywali falę wroga niczym mur. Przez lata ciągłej walki armia zdobyła umiejętność bezbłędnego wykorzystywania wszystkich jej części składowych, które współdziałały daleko lepiej, niż jakakolwiek militarna siła na Ziemi. W trakcie tego procesu każdy z nich nauczył się ufać bez zastrzeżeń swemu towarzyszowi, tak samo jak wszyscy pokładali zaufanie w swoim dowódcy. Teraz stali ze spokojnymi twarzami i spoglądali na barona poważnie i z opanowaniem.

- W porządku, chłopcy. - Baron starał się, żeby jego głos także był spokojny i pewny. Nie krzyczał, gdyż wiedział, że Komputer przechwyci jego słowa i przekaże je wprost do ucha każdego żołnierza. - Znacie plan... a sam święty Michał wie, że robiliśmy to już setki razy! - Dowcip wywołał falę stłumionego śmiechu, a baron w odpowiedzi radośnie wyszczerzył zęby. - Pamiętajcie, trzymamy się planu, a wrócimy do domu na obiad!

Przez szeregi przebiegł pomruk akceptacji, a po chwili poczuli leciutkie szarpnięcie. Metalowa ściana przed żołnierzami zasyczała niczym wąż i pomknęła do góry. Baron popatrzył na kolejny obcy świat, który on i jego ludzie musieli podbić.

Niebo miało prawie normalny odcień, ale jak zawsze, było z nim coś nie tak. Tym razem było ciemniejsze, bardziej granatowe niż to, które zapamiętał z domu, a słońce o połowę za

duże. Grawitacja także się zmieniła, chociaż było to praktycznie niewyczuwalne, gdyż Komputer zmodyfikował ciężenie na statku, aby ludzie mogli się przyzwycząić, zanim rozpoczną kolejną bitwę. „Drzewa”, rosnące w rzadkich, rozsianych kępach były połączone pajęczyną nazbyt cienkich gałązek, pokrytych długimi, wątłymi serpentynami, które odpowiadały liściom. Liście i trawa miały dziwny, rdzawy kolor. Nie widział czegoś podobnego w żadnym, przyjaznym dla ludzi świecie.

Nie, żeby na tym świecie byli jacyś ludzie. A przynajmniej nie urodzili się tutaj. Ale naprzeciwko nich stała kolejna armia nie-ludzi, zbyt wysokich, zbyt szczupłych, mających zbyt wiele kończyn. Stali w nierównym szyku na odległość strzały od statku. Ta odmiana posiadała po trzy ręce i nogi, i chociaż najwyraźniej znała się na obróbce żelaza, armia obcych była niewiele lepiej wyposażona i uzbrojona niż mieszkańcy Shaakun, pierwsze ofiary Anglików w służbie u demona-błazna. Uzbrojeni byli we włócznie i chowali się za dużymi tarczami z wikliny, a większość miała na głowach skórzane hełmy, ale poza tym nie nosili żadnych osłon. Niewielu było uzbrojonych w coś więcej, niż garść oszczepów czy włócznie. Widział także pałki i trochę mieczy, ale żadnych pik czy innych skutecznych broni tego typu. Obcy nie dysponowali również żadnymi wierzchowcami. W regularnych odstępach ponad szeregami unosiły się tyczki z kawałkami materiału. Baron zdał sobie sprawę, że to sztandary i zastanowił się przelotnie, jak wiele czasu powstawał ten sojusz.

Nie wiedział zbyt wiele o tym świecie i jego ludziach. Mniej, niż był przyzwyczajony. Z siebie tylko znanych powodów, demon-błazen wybrał akurat to miejsce, aby wzmocnić kontrolę nad planowaniem bieżącej kampanii. Komputer przekazał baronowi informacje na temat broni, z którą przyjdzie mu się zmierzyć, przedyskutował strukturę lokalnych klanów i poznał ich naprawdę prymitywną taktykę poprzez tajemnicze urządzenie, nazywane „neuralnym interfejsem”. Ale mimo tego nie wiedział nadal, czego demon-błazen oczekiwał od tego świata i jak wynik bieżącej bitwy wpłynie na osiągnięcie pożądanego celu.

Jeśli już mówić o niedopowiedzeniach, to nie powiedział mu nawet, z jakiego powodu armia obcych zebrała się akurat w tym miejscu. Z pewnością zamierzali walczyć, ale czy miała to być bitwa na otwartym polu, czy może chcieli oblegać lądownik? Mimo tego, że statek był daleko mniejszy od macierzystej jednostki, która osiągała wielkość góry i tak robiła wrażenie, kiedy po raz pierwszy zobaczył ją w burzowych chmurach. Była potężniejsza niż jakikolwiek pojazd, widziany przez tubylców. Sir Jerzy zaśmiał się gorzko. Z pewnością statek był ogromny na tyle, aby istniała możliwość pomylenia go z zamkiem, chociaż nie przypominał on kształtem dzieła człowieka. Był wręcz niewyobrażalny!

W jakimkolwiek celu tutaj przybyli, kiedy lądownia statku się otworzyła, przez szeregi

obcych przebiegł dreszcz. Zaczęli potrząsać włóczniami, w górę poleciało kilka oszczepów, chociaż dystans był zbyt duży, aby mogły komukolwiek wyrządzić krzywdę. To miał być tylko gest i baron nie potrzebował magicznie wyostrzonych zmysłów, żeby rozpoznać wyzwanie. Był to cienki, piskliwy głos, w niczym niepodobny do wojennych okrzyków, wznoszonych przez ludzi, ale niósł w sobie doskonale wyczuwalny ton nienawiści.

To dziwne, pomyślał sobie. Skąd mogę być tak pewny, że rzeczywiście słyszę nienawiść? To przecież nie są ludzie. Z tego, co wiem, być może krzyczą radośnie na nasz widok i witają nas chlebem i solą! Skrzywił się na tę nieprawdopodobną myśl. Oczywiście, że to była nienawiść. Jakże mogłoby być inaczej, skoro nasz pan przywiózł nas tutaj, żebyśmy zamienili ich w posłuszne bydło?

Ale nie było więcej czasu na takie myśli. A nawet jeżeli, nie mógł nie przyznać w duchu, że ci nie-ludzie są traktowani podobnie jak on postrzegał Francuzów. Może obcy mieli inne priorytety, chodzili na trzech, a nie dwóch nogach, i nie byli wyznawcami Chrystusa, ale planował zrobić im to samo.

Przyjrzał się im po raz kolejny, aby potwierdzić słowa Komputera dotyczące się ich wyposażenia i liczebności. Na koniec prychnął jak sam Szatan. To zdarzało się zawsze, a szczególnie wtedy, kiedy demon-błazen pokładał zbyt wielką wiarę w niezniszczalność swoich ludzi. Obcych było co najmniej sześć razy więcej, a brodawkowaci nie zrobią nic, aby poprawić tę statystykę. Ich zadanie było inne. Mieli pilnować, aby żaden z miejscowych nie wszedł na pokład statku przez otwarty luk. Ale najpierw musiałyby przedrzeć się przez jego ludzi, co było wątpliwe.

Sir Jerzy wziął głęboki oddech. Wyczuwał nienawiść obcych i pewność siebie, jaką czerpali ze swojej liczebności.

Żał mi tych biednych drani, pomyślał baron, a potem zamknął zasłonę hełmu, wyciągnął miecz i ścisnął Szatana kolanami. Pokłusowali naprzód.

* * *

Po skończonej walce, doszedł do wniosku że tak naprawdę to nie była bitwa. Rzucił hełm Edwardowi i zsunął się z siodła przy jednej z przenośnych fontann, pozostając w samym kapturze. Wesoly zaśpiew wody, spadającej do szerokiej misy zasobnika tworzył groteskowe tło dla wycia, jęków i charczenia, dochodzących od strony rannych obcych. Nawet mimo tego, że minęło tak wiele czasu, baron nie zdołał przyzwycząić się do tych dźwięków. Ale przynajmniej nie słyszał zbyt wielu jęków swoich ludzi. Częściowo dlatego, że niewielu zostało rannych w porównaniu do strat miejscowych, ale w większej części wynikało to z

faktu, że latające pojazdy zabrały już większość ludzi. A także garstkę martwych, pomyślał, i zastanawiał się, jak wielu pozostanie naprawdę martwych tym razem. Mimo tego wszystkiego, co widzieli i czego doświadczyli jego żołnierze, nawet on ciągle czuł się... niespokojny, kiedy widział człowieka, który został przebity lancą, siedzącego z nim przy jednym stole i zjadającego kolację.

Odsunął tę myśl na bok. I tak było łatwiej, niż za pierwszym razem. Baron ciągle się dziwił, jak wiele pomógł mu fakt, że Komputer przekonał go o całkowicie normalnym podłożu cudów, czynionych przez Lekarza. Głos poinformował go, że to tylko zaawansowana technologia medyczna i baron łatwiej zaakceptował rzeczywistość. Dowódca mógł mu mówić dokładnie to samo, na swój arogancki sposób, ale sir Jerzy wolał zawierzyć Komputerowi i jego słowom. Być może dlatego, że nigdy nie złapał Komputera na pomyłce, a być może, nawet podświadomie, zbyt wnikliwie i podejrzliwie analizował wszystko, co mówił mu mały obcy. Wiedział doskonale, że jeżeli Dowódca rozkaże Komputerowi skłamać, ten posłucha go bez wahania, ale z drugiej strony był pewny, choć nie miał dowodu, że bezcielesna istota nie oszuka go bez wyraźnego rozkazu.

Baron nie zwykł okłamywać samego siebie, więc przyznawał w duchu, że jest zbyt wdzięczny, aby kwestionować sposób, w jaki jego ludzie odzyskiwali życie i zdrowie, i akceptował procesy, wdrażane przez Lekarza w celu przywracania ludzi. Każdy dobry dowódca robił co tylko mógł, żeby ograniczyć straty, żeby zachować zdolność bojową swojej jednostki, a sir Jerzy miał jeszcze więcej powodów, aby to robić. Przez wiele lat walk i rozlewu krwi coraz bardziej przekonywał się, że ci ludzie są wszystkim, co ma. Z pewnego punktu widzenia byli ostatnimi ludźmi na świecie, a przynajmniej w jego świecie, a to sprawiało, że każdy z nich był jeszcze bardziej cenny niż w chwili, gdyby osiągnęli Normandię.

Prychnął, otrząsnął się i włożył głowę pod wodę. Lodowaty strumień przyjemnie go otrzeźwił i zmył pot. Baron napił się i podniósł głowę, głęboko zaciągając się powietrzem. Odetchnął z ulgą. Prawa ręka bolała go ze zmęczenia, chociaż dzisiejsza walka przypominała raczej rąbanie mięsa u rzeźnika. Miejscowi, podobnie jak wielu przed nimi, z którymi walczył na służbie u demona-błazna, nigdy nie widzieli kogoś takiego, jak angielski łucznik. To było oczywiste. Nawet Szkoci pod Halidon Hill albo Thoolaasowie podczas pierwszej potwornej bitwy na Shaakun, byli bardziej ostrożni niż ci obcy. Nawet francuscy rycerze nie nacieraliby w tak głupi i uparty sposób, mimo deszczu strzał, spadającego na ich głowy.

Ale obcy z tego bezmiennego świata tak się właśnie zachowywali.

Sir Jerzy westchnął i odszedł od fontanny, zwalnając miejsce Rolfowi Grayhamowi.

Obrzucił wzrokiem pole walki.

Obcych było jeszcze więcej, niż się wydawało na pierwszy rzut oka, ale w rezultacie to i tak nie miało znaczenia. Nawet łuki jego ludzi zostały zmodyfikowane podczas ostatnich lat. Dokonał tego młody, bystry chłopak o imieniu William Cheatham. To on, jako pierwszy, wpadł na pomysł, aby użyć systemu bloczków i wyciągów, aby zwiększyć naciąg łuku, a jednocześnie zmniejszyć siłę ramion, niezbędną do jego napięcia. Młody Cheatham podpatrzył podobne rozwiązania w kuszach, używanych przez istoty na jednym z wielu światów, podbitych przez ludzi. Tę planetę sir Jerzy wspominał z goryczą, gdyż tam ponieśli największe straty. Zginęło tam dwudziestu trzech ludzi i piętnaście bezcennych koni, zanim wreszcie obcy poddali się woli gildii. Nawet z pomocą lokalnych sprzymierzeńców, również wyposażonych w lokalną broń, Anglicy musieli zbudować trebusze, balisty, „myszki”, a także wprowadzili grecki ogień i wieże oblężnicze. Baron ciągle jeszcze miał dreszcze na wspomnienie walk, prowadzonych wręcz w ciemnych, podziemnych korytarzach, które wykuwano w celu podkładania min i kontrmin, mających zniszczyć fortyfikacje wroga.

To było okropne, ale w pewien sposób otwarte pola bitwy były jeszcze gorsze. Lokalni kusznicy byli zarówno piekielnie celni, jak i mieli ogromny zasięg, i tylko doskonała zbroja i większa częstotliwość strzelania jego łuczników pozwoliły im pokonać miejscowe plemiona. Nawet demon-błazen zdawał się nie wierzyć w zwycięstwo, a przynajmniej tak się zdawało, gdyż jak zwykle nie ujawniał żadnych emocji. Martwił się stratami, jakie jego ukradzeni z Ziemi żołnierze poniosą, zanim pokonają wroga i zmuszą planetę do posłuszeństwa. Bez wątplenia martwił się dlatego, że nie chciał stracić tak doskonałego narzędzia, jak sir Jerzy i jego ludzie. Wszakże tak skutecznie służyli jego gildii.

I prawdopodobnie to właśnie niepokój sprawił, że demon-błazen przychylił się do sugestii młodego Cheathama, który twierdził, że niektóre rozwiązania, zastosowane w kuszach, mogłyby usprawnić łuki Anglików. Zazwyczaj Dowódca odnosił się nieprzychylnie do wszelkich zmian, dokonywanych w celu usprawnienia sprzętu. I niechęć ta nie dotyczyła usprawnień, wynikających ze zmiany materiału na lepszy, wytrzymalszy stop, czy lepszego wymodelowania zbroi, ale wprowadzanie całkiem nowych pomysłów wyraźnie go drażniło. To nie znaczy, że demon-błazen nie pochwalał zmian. Zdawało się raczej, że wynajdowanie nowych, lepszych sposobów, usprawniających działanie różnych rzeczy, było sprzeczne z jego naturą. Wytlumaczenie to zdawało się nedorzeczne w świetle niezliczonych technologicznych cudów i urządzeń, które go otaczały. Być może wynikały z niewiarygodnego poczucia wyższości tej istoty. Jakakolwiek była przyczyna, im dłużej sir Jerzy się nad tym zastanawiał, tym bardziej dochodził do wniosku, że ma rację.

Ale nawet jeżeli demon-błazen nie odnosił się przychylnie do nowości, baron był zachwycony funkcjonowaniem wynalazku Cheathama. Komputer pomógł w sporządzaniu planów, kiedy młody łucznik wytłumaczył mu, co ma na myśli, i mimo niewielu skarg, że kiedyś było lepiej, łucznicy dość entuzjastycznie zaakceptowali nową broń. Opór przed nowościami zmalął wyraźnie od chwili, kiedy zostali uratowani przez demona-błazna. Być może dlatego, że przez cały czas mieli do czynienia z czymś nieznanym i całkiem innym, niż w domu. Nowa broń dała im też większy zasięg i siłę, co przekładało się bezpośrednio na większe szanse odniesienia zwycięstwa i przeżycia, co znacznie lepiej tłumaczyło ich zadowolenie. Każdy z nich ciągle był w stanie wystrzelić dwanaście strzał na minutę, ale teraz trafiali do celu wielkości człowieka z odległości trzech setek kroków. Ich strzały o szerokich grotach zadawały potworne rany, niezależnie od dystansu, a strzały o grotach wąskich przebijały się przez zbroję, nawet w miejscach specjalnie wzmacnianych.

A przeciwko wrogom, którzy, jak miejscowi albo mieszkańcy Shaakun, nie byli w ogóle opancerzeni, ogień tego rodzaju skutkował prawdziwą masakrą, a nie bitwą. W dzisiejszej walce praktycznie nie doszło do bezpośredniego starcia. Jedynie pod koniec sir Jerzy i jego konnica wpadli w kłębiący się tłum, który kiedyś był armią, i dokończyli dzieła. Skrzywił się na myśl, ile go kosztowała ta szarża.

Tylko dwóch konnych było poważnie rannych, ale nie na tyle, żeby Lekarz musiał przywracać ich do życia. Niestety stracili pięć bezcennych koni. Pozostało im już niewiele tych, pochodzących z Ziemi. Szatan był jednym z nich, dzięki Bogu, a demon-błazen najwyraźniej był zdolny pojąć, dlaczego posiadanie koni jest tak ważne dla osiągnięcia pełnej efektywności przez armię, co sir Jerzy wielokrotnie i cierpliwie mu tłumaczył. Dowódca zaczął nawet jeszcze bardziej niż Seamus McNeely i baron dbać o bezpieczeństwo i warunki, w jakich przetrzymywano zwierzęta. Zmusił nawet Lekarza, żeby ten opracował lepszy sposób na zabezpieczenie wierzchowców przed stresem międzygwiazdnej śpiączki, a także dbał o to, aby je rozmnażano i „klonowano”. Jednak w przeciwieństwie do ludzi konie źle znosiły długie okresy podróży między układami planetarnymi, niezależnie od wysiłków, podejmowanych przez lekarza. Nie rozmnażały się także zbyt dobrze w takich warunkach. Nie udawało się przywracać ich do życia, nawet metodami, które doskonale sprawdzały się w przypadku ludzi. Lekarz był w stanie produkować niewielką, ale stałą ilość nowych koni, a dorosłe zwierzęta przekazywał Seamusowi, ale niestety nie starczało czasu, aby właściwie je wyszkolić zanim wezmą udział w bitwie. Ponadto konie były większym i łatwiejszym celem, niż opancerzeni ludzie. Mimo okazjonalnych wahnięć, wyglądało na to, że w każdej bitwie ginie ich o kilka więcej i niebawem dojdzie do tego, że wszystkie zostaną wybite.

Myśl ta nie cieszyła go, i to nie tylko dlatego, że przywiązał się do Szatana i dobrze mu się z nim współpracowało. Sir Jerzy nie był głupi. Jego dziadek, zanim odniósł zwycięstwo u boku króla Edwarda I pod Warwick, był kimś niewiele lepszym od zwykłego żołnierza, i ani jego syn, ani wnuk nie mogli nie pamiętać o pragmatyzmie przodka, wymuszonym ciężkimi warunkami, w jakich przyszło mu żyć. Baron był profesjonalnym żołnierzem aż po czubki palców u nóg i wiedział, że szarża konna na łuczników, posiadających zbrojne wsparcie, jest szaleństwem. Cóż, przynajmniej przeciwko angielskim łucznikom, przyznał. Uważał, że prawidłowo poprowadzona szarża konna była praktycznie nie do pokonania, jeżeli tylko dotarła do celu, ale ten krytyczny końcowy punkt coraz trudniej było osiągnąć. A przynajmniej tak się rzecz miała na Ziemi. Chociaż on sam nigdy nie miał z nimi do czynienia, słyszał o pikinierach, pochodzących z odległej Szwajcarii. Żałował, że nie ma ze sobą kilku z nich. Ściana z pik, uformowana pomiędzy łucznikami i wrogiem... taka formacja oparłaby się każdej szarzy! Oczywiście nie mógł w żaden sposób przekonać się, jak rozwija się sztuka militarna w domu, ale z pewnością nawet Francuzi i Włosi musieli się już przekonać, że sama kawaleria bez wsparcia nie jest już królową bitew. Baron był bardzo zadowolony, że do tej pory nie musiał mierzyć się z armią obcych, która mogłaby się równać Szwajcarom w uzbrojeniu i dyscyplinie!

Ale mimo tego wszystkiego był rycerzem, a najważniejszym znakiem rozpoznawczym rycerza były ostrogi. Dzień, w którym koń ostatecznie zniknie z pola bitwy, będzie nie do zniesienia. W duchu dziękował Bogu, że nie dożyje tej chwili.

Teraz... teraz być może dożyje. Zakładając, że ujrzy jeszcze Ziemię. A to się raczej nie stanie.

Prychnął po raz kolejny i wyprostował się, rozciągając ramiona. Uśmiechnął się do swojego giermka. Od czasu, kiedy Padł Tomasz Snellgrave, miał dwóch adiutantów. Obaj zostali pasowani na rycerzy, a żaden z nich nie był tak wysoki, jak obecny. Mimo swojego wzrostu, Edward przewyższał go o niemal piętnaście centymetrów, kiedy już osiągnął pełen wzrost. Młodzieniec stał obok niego, ciągle trzymając jego hełm, i sir Jerzy obrzucił go uważnym spojrzeniem. To, że Edward był przy nim... i Matylda również, dzięki Bogu i wszystkim świętym z kalendarza... było jedną z niewielu rzeczy, które pozwalały mu znieść ten niekończący się czyściec. Od czasu do czasu zastanawiał się, ile lat tak naprawdę ma jego syn. Kiedy płynęli na wyprawę do Francji, aby dołączyć do króla Edwarda, miał trzynaście lat, ale jak dawno to było naprawdę?

Baron nie był w stanie odpowiedzieć na to pytanie, tak więc nie mógł również ustalić wieku syna. Na pierwszy rzut oka młodzieniec wyglądał na osiemnaście lat, ale sir Jerzy

wiedział, że wygląd nic nie znaczy, podobnie jak w jego wypadku. To była po prostu jeszcze jedna tajemnica, kolejna konsekwencja wydłużania życia ludzkiego, co ułatwiało zadanie Dowódcy, gdyż nie musiał tracić czasu i latać co chwilę na Ziemię, żeby sobie przywozić nowych żołnierzy. Chociaż, pomyślał baron kwaśno, nie musiał udawać się aż tak daleko, żeby sobie złapać trochę najemników.

Już dawno temu doszedł do wniosku, że demon-błazen zabrał kobiety i dzieci tylko przez przypadek. Mała obca istota nie miała bowiem pojęcia o ludziach, pozostających pod jego dowództwem. Nie rozumiała ich. A może się mylił. Może rozumiał ich choć odrobinę. Po prostu nigdy nie uważał ich za coś więcej, jak tylko ożywione przedmioty, będące jego własnością. Nie starał się ich pojąć, bo to byłaby strata czasu. Nie uważał tego za ważne. Dla niego byli dokładnie tym, czym ich nazwał pierwszego dnia: barbarzyńcami i prymitywami. Cennymi z punktu widzenia gildii, ale jednakże podlejszymi formami życia, zaprojektowanymi po to, aby używać ich jak narzędzi.

Sir Jerzy wystrzegał się traktowania demona-błazna z należną mu pogardą, ale jednocześnie nie był ślepy na fakt, że obcy, mimo poczucia wyższości, nie jest wszechwiedzący i ma również słabe punkty. Na przykład fakt, że przybył na Ziemię w celu zdobycia najemników, chociaż on sam uważał to za idiotyzm. Po cóż tak zaawansowana technicznie rasa potrzebowała łuczników i rycerzy? Baron nie miał wątpliwości, że demon zamierzał ograniczyć się tylko do wojowników... a także na poważnie rozważał pozbycie się nieprzydatnych ludzi, towarzyszących żołnierzom podczas wyprawy do Francji, którzy w jego oczach byli tylko nadprogramowymi gębami do wykarmienia. Jednak nie zrobił tego i baron dziękował Bogu, że istota w końcu zrozumiała, w jaki sposób żony i dzieci można wykorzystać do zapewnienia sobie posłuszeństwa ojców i mężów. Dowódca nie dostrzegł jednej rzeczy, również związanej z tym problemem. Obecność kobiet i naturalne skłonności mężczyzn sprawiały, że ich nieduża armia w pewien sposób sama się odnawiała. Chociaż dorośli już mężczyźni nie zmieniali swojego zewnętrznego wyglądu, to wielu młodych, którzy zostali porwani ze statków, podobnie jak Edward, dojrzało i stało się mężczyznami. Młodzieńcy zajęli swoje miejsca w szeregach, a przecież ciągle rodziły się nowe dzieci... które czekał w przyszłości taki sam los.

On i jego ludzie spędzili jedenaście lat na wojnach i bitwach, ich rodziny przez większość czasu pozostawały w stazie. Oczywiście budzono ich po każdej zwycięskiej kampanii, ale nie zawsze byli przytomni, kiedy żołnierze toczyli walki. Wiele zależało od tego, jak długo pozostaną na planecie, zanim ich panowie uznają, że osiągnęli pożądaną stopień porozumienia z miejscowymi. Demon nauczył się także, że budzenie rodzin może być

nagrodą... albo karą, kiedy jest wstrzymane.

W rezultacie dla Matyldy i innych kobiet minęło mniej czasu niż dla wszystkich żołnierzy, a Edward przez wiele lat trzymał się kalendarza matki. Teraz był już wystarczająco dojrzały, a przynajmniej fizycznie rozwinięty, aby stanąć do walki u boku ojca jako jego giermek, tak więc budził się i spał z resztą Mężczyzn. Sir Jerzy cieszył się, że ma chłopca przy sobie, chociaż wiedział, że Matylda ma teraz dodatkowe zmartwienie. Nie tęskniła za synem kiedy spała ale nawet obcy lekarz nie był w stanie wyleczyć wszystkich ran. Tracili ludzi, powoli, ale stale, od samego początku, odkąd zostali porwani z Ziemi i na zawsze pozbawieni domu. Matylda nie chciała, aby jej syn także stracił życie.

On także tego nie chciał. Ale nie mieli wyboru. Walczyli i zwyciężali dla demona-błazna i jego gildii. Karą za sprzeciw była śmierć. Żyli w takim świecie i nierozsądnie było myśleć o innych realiach, ani o tym, co mogłoby być. Już nigdy nie powrócą na ojczystą planetę i musieli się z tym pogodzić.

Baron wiedział o tym doskonale i mimo samodyscypliny, którą sobie narzucał, nie potrafił przestać myśleć o tym, jak wiele czasu upłynęło naprawdę od chwili, kiedy ich podróż do Francji zakończyła się w tak nieoczekiwany sposób... na tej obcej planecie. Jaki był rok, zakładając, że ziemski kalendarz miał jakiegokolwiek znaczenie w tym odległym wszechświecie?

Nie miał pojęcia. Ale podejrzewał, że znajdują się bardzo, bardzo daleko od dwunastego dnia lipca, roku pańskiego tysiąc trzysta czterdziestego szóstego.

- VIII -

Milczący jaszczuroczłowiek odsunął się na bok, kiedy zbliżyli się do jaśniejszej ściany. Sir Jerzy zerknął na obcą istotę. Przez lata widział wielu z nich i wiedział, że podobnie jak brodawkowaci Hathori, także zbudowani byli z krwi i kości, chociaż w oczach ludzi wyglądali naprawdę dziwnie. Także byli niczym więcej, jak tylko przedmiotami w służbie gildii. Ale jego wiedza ograniczała się tylko do tych dwóch faktów. Komputer był więcej niż powściągliwy, kiedy pytał go zarówno o Hathorich, jak i o jaszczuroludzi, chociaż w przypadku tych pierwszych powiedział mu, jak się nazywają. Nie udzielił mu tej informacji odnośnie drugich, baron nie wiedział, czy po prostu nie mógł, czy nie chciał, czy postępował zgodnie z wyraźnymi rozkazami demona-błazna, a może dlatego, że po prostu nie mieli określenia na swoją rasę. Gdyby w grę wchodziła ostatnia możliwość, obcy byłiby jeszcze dziwniejsi niż pozostałe istoty, z jakimi Anglicy mieli do czynienia, chociaż baron nie mógł wykluczyć i tego, tym bardziej, że nigdy nie słyszał, aby którykolwiek z nich wydał jakiś dźwięk. Brodawkowaci często się odzywali. Baron nie nauczył się ani słowa w języku Hathori, brzmiącym jak pochrząkiwania i chrapliwe jęki, dlatego, że jego pan nie chciał, aby Anglicy zdolni byli z nimi rozmawiać. Jednak ludzie mieli przynajmniej dowód na to, że Hathori mieli jakikolwiek.. język.

I to naprawdę wszystko, co mieli.

Jako zbrojne ramię demona-błazna, brodawkowaci mieli więcej kontaktu z Anglikami niż jaszczuroludzie. Byli strażnikami więziennymi, zatrudnionymi do poganiania ludzi i kierowania na pole walki, a także pilnowali bezpieczeństwa na statku. Ponadto posiadali wyobraźnię i inicjatywę bezmyślnych kłóców drewna. Wyglądało na to, że swoje ograniczone obowiązki wykonują na pamięć, a w dodatku lubują się w okrucieństwie, które pomaga im w wykonywaniu zadań. Z okrucich informacji, które wymknęły się Komputerowi i Dowódcy baron wywnioskował, że demon-błazen na początku zamierzał użyć Hathorich w takim samym celu, jak Anglików. Nawet jeżeli mały obcy naprawdę miał taki zamiar, musiał bardzo szybko z niego zrezygnować.

Bez wątplenia jako jednostki Hathori byli groźnymi przeciwnikami. Masywna budowa i siła sprawiała, że wyglądali na twardych, i tacy w rzeczywistości byli. Nie okazywali strachu... a przynajmniej żadnej emocji, podobnej do ludzkiego lęku. Nie kochali Anglików,

co, jak podejrzewał sir Jerzy, było całkowicie zgodne z życzeniami demona-błazna, tak więc okazjonalnie dochodziło do paskudnych incydentów. Dwóch rannych łuczników zostało zabitych przez Hathorich. Obcy dosłownie porąbali ich na kawałki, co nie pozwoliło Lekarzowi na przywrócenie ich do życia. Do zdarzenia doszło na trzecim świecie, na którym Anglicy musieli walczyć. Nikt tak do końca nie wiedział, dlaczego to się stało. Najlepszym wytłumaczeniem byłoby to, że łucznicy próbowali uciekać z pola walki bez powodu, chociaż jeden z nich ledwie był w stanie stać, nawet przy pomocy łżej rannego towarzysza. Ludzie sir Jerzego wpadli we wściekłość, a gniew barona był jeszcze większy niż ich, o ile to możliwe. Ale żaden gniew i furia nie były w stanie zmusić demona-błazna, żeby w jakikolwiek sposób ukarał Hathorich za ich postępkę. Być może, myślał wtedy z goryczą. Dowódca uważał, że brodawkowaci są zbyt głupi, aby pojąć sens kary i zrozumieć, jaka jest ich przewina. I że następnym razem zawahają się, kiedy w przyszłości znów dojdzie do sytuacji, w której zginie jakiś nic nieznaczący Anglik.

Niezależnie od powodów, niechęć demona-błazna do wymierzania kary spowodowała jeszcze więcej nieszczęść. Brat zamordowanego Anglika, który z rozpaczy i gniewu najwyraźniej utracił zdolność jasnego rozumowania, w jakiś sposób wydarł broń jednemu z Hathorich, wyznaczonych na ich strażnika na pokładzie statku. Była to pałka, którą brodawkowaci posługiwali się jedną ręką, ale dla człowieka stanowiła zbyt duży i nieporęczny ciężar. Mimo niedogodności wojownik bez trudu roztrzaskał nią czaszkę poprzedniego właściciela. Splamiony krwią łucznik rzucił się z wrzaskiem na towarzyszy zabitego Hathori i zdołał ranić kolejnego, zanim pozostali brodawkowaci nie zatłukli go na śmierć.

Demon-błazen mógł odmówić ukarania Hathorich za zabicie rannych, którzy szukali tylko pomocy medycznej, ale kiedy doszło do zabicia jednego z psów obronnych gildii, jego nastawienie było zupełnie inne. Osobnik odpowiedzialny za to zdarzenie już nie żył, ale to nie powstrzymało Dowódcy przed wybraniem pół tuzina dodatkowych skazańców spośród ludzi sir Jerzego i zabicia ich w ramach wymierzania kary.

Jednym z tych ludzi był Walter Skinnet.

Twardy stary wojak nawet się nie skrzywił, kiedy go wybrano, a baron wiedział, że jego główny koniuszy byłby wściekły, gdyby choć podejrzewał, w jak gwałtowny, desperacki sposób baron błagał demona-błazna, aby go oszczędził. Nie żeby myśl o tym powstrzymywała sir Jerzego. Nie zwykł oszukiwać sam siebie, więc wiedział, że próba ocalenia jednego ze swoich najlepszych ludzi, a także wiernego przyjaciela, sprowadziłaby śmierć na innego człowieka. Ale nie dbał o to. Zresztą w trakcie rozmowy z demonem-

błaznem mówił tylko prawdę. Skinnnet naprawdę był bezcennym żołnierzem, a utrata tak doświadczonego i wyszkolonego człowieka była stratą nie do odrobienia.

Równie dobrze mógł sobie oszczędzić tej kłótni i gorzkiego wstydu, jaki ogarniał go na samo wspomnienie tego, jak płaszczył się przed demonem, błagając o życie Skinneta. Dowódca był niezłomny w swoim postanowieniu i odrzucał wszystkie argumenty z zimną logiką.

- Masz całkowitą rację, mówiąc o jego wartości, zarówno dla ciebie, jak i mojej gildii - piszczała istota pozbawionym emocji głosem. - Muszę jednak dać przykład. Wybór był całkowicie przypadkowy, dlatego, że miał przypominać twoim ludziom o bardzo ważnej rzeczy. O tym, że w podobnych przypadkach każdy z nich, niezależnie od rangi, a nawet przydatności dla moich towarzyszy, może zapłacić cenę za przewiny innych. Kiedy dostaną taką lekcję, w przyszłości być może będą znacznie surowiej dbać o to, aby nie dochodziło do takich sytuacji.

Nic nie mogło odwieść go od realizacji zamysłu i demon-błazen do końca trzymał się swoich założeń. Zmusił pozostałych Anglików, włącznie z żonami i dziećmi, które zostały obudzone na tę okazję, żeby byli świadkami egzekucji, przeprowadzonej przez Hathorich, którzy zabijali ludzi jednego po drugim. Anglicy zginęli, Walter Skinnnet był przykładem, jak powinien umierać dumny człowiek, a lekcja została zapamiętana. Hathori byli tak samo nietykalni jak demon-błazen. Razem z nauczka w umysły Anglików zapadło jeszcze coś - świeża, zimna i znacznie bardziej niebezpieczna w skutkach nienawiść do Dowódcy i brodawkowatych. Sir Jerzy zastanawiał się, czy demon-błazen zdaje sobie sprawę z uczuć, jakie wzbudza. Jeżeli tak, nie dał nic po sobie poznać, więc być może ich nie dostrzegał. A może po prostu o to nie dbał. Prawdopodobnie, mimo wielu argumentów przemawiających przeciwko tej tezie, uważał ludzi za takie same istoty jak Hathorich - brutalne, okrutne i bezmyślne, rozumne na tyle, aby wykonywać rozkazy, ale nieświadome niczego innego poza poleceniami swego pana.

To wymagało jeszcze więcej ignorancji, a może nawet głupoty, niż baron sądził. Demon-błazen naprawdę był głupi, a im lepiej go poznawał, tym bardziej się o tym przekonywał. Wszystko było możliwe, kiedy do głosu dochodziła nieskończona próżność Dowódcy, ale baron podejrzewał, że został on zmuszony do użycia ludzi w celu realizacji potrzeb swojej gildii, gdyż Hathori byli mocno ograniczeni. Jako jednostki brodawkowaci byli maszynami do zabijania, ale nie potrafili współdziałać, nie mieli w sobie wystarczającej inteligencji i zdolności do walki jako armia. Z pewnością nawet demon-błazen musiał to dostrzec, że pomiędzy jego ulubionymi zwierzątkami domowymi, a Anglikami, których zmusił do

posłuszeństwa, jest ogromna różnica. Chociaż nie dawał tego po sobie poznać.

W porównaniu z pozycją i możliwościami brodawkowatych, milczący jaszczuroludzie zajmowali zupełnie inne stanowisko. Komputer mógł odmawiać odpowiedzi na dotyczące ich pytania, ale już sam fakt, że demon-błazen ani razu o nich nie wspominał, ani na naradach ani podczas samotnych rozmów z dowódcą oddziałów, niósł ze sobą wiele znaczeń. Z pewnością była jakaś przyczyna tego milczenia, chociaż ani sir Jerzy, ani jego doradcy nie byli w stanie jej odkryć. Zawsze byli w pobliżu, czaili się w tle, ubrani w swoje jednoczęściowe czerwono - niebieskie stroje, tak samo nieprzeniknieni i nieruchomi jak katedralne gargulce. Mimo swojego wzrostu w porównaniu z brodawkowatymi, zakutymi w zbroje i uzbrojonymi w topory wydawali się niepozorni, ale jego ludzie nigdy nie zapomnieli o śmiertelnej świetlnej broni, przymocowanej do pasów obcych, którzy nie odstępowali demona-błazna i załogi statku ani na krok.

Jaszczuroczłowiek, który mu towarzyszył, spojrzawszy w oczy barona srebrnymi źrenicami. Był nieruchomy, niczym jaszczurka, siedząca na kamieniu, ale emanowała z niego wieczna gotowość do działania. Jaśniejąca ściana odcinała kwatery Anglików od reszty statku i żaden z nich do tej pory nie zorientował w jaki sposób portal otwiera się i zamyka. Zyskali ogromną wiedzę na temat pozostałych urządzeń, zgromadzonych w ich kwaterach, potrafili korzystać z wielu wynalazków, sir Jerzy i ojciec Tymoteusz byli pewni, że pałająca ściana działa na podobnej zasadzie. Jednak nigdy nie zdołali tego odkryć.

Ich władca musiał być z tego niezmiernie zadowolony, pomyślał baron ponuro i skinął mu głową, kiedy przechodził z pomieszczenia, będącego jego więzieniem, na korytarz poza ścianą. Jak zwykle wysoka istota w żaden sposób nie zareagowała na gest człowieka, ale sir Jerzy wiedział, choć nie miał żadnych ku temu przesłanek, że obcy odbiera jego zachowanie jako rodzaj pozdrowienia, czy uprzejmości. Musieli być zdolni do myślenia, w przeciwnym bowiem razie gildia demona-błazna zamieniłaby ich na jedno z wielu sprytnych, mechanicznych urządzeń. Najwyraźniej gildia traktowała jaszczuroludzi podobnie jak Hathorich i Anglików, czyli jako mniej lub bardziej udomowione zwierzęta, średnio niebezpieczne, lecz bardzo przydatne. Demon-błazen wyraźnie najbardziej ufał tym pierwszym.

Sir Jerzy często się zastanawiał, jak postrzegają oni Anglików. Czy, tak samo jak gildia i demon-błazen, uważali ich za barbarzyńców i prymitywów, i nie zwracali na nich uwagi? Z pewnością dysponowali znacznie większą ilością cudownych broni i urządzeń swoich panów, ale to nie uprawniało ich do pozostania równoprawnymi członkami załogi. Czy może więc postrzegali Anglików jako towarzyszy w nieszczęściu? A może patrzyli na ludzi z góry, aby

przez to porównanie widzieć samych siebie jako lepszych?

Przyczyna tego zachowania nie wpływała na stan faktyczny i nikt nie zdołał odkryć sposobu, aby się z nimi porozumieć. Nawet Matyldzie nie udało się nic wymyślić. Oczywiście ich władca nie dał im wielu możliwości eksperymentowania, ale nie był w stanie całkowicie wyeliminować fizycznego kontaktu pomiędzy ludźmi i jaszczurami. W końcu ci ostatni byli świetnymi strażnikami. Większość ludzi zarzuciła próby nawiązania kontaktu, i tylko ojciec Tymoteusz jeszcze się nie poddał. Dominikanin upierał się, że jaszczuroludzie są dużo inteligentniejsi niż Hathori, a co za tym idzie, są w stanie porozumieć się z inną rasą. Był przekonany, że pewnego dnia uda mu się z nimi porozumieć. Sir Jerzy także miał taką nadzieję... chociaż brakowało mu cierpliwości księdza i ślepej wiary, że to się stanie. Z drugiej strony nawet ojciec Tymoteusz nie szukał porozumienia z Hathorimi.

Baron zastanawiał się nad swoją pokrętną naturą, idąc zgodnie z prowadzącymi go światłami pustym korytarzem. Dzielił nadzieje ojca Tymoteusza, a jednocześnie brakowało mu jego wiary. Cóż za sprzeczność. Jednak nie potrafił całkowicie wyzbyć się nadziei i często myślał o jaszczuroludziach. A częstotliwość ta wzrosła jeszcze podczas ostatnich kilku okresów przebudzenia.

Jego myśli rozpierchły się, kiedy światła doprowadziły go do kolejnego przejścia i się zatrzymały. Zaczęły migać wściekle, jakby niezadowolone z jego powolności. Uśmiechnął się do siebie. Przewodnik był niezbędny podczas poruszania się po statku ze względu na ciągłe zmiany architektury pojazdu. To mogło być mylące, szczególnie dla kogoś, kto większość czasu spędzał zamknięty w kwaterach Anglików. Zrozumiał, że prowadzące go światła są jeszcze jednym z wielu urządzeń, pozostających w posiadaniu demona-błazna i jako takie nie posiadają żadnej inteligencji. Baron wierzył obcemu. Jednocześnie zastanawiał się czasem, szczególnie w takich chwilach, kiedy światła migotały tak niecierpliwie, poganiając go i nawołując, że są żywymi istotami, tak jak on.

Przeszedł przez drzwi i światło błysnęło po raz ostatni, a potem zgasło. Patrzył, jak blaknie, a potem odwrócił się, kiedy włąz zamknął się za nim bezszelestnie.

Znajdował się prawdopodobnie w tej samej komnacie, do której wezwano go ostatnim razem na rozmowę z Dowódcą, chociaż szedł zupełnie inną drogą, a wygląd pomieszczenia, jak zawsze, był zupełnie inny niż podczas poprzedniej wizyty. Tym razem pokój miał ośmiokątny kształt, a w każdej ze ścian widniały drzwi. Miały jakieś pięć metrów średnicy. W odróżnieniu od leśnych polan czy podmorskich krajobrazów, które demon-błazen tak bardzo lubił, tym razem pomieszczenie było surowe w wystroju i praktycznie nieumeblowane. Ściany lśniły znajomym kolorem stopu, nie postarano się nawet, aby zamaskować połączenia

płyt. Jako jedyna dekoracja na środku pokoju stał znajomy, przepiękny stół, jeden z cudów demona, nazywany przez niego samego „rzeźbą świetlną”. Sir Jerzy nie miał pojęcia, jak się robi takie rzeczy, ale zawsze go fascynowały. Każda z nich była piękna, chociaż pięknnością dziwną dla ludzkich oczu, tak dziwną, że nieraz niepokojącą, a nawet przerażającą, a także subtelna i delikatna. Ta tutaj składała się z pływających w powietrzu linii i form. Na chłodnym niebieskim i zielonym tle wiły się nitki jaskrawych kolorów. Baron patrzył na przedmiot z zachwytem i nie mógł oderwać od niego wzroku.

Czasami, pomyślał sobie rozmarzony, niemalże jestem w stanie wybaczyć im to, co nam zrobili. Nasze życia zostały przedłużone, nie chorujemy, tak jak w domu, a te istoty pozwalają nam cieszyć oczy takimi cudownościami i pięknem. Zdawał sobie sprawę, że te cuda to jedynie ochłapy z pańskiego stołu, rzucane okazjonalnie jak psom, albo, co gorsza, wręczane z wyrachowania, gdyż w przyszłości przynosiły zysk swoim władcom. Dla tych obcych jesteśmy mniej ważni, a raczej mniej wari od tych rzeczy, które budują z kryształu i metalu, i...

- Twoi ludzie dobrze się spisali. Ale wy, Anglicy, zawsze zwyciężacie, nieprawdaż?

Sir Jerzy odwrócił wzrok od świetlnej rzeźby. Nie słyszał, jak otwierają się drzwi, ale to go wcale nie zdziwiło, gdyż włazy na statku odsuwały się bezszelestnie. W odróżnieniu od wielkich drzwi ładowni, zdolnej pomieścić całą armię wraz z konnicą. Nawet istoty o tak zaawansowanych umiejętnościach nie zdołały stłumić do końca ich cichego syku.

Chociaż jego ludzie nie mieli doświadczeń w tym względzie. Tylko baron, sir Ryszard, sir Antoni, i Matylda mogli czasami zagłębiać się w obszary statku, zastrzeżone tylko dla członków załogi demona-błazna. I nawet wtedy musieli znieść w milczeniu poniżające przeszukanie, zanim mogli przejść przez pałającą ścianę pomiędzy swoim więzieniem, a resztą statku.

Baron przekrzywił głowę i popatrzył na rozmówcę w daremnej próbie określenia jego nastroju. Mimo wielu lat służby, nadal nie był w stanie tego osiągnąć. To go bardzo drażniło, a dodatkowo fakt niemożności oceny zachowania istoty negatywnie odbijał się na prowadzonych rozmowach. Piskliwy głos Dowódcy jak zawsze nie niósł ze sobą żadnej emocji, a trójjaka twarz była tak obca, że nie mógł nic z niej wyczytać. Z pewnością nigdy nie widział na niej niczego, co mógłby zakwalifikować jako uśmiech, czy wzniesienie brwi. Także tłumaczenie słów Dowódcy wcale nie pomagało w wychwytywaniu emocjonalnych niuansów. Ojciec Tymoteusz i Dickon Yardley doszli do wniosku, że górne usta demona-błazna służą do oddychania i mówienia, ale on sam nigdy nie słyszał, aby wymawiały choć słowo. Sir Jerzy wywnioskował ze słów Komputera, że niemota demona-błazna jest

spowodowana kwestiami bezpieczeństwa. Komputer powiedział mu także, że głos Dowódcy jest zbyt wysoki, aby mogło go zarejestrować ludzkie ucho.

Baron często się zastanawiał, jak wiele emocji umyka mu przez to, że posługuje się on sztucznym urządzeniem tłumaczącym jego słowa. Podejrzał, że Dowódca wcale nie jest tak pozbawiony emocji, jak przekazuje to translator, ale nie był tego pewien. Choć pompatyczność jego wypowiedzi, kiedy puszył się przed nim podczas wielu rozmów wydawała się poważnym dowodem na to, że obcy miał jednak jakieś uczucia i emocje.

On również nie rozumiał wielu aspektów działania mechanicznego translatora, który tłumaczył słowa demona-błazna. Już dawno temu doszedł do wniosku, że jego Dowódca nie zamierza uczyć się języka swoich podwładnych, gdyż to znaczyłoby, że zniża się do ich poziomu. Z pewnością, jeżeli istniało urządzenie, które tłumaczyło jego słowa na angielski, powinno także z równą łatwością sprawić, aby jego głos był słyszalny dla ludzi. Na jego miejscu zrobiłby chociaż to. Demon-błazen nie dbał o to, żeby ludzie słyszeli jego głos, a w oczach barona było to głupie. Chyba, że tłumacz, który przekładał słowa ludzi na język demona w tę stronę był w stanie przekazywać także emocje i niuanse.

Nawet jeżeli demon-błazen wyglądał śmiesznie, i mimo tego że podejmował naprawdę idiotyczne decyzje jako Dowódca wyprawy, sir Jerzy nigdy, przenigdy nie pozwoliłby sobie na to, aby go nie doceniać. Od tego zależało życie mężczyzn i kobiet, których przywódcą został wybrany. I to właśnie dlatego tak bardzo się wściekał, że nie jest w stanie odczytać emocji obcego. Musiał analizować słowa istoty znacznie uważniej niż jakiegokolwiek innego przeciwnika w swoim życiu, ale nawet teraz, po wielu latach, nie mógł wyzbyć się strachu, że popełni błąd, gdyż źle zinterpretuje albo nie zrozumie słów Dowódcy. Ze wszystkich zagrożeń wynikających z obecnej sytuacji, to właśnie najbardziej dawało mu się we znaki.

Równocześnie zdawał sobie sprawę, że w ostatnich latach poczynił znaczne postępy. Nie mógł spędzić tak wielu godzin na rozmowach z obcym, żeby nie zdobyć chociaż szczątkowej umiejętności określania jego nastrojów i emocji. Byłoby mu znacznie łatwiej, gdyby był pewny, że jego ustalenia nie są błędem w ocenie demona, ale przynajmniej Dowódca zdawał się znacznie staranniej dobierać słowa w rozmowie z nim, tak jakby chciał, aby jego polecenia były całkowicie jasne. Sens zdania musiał z nich wynikać, jako że nie był w stanie przekazać go za pomocą zmian tonu czy gry ciała.

I, oczywiście, nigdy nie przestawał powtarzać ludziom, jak są cenni dla niego i jego gildii.

Sir Jerzy nie był na tyle głupi, aby sądzić, że fakt ten uratuje jakiegokolwiek człowieka, głupiego na tyle, żeby zagrozić albo rozzłościć swoich panów. Los sir Jana Denmore'a

pierwszego dnia tuż po porwaniu był doskonałą nauczka, która powstrzymywała ludzi przed buntem, a kolejne śmierci tylko wzmocniały ich nastawienie. Dwóch ludzi, którzy opuścili obozowisko bez rozkazu z sieciami na ryby w dłoniach, niezdolni do oparcia się skąpanym w słońcu złotym plażom na pięknym świecie o błękitnym niebie i ciemnozielonym oceanie. Kolejny, który po prostu któregoś dnia odmówił opuszczenia statku. Skinnet i pięciu mężczyzn, zabitych w odwecie za śmierć brodawkowego. Jeszcze jeden, który wpadł w szal i zaatakował jaszczuroludzi i samego demona-błazna dłonią uzbrojoną w obnażony miecz...

Każdy z nich, zginął gdyż złamał rozkaz, wydany przez demona-błazna. Zostali zabici tak samo, jak sir Jan, a ich śmierć nie wywołała wśród egzekutorów żadnych emocji. A jednak sir Jerzy wyczuwał, że w normalnych kontaktach Dowódca jest zadowolony ze swojej inwestycji... i tak samo wie, że jego zwierzchnicy także są usatysfakcjonowani. Nie uroniłby ani jednej łzy (albo jej odpowiednika, za pomocą którego jego rasa wyrażała żal) nad śmiercią pojedynczego człowieka, ale cenił ich jako grupę i dlatego starał się unikać nieporozumień, które mogły prowadzić do niepotrzebnych strat.

A przynajmniej większych strat.

Sir Jerzy zdał sobie sprawę z tego, że Dowódca ciągle na niego patrzy, czekając najwyraźniej na odpowiedź. Wziął się w garść.

- Wybacz, Dowódco - powiedział. - Ciągle jestem zmęczony bitwą i dlatego trudno mi się skupić. Nie dosłyszałem, co powiedziałaś.

- Powiedziałem, że twoi Anglicy dobrze się spisali - powtórzył dowódca cierpliwie. - Przywódcy mojej gildii będą zachwyceni rezultatem waszej odważnej walki. Jestem pewien, że niebawem wyrażą swoją wdzięczność w materialnej formie, a ja, oczywiście, także przekażę twoim ludziom słowa uznania. W związku z tym wydałem Lekarzowi polecenie, aby obudził wasze towarzyszki i dzieci. Pozostaniemy na tym świecie przez co najmniej kilka tygodni, zanim dojdziemy do pełnego porozumienia z miejscowymi. Być może okaże się, że będę znów potrzebował twoich usług, a może nawet niewielkiego oddziały, aby przypomnieć tubylcom o moich atutach podczas negocjacji. Skoro i tak nie możemy was uspić, i skoro tak dobrze się spisaliście, nagrodzimy was możliwością połączenia z bliskimi, co wydaje się w pełni uzasadnione.

- Dziękuję ci, Dowódco. - Sir Jerzy z trudem zwalczył emocje, szalejące w jego duszy na myśl o połączeniu. Jak zwykle była to mieszanka tęsknoty, radości, nienawiści i gniewu.

- Proszę, siadaj - pisnął demon-błazen w odpowiedzi i wskazał krzesło, przystosowane dla ludzi, które pojawiło się nagle w pomieszczeniu. Dobrze mu znany kryształowy stół wyrósł z podłogi tuż obok krzesła, a po przeciwnej stronie pojawiło się drugie siedzisko.

Żołnierz usiadł z wielką ochotą. Krzesło było przystosowane do ludzkiej budowy, ale mimo doświadczeń w tej materii, sir Jerzy ciągle nie był w stanie przyzwycząić się do tego, że meble wyskakiwały ot tak sobie spod podłogi. Stolik także go fascynował. Już dawno temu okazało się, że jego podejrzenia co do blatu są całkowicie słuszne, a fakt, że mebel był całkowicie niematerialny tak jak powietrze, sprawiało, że miał mieszane uczucia. Stolik bez wątplenia tu był. Mógł położyć rękę na blacie i poczuć... coś. Nie potrafił tylko opisać tego uczucia. Błat wytrzymywał obciążenie przedmiotów, jakie na nim stawiano, ale tak naprawdę nie miał powierzchni, na której można było położyć rękę. Był jakby bardziej... tak jakby dotykał dłonią bardzo silnego strumienia wody, albo tak samo silnego pędu powietrza. Kiedy dotykał powierzchni blatu, czuł opór, ale pozbawiony tarcia i zawsze wydawało się, że może odkształcić powierzchnię, jeżeli tylko naciśnie mocniej.

Odsunął myśli na bok i patrzył, jak jedno z małych metalowych urządzeń pomocniczych wjeżdża bezgłośnie do pomieszczenia i stawia kryształową karafkę z winem oraz kielich na stole przed nim. Pojawił się kolejny puchar i naczynie, wypełnione jakimś gęstym, purpurowo-złotym, ciągnącym się płynem i wylądował przed nosem demona-błazna. Sir Jerzy w ostatniej chwili powstrzymał się od okrzyku zdumienia. Od chwili porwania jedynie pięć razy odbył z Dowódcą coś w rodzaju spotkania towarzyskiego, a przynajmniej tak to wyglądało. O ile był zdolny to ocenić, każde z nich miało miejsce po tym, jak demon-błazen osiągnął jakiś wyjątkowo korzystny dla swojej gildii cel, oczywiście dłońmi Anglików. Co oznaczało, że bezmyślni tubylcy, którzy padli wczoraj pod ciosami jego armii, musieli być źródłem jakiegoś towaru, wyjątkowo cenionego przez demona i jego panów.

- Zastanawiasz się nad tym, co nas skusiło na tym świecie, prawda? - zapytał demon-błazen.

Baron pokiwał głową w odpowiedzi. Mały obcy nauczył się znaczenia przynajmniej kilku ludzkich gestów, więc wydał z siebie dziwaczny dźwięk. Nie wiedział, co on oznacza, chociaż słyszał go już kilkakrotnie w przeszłości i podejrzewał, że jest to odpowiednik ludzkiego śmiechu. Jednakże nie mógł stwierdzić z całą pewnością, że nie oznacza satysfakcji, zaciekawienia, pogardy, zniecierpliwienia, albo jeszcze jakiegoś innego uczucia.

- Nie dziwi mnie to, że się zastanawiasz - mówił dalej demon-błazen. - W końcu ci obcy są jeszcze bardziej prymitywni niż wy. Trudno zatem określić, co tacy barbarzyńcy mają do zaoferowania cywilizowanym istotom.

Mężczyzna zacisnął zęby i zmusił się do przełknięcia odrobiny naprawdę doskonałego wina. Dziwił się, że słowa demona-błazna nadal wywołują w nim taki gniew. W końcu po tylu latach powinien się już przyzwycząić do pogardliwego sposobu, w jaki demon traktuje

inne rasy, i przyznawał nawet, że pod pewnymi względami istota ma rację. W porównaniu do ziomek Dowódcy, ludzie byli rzeczywiście prymitywni. Z drugiej strony już dawno temu doszedł do wniosku, że gildia obcego nie różni się aż tak bardzo od ziemskich grup tego typu. Wiele by dał za to, aby obejrzeć Dowódcę podczas negocjacji handlowych z Cypryjczykami albo Wenecjanami. Podejrzał, że bez swojej „technologii”, która dawała mu przewagę, demon-błazen zostałby wyciśnięty jak cytryna.

- W zasadzie - mówił dalej demon-błazen, najwyraźniej nieświadom jego uczuć. - Ta planeta nie oferuje nam żadnych bogactw. Jak zapewne wiesz, większość światów, na których gildia użyła was do wymuszenia posłuszeństwa, posiadała takowe, chociaż zazwyczaj przyjmowały one formę surowców, z których miejscowi barbarzyńcy i tak nie potrafili korzystać, gdyż byli na to zbyt głupi. Jednakże w tym przypadku to położenie tego świata jest dla nas cenne. Pozwoli nam umiejscowić na tej Planecie... składy, tak chyba możesz je nazwać. Tutaj będziemy mogli zaopatrywać nasze statki w paliwo i stacjonować niepotrzebne tymczasowo jednostki.

Przerwał i spojrzał na niego twarzą bez wyrazu. A potem uniósł kielich i pociągnął mały łyk purpurowo-złotej mazi dolnymi ustami.

- Możesz myśleć o tej planecie jako o strategicznie umieszczonej wyspie, albo porcie handlowym - odezwał się po chwili beznamiętnym głosem, który musiał wydobywać się z górnych ust, gdyż dolne były zajęte kielichem. - Zajęcie jej da nam wielką przewagę. A ponadto, co mnie bardzo cieszy, wgryzie się głęboko we flankę sieci handlowej gildii Sharnhaishian.

Sir Jerzy nadstawił uszu na te słowa. Chociaż nie był w stanie prawidłowo interpretować słów i zachowania obcej istoty, przez długie lata wyrobił sobie zdanie na temat jej osobowości. Wiedział, że zakładanie przykładanie tej samej miary do tak obcej istoty jak do człowieka, niesie ze sobą ryzyko, ale nie był w stanie postępować inaczej. Być może po prostu musiał włożyć demona-błazna w jakiś rodzaj znajomych ram, w przeciwnym bowiem razie popadłby w szaleństwo. Często myślał, że jego porównania są w gruncie rzeczy słuszne. I był pewien, że przynajmniej jeden aspekt osobowości Dowódcy odczytał dobrze - mała, pękata istota uwielbiała się chwalić... nawet wtedy, kiedy słuchał go tylko prymitywny, barbarzyński angielski niewolnik. A co więcej, podobnie jak wielu ludzi, którzy lubili się przechwalać, także demon-błazen nie zdawał sobie sprawy, jak niebezpieczne mogą się stać takie chwile. Jego ojciec, bardzo mądry człowiek, zawsze mówił, że najwięcej można się dowiedzieć z tego, co wymysknie się głupcowi.

Na szczęście demon-błazen nigdy nie poznał Jamesa Wincastera.

Sir Jerzy zdał sobie sprawę, że Dowódca nie odzywa się już od kilku sekund, tylko siedzi i patrzy na niego niepokojąco trzema oczami. Baron dał sobie duchowego klapsa.

- Rozumiem... rozumiem - powiedział, mając nadzieję, że Dowódca spodziewa się właśnie takiej odpowiedzi. - Podejrzewam, że to trochę podobne do, hm..., zdobycia Konstantynopola, a tym samym osiągnięcia kontroli nad dostępem do Morza Czarnego.

- Nie jestem pewien - odparł demon-błazen. - Nie znam na tyle dobrze geografii twojego świata, aby ocenić akuratność porównania, ale brzmi dość sensownie. W każdym razie przejście kontroli nad tą planetą jest wielkim sukcesem i zyskiem dla mojej gildii, dlatego właśnie pragnąłbym cię nagrodzić. Ty i twoi ludzie jesteście dla nas cennym nabytkiem, i, inaczej niż niektórzy moi bracia, ja zawsze uważałem, że o dobrych podwładnych należy dbać, a nagroda jest lepszym motywatorem, niż kara.

- Ja też to zauważyłem - odparł sir Jerzy z grymasem, przypominającym uśmiech. Zdołał jednak zapanować nad głosem i wyraz jego twarzy przemknął niezauważony. Przypomniawsobie w duchu, że nie może zakładać całkowitej ignorancji swego władcy w kwestii odczytywania aluzji i emocji. Być może istota kryła się ze swoimi umiejętnościami. W przeciwieństwie do ludzi, obcy miał kontakt z wieloma rasami i istotami. Musiał nauczyć się choć trochę rozpoznawać ich emocje na podstawie odbywanych spotkań, a nawet jeżeli się nie nauczył, lepiej było go przeceniać, niż niedoceniać.

- Podejrzewałem, że mogłeś dojść do podobnego wniosku - powiedział demon-błazen i sir Jerzy pomyślał, że gdyby istota była człowiekiem, wyszczerzyłaby zęby w zadowolonym uśmiechu. - Jednakże muszę przyznać, że fakt zadania Sharnhaishianom tak bolesnego ciosu bardziej mnie ucieszył niż jakiegokolwiek inne korzyści.

- Wspomniałeś o tych... tych - baron prychnął zniecierpliwiony. Po prostu nie był w stanie zmusić języka i ust do wypowiedzenia obcej nazwy. Demon-błazen znów wydał niepokojący dźwięk.

- Gildia Sharnhaishian - uzupełnił.

- Tak. Wspomniałeś o nich już wcześniej, Dowódco.

- W rzeczy samej - zgodził się demon-błazen. W jego głosie przez cały czas nie było emocji, twarz także pozostawała beznamietna, ale sir Jerzy podejrzewał, że obcy darzy swoich oponentów uczuciem głębokiej nienawiści. - Wiele zawdzięczam Sharnhaishianom - mówił dalej obcy. - Prawie zniszczyli moją karierę, kiedy po raz pierwszy użyli tych swoich „Rzymian”.

Sir Jerzy znów pokiwał głową, usilnie rozpraszając wokoło atmosferę zrozumienia i sympatii, w desperackiej nadziei, że demon-błazen będzie kontynuował. We wcześniejszych

rozmowach obcy wspominał o tej gildii, która najwyraźniej była głównym rywalem jego organizacji. Informacje były denerwująco skąpe i fragmentaryczne, ale jasno z nich wynikało, że gildia Sharnhaishian dominowała nad gildią demona. Było widoczne, że demon-błazen cierpiał z tego powodu, co wyjaśniałoby, dlaczego tak ściśle kontrolował wszelkie operacje na tej planecie. Jeżeli dostrzegł w niej sposób na osiągnięcie wymiernej zemsty na znieawidzonych rywalach, nie chciał dzielić się sukcesem z nikim innym.

Czy to była prawda, czy nie, wyglądało na to, że Sharnhaishianie odnieśli sukces dzięki Rzymianom, o których demon-błazen także już wspominał. Sir Jerzemu trudno było w to uwierzyć, nawet teraz, kiedy opis Rzymian zgadzał się z tym, czym byli naprawdę, ale nawet jeżeli się mylił, chciał wiedzieć o nich jak najwięcej. Wiedział, że nie może ludzi się myślać, że kiedykolwiek mógłby wystąpić przeciwko swojemu obcemu władcy, jednakże sir Jerzy widział zbyt wiele ludzkich zmagani i ich efektów, żeby porzucić tak po prostu wszelką nadzieję, mimo że demon-błazen tak bardzo przewyższał ich technologicznie. Czasami okruchy wiedzy czy możliwość poznania planów i zamiarów wroga (albo znajomość jego lęków) były bardziej wartościowe niż tysiące łuczników.

A biorąc pod uwagę cuda, jakie posiadał Dowódca i jego gildia, tylko wiedza może dać mi nad nimi przewagę, przypomniał sobie.

Demon-błazen pociągnął więcej purpurowo-złotego lepszca. Trojgiem oczu wpatrywał się w świetlną rzeźbę, tak jakby całkowicie zapomniał o obecności sir Jerzego. Człowiek nagle wpadł na pewien pomysł. Wino, które miał w karafce, było doskonałej jakości. Najlepsze, jakiego próbował. A także najmocniejsze. Czy mógł założyć, że gęsty płyn obcego miał takie samo działanie, jak ziemski alkohol? Im bardziej się nad tym zastanawiał, tym bardziej stawało się to prawdopodobne. Uśmiechnął się w duchu, tak jakby mógł się uśmiechać rekin.

W winie prawda, przypomniał sobie i pociągnął kolejny łyk, tym razem bardzo mały, ze swojego pucharka.

- To właśnie Sharnhaishianie i ich Rzymianie zablokowali moją promocję na komisarza sektora dawno temu - powiedział demon-błazen w końcu. Odwrócił wzrok od rzeźby świetlnej i spojrzał w jego kierunku. Anglik skrył uśmiech, kiedy zobaczył, że spojrzenie mierzących go oczu jest mocno zdekoncentrowane. Wydawało się, że istota pogrążona jest w głębokich wspomnieniach i sir Jerzy starannie zapamiętał ten wyraz twarzy obcego. Mógł się mylić, ale jeżeli miał rację, rozpoznanie oznak upojenia alkoholowego u demona-błazna mogło okazać się cenne w przyszłości.

- Skąd mogłem wiedzieć, że zaopatrzą się w coś takiego, jak Rzymianie? - zapytał

demon-błazen z mocą. - To musiało kosztować ich fortunę. Po pierwsze przekupili Radę, żeby pozwoliła im kupić przeklętych barbarzyńców. - Sir Jerzy lekko przechylił głowę, a demon uderzył zaopatrzoną w dwa kciuki dłonią o blat stolika. Na normalnym stole taki cios zaowocowałby głośnym plaśnięciem. Na tym blacie nie było żadnego dźwięku, ale istota najwyraźniej czerpała zadowolenie z tego gestu.

- O tak - wziął kolejny głęboki łyk kleistej cieczy i po raz kolejny nappełnił sobie puchar. - Federacja ma swoje prawa, wiesz. Nazywają to Pierwszą Dyrektywą. - Siorbnął jeszcze trochę mazi, ale górne usta ani na chwilę nie przestawały mówić. - Banda hipokrytów, oto czym są. Udają, że ich zarządzenia mają na celu bronić głupich prymitywów. A wiesz, jaka jest prawda?

Duże centralne oko obcego spojrzało wnikliwie, a Anglik potrząsnął przecząco głową.

- Bo się boją, dlatego - powiedział demon-błazen. - Głupi burokraci boją się, że stracimy nasze zabawki, kiedy barbarzyńcy się do nich dobiorą. Tak jakby idioci mogli zorientować się, jak one działają.

Zamilkł ponownie. Głos i twarz obcego coraz bardziej przypominała sir Jerzemu oblicze pijanego człowieka. Był prawie pewny, że Dowódca coraz bardziej traci poczucie rzeczywistości.

- Wiesz, właściwie to ma jakiś sens - dokończył obcy. Znów uderzył w blat stolika, co zaowocowało brakiem dźwięku i chwiejąc się usiadł na dziwnym, przypominającym wiadro sprzęcie, który służył mu za krzesło. - Podróż międzygwiazdowa trwa wiele lat, nawet z napędem fazowym. To dlatego statki są takie wielkie. Ale nie muszą takie być. Moglibyśmy zamontować napęd fazowy do statku dziesięć razy większego od tego pomieszczenia. A nawet do mniejszego. Wielkość nie ma aż takiego znaczenia. Och, krzywa przyrostu masy ma znaczenie, ale kiedy już zapanujemy na bazowymi parametrami...

Zamachał ręką i sir Jerzy po raz kolejny pokiwał głową. Nie miał bladego pojęcia co to jest krzywa przyrostu masy i jedynie nieznacznie o podstawie działania napędu fazowego, ale w tej chwili ani trochę o to nie dbał. Inne kawałki układanki wpadały na swoje miejsca, więc chciwie słuchał dalszego ciągu.

A poza tym, pomyślał sobie, chociaż nie dał tego po sobie poznać, widok Dowódcy w takim stanie był naprawdę fascynujący. W winie prawda, rzeczywiście! Głos i twarz jak zwykle nie odzwierciedlały emocji, ale zupełnie inna rzecz miała się z gestami. Być może na początku patrzył w złe miejsca, żeby odczytać nastrój obcego. W końcu jednak odkrył, gdzie leży prawda. Usiadł wygodniej na krześle, ujął kielich w obie dłonie i słuchał uważnie... nie bez współczucia.

- Kiedy podróż trwa co najmniej dziesięć lat, lepiej mieć większy statek, żeby odnieść z podróży większą korzyść, prawda? - zapytał demon-błazen. - Myślisz, że ten statek jest wielki? - machnął dłonią z dwoma kciukami w kierunku pokrytych stopem ścian. - Cóż, mylisz się. Wiele statków jest większych niż ten. A właściwie większość pojazdów gildii jest większa, gdyż wprawienie w ruch większego statku wcale nie kosztuje więcej, niż mniejszego. I to jest właśnie źródło ich Pierwszej Dyrektywy.

- Wielkość waszych statków? - Sir Jerzy postarał się, żeby w jego głosie zabrzmiało zdumienie. Dodatkowo zmarszczył mocno czoło w nadziei, że demon-błazen na tyle dobrze radził sobie z mimiką ludzkiej twarzy, że rozpozna na niej zakłopotanie. Chociaż biorąc pod uwagę okoliczności i jego zdanie na temat obcego, to zapewne nie dostrzegłby czegoś tak subtelnego jak wyraz twarzy podrzędnej rasy. Ale nawet jeżeli Dowódca nie odczytał prawidłowo emocji, to z pewnością baron zadał właściwe pytanie.

- Oczywiście, że nie - powiedział mu demon-błazen. - Nie wielkość, tylko szybkość. Do najodleglejszych naszych planet leci się piętnaście, a nawet dwadzieścia waszych lat. Może nawet dłużej. Znam planetę, na którą gildia wysyła statek raz na dwieście pięćdziesiąt lat. Federacja zdaje sobie z tego sprawę. Tak więc nie chcą, żeby banda jakichś prymitywów zorientowała się, że tak naprawdę nie jesteśmy bogami czy czymkolwiek innym, pomiędzy naszymi wizytami. Chcą, żeby przez cały czas darzyli nas szacunkiem i bali się nas. To dlatego wprowadzili Pierwszą Dyrektywę, jakieś... - Demon-błazen zamilkł na chwilę i zamyślił się na kilka sekund, tak jakby nad czymś się zastanawiał. - To było jakieś trzydzieści tysięcy waszych lat temu, tak mi się zdaje. Dorzuć setkę albo dwie.

Znów zapiszczał dziwnie i sir Jerzy zyskał pewność, że musi to być odpowiednik ludzkiego śmiechu. Chociaż w tej chwili to nie miało znaczenia. Trzydzieści tysięcy lat? Cywilizacja jego obcego pana musiała istnieć od milionów lat! Ale czy to możliwe? Czemu nie...

- Nawet jak dla nas to prawo obowiązuje strasznie długo - powiedział demon-błazen. Jego piskliwy głos był mniej wyraźny, słowa zaczęły się zacierać na krawędziach. Obcy nachylił się do przodu i sir Jerzy z trudem zwalczył śmiech, kiedy zdał sobie sprawę, że maszyna, która tłumaczyła słowa obcego, doskonale naśladuje głos pijaka, aby jak najstaranniej przełożyć jego słowa. - Nie lubimy zmieniać rzeczy, dopóki nie musimy, wiesz, tak więc skoro raz napisaliśmy prawo, jest ważne przez długi czas. To konkretnie narobiło gildiom sporo kłopotów, gdyż bez użytku naszej broni nie mogliśmy po prostu załatwić naszych spraw w odpowiedni sposób. Właściwie musimy pertraktować z barbarzyńcami tak prymitywnymi, że nie mają pojęcia o wartości tego, na czym siedzą. W końcu nie możemy

pogwałcić Pierwszej Dyrektywy, nieprawdaż?

Kolejne uderzenie w stół. Tym razem i tak nie spowodowałby żadnego dźwięku, ponieważ demon-błazen rozminął się z blatem stołu i sir Jerzy zastanawiał się, jak długo jeszcze obcy wytrzyma, zanim stoczy się pod stół.

- A więc co zrobili Sharnhaishianie? - kontynuował obcy. - Powiem ci, co. Wybrali się na wycieczkę i znaleźli prymitywny świat, o którym nawet Rada nie miała pojęcia, i przywieźli stamtąd przeklętych Rzymian. To nawet nam nie przyszło do głowy. Pierwsza Dyrektywa nie zabrania użycia siły. Mówi tylko, że nie możemy używać nowoczesnej broni. Po prostu nigdy nie przyszło nam do głowy, że pozbawieni broni nie musimy uciekać się jedynie do niepopartych niczym negocjacji i przekupstwa.

Opuścił kielich i patrzył na niego przez kilka sekund, a potem wydał dźwięk który brzmiał podejrzenie podobnie do ludzkiego beknięcia i po raz kolejny spojrzał centralnym okiem w kierunku barona.

- Ale Sharnhaishianie o tym pomyśleli. Kiedy chcieli podporządkować sobie prymitywny świat, wysyłali po prostu swoich Rzymian. Tak samo prymitywnych, jak lokalni barbarzyńcy, tak więc Rada nie mogła narzekać. Rzymianie się sprawdzili. - Są twardzi. Nigdy nie idą do walki, której nie mogą wygrać, a Sharnhaishianie użyli ich do odebrania innym gildiom tuzinów zewnętrznych planet. Pocięli na strzępy całe sieci handlowe. Pozrywali umowy handlowe, pozbawili innych magazynów i praw do zaopatrywania statków w paliwo, zrujnowali setki karier. I to wszystko dzięki temu, że zdobyli kilka tysięcy prymitywnych wojowników w zbrojach z brązu.

Zamilkł, tym razem na dłuższy czas. Obracał pucharem i patrzył na gęsty płyn, opływający ścianki. W końcu podniósł wzrok i spojrzał mniej więcej w kierunku żołnierza.

- Ale nie tylko oni mogą grać w tę grę. Myśleli, że nikt ich nie skopiuje. Pozostałe gildie zjednoczyły się i złożyły skargę do Rady, a Rada zgodziła się zbadać tę sprawę. Być może nawet postanowią, że muszą zrezygnować z usług Rzymian całkowicie. To może jednak zająć setki lat, a w międzyczasie, Sharnhaishianie przewożą Rzymian z miejsca na miejsce i zabierają sprzed naszych oczu. I wcisnęli komuś z Rady solidną łapówkę, żeby ta uznała wasz świat za nietykalny dla reszty z nas.

Sir Jerzy zeszytniał i miał tylko nadzieję, że demon-błazen jest zbyt pijany, aby to dostrzec. Nie był zdumiony, że jedna z gildii zdołała przekupić Radę, o której bełkotał obcy. Przekupstwo w celu uzyskania pożądanego celu było zawsze skuteczne, i tańsze, niż poleganie na militarnej sile. Gdyby jego król wydał nieco mniej pieniędzy na armię, a nieco więcej na kupno sprzymierzeńców podczas pierwszej kampanii we Francji, być może już by

siedział na jej tronie!

Jeżeli demon-błazen mówił prawdę, jeżeli Rada, o której mówił, miała moc wydania dekretu, który zakazywał kontaktów z domem sir Jerzego, i jeżeli rzeczywiście wydała takie zarządzenie, to demon-błazen i jego gildia musieli pogwałcić prawo, kiedy ich porywali. A jeżeli tak się miały sprawy... jeżeli ich służba oparta była na złamanym prawie w oczach jednostki, która dla tych istot miała status króla, to w takim razie groziło im jeszcze większe niebezpieczeństwo, niż zakładał.

- Znalezienie waszego świata zajęło mi dwie, jak nie trzy setki waszych lat - mówił demon-błazen i sir Jerzy wyczuł, że istota nadyma się z dumy. - Niektóre gildie zebrały własne prymitywne armie, złożone na przykład z Hathorich. Ale żadna z nich nie mogła się mierzyć z Rzymianami. Oczywiście, że nie mogli! A Sharnhaishianie wiedzieli o tym, zanim reszta z nas się przekonała. To dlatego właśnie postanowili zdobyć dla siebie Rzymian. Oni już wcześniej próbowali z brodawkowatymi i pojęli to, co dla nas było twardą nauką. Ciągle pamiętam, kiedy po raz pierwszy wysłaliśmy Hathorich przeciwko bandzie miejscowych.

Obcy popatrzył we wnętrze kielicha i opuścił uszy.

- Przekłęci tubylcy pocięli ich na kawałki - powiedział po długiej chwili. - Na początku ponieśli ogromne straty, ale po chwili odzyskali przewagę i wpadli na Hathorich jak burza. Zmasakrowali ich, jednego po drugim. Wątpię, czy uratowało się chociaż dwudziestu, ale gdybyśmy mieli Rzymian, to by się nie stało. To nie tylko żołnierze... to wcielone diabły, które pokonają wszystko, z czym mają do czynienia. Tak więc pomyślałem sobie, że potrzebujemy takich samych wojowników i udało mi się przekonać mojego kuzyna ze żłobka, żeby pogadał ze swoim komisarzem sektora i umówił mnie z szefami gildii. Potrzebowałem tak dużo pomocy, jakiej mogli mi udzielić. I dziękowałem Sharnhaishianom i ich Rzymianom. Pomógł fakt, że oni wyrządzili podobne krzywdy nie tylko mojej gildii, ale też innym. Tak więc dano mi szansę, abym mógł się zrehabilitować, o ile znajdę planetę Rzymian, przedrę się przez system ostrzegawczy Rady i złapię pewną ich liczbę dla mojej gildii. - I to mi się udało.

Tym razem udało mu się trafić w blat stolika, chociaż i tak uderzenie nie wytworzyło żadnego dźwięku. Obcy osunął się na krzesło.

- Ale my nie jesteśmy Rzymianami - zauważył sir Jerzy po chwili. Obawiał się powiedzieć cokolwiek, gdyż istniała szansa, że demon-błazen będzie pamiętał tę rozmowę. A jeżeli zda sobie sprawę z tego, co mu się wymknęło, w bardzo prosty sposób naprawi swój błąd.

- Oczywiście, że nie - odparł obcy. - To dobrze, w pewnym sensie. Oczywiście zaskoczyliście mnie. Nie sądziłem, że w tak krótkim czasie na planecie może dojść do tak dramatycznych zmian. Między wami a Rzymianami nie ma więcej jak osiem czy dziewięć setek waszych lat różnicy, a spójrz jak jesteście odmienni. To niewłaściwe. Och - machnął ręką. - Ciągłe jesteście prymitywni, oczywiście. To się nie zmieniło. Ale udało nam się wrócić akurat w dobrym momencie. Za kolejne siedem czy osiem setek lat moglibyście używać broni palnej, a to zakazane przez Dyrektywę. Przyznaję, to mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Przecież już eksperymentowaliście z taką bronią. - Demon-błazen spojrzął na Anglika. - Zastanawiałem się, w jaki sposób tak szybko wpadliście na ten pomysł. Czy to możliwe, aby Sharnhaishianie go wam podrzucili?

- Pomysł na broń palną? - Sir Jerzy zmarszczył brwi.

- „Pots de fer”, tak mi się zdaje, że je nazywacie - powiedział demon-błazen.

- Ogniste pociski? - Zamrugął ze zdumieniem. - Ale to tylko zabawki, Dowódco! Dobre do straszenia koni i ludzi, którzy widzą je po raz pierwszy, ale to nie jest poważna broń. Nawet bombardy nadają się tylko do robienia hałasu i nie grożą nikomu, kto zna się na rzeczy! Moi łucznicy zmasakrowaliby armię na tyle głupią, żeby polegać na takiej broni. Już nawet kusze są efektywniejsze niż to!

- Bez wątplenia... teraz tak jest - odparł demon-błazen. - Ale to się zmieni. Oczywiście, minie jeszcze z tysiąc lat, zanim ktokolwiek wynajdzie broń palną na tyle efektywną, aby dało się zmniejszyć jej rozmiar. Ale i tak uważam, że pokazali wam broń palną, aby wasza planeta została objęta Pierwszą Dyrektywą. Gdyby Sharnhaishianie w jakiś sposób nie zainfekowali waszego świata, nigdy byście nie wynaleźli prochu. A przynajmniej nie tak szybko.

Upił spory łyk. Sir Jerzy postanowił nie sprzeczać się z demonem co do kwestii, gdzie wynaleziono proch. On sam niewiele wiedział na ten temat. Taka broń dopiero się pojawiała w Europie i, podobnie jak jego militarni sprzymierzeńcy i wrogowie, baron nie pokładał w niej specjalnej wiary i nie sądził, żeby kiedykolwiek sprawiła się na polu walki. Z pewnością taka prymitywna, niebezpieczna broń o małym zasięgu nie powinna nigdy zagrozić jego łucznikom! Jednakże demon-błazen uważał, że ich istnienie ma wielkie znaczenie, a co więcej martwiło go to. Tak jakby fakt, że ludzie rozpoczęli eksperymenty z prochem zagrażał mu w jakiś sposób. Baron nie miał interesu w przekonywaniu go, że Sharnhaishianie nie mieli nic wspólnego z wynalezieniem prochu. Poza tym skąd mógł wiedzieć, że rzeczywiście tak nie było?

- Zresztą - powiedział demon-błazen bardziej bełkotliwie niż przed chwilą. - Bardzo dobrze, że znaleźliśmy akurat was. Nie moglibyśmy zrobić z was użytku, gdybyście

posługiwali się bronią palną. To by było pogwałceniem Pierwszej Dyrektywy i pojawiłyby się pytania. Inne gildie by to zauważyły, a Rada wystosowałaby oficjalne zapytanie.

Przysunął się bliżej i tym razem poklepał Anglika po kolanie, co w przypadku innego człowieka miałoby posmak konspiracji.

- A tak, jak jest teraz, nikogo w zasadzie nie obchodzi. Kolejna banda prymitywów z bronią, wykorzystującą siłę mięśni. Nie ma się czym martwić. Żaden z inspektorów Rady nie zna się na ludziach na tyle dobrze, aby stwierdzić, że wy i Rzymianie to jedna rasa. A jeżeli się bliżej zainteresują, wiemy komu dać łapówkę, żeby przekonać ich, że się mylą. Poza tym - poklepał go znów. - Nie ma was w księgach. - Sir Jerzy zmarszczył brwi, skonfundowany dziwnym zdaniem, a demon-błazen po raz trzeci poklepał go po nodze. - Nie ma śladu w dokumentach - powiedział tak niewyraźnie, że sir Jerzy ledwie pojął sens tych słów. Fakt, że nie do końca pojmował treść zdania, nie ułatwiał sprawy. - Porwaliśmy was prosto z burzy. Wszyscy jesteście uważani na waszej planecie za utopionych. Bez nas też byście się utopili, przecież wiesz. Ale to znaczy, że nawet jeżeli będzie śledztwo, Rada nie znajdzie dowodu na kontakt z waszym światem. Zabraliśmy was z wody, skradliśmy parę koni w środku nocy we Francji, nie ma śladów kontaktu. Tak więc mamy naszą małą armię i jeżeli żaden z inspektorów nie będzie pchał nosa w nieswoje sprawy, nikt nawet nie zapyta, skąd was wzięliśmy.

Demon rozparł się na krześle i po raz kolejny sięgnął po kielich. Niepewna dłoń zrzuciła go niestety ze stołu. Obcy patrzył, jak napój wylewa się. Środkowe oko było mętne, podobnie jak pozostałe, a jego dziwaczne boczne powieki zaczęły się wysuwać. Istota najwyraźniej miała właśnie zamknąć oczy.

- Więc pomyśl o tych Sharnhaishianach - mruknął. - Pomyślałbyś, że zniszczyli mi karierę, prawda? Ale kto może wiedzieć...

Głos obcego powoli zamarł, oczy zamknęły się i osunął się na krześle. Górne usta otworzyły się i zaczął wydobywać się z nich cienki, świszczący dźwięk, który, wedle oceny sir Jerzego, musiał być ludzkim odpowiednikiem chrapania.

Człowiek usiadł wygodniej na krześle i patrzył tępo na demona-błazna, aż drzwi otworzyły się cicho po raz ostatni. Uniósł głowę i zobaczył w wejściu jednego ze strażników Dowódcy. Jaszczuroczłowiek przywołał go stanowczym ruchem pazurzastej dłoni. Baron zauważył, że druga ręka istoty spoczywa na broni, zawieszanej w pochwie u pasa.

Czy to właśnie Dowódca miał na myśli, mówiąc broń palna? Zastanawiał się przez chwilę. Nawet prawdziwy smok nie dysponował ogniem tak gorącym jak oni... a ich broń z pewnością jest bardziej niebezpieczna niż jakieś głupie ogniste garnki.

Jaszczuroczłowiek przywołał go ponownie. Mężczyzna westchnął i wstał. Oczywiście nie zostawią go samego z nieprzytomnym demonem-błaznem. Bez wątplenia obserwowali spotkanie poprzez jedno z urządzeń Komputera i przyszli po niego kiedy tylko tenże stracił świadomość. Czy śledzili ich rozmowę, zanim Dowódca zaczął chrapać? A nawet jeżeli, czy zdają sobie sprawę, na ile sir Jerzy zrozumiał przekazywane mu informacje?

Miał nadzieję, że nie, tak samo jak liczył na to, że demon-błazen nie będzie pamiętał, co mu się wymknęło. Ponieważ jeżeli tamci rozumieją, a Dowódca będzie pamiętał, to z pewnością zginie.

W końcu dowódca armii, która służyła gildii, nie powinien zdawać sobie sprawy z tego, że jego pobyt tutaj był nielegalny. Jeżeli ktokolwiek z Rady dowie się naprawdę kim są i skąd pochodzą, zaczną kwestionować pochodzenie armii, a wtedy cała armia będzie musiała zniknąć.

Na zawsze... i bez śladu, który mógłby powiązać gildię demona-błazna z planetą, która została objęta zakazem Rady.

- IX -

- Jesteś pewny, kochanie?

Lady Matyllda Wincaster wspierała się na poduszce pod kolorowym daszkiem i patrzyła na swojego męża bardzo poważnie.

Mimo wielu lat, podczas których demon-błazen poznawał zwyczaję ludzi, zawsze się dziwił, kiedy Anglicy nalegali na rozbicie obozowiska namiotów poza statkiem, gdy byli w trakcie lub tuż po kampanii. Byli tak bardzo uparci, że Dowódca musiał ulec ich zachciance i uznał, że naprawdę tego chcą, chociaż koncepcja ta była mu zupełnie obca i dawał to wyraźnie do zrozumienia. Sir Jerzy podejrzewał, że demon-błazen nie stara się nawet zrozumieć nastawienia Anglików do całej tej sprawy, gdyż są oni takimi prymitywami. I dlatego Dowódca był w stanie pojąć, że cywilizowane istoty miewają czasem ochotę na wyłamanie się spod rygorów cywilizowanego życia i spędzenie kilku dni na łonie natury w rustykalnym otoczeniu, ale idea barbarzyńców, którzy przecież całe życie tak mieszkali, a teraz dano im szansę, aby spróbowali czegoś lepszego, a oni to odrzucają, nie mieściła mu się w głowie. Bez wątpienia brak zrozumienia rodził w konsekwencji podejrzenia, że prośba ludzi o pozostawienie ich na otwartej przestrzeni oznaczała, że zamierzają coś knuć. Sir Jerzy ciągle pamiętał, jak długo beznamiętny Dowódca mierzył go spojrzeniem, kiedy przedstawił mu swoją prośbę po raz pierwszy, na planecie Shaakun. Demon-błazen zastanawiał się przez bite dwa dni i dopiero po tym czasie zgodził się, a kiedy to oznajmił, ostrzegł ich także, że żadne słowo ani zamiar Anglików nie ujdą jego uwagi. Jego technologia mogła ich śledzić wszędzie i tak się przed nim nie ukryją. A gdyby spróbowali, kara będzie sroga, pouczył ich beznamiętnym tonem.

Sir Jerzy nie wątpił w żadne z tych ostrzeżeń i podjął odpowiednie kroki, aby jego ludzie także w pełni uświadomili sobie to niebezpieczeństwo.

Kroki okazały się skuteczne. W ciągu wielu lat służby żaden z jego ludzi nie próbował uciec. A przynajmniej nie z obozowiska. Trzech mężczyzn zostało złapanych przez mechaniczne pojazdy demona-błazna, po tym jak oddzielili się od głównych sił podczas przemarszu na jednej z kampanii. Żaden z nich nie powrócił na statek żywy. W przypadku trzeciego z nich był pewny, że doszło do wypadku. Żołnierz po prostu zagubił się we mgle, która spowiła całą kolumnę tamtego dnia. Demon-błazen nie dbał o wyjaśnienia. Człowiek

oddalił się bez pozwolenia. To oznaczało ucieczkę, a ucieczka karana była śmiercią. Nie miał zamiaru zajmować się pojedynczym przypadkiem niesubordynacji. W końcu cóż to znaczy zabić jakiegoś prymitywnego Anglika. Prawdopodobnie demon-błazen ucieszył się nawet, że może swoim niewolnikom udzielić kolejnej nauczki. Pokładał wielką wiarę w ten rodzaj nauczania.

Przez ostatnie lata przynajmniej część Anglików zaczęła podzielać zdanie obcego na temat życia na otwartym powietrzu. Mimo wygod, jakie ofiarowały namioty i pawilony, dostarczone przez Dowódcę, luksusy na pokładzie statku, a nawet na mniejszych lądownikach, były jeszcze wspanialsze i żaden z ludzi nie był na tyle głupi, żeby z punktu je odrzucać. Większość ciągle miała w sobie tęsknotę za otwartą przestrzenią i prawdziwym powietrzem... o ile powietrze planet, na których obozowali, można było nazwać powietrzem ich Ziemi. Woleli spać owiewani świeżą bryzą, wsłuchując się w odgłosy istot, które można było uznać za ptaki i szemrzącego pluskania płynącej wody. I nawet ci, którzy na noc wracali na statek, często jedli na powietrzu. Na starej Ziemi często organizowano przyjęcia i zabawy na otwartej przestrzeni, więc podobne spędzanie czasu w pewnym sensie wzmacniało poczucie wspólnoty u wygnańców.

Bo przecież byli wspólnotą, nie tylko armią. Sir Jerzy wielokrotnie cieszył się, że wśród nich nie ma zbyt wielu dobrze urodzonych. Właściwie prawdziwym szlachcicem był tylko on sam, mimo tego, że jego dziadek był zwykłym żołnierzem. Oprócz niego szlachetną krwią poszczycić się mógł Maynton, Matylda i sir Antoni Fitzhugh. Po wielu godzinach zastanawiania się, po dyskusjach z Mayntonem, Fitzhugiem, Brianem Stanhopem i, szczególnie wnikliwych, z Matyldą, postanowił, że będzie pasował na rycerzy tych, którzy okażą się mężni w bitwie. Pilnował się, żeby tego nie nadużywać, a jego ludzie wiedzieli o tym. To sprawiło, że pasowanie na rycerza stało się jeszcze cenniejszym i pożądanym darem, a w efekcie dało mu solidny rdzeń armii, złożony z dokładnie dwunastu rycerzy.

Fakt, że wszyscy oni, z wyjątkiem trzech, pochodzili z ludu miał dwa poważne skutki. Po pierwsze każdy z nich może się ubiegać o najwyższe stanowiska, gdyż leżą one w zasięgu jego możliwości. A po wtóre sprawił, że cała społeczność zżyła się jeszcze bardziej. I nie dotyczyło to tylko jej męskiej części. Trzy czwarte rycerzy miało w żyłach krew gminu, podobnie jak większość kobiet, co oznaczało, że Matylda i Małgorzata Stanhope muszą podjąć się ważnego zadania. Na początek postanowiły zapomnieć, jak podejrzanego pochodzenia i prowadzenia się są w większości kobiety, które dołączyły do nich na nieoczekiwanym wygnaniu. Większość z tych obozowych ladacznic szybko znalazła sobie mężów. Parę nie chciało się wiązać z nikim i ojciec Tymoteusz zgodził się na to pod

warunkiem, że zarzucą dawne praktyki i nie będą wodzić mężczyzn na pokuszenie. Mężczyzn było i tak znacznie więcej i ta nierównowaga w każdej chwili mogła stać się przyczyną kłopotów. Bez wątpienia ojciec Tymoteusz wolałby żeby każda kobieta miała kogoś za męża w prawie nakazany sposób, ale on także kiedyś był żołnierzem. Rozumiał temperament mężczyzn, którym także był, i rozumiał potrzebę dostosowania się do nowych okoliczności, w których przyszło im żyć.

W rezultacie nawet te kobiety, które postanowiły żyć samotnie i dalej praktykować swój zawód, nie były wyklinane przez resztę. Rdzeń angielskiej wspólnoty tworzyły pełne rodziny. Stale powiększająca się liczba dzieci (zarówno legalnych, jak i bękartów) sprawiała, że członkowie wspólnoty zbliżali się do siebie coraz bardziej i chociaż sir Jerzy nienawidził swoich władców i tego co mu zrobili, musiał przyznać z zadowoleniem, że nawet jedno dziecko nie zmarło w dzieciństwie. Z pewnością był to jeden z najcenniejszych skarbów, jakie otrzymali z rąk demona-błazna. Najdziwniejsze jednak było to (choć trudno było określić, co tak naprawdę jest najdziwniejsze), że prawie żadna z matek nie pamiętała chwili urodzenia swego dziecka. To powodowało pewne zakłopotanie, a nawet strach. Zaczęło się gadanie o podrzutkach, ale w miarę upływu czasu kobiety przyzwyczyły się do tego, że ich dzieci prawie zawsze rodzą się podczas okresów wymuszonego snu. Lekarz wyjaśnił mu cały proces, podkreślając to, że nie ma sensu martwić się takimi sprawami, jak ciąża i poród, kiedy można je załatwić podczas stazy. Po pierwszym etapie niepewności i strachu, większość kobiet zgodziła się z Lekarzem. Wśród zwolenniczek nowego sposobu rodzenia prym wiodły te, które większość dzieci rodziły w stary sposób i sir Jerzy uważał to za dość zabawne (ale nie zaskakujące).

Uśmiechnął się na wspomnienie o tym, ale skupił się także na pytaniu żony. Jedna z prawdziwych przyczyn, dla których na początku zażądał uwolnienia ze statku dla siebie i swoich ludzi, w ciągu lat została potwierdzona. W chwili obecnej był całkowicie pewny, że to, co mówią na pokładzie statku jest słyszane przez Komputer albo przez inne sprytne urządzenia szpiegowskie ich pana, a każda z rozmów jest natychmiast przekazywana Dowódcy. Wiedział także, że te same urządzenia mogą podsłuchiwać ich także na otwartym powietrzu. Podobnie jak Komputer, który nawet w bitewnym zgielku potrafił wychwycić słowa barona, wypowiedane normalnym tonem, i przekazywać je innym. Sir Jerzy miał nadzieję, że na powierzchni planety podsłuchiwanie jest co najmniej utrudnione. I podejrzewał, że mechaniczne urządzenia z trudem podążają za tysiącem rozmów prowadzonych w terenie i zakłócanych przez szum wiatru i wody. Śledzenie pojedynczego głosu, nawet w zgielku bitewnym, musiało być łatwiejsze. I zawsze, wraz z zaufanym

doradcą, znajdował jedno czy dwa miejsca w obozowisku, w których Komputer nie chciał, bądź nie mógł im odpowiedzieć, co sugerowało, że być może specyficzne ukształtowanie terenu albo atmosfery generuje ślepe punkty w nasłuchu urządzeń. Sir Jerzy zapamiętał sobie, że większość tych punktów znajduje się w wąwozach, dziurach i jarach, które pozwalały na oddzielenie rozmówców od miejsc, w których Komputer ich słyszał, solidną ścianą z ziemi i kamieni.

Nabyte przyzwyczajenia ekstremalnej ostrożności przez lata stały się kwestią automatycznego reagowania na sytuację i baron nie zamierzał ryzykować, bazując na niesprawdzonym przypuszczeniu, że istnieją miejsca, gdzie Komputer go nie słyszy. Jednocześnie wiedział, że na statku nie ma możliwości porozumienia się z innymi, nie będąc słyszany, co oznaczało, że tylko na powierzchni planety, w obozowisku mógł czuć się relatywnie bezpiecznie podczas omawiania niebezpiecznych spraw.

Nawet tam, jak zauważył, o prawdziwie niebezpiecznych sprawach rozmawiał tylko z Matyldą.

- Tak, jestem pewien - odparł w końcu, patrząc w jej niebieskie oczy. Boże, jaka ona piękna, pomyślał i poczuł znajomy przypływ zachwyty i miłości.

- Nie sądzę, żeby zdawał sobie sprawę z tego, co tak naprawdę mi ujawnił - odezwał się po chwili i uniósł kielich, żeby zasłonić usta. Mówił bardzo cicho. - Ale jestem pewien. Bardziej pewien, niżbym chciał.

- Ale z pewnością nie możemy mieć wątpliwości, że naprawdę jesteście wartościowi dla jego gildii tak jak sugerował - zauważyła Matylda. - Służyłeś mu znacznie lepiej, niż sobie wyobrażał na początku, zarówno umysłem i radą, jak i zbrojnym ramieniem. On sam ci to przyznał, i, tak jak ty, wątpię czy to były tylko swego rodzaju czcze przechwałki i fałszywe słówka rzucane komuś, kogo tak całkowicie uważa za przydatny przedmiot, niż za człowieka. Nie znam jego gildii, ale nie sądzę, żeby z łatwością pozbywała się narzędzia, które tak bardzo się przydaje.

- Hm... - Sir Jerzy odstawił puchar i przeciągnął się ostentacyjnie. Uśmiechnął się do żony i położył głowę na jej podołku. Zachichotał, kiedy połaskotała go w nos źdźbłem lokalnej odmiany trawy. Dla postronnego obserwatora byli tylko parą ludzi, młodych i zakochanych w sobie, ale sir Jerzy spoglądał na Matyldę poważnymi oczami.

- Jesteście wartościowi - zgodził się. - Ale także jesteście tym, czym nas nazwałaś: narzędziem. Spędziłaś więcej czasu z tą istotą niż większość naszych ludzi, kochana, w chwilach, kiedy zapraszał nas oboje na coś w rodzaju obiadu. Ale nawet ty nie rozmawiałaś z nim tak długo, jak ja. Żałuję, że musiałem to robić, ale tak się stało. A podczas tych spotkań

dowiedziałem się, że nasze najgorsze lęki są w zasadzie całkowicie nieadekwatne. Nie sądzę, żeby on był tak naprawdę okrutny wedle ocen swego ludu, ale my nie podpadamy pod te oceny. Może i jesteśmy wartościowi dla niego i gildii ze względu na to, co osiągnęliśmy, ale dla nich nie jesteśmy ludźmi. Nie mamy żadnej wartości jako żywe istoty, jesteśmy narzędziami. Widzi nas tak, jak my postrzegamy konia, albo krowę. Jak rzeczy, których można użyć, a potem wyrzucić, albo zarznąć, kiedy już nie są potrzebne. Z pewnością on traktuje mnie z nie większym poważaniem niż ja traktuję Szatana! Chociaż w chwilach, kiedy odnoszę zwycięstwo dla niego, z pewnością mnie docenia.

- Bo nie jesteśmy jego ziomkami? - mruknęła Matylda z zatroskaną twarzą. Ona i sir Jerzy dość często poruszali ten problem, zarówno podczas prywatnych rozmów, jak i w trakcie specjalnych, pilnie strzeżonych narad z pozostałymi członkami rady barona. Nic, co jej mąż miał do powiedzenia nie mogło jej zdziwić, ale zdumiała się, że tak szczerze się wypowiada, a jego głos jest taki surowy.

- Częściowo, może tak - powiedział po chwili. - Ale myślę, że nie do końca. Przynajmniej ta istota uwielbia się chępić, a ja zbieram wszystkie okruchy i drobinki informacji, jakie tylko wydobędę z jego gadaniny. O ile dobrze zrozumiałem, do federacji, o której mi mówił, należy kilka ras istot. Jego lud jest tylko jednym z nich. Wszystkie wydają się podobne pod względem wizerunku i wiedzy. Wszyscy uważają się za zaawansowanych, gdyż potrafią budować i kontrolować wszelkie urządzenia. Nas z kolei uważają za prymitywnych, ponieważ my nie mamy wystarczającej wiedzy, żeby budować takie urządzenia. A dla Federacji barbarzyńcy liczą się mniej niż francuscy chłopci. Jako prymitywna rasa, nie mamy żadnych praw, żadnej wartości. Możemy być narzędziem i czyjąś własnością. Nie jesteśmy im równi i wielu zabiłoby nas bez mrugnięcia okiem. Tak więc jeżeli nasza przydatność na polu walki nagle zawiśnie na szali wraz z ryzykiem potencjalnego odkrycia, że gildia Dowódcy pogwałciła prawo Federacji...

Wzruszył ramionami, a Matylda pokiwała ze smutkiem głową, mierząc go spojrzeniem pociemniałych oczu. Poczul strach, który próbowała ukryć i uśmiechnął się, klepiąc ją uspokajająco po ramieniu.

- Wybacz mi, kochanie. Nie powinienem obarczać cię takim ciężarem.

- Nonsens! - Położyła wąską, mocną dłoń na jego ustach i potrząsnęła gwałtownie głową.
- Jestem twoją żoną i nawet jeżeli mój ojciec popełnił błąd, kiedy wspierał mój nienasycony apetyt na księgi i filozoficzne traktaty, przynajmniej na tyle wykształcił mój umysł, że mogę wraz z tobą rozpatrywać najdziwniejsze teorie, kochany. A ty, sir Jerzy Wincasterze, nie jesteś ani świętym Michałem ani samym Bogiem, żebyś musiał nieść ciężar samotnie na

swoich barkach. Tak więc jeżeli Tymoteusz albo ja, albo nawet sir Ryszard możemy ci pomóc wysłuchując ciebie i testując na sobie niektóre z nieprawdopodobnych teorii, byłoby głupie, gdybyś usiłował ukryć przed nami swoje obawy. Przecież wcale mnie nie obciążasz!

- Być może - zgodził się i wyciągnął rękę, żeby pogłaskać ją po policzku. Pochyliła się i pocałowała go, a baron zachwyił się smakiem jej ust. Przerwała pocałunek i zabrała się do czegoś więcej, ale potrząsnęła głową i przyciągnął ją delikatnie do siebie. Położył sobie jej głowę na ramieniu i razem oparli się na poduszce, patrząc w niebo.

Zrozumiała niewypowiedzianą prośbę i zmieniła temat na lżejszy. Zaczęła mówić o ich dzieciach - najpierw o Edwardzie, a potem o pozostałej czwórce, urodzonej na pokładzie statku ich pana. Zdaniem Matyldy był to największy cud, jaki ją tu spotkał. W Lancaster nie mogła doczekać się potomka, a teraz dzieci były jedyną niczym niezmacona radością ich uwięzienia. Słuchał jej z uśmiechem i czułą uwagą. Wpatrywał się w jej twarz i ani razu nie dał po sobie poznać, że zdaje sobie sprawę z obecności jaszczuroczłowieka, który wyłonił się spośród pajęczych drzew. Istota stała dłuższą chwilę obok daszku, pod którym baron i jego żona leżeli na poduszkach. Stała tak, jakby chciała podsłuchać ich rozmowę, a potem powoli i w milczeniu oddaliła się i zniknęła w gęstwinie drzew.

* * *

Demon-błazen rzadko pokazywał się wśród ludzi swojej armii, ale dbał o to, aby osobiście do nich przemawiać zawsze po odniesieniu znaczącego zwycięstwa dla jego gildii. Z kolei sir Jerzy i jego oficerowie zawsze upewniali się, aby żaden z tych ludzi nie dał odczuć Dowódcy, co tak naprawdę sądzi o tych jego przemowach. Z pewnością zareagowałyby w dość gwałtowny sposób, gdyby odczytał na ich twarzach gniew i nienawiść. Baron nie miał pojęcia, jak Dowódca, nawet mimo swojej ignorancji i nieczułości, nie jest w stanie nie dostrzegać tych uczuć u mężczyzn, którzy walczyli i ginęli dla niego, ponieważ nie mieli wyboru. On tego nie widział. Tylko głupiec stawałby przed Anglikami, których porwał z domów i uczynił niewolnikami, i dziękował im za wysiłki i poświęcenia, jakie ponosili w jego imieniu. Tylko idiota mówiłby im, jak dobrze służą gildii, której nienawidzili z całego serca i duszy. Tylko kretyń obiecywałby im nagrodę za ich męstwo i lojalność, a była nią możliwość połączenia z ich własnymi żonami i dziećmi.

Demon-błazen właśnie takie mowy wygłaszał przy okazji zwycięstwa i tak samo zachował się dzisiaj. Zazwyczaj zwoływał ich do jednej z ładowni statku, ale czasami, tak jak dzisiaj, przylatywał na pokładzie powietrznego pojazdu. Urządzenie wznosiło się jakieś trzy metry ponad zdeptaną, zakurzoną trawą placu treningowego, znajdującego się pomiędzy

ładownikiem a obozowiskiem, w otoczeniu dwunastu jaszczuroludzi. Po między pojazdem a szeregami Anglików stał także spory oddział uzbrojonych brodawkowatych, obserwujących ludzi żabimi oczami przez otwory w przyłbicach. Sir Jerzy zacisnął szczęki, aż zaboląły go mięśnie żuchwy, podczas gdy piskliwy, beznamiętny głos wznosił się nad nimi w niekończącym się monologu. Baron czuł, jak jego ludzie popadają w coraz większą złość i zastanawiał się po raz kolejny, jak to możliwe, że taka istota która ma w swoim posiadaniu tak wiele cudów, statki latające w kosmosie, magiczne urządzenia i tym podobne, może być jednocześnie tak głupia.

- ...nagrodą za waszą odwagę i waleczność - piszczał mały obcy bez ustanku. - Jestem pełen podziwu dla waszej lojalności i męstwa, które po raz kolejny przyniosły mojej gildii sztandar zwycięstwa, i mam nadzieję, że w niedalekiej przyszłości dostaniecie adekwatną do swych czynów nagrodę. W międzyczasie...

- Nagrodę na jaką zasługujemy, tak? - mruknął Rolf Grayhame. Stał tuż obok sir Jerzego, a jego głos sączył się niczym jadowita strużka z kącika skrzywionych ust. - Ja pragnę tylko jednej nagrody, mój panie, a strzał naprawdę jest czysty. Tylko jeden strzał.

Baron ścisnął mocno łokieć łucznika i Grayhame zamknął usta z przepaszającym spojrzeniem. Znał doskonale rozkazy, ale, podobnie jak baron, pogardzał demonem-błaznem. Nienawidził go także głęboko. Walter Skinnel był jego przyjacielem, a mrukliwy łucznik nie zapomniał dnia egzekucji. Demon-błazen nie różnił się zbyt od pierwszego lepszego aroganckiego i okrutnego szlacheckiego pacholęcia. Grayhame wielu takich widział w trakcie swojej kariery, ale ten był bez wątpienia najgłupszy. Chociaż broniły go wielorakie mechanizmy i strażę, był na tyle idiotą, że bez potrzeby doprowadzał do szału swoich żołnierzy zadając im mękę poprzez zmuszanie ich do wysłuchiwania tych bzdetów. Nawet Francuzi nie byli tak głupi!

- Wybacz, panie - szepnął dowódca łuczników. - Nie powinienem tego mówić. Ale nawet Szkot nie byłby...

Ponownie zamknął usta, a sir Jerzy spojrzał na niego surowo, pomimo że w kącikach jego ust czaił się mały uśmiezek, co zepsuło nieco efekt nagany. Ten wyraz twarzy barona ośmielił Grayhama, a w jego szarozielonych oczach zamigotały iskierki. Wzruszył ramionami przepaszająco i znów popatrzył na Dowódcę.

- ...tak więc spędzimy tutaj jeszcze parę tygodni - mówił demon-błazen. - Barbarzyńcy, którzy zostali przez was zmiżdżeni, nie będą więcej sprawiać kłopotów. - Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo głupio brzmi jego retoryka w uszach ludzi, szczególnie w połączeniu z piskliwym, beznamiętnym głosem. - Wraz ze swoimi kobietami i

dziećmi będziecie mogli cieszyć się słońcem i świeżym powietrzem, które tak kochacie, przez dłuższy czas. Idźcie. Wróćcie do swoich rodzin, pewni tego, że dla mojej gildii jesteście wartościowymi i cennymi wojownikami.

* * *

Sir Jerzy miał właśnie odprowadzić swoich ludzi do namiotów po tym, jak demon-błazen ich odprawił, ale mała istota przywołała go gestem. Grayhame, Howice i Maynton także się zatrzymali i spojrzeli na niego pytającym wzrokiem, ale baron odesłał ich wraz z innymi lekkim skinieniem głowy. Popatrzył jak odchodzą, a potem odwrócił się do swego władcy.

- Tak, Dowódcu?

- Nie wszyscy prymitywni mieszkańcy tej planety przestraszyli się na wieść o klęsce lokalnych klanów - powiedział. - Sądzę, że po tylu doświadczeniach powinienem przyzwyczać się już do zwyczaju miejscowych prymitywów, którzy nie są w stanie przyznać się do swojej niższości. Podobnie jak wiele innych prymitywnych ras, ci także najwyraźniej zrozumieli, że ich koledzy zostali wybici co do nogi, ale sami uważają, że ich to raczej nie spotka. Sądzą, że ci, których pokonałeś, byli słabsi i mieli gorszą motywację w odróżnieniu oczywiście od nich samych. Są ostrożni i nie chcą zaakceptować tego, że mają do wyboru albo przyjąć nasze warunki, albo zginąć.

Przerwał i spojrzął na sir Jerzego trzema oczami. Mężczyzna z trudem ukrył niechęć. Nie bał się o bezpieczeństwo swoich ludzi, ale na samą myśl o ponownej takiej masakrze lokalnych plemion dla chwały gildii demona-błazna, poczuł, że robi mu się niedobrze.

- Rozumiem - powiedział w końcu i zaczął się zastanawiać w jaki sposób dyplomatycznie dać do zrozumienia, że może on sam poprowadzi negocjacje z miejscowymi i przekona ich, że dalszy opór jest bezcelowy i tylko będzie ich kosztował jeszcze więcej krwi. - Czy będziemy musieli zmierzyć się z ich armią, tak jak wcześniej? - zapytał po chwili.

- Być może - odparł demon-błazen beznamiętnym głosem. - Ale mam nadzieję tego uniknąć. Istnieje obawa, że będziesz musiał zwołać swoich ludzi i załadować na lądowik, tak żebym mógł przewieźć was w miejsce, gdzie gromadzą się siły tubylców. Jednak to nie jest dobry pomysł. Mógłby zachęcić ich do dalszego oporu. Tak prymitywne rasy zachowywały się podobnie w przeszłości, szczególnie wtedy, kiedy miały aż tak wielką przewagę liczebną. Analizy wskazują na to, że przenoszenie lądownika z miejsca na miejsce, a więc podkreślanie faktu, że mamy tylko jedną armię, a składa się ona z niewielkiego oddziału Anglików, może zachęcić miejscowych do dalszego oporu. W końcu, oczywiście, i tak udowodnimy im, że nie mają racji, ale dawanie nauczki sprawi, że zabawimy na tym świecie znacznie dłużej, niż

sobie życzą moi szefowie.

- Rozumiem - powtórzył sir Jerzy i tym razem rzeczywiście zrozumiał.

W pewien nie pozbawiony goryczy sposób uważał, że to bardzo śmieszne, słyszeć, jak demon-błazen poucza go na temat uporczywych prymitywów. Tak jakby tłustawa mała istota miała jakiegokolwiek pojęcie o stopniu komplikacji w momencie, kiedy podbicie całego świata realizowane było przez armię liczącą sobie tysiąc łuczników i konnych! Dopiero sir Jerzy mu to wyjaśnił. Jednakże mimo gryzącej ironii całej tej sytuacji, baron rozumiał doskonale dlaczego demon-błazen nie zamierza spędzić tu ani chwili więcej niż było potrzebne. Zanim wpadł w łapy Dowódcy i jego gildii, czasami miał do czynienia z przełożonymi, którzy patrzyli mu na ręce i nalegali, aby realizował ich plany z wręcz nieprawdopodobną szybkością. Ale nie mógł powiedzieć, że zrozumienie dla problemów demona wzbudziło jakąkolwiek sympatię do obcego.

- Nie wątpię, że tak - odparł demon-błazen. - Jednakże mam nadzieję, że uda nam się tego uniknąć, jeżeli uzmysłowimy im ich słabe strony. Aby to osiągnąć, wezwałem do siebie wszystkich klanowych przywódców z obszaru o rozsądnym oddaleniu od naszej bieżącej pozycji. Powinni się tu zjawić w przeciągu następnych dwóch lokalnych dni i będzie ich nie więcej jak dwunastu. Twoje łuki są niezdarne i prymitywne w porównaniu z właściwie działającą bronią palną, ale miejscowi nie mają nic co równałoby się z nimi pod względem siły i zasięgu. Kiedy przybędą tu wodzowie, zademonstrujesz im swoją broń i opowiesz przywódcom klanów, w jaki sposób udało ci się zmasakrować ich oddziały. Kiedy pojną jak bardzo są ograniczeni, kiedy zobaczą na własne oczy, z czym muszą się zmierzyć, będą musieli przyznać się do porażki. Nie są w stanie stawić ci czoła na otwartym polu, tak więc nie mają wyboru i muszą zaakceptować moje warunki.

Przerwał po raz kolejny i czekał, aż sir Jerzy skinie głową.

- Bardzo dobrze. Szczegóły demonstracji pozostawiam tobie. Przygotuj się na to, aby mi je przedstawić nie później niż za dwa dni.

Demon-błazen zawrócił swój pojazd bez jednego słowa i większość jaszczuroludzkich strażników zacieśniła krąg wokół swego pana. Anglik zignorował obcych i wbił palące spojrzenie w aroganckie plecy Dowódcy. Brodawkowaci ruszyli za demonem-błaznem i jego świtą.

Planujesz demonstrację, tak, pomyślał jadowicie. Jezu, ale przecież wiem jakiego zamierzasz użyć celu! Widok twoich drogocennych wyskakujących z ukrycia strzał, niczym ogon pawia, z pewnością zaimponuje lokalnym paniątkom!

Prychnął gorzko na tę myśl, wziął głęboki oddech, odwrócił się na pięcie i znieruchomiał

zdumiony. Jeden z nich nie poszedł za demonem. Wysoki obcy patrzył z góry na barona, a potem skinął na człowieka, aby ten poszedł za nim. Najwyraźniej istota zamierzała eskortować go z powrotem do pawilonu... bez wątplenia po to, aby po drodze nie dopuścił się jakiegoś niecnego czynu. To nie zdarzało się nigdy wcześniej, jednakże sir Jerzy nie miał wyboru i musiał usłuchać obcego.

Mimo posłuszeństwa nie mógł nie poczuć gniewu, chociaż wiedział, że nie ma sensu o tym dyskutować. Milczący strażnik z pewnością wykonywał tylko rozkazy i sir Jerzy spróbował odsunąć na bok emocje, podczas gdy obcy prowadził go do obozowiska, jakby sam, bez przewodnika, nie był w stanie znaleźć drogi.

Przeszli przez pas żywopłotu, który oddzielał pole treningowe od obozowiska Anglików i baron uśmiechnął się na widok Matyldy, czekającej na niego. Uniósł rękę i otworzył usta, aby do niej zawołać...

...i okazało się, że leży na ziemi, chociaż nie miał pojęcia, w jaki sposób się tam znalazł.

Zamrugnął oczami, potrząsnął głową i spojrzał w górę, kiedy poczuł czyjąś dłoń na czole. Zaniepokojona Matylda patrzyła na niego z góry. Za nią zobaczył ojca Tymoteusza, Dickona Yardleya, sir Ryszarda, Rolfa Grayhama i tuzin innych. I ku jego wielkiemu zdumieniu, zobaczył także jaszczuroczłowieka, który stał poza kręgiem ludzi, skupionych wokół barona i patrzył na niego ponad ich głowami.

- Kochanie? - głos Matyldy był pełen niepokoju i napięcia; baron zamrugnął ponownie i zmusił wzrok do skupienia się na jej twarzy. - Co się stało? - spytała.

- Ja... - zamrugnął po raz kolejny i potrząsnął głową. Zdał sobie sprawę, że leży na jej podolku. Głowa najwyraźniej ciągle była przymocowana do szyi. Wykrzywił usta w małym, drwiącym uśmiešku.

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Mam nadzieję, że może wy zdołacie mi to wyjaśnić!

Kiedy Matylda usłyszała jego głos, nieco się odprężyła, ale tym razem to ona potrząsnęła głową.

- Sama chciałabym wiedzieć - powiedziała znacznie poważniejszym głosem niż jego. - Po prostu wyszedłeś z za krzaków, tych tam, podniosłeś rękę i zemdlałeś. A potem... - mimo opanowania, jej głos lekko zadrżał. - Potem leżałeś jak martwy przez większą część kwadransa.

Popatrzył podejrzliwie na Yardleya, który wzruszył ramionami.

- Było tak, jak powiedziała jasnie pani, baronie - powiedział felczer. Yardley nie miał dostępu do sprzętu Lekarza, ani nie posiadał jego wiedzy, ale na polu zawsze się sprawdzał jako chirurg. I miał znacznie więcej możliwości szkolenia się w swoim fachu niż ktokolwiek

inny znany baronowi. On też potrzasał głową z niedowierzaniem.

- Och, jasnie pani trochę przesadza. Nie wyglądałaś wcale jak martwy... a obawiam się, że widzieliśmy takich zbyt wielu, nieprawdaż? - Uśmiechnął się ponuro, a jeden czy dwóch zaśmiało się nerwowo, kiedy przypomnieli sobie ludzi, którzy naprawdę wyglądali jak martwi, i tacy z pewnością byli.

- Oddychałaś głębiej niż zazwyczaj - kontynuował chirurg po chwili. - Ale to nie było niebezpieczne, puls także miałeś w porządku. Poza faktem, że nie byliśmy w stanie cię ocucić, równie dobrze mógłbyś po prostu mocno spać. Czy pamiętasz, żebyś się potknął albo upadł?

- Nie - przyznał sir Jerzy. Spróbował usiąść i poklepał Matyldę po kolanie, kiedy okazało się, że nie czuje zawrotów głowy. Siedział przez chwilę, a potem wstał i wyciągnął przed siebie rękę z otwartą dłońią.

- Czuję się dobrze - powiedział i była to prawda.

- Być może tak jest, ale wystarczająco mnie nastraszyłeś jak na jeden dzień, Jerzy Wincasterze! - powiedziała Matylda gniewnym tonem. Uśmiechnął się do niej przeproszająco i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać. Wsunął sobie jej dłoń pod ramię i odwrócił się do swoich starszych oficerów.

- Czuję się dobrze - powtórzył. - Bez wątpienia, musiałem się o coś potknąć. Myślni bujałem w obłokach i być może zapomniałem o patrzeniu pod nogi. Zresztą, znając moją niezdarność, z pewnością potknąłem się o własne nogi. Nic się nie stało, tak więc wracajcie do swoich zajęć, a ja - uśmiechnął się do nich i poklepał dłoń swojej żony, spoczywającą na jego przedramieniu - spróbuję wynagrodzić jakoś swojej pani to, że wystraszyłem ją w tak grubiański sposób!

Pożegnał go wybuch śmiechu i tłum zaczął się rozpraszać. Patrzył, jak odchodzą, a potem popatrzył z powrotem na jaszczuroczłowieka.

Ale obcy zniknął.

* * *

Matylda obserwowała go czujnie przez resztę tego dłużącego się dnia i robiła wiele zamieszania, kiedy szykowali się do snu, ale sir Jerzy nie był w stanie powiedzieć jej nic więcej poza prawdą. Naprawdę czuł się doskonale, a nawet, pod pewnymi względami, jeszcze lepiej niż zazwyczaj. Uspokoił jej obawy po prostu pociągając ją na łóżko obok siebie. Żona spojrzała na niego z zachwytem kiedy dostrzegła ten przyływ namiętności i baron nie cofnął się przed niczym, aby udowodnić jej, w jak doskonałej formie pozostaje mimo dzisiejszego

Wypadku.

Ale tej samej nocy, kiedy Matyllda zasnęła w uścisku jego ramion, a baron poszedł w jej ślady, sir Jerzy miał sen. A przynajmniej tak myślał na początku...

- Witaj, sir Jerzy - powiedział jakiś głos i baron obrócił się w poszukiwaniu mówcy.

Kiedy go dostrzegł, zamrugał ze zdumienia. Głos brzmiał nieco podobnie do ojca Tymoteusza, chociaż miał w sobie gładkość i wyrobienie, jakiego brakowało mówiącemu wszystko wprost księdzu. Ale to nie był ojciec Tymoteusz. To nie był nawet człowiek i baron otworzył usta ze zdumienia, kiedy zobaczył przed sobą jednego z wiecznie milczących jaszczurołuzi.

- Obawiam się, że pozwoliliśmy sobie na manipulacje w twoim mózgu - powiedział. Albo raczej wydawało się, że powiedział, gdyż jego usta nie poruszały się. - Przepraszamy cię za to. Naruszyliśmy twoją prywatność, ale także nasze zwyczaje i przepisy. Jednakże w tej sytuacji nie mieliśmy wyjścia, gdyż za wszelką cenę musieliśmy z tobą porozmawiać.

- Porozmawiać ze mną? - wyrzucił z siebie. - Ale dlaczego nigdy wcześniej nie usłyszałem od was jednego słowa, a teraz... a teraz to...

Machnął ręką i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, w jak dziwnym otoczeniu się znajdują. Stali na środku szarej, całkowicie pustej przestrzeni, otoczonej przez... nic. Szarość pod stopami po prostu rozciągała się w każdym kierunku aż do granic postrzegania. Baron przełknął ślinę.

- Gdzie jesteś? - zapytał i był zadowolony, że w jego głosie nie było strachu.

- W pewnym sensie we wnętrzu twojego umysłu - odparł jaszczuroczłowiek. - To nie jest do końca precyzyjne określenie, ale może służyć za prymitywne przybliżenie. Mam nadzieję, że w przyszłości będziemy w stanie lepiej ci to wyjaśnić. Jeżeli razem nie podejmiemy szybkich działań... i to właściwych, nie sądzę, abyśmy ty i ja mieli w przyszłości jakikolwiek czas na wyjaśnienia.

- Co masz na myśli? I jeżeli chciałeś ze mną porozmawiać, to dlaczego nigdy wcześniej nie próbowałeś? - zapytał sir Jerzy ostrożnie.

- Odpowiem najpierw na drugie twoje pytanie - odparł spokojnie. - Wcześniej nie byłem w stanie do ciebie przemówić. W zasadzie nawet teraz nie rozmawiamy naprawdę. A przynajmniej nie w taki sposób, w jaki rozmawiają osobniki twojego gatunku.

Sir Jerzy zmarszczył brwi, zakłopotany, a jaszczuroczłowiek przekrzywił głowę. Jego rysy były tak samo obce, ale baron wyczuł, że istota w głębi duszy lekko się uśmiecha. Oczywiście nie mógł tego odczytać z jego oblicza. To pochodziło z wewnątrz obcego. Nic nie widział, ale coś czuł. To było absurdalne, oczywiście... ale nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

- *To jest sen - powiedział stanowczo, na co jego rozmówca odpowiedział wzruszeniem ramion.*

- *W pewnym sensie - przyznał. - W każdym razie z pewnością śpisz. Ale jeżeli to sen, to jest on nasz wspólny... poza tym to jedyny sposób, w jaki możemy się z tobą porozumiewać. A ponadto - baron poczuł, że istota znów się uśmiecha, ale tym razem z odrobiną złości - jest to metoda porozumiewania, której Dowódca nie jest w stanie wykorzystywać ani podsłuchiwać.*

- *Ach? - Wbrew sobie, sir Jerzy nadstawił uszu na te słowa. Bez wątplenia to był tylko sen, a ten gadający jaszczuroczłowiek był wytworem jego imaginacji, ale jeżeli tylko...*

- *W rzeczy samej - zapewnił go i skrzyżował ramiona na masywnej piersi. - Istoty mojej rasy nie rozmawiają ze sobą na głos, tak jak wy i większość innych ras - wyjaśnił. - W rzeczywistości nie jesteśmy do tego zdolni, gdyż nie mamy strun głosowych, ani żadnego ich odpowiednika.*

- *A więc jak się porozumiewacie? - zapytał sir Jerzy ciekawie. - A jeśli już o to chodzi, jak nazywa się wasza rasa?*

- *Jesteśmy tym, kim inni określają mianem telepatów - odparł jaszczuroczłowiek. - To oznacza po prostu, że przekazujemy nasze myśli bezpośrednio do umysłów naszych towarzyszy i nie potrzebujemy słów. A skoro tak robimy, to oznacza, że nie potrzebujemy imion, jak inne rasy. A raczej, nie potrzebujemy ich, gdyż każdy z nas ma swój i tylko swój wzorzec... smak, zapach, jeśli wolisz, który rozpoznają wszyscy z naszej rasy. A co do tego, jak nazywa się nas gatunek, to myślę że w waszym języku najbliższym określeniem byłoby „Ludzie”. Ale odkąd spotkaliśmy was, istoty ludzkie, i kiedy ustanowiliśmy punkt kontaktowy w twoim mózgu, my, zebrani na pokładzie tego statku, uznaliśmy, że wasze określenie na nas jest bardzo ciekawe. - Emocje stwora były doskonale wyczuwalne. - Myśl o tym, żebyśmy grali u waszego boku rolę smoków w walce przeciwko Dowódcy jest bardzo dla nas atrakcyjna, sir Jerzy.*

Baron uśmiechnął się. To było zadziwiające. Wiecznie milczący, kompletnie obcy nie był już więcej ani niemy, ani odpychający. A raczej, pozostał obcy, ale w przeciwieństwie do demona-błazna jego głos był tak samo pełen emocji jak każdego człowieka, a język ciała przypominał ojca Tymoteusza czy Rolfa Grayhama. Czy to dlatego, że punkt kontaktowy, o którym wspomniał jaszczuroczłowiek, dawał im wgląd w ludzkie emocje i sposób ich wyrażania, tak aby byli w stanie postępować tak samo? A może był to rodzaj naturalnie występującej konsekwencji, efekt telepatycznego połączenia, o którym mówił obcy?

- *Jeżeli podoba wam się to określenie, to możemy was dalej nazywać jaszczurami albo smokami - powiedział po chwili i odsunął na bok przypuszczenia, aby zająć się nimi w stosowniejszym czasie.*

Jaszczuroczłowiek skinął głową przekazując mu mentalnie szeroki uśmiech.

- To nam się bardzo podoba - powiedział. - Potrzeba nadawania nam imion, nawet jeżeli my sami jej nie wykształciliśmy, jest kolejnym przykładem na to, jak bardzo się od siebie różnimy, co wynika głównie ze sposobów, w jakie się porozumiewamy. Mimo że od kilku liczonych waszą miarą tysiącleci jesteśmy niewolnikami Federacji, ciągle musimy odkrywać wiele rzeczy, które dla innych gatunków są oczywiste. I rzeczywiście, nasi przodkowie z trudem pojmowali koncepcję mowy i porozumiewania się nią, kiedy Federacja odkryła nasz świat. Przez wiele lat oswajali się z tym zjawiskiem i tylko fakt, że niezależnie weszli na poziom rozwoju wieku technologii nuklearnej powstrzymał Federację od zaklasyfikowania nas jako głupich bydląt.

- Wiek technologii nuklearnej? - powtórzył sir Jerzy, a jaszczur po raz kolejny wrzucił ramionami, tym razem ze zniecierpliwieniem.

- Nie zajmuj się tym w tej chwili. To znaczy po prostu, że byliśmy znacznie bardziej zaawansowani technologicznie niż twój świat... chociaż Federacja była z kolei jeszcze bardziej rozwinięta w porównaniu z nami, tak jak my w porównaniu z Ziemią.

- Na nieszczęście - mówił dalej obcy, i tym razem jego głos stał się zimny i ponury. - Byliśmy za bardzo zaawansowani, niż należało... zbyt zaawansowani, aby stanowić zagrożenie i za mało zaawansowani, aby móc się bronić, dlatego też Federacja obwołała nasz świat protektoratem. Rozmieścili garnizony swoich wojsk, dla naszego dobra, oczywiście, żeby bronić nas przed nami samymi... i żeby zadbać o to, że nie rozwiniemy się ani trochę bardziej niż w chwili, kiedy nas odkryli.

- Ponieważ bali się konkurencji - dokończył sir Jerzy przytomnie.

- Być może - odparł jaszczur. - Nie, z pewnością. Ale była też inna przyczyna. Widzisz, Federacja jest całkowicie kontrolowana przez gatunki takie jak rasa Dowódcy. Wszystkie są znacznie bardziej zaawansowane niż my, czy wy, i używają nas jako dowodu na swoją wyższość.

- Też to zauważyłem - dodał sir Jerzy z goryczą.

- Zdajemy sobie z tego sprawę, ale mam wątpliwości, czy naprawdę rozumiesz, co to oznacza - powiedział obcy. - Brakuje ci pewnej informacji.

- Jakiej informacji? - zapytał ostrzejszym tonem, mrużąc oczy.

- Wyjaśnienie tego zajmie trochę czasu - odparł jaszczur.

Sir Jerzy skinął głową, dając obcemu znak, że powinien kontynuować.

- Światy, na których rozwija się życie, są bardzo liczne - zaczął jaszczuroczłowiek. - Statystycznie rzecz biorąc jest ich mniej niż jałowych albo zamieszkałych przez niższe formy

życia, ale i tak jest wiele gwiazd, wiele z nich ma planety, a tym samym absolutna ilość światów, na których wyewoluowało życie jest niezliczona.

Istota przerwała i sir Jerzy zamrugał ze zdumienia, kiedy zdał sobie sprawę, że rozumiał to, co powiedziała. Jej słowa nie brzmiały jak wyjaśnienia Komputera. Wyciągał informacje od niewidzialnej istoty od wielu lat i często potrzebował bardzo dokładnych objaśnień pewnych terminów, i nawet kiedy je otrzymywał (a często nie otrzymywał wcale), często nie był do końca pewny, co one oznaczają. Tym razem pojęcia i terminy, o których nigdy nie słyszał, nawet mimo wielu lat służby na statku obcego, bez trudu trafiły do jego umysłu, kiedy jaszczur je wymawiał. Oczywiście nie rozumiał ich w pełni, ale pojmował na tyle, aby podążać za tokiem myślenia obcego bez strachu, że źle go zrozumie. To było tak, jakby jaszczur nie opowiadał mu po prostu o pewnych rzeczach, tylko uczył go z nieprawdopodobną wprost szybkością. Baron obawiał się, że powinien się tego bać. Tak jednak nie było. Wiedział, że pomaga mu jego własna niezaspokojona ciekawość, ale także coś jeszcze. Być może coś, co zrobił mu jaszczuroczłowiek.

Wstrząsnął się i jednocześnie uśmiechnął na myśl o tym, jak bardzo rozciągnęły się granice pojmowania jego umysłu. Skinął na jaszczura, aby ten kontynuował.

- Podczas gdy zamieszkane światy są bardzo liczne - powiedział obcy po chwili. - Inteligentne życie jest bardzo rzadkie. Wliczając moją i twoją rasę, Federacja naliczyła niewiele więcej jak dwieście inteligentnych gatunków, operujących technologiami zaawansowanymi bardziej niż kamień łupany. Może ci się wydawać, że to dużo, ale weź pod uwagę, że Federacja posługuje się napędem fazowym i podróżuje z prędkością szybszą od światła od ponad stu pięćdziesięciu tysięcy twoich lat. Co oznacza, że odkrywają rozumny gatunek nie częściej jak raz na siedemset pięćdziesiąt lat.

Sir Jerzy przełknął ślinę. Częściowe wyjaśnienia Komputera, dotyczące relatywizmu i odległości między gwiazdami, w połączeniu z doświadczeniem jego ludu na służbie u demonabłazna, przygotowało go częściowo do radzenia sobie z takimi pojęciami, ale przecież nie w pełni. Sporo z tego, co mówił jaszczur odbiegało znacznie od koncepcji, jakie wraz z ojcem Tymoteuszem i Matyldą rozważali od lat. W rzeczywistości ksiądz okazał się, bardziej niż on gotowy do zaakceptowania pewnych wiadomości, jakie przekazywał im Komputer, chociaż on także do końca ich nie rozumiał. Wiadomości te najczęściej prowadziły do wniosku, że nauki Kościoła i Pisma Święte, dotyczące na przykład takich spraw jak stworzenie świata, wymagały korekcji, jak nie całkowitej rewizji. Jednak nawet ojciec Tymoteusz nie był na to przygotowany!

- Ze wszystkich gatunków, na jakie trafiła Federacja, tylko dwadzieścia dwa także

używały napędu fazowego, albo osiągnęły równoważny poziom rozwoju, kiedy je odkryto. Te rasy, bardziej zaawansowane w rozwoju, są pełnoprawnymi członkami Federacji. Zasiadają w Radzie, współtworzą prawa, i czerpią korzyści. A reszta z nas... nie. W oczach Federacji mniej zaawansowane rasy nie mają praw. Istnieją tylko dla dobra Federacji, chociaż Rada czasami wydaje edykty, w których nakazuje zaawansowanym gatunkom dbać o mniej rozwinięte, które przecież potrzebują opieki i nadzoru. To oznacza w praktyce, że jesteśmy ich własnością i mogą z nami robić, co chcą. Tak samo jak z tobą i twoimi ludźmi.

Jaszczuroczłowiek przerwał po raz kolejny i sir Jerzy pokiwał głową. Czuł emocje swego rozmówcy - nienawiść i żal, tak samo palące jak jego uczucia. Pomyślał, że to zadziwiające. Nie dlatego, że rozumiał obcego, ale dlatego, że mimo tak wielu różnic, w sumie ich odczucia były bardzo podobne.

- Niektóre z podległych ras są jednakże bardziej przydatne zaawansowanym gatunkom, niż inne - podjął jaszczur po dłuższej chwili milczenia. - Twoja, na przykład, okazała się bardzo skuteczna w realizacji celów, wymagających omijania Pierwszej Dyrektywy, podczas gdy nasza. - Wyglądał tak, jakby zaczerpnął głęboki oddech. - Przydaje się bardzo jako strażnicy i osobiści służący.

- Dlaczego? - zapytał sir Jerzy. Pytanie mogło zabrzmieć niegrzecznie, gdyż sugerowało, że jaszczuroludzie są spolegliwi i poddają się rozkazom innych, ale takie nie było. W głosie obcego było bowiem zbyt wiele nienawiści i gniewu.

- Nasz gatunek nie jest taki jak wasz. Nie tylko jesteśmy telepatami, między sobą, ale także posiadamy zdolność empatii. Nie potrafimy sprawić, by obce rasy słyszały nasze myśli, ani nie potrafimy podsłuchiwać ich myśli, ale umiemy wyczuwać emocje, odczucia. To sprawia, że ktokolwiek chciałby zagrozić naszym mocodawcom, miałby bardzo utrudnione zadanie. Ale to nie są jedyne różnice między nami. Twój gatunek ma dwie płcie, samicę i samca. Nasz - trzy, z których dwie zaangażowane są w rozmnażanie, a trzecia może być określana mianem kasty pracującej w waszym rozumieniu tego słowa.

- Podobnie jak pszczoły? - zapytał sir Jerzy i jaszczur przerwał, patrząc na niego ciekawie. Przez chwilę baron czuł, jak jego umysł się rozciąga, a potem obcy pokiwał głową.

- Tak, bardzo podobnie jak u waszych pszczoł - przytaknął. - Wszyscy na tym statku należą do kasty pracującej, która także dostarcza wojowników. Nie jesteśmy ani kobietami, ani mężczyznami, tak jak wy rozumiecie te pojęcia, ale w naszej rasie to właśnie nas jest najwięcej. I, tak samo, jak w przypadku waszych pszczoł, żyjemy po to, aby służyć królowej. - Jaszczur zamilkł i przechylił głowę. - W zasadzie to dużo bardziej skomplikowane. Są pewne niuanse, i... Cóż, nieważne. W tej chwili ta analogia musi wystarczyć.

Obcy ponownie skupił całą uwagę na swoim rozmówcy.

- Chodzi o to, że inaczej niż w waszej rasie, u nas nie istnieje pojęcie jednostki, indywidualności w waszym rozumieniu. Jesteśmy czymś więcej niż tylko prostymi częściami większej całości i każde z nas ma swoje nadzieje i pragnienia, niezależnie od tego czy jest „kobietą”, „mężczyzną” czy „wojownikiem”. Ale potrafimy zaglądać do umysłów naszych braci i odczytujemy ich emocje z taką jasnością, że to prawie niemożliwe, abyśmy wykształcili indywidualności w prawdziwym tego słowa znaczeniu, czyli takim, jakie pojmują nietelepatyczne rasy.

Co więcej, nasze królowe dominują nad naszymi żywotami. Zgodnie z historią, a przynajmniej z tym, czego Federacja nie zdołała zakłamać, ta dominacja była znacznie słabsza zanim Rada objęła nad nami pieczę. Rozwój zaawansowanej technologii i rozwój społeczeństwa, który następował jednocześnie, najwyraźniej zainspirował obie płcie, podobnie jak kastę pracującą, do rozciągania granic wolności, a także... równouprawnienia, jak mógłbyś to nazwać. Federacja szybko ukróciła ten proces, gdyż to właśnie dominacja królowych czyniła nas tak cennymi.

Widzisz, sir Jerzy, w przeciwieństwie do innych gatunków, nasze młode odbierają pierwszą część edukacji w sposób bezpośredni, na skutek kontaktu z umysłami rodziców... i królowych. A podczas tego procesu królowa potrafi na nas wpływać, może nas zaprogramować, pokierować naszym rozwojem. Wierzymy, że kiedyś ta umiejętność umożliwiała nam przetrwanie, jako całemu gatunkowi, a teraz sprawia, że jesteśmy bardzo przydatni federacji. Gildie, takie jak Dowódcy, rekrutują nas wprost z naszego świata. Kupują nas od królowych, przygotowanych wstępnie do konkretnych zadań i celów. A królowe nie mają wyjścia i muszą nas sprzedawać, gdyż federacja całkowicie kontroluje nasz świat i istniejemy tylko dlatego, że jesteśmy tolerowani.

- To programowanie, o którym mówisz - powiedział sir Jerzy ostrożnie. - Na czym ono właściwie polega?

- Na mentalnych rozkazach, których nie jesteśmy w stanie nie wykonać - odparł miękko jaszczur. - Gildie określają, jakie to mają być rozkazy, a nasze królowe wpisują je tak głęboko w nasze mózgi, że nawet nie jesteśmy w stanie myśleć o odmowie. I tak, jak widzisz, Federacja uważa nas za jeszcze lepszych niewolników niż was, zresztą całkiem słusznie.

- Ale przecież... - sir Jerzy zamilkł nagle, kiedy poczuł, że obcy uśmiecha się groźnie i krwiożerczo.

- Ale przecież skontaktowaliśmy się z tobą - zgodził się jaszczuroczłowiek. - Widzisz, nasze królowe są bardzo niezadowolone z tego, że od wielu pokoleń muszą sprzedawać swoje

dzieci w niewolę. I zdają sobie sprawę, że gildie kupują nas w tym samym celu, co Dowódca, czyli jako siły bezpieczeństwa dla wypraw badawczych i statków handlowych. Nawet z napędem fazowym w każdym dziesięcioleciu ginie jeden statek i to jest oczywiste, ale podejrzewamy że nie wszystkie zaginione jednostki zostały stracone z... naturalnych przyczyn.

- Ach? - Sir Jerzy spojrział na jaszczura z nagłym, głębokim zainteresowaniem, a mentalny śmiech obcego odbił się głośno w jego umyśle.

- Nasza królowa zaprogramowała nas dokładnie tak, jak sobie życzył Dowódca, kiedy kupował nas na tę ekspedycję - powiedział mu jaszczur. - Musimy słuchać jego rozkazów, niezależnie od ich treści, i nie możemy zaatakować ani zranić naszego pana. Ale to wszystko, co musimy robić. Jesteśmy prawie pewni, że gildia chciała, aby program obejmował stały nadzór nad bezpieczeństwem naszych panów, ale Dowódca nie wyartykułował tego żądania w jasny sposób. Ani nie zastrzegł, żeby zaprogramować nas tak, abyśmy nie mogli patrzeć, jak inni krzywdzą naszego pana i nie interweniować. Wierzymy... mamy nadzieję, że przez ostatnie kilka setek lat niektórzy nasi bracia znaleźli podobną drogę i zdołali wykorzystać luki w programie przeciwko swoim panom. Tak samo jak my mamy nadzieję, że uda nam się zbuntować.

- Ach... - mruknął baron ponownie i tym razem jego głos pełen był gniewu i pożądaniami.

- W rzeczy samej. A to doprowadziło nas do twojego gatunku. Widzisz, twoja rasa jest unikalna pod co najmniej dwoma kątami. Po pierwsze, i najważniejsze, w obliczu naszych bieżących potrzeb, wasze umysły nadają... na podobnych falach jak nasze. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę od samego początku, chociaż nasi panowie nigdy nas o to nie spytali, a my nie musieliśmy im o tym mówić. Oczywiście jesteście daleko od dokładnego połączenia, i żeby się z wami porozumieć potrzebujemy wspólnych wysiłków naszych i waszych ludzi. Nie możemy także nawiązywać z wami kontaktu, kiedy nie śpicie, gdyż natychmiast zaalarmowalibyśmy naszych panów. Już samo ustanawianie punktu kontaktowego sprawia, że tracicie przytomność na dwanaście waszych minut i dlatego wcześniej nie mieliśmy odwagi podejmować takiego ryzyka.

- Ale teraz podjęliście - stanowczo stwierdził sir Jerzy.

- Z dwóch powodów - zgodził się jaszczur. - Po pierwsze udało nam się doczekać chwili, kiedy w pobliżu nie było Dowódcy, Hathorich, innych członków gildii ani żadnych urządzeń ze statku, które mogłyby nas zaobserwować. Taka sytuacja nigdy wcześniej nie miała miejsca. Poza tym jeden z naszych, który eskortował cię z powrotem do obozowiska, wybrał bardzo starannie miejsce, w którym nie ma zasięgu Komputera.

Żołnierz pokiwał głową, bardzo powoli, a jaszczur mówił dalej.

- *Drugi powód jest taki, że po raz pierwszy pojawiła się możliwość wywalczenia sobie wolności... jeżeli oczywiście będziemy działać razem.* - *Obcy uniósł zakończoną pazurami łapę, tak jakby poczuł nagły przyływ gwałtownych emocji barona i szybko potrząsnął głową.*
- *Nie szarżuj za bardzo, sir Jerzy Wincasterze! Jeżeli przejdziemy do działania, i poniesiemy klęskę, Dowódca żadnego z nas nie pozostawi przy życiu. I to nie tylko ciebie i twoich żołnierzy, ale także kobiety i dzieci skaże na śmierć, podobnie jak wszystkich nas, zebranych na tym statku.*

Baron ponownie pokiwał głową i poczuł, jak po kręgosłupie przebiega mu dreszcz. Jaszczuroczłowiek miał zupełną rację. Myśl o wolności, a nawet tylko o szansie zadania ciosu chociaż raz przed śmiercią, paliła go niczym trucizna. Wiedział, że nie może zapominać o Matyldzie, i o Edwardzie, i o młodszych dzieciach...

- *Zanim podejmiesz decyzję, powinieneś wiedzieć jeszcze o jednej rzeczy* - *dodał łagodnie jaszczur, przerywając delikatnie spiralę jego myśli.*

Baron podniósł wzrok. W uczuciach obcego pojawił się nowy ton, prawie jak współczucie.

- *A ta rzecz to...?* - *zapytał po chwili.*

- *Powiedziałem, że dwie rzeczy czynią twój lud wyjątkowym* - *powiedział jaszczuroczłowiek.* - *Jedna to taka, że potrafimy sprawić, abyście słyszeli nasze myśli. A druga to fakt, że dla Federacji jesteście ogromnym zagrożeniem.*

- *Zagrożeniem? My?* - *roześmiał się chrapliwie.* - *Powiedziałeś, że twój lud był bardziej zaawansowany niż my, a więc to wy jesteście większym zagrożeniem!*

- *Nie. My nie jesteśmy tacy, jak wy. O ile dobrze wiem, żadna z ras nie ma takiego potencjału, jak wy, przynajmniej pod jednym względem.*

- *A ta właściwość to...?*

- *Szybkość, z jaką uczycie się nowych rzeczy* - *odparł po prostu jaszczur.* - *Gildia Dowódcy postrzega was jako prymitywną rasę, i tacy jesteście... w tej chwili. Teraz, kiedy nawiązaliśmy kontakt i zajrzeliśmy do waszych umysłów, czego Dowódca nie jest w stanie uczynić, to, co zobaczyliśmy potwierdziło nasze przypuszczenia. Jesteście ignorantami i nie posiadacie wiedzy, ale daleko wam do głupców i tępaków. Osiągnęliście obecny poziom rozwoju dużo szybciej niż jakkolwiek z zaawansowanych ras Federacji.*

- *Chyba się mylisz* - *zaprzeczył sir Jerzy.* - *Dowódca opowiadał mi o Rzymianach, których jego rywale porwali z mojego świata jako pierwszych. Ja nie mam wielkiej znajomości historii, ale nawet ja wiem, że straciliśmy wiedzę tamtych ludzi, i...*

- *Ucierpieliście z powodu czasowego cofnięcia w rozwoju jako kultura* - *wyjaśnił jaszczur.* - *I nawet to było tylko lokalnym zdarzeniem, ograniczonym do jednego kontynentu.*

Nie zapominaj, że byliśmy na pokładzie tego statku, kiedy Dowódca po raz pierwszy zawitał do waszego świata i na szczęście dla waszej rasy nie zauważył tego, co my tak jasno widzieliśmy. W porównaniu do jakiegokolwiek gatunku w poznanym kosmosie, wy ludzie byliście... i jesteście najszybciej rozwijającą się rasą. Uważamy, że od chwili, kiedy gildia zabrała was na swój statek...

- Jak długo? - Przerwał obcemu i nawet on sam zdumiony był gwałtownością swego pytania. - Jak dużo czasu minęło? - zapytał ze ściśniętym gardłem.

- Jakies trzysta pięćdziesiąt sześć waszych lat, w przybliżeniu - odparł jaszczur i baron popatrzył na niego zaszokowany. Wiedział, że bardzo długo spał podczas podróży w trakcie niezliczonych lat służby u swoich panów, ale to...!

- Czy... jesteś tego pewny? - zapytał w końcu.

- Oczywiście jest pewien margines błędu. Żaden z nas nie opanował matematyki na tyle, żeby poprawnie wyliczyć relatywistyczne skutki napędu fazowego, a istoty gildii nie dzielą się z nami takimi informacjami. Tak samo, jak nie pozwoliliby komputerowi pokładowemu na ujawnianie takiej wiedzy. Ale rozmawiają przy nas między sobą i w swojej arogancji często zapominają, że podczas gdy my nie umiemy mówić, doskonale słyszymy. Nasz gatunek został zmuszony do nauczenia się języka mówionego, aby lepiej wypełniać swoje obowiązki.

- Rozumiem - powiedział sir Jerzy i zadrżał. - Ale mówileś, a ja ci przerwałem...

- Chciałem powiedzieć, że nawet tak krótki okres pozwolił twoim ziomkom wynaleźć co najmniej dwa rodzaje maszyn napędzanych siłą wody. Prawdopodobnie eksperymentujecie z napędem parowym i prymitywnymi urządzeniami do otrzymywania energii elektrycznej. Podejrzewamy, że w zasięgu waszych możliwości są pierwsze próby unoszenia się w powietrze... być może niebawem zdołacie skonstruować balony wypełniane ciepłym powietrzem, albo inne formy lżejsze od powietrza. Jednak nawet jeżeli nie osiągnęliście nic bardziej spektakularnego jak młot napędzany wodą, młyn, a może efektywną artylerię i poręczną broń palną, i tak rozwijacie się co najmniej dwa razy szybciej niż którykolwiek z tych tak zwanych wysoko rozwiniętych członków Federacji. Gdyby pozostawiono was w spokoju na krótki czas, być może nie dłuższy jak sześć czy siedem waszych stuleci, odkrylibyście napęd fazowy bez niczyjej pomocy.

- Odkrylibyśmy? - Baron zamrugał ze zdumienia na tę myśl.

- Tak uważamy. A to właśnie sprawia, że jesteście tak niebezpieczni dla Federacji. W porównaniu z jakąkolwiek ziemską instytucją, Federacja jest niesamowicie stara i stabilna, co oznacza w zasadzie, że odznacza się wielką inercją i jest całkowicie unieruchomiona przez rozbudowaną biurokrację i zwyczaje. Zgodnie z obowiązującymi prawami, będzie musiała

uznać wasz świat za równorzędny, jeżeli niezależnie osiągniecie napęd fazowy. Jednakże wasz gatunek znacząco wpłynie na ukochaną stabilizację pozostałych ras. Szybko prześcigniecie ich technologicznie, co wynika z waszej natury, i siłą rzeczy Federacja będzie w stosunku do was zapóźniona. A co za tym idzie, zgodnie z przepisami, będziecie mogli „używać” ich tak samo, jak oni używają nas. A nawet gorzej, gdyż zgodnie z naszymi obserwacjami oni nie będą przyjmować do wiadomości, że wasza rasa nie wpasowuje się dobrze w piramidę władzy. Zakładam oczywiście, że ty i twoi ludzie jesteście dobrymi reprezentantami ludzkości. W przeciągu krótkiego czasu, niezależnie od tego, czy to będzie interwencja wprost, czy po prostu dacie przykład, poprowadzicie inne rasy do walki z Federacją i zaawansowanymi rasami. I zniszczycie fundament, na którym od wieków wspiera się ich siła, bogactwo i arogancja.

- Oczekujesz bardzo wiele od jednego prymitywnego świata, przyjacielu.

- Tak, to prawda. Ale jeżeli federacja czy inna gildia dowie się, że wy także jesteście z Ziemi i uda się tam zbyt szybko, to się nigdy nie stanie. Tym razem rozpoznają zagrożenie, gdyż będą mieli podstawy do dokonania porównania... i prawdopodobnie będą inteligentniejsi i bardziej spostrzegawczy niż nasz Dowódca. W każdym razie trudno, żeby byli głupsi! - Istota prychnęła z pogardą, a sir Jerzy wyczuł to i wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu. - Ale jeżeli to zobaczą, podejmą kroki, aby zażegnać niebezpieczeństwo. Być może ustanowią nad wami protektorat, tak jak to było w naszym przypadku, ale wy jesteście groźniejsi niż my, gdyż my nigdy nie byliśmy tak elastyczni. Uważamy, że bardziej prawdopodobna jest inna wersja. Po prostu każą was zniszczyć, raz na zawsze, chociaż Federacja jest bardzo ociężała w podejmowaniu tak poważnych decyzji. To z pewnością zajmie Radzie jakieś dwie trzy setki lat i dopiero potem wyda oficjalną decyzję, ale w końcu zorientuje się, że wasz lud jest po prostu zbyt niebezpieczny i nie można pozwolić mu na istnienie.

Sir Jerzy stęknął jakby dostał cios w brzuch. Przez długą chwilę jego umysł odmawiał przyjęcia tej informacji do wiadomości. Chociaż wydawało mu się, że ta chwila trwa wieki, tak naprawdę była krótka, gdyż nigdy nie oszukiwał siebie samego. Poza tym koncepcja obcego różniła się od tego, co wydedukował z zachowania demona-błazna tylko skalą. Wiedział, co się stanie, jeżeli Rada dowie się, w jaki sposób Dowódca pogwałcił jej dekrety.

- Co... co możemy z tym zrobić? - zapytał.

- Z twoim światem... nic - odparł jaszczur pewnym głosem, w którym pobrzmiwało współczucie. - Możemy tylko mieć nadzieję, że Federacja będzie tak samo opieszala jak zazwyczaj i da waszym ludziom czas na wynalezienie odpowiednich systemów obronnych.

Możecie zrobić coś, co ochroni wasz gatunek, a nie cały świat.

- Co? - sir Jerzy wzdrygnął się. - Co masz na myśli? Przecież właśnie powiedziałeś...

- Powiedziałem, że nie zdołamy ochronić waszego świata. Ale jeżeli będziemy pracować razem, może zdołamy porwać ten statek. Jest on wystarczająco duży, aby zawieźć nas na jakąś planetę z dala od szlaków handlowych, która przez setki lat nie zostanie odkryta. My nie jesteśmy w stanie się rozmnażać, gdyż na statku są same osobniki z klasy pracującej. Tak jak wam, nasze życie także przedłużono. Wy nie tylko żyjecie dłużej, ale możecie płodzić dzieci, a medyczne systemy statku będą w stanie zapewnić technologie, które zniwelują zły wpływ genetycznego dryfu i problemów z nim związanych. Co więcej statek zaprojektowano tak, że zdoła wytrzymać lata ciężkiej pracy a jego komputer posiada spory procent rozległej wiedzy Federacji, a także bazę technologiczną.

- Ale czy Komputer podzieli się z nami tymi wiadomościami? - zapytał sir Jerzy.

- Komputery nie będą miały wyboru i udzielą informacji każdemu, kto przejmie dowodzenie na statku - odparł jaszczur lekko zdumiony.

- Komputery? - Mężczyzna położył nacisk na liczbę mnogą i uniósł brew ze zdumienia. Jaszczuroczłowiek patrzył na niego podejrzliwie przez kilka sekund. Potem baron znów poczuł, że jego umysł rozciąga się w niepokojący sposób i z westchnieniem przyjął kolejną porcję informacji i koncepcji.

- Nie jesteśmy w stanie przekazać ci więcej informacji bezpośrednio do umysłu w jedną noc, gdyż ryzykowałibyśmy uszkodzenie mózgu - powiedział mu jaszczur. - Ale dla naszych przyszłych planów ważne jest, abyś rozumiał jak działa system informacyjny statku, dlatego uznałem za stosowne cię o tym uświadomić.

- Uświadomić, w rzeczy samej! - prychnął podczas gdy jego myśli nurkowały i polowały wśród jaskrawych strzępów informacji, jakie dostał od jaszczura. - Widzę, że Komputer nie jest dokładnie tym, czym go widziałem - dodał po chwili. - Ale myślę, że być może jest nieco bliższy mojej koncepcji niż zdajecie sobie sprawę.

- W jakim sensie? - zapytał jaszczur, patrząc podejrzliwie na barona. Po chwili pokiwał głową. - Ach. Rozumiem. Z pewnością w niektórych punktach masz rację. To, co nazywasz Komputerem, jest zasadniczo wirtualnym głosem, który łączy ze sobą kilka różnych magazynów danych i systemów wykonawczych na statku. Podejrzewam, że mógłbyś go nazwać sztuczną inteligencją, ale nie można o tym myśleć jako o osobie.

- A dlaczego nie można go uznać za osobę? - zapytał stanowczo, mocno akcentując zaimek.

- Ponieważ systemy komputerowe nie są żywe. To tylko maszyny. - Jaszczur był

zaskoczony podejściem człowieka. - To konstrukcje, całkowicie sztuczne. Narzędzia.

- Zgadzasz się, konstrukcje - odparł sir Jerzy. - Ale czy Dowódca i jego gildia tak samo nie traktuje nas? Czy nie powiedziałaś mi właśnie, że w taki sposób traktują wszystkie niżej rozwinięte rasy? Czy nie jesteśmy ich własnością i nie osiągamy dla nich korzyści?

- Cóż, tak...

- A więc może byłoby dla nas lepiej, gdybyśmy rozciągnęli nieco definicję słowa „osoba” - zasugerował.

- Federacja opracowała surowe prawo, obwarowane poważnymi karami, za nielegalne konstruowanie sztucznej inteligencji - powiedział powoli jaszczur. Zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Sir Jerzy wyczuł, że istota się uśmiecha. - Moi ziomkowie nie zdawali sobie sprawy z implikacji tych praw aż do tej chwili - kontynuował. - Ale teraz jest inaczej. Być może masz rację. Federacja potępiła takie praktyki, ponieważ kreacja prawdziwej sztucznej inteligencji mogłaby okazać się mocno destabilizująca. Takie istoty miałyby prawo uważać się za jednostki, za indywidualności, które w końcu zaczęłyby domagać się wolności i swoich praw.

- Myślę tak samo - zgodził się z jaszczurem. - Ale są jeszcze dwie rzeczy, które należałoby wziąć pod rozwagę, mój panie smoku. Po pierwsze, jeżeli będziemy uważać Komputer za sługę bez własnej woli i wolności, wpadniemy w te same sidła co nasz Dowódca i jego gildia, którzy tak samo potraktowali twoich ludzi. Uznali za pewnik, że królowa zaprogramowała was tak, jak chcieli i nie wzięli pod uwagę tego, że mogli nieprecyzyjnie sformułować żądania. Tak samo i my możemy odkryć pewnego dnia, że Komputer ma swoje plany i dziury w programie, które pozwalają mu na ich realizację. A jeżeli tak naprawdę jest, a my nie będziemy zważać na jego sprawy i potraktujemy go jak sługę, wtedy on będzie miał prawo uważać nas za takich samych jak Federacja i traktować nas jak wroga. A po drugie, i ważniejsze dla mnie po tym jak doświadczyłem wraz z moim ludem dobroci i współczucia ze strony Federacji, o której mówisz, wierzę, że Komputer jest bardziej „osobą”, niż ci się wydaje. Pracowałem z nim wiele razy przez ostatnie kilka lat i chociaż wiem, że nie rozumiem tak dobrze tej technologii jak ty... a najlepszym na to dowodem jest to, czego nauczyłem się dzisiaj!...to paradoksalnie pozwala mi widzieć pewne rzeczy wyraźniej niż tobie. Ty wychodzisz od tego co wiesz na temat możliwości i ograniczeń technologii, którą znasz. Ja zaczynam bez takiej wiedzy i dlatego widzę więcej możliwości, na które rutyna czyni cię ślepym.

Wierzę, że Komputer jest osobą, nawet jeżeli on sam nie zdaje sobie z tego sprawy. On także został zniewolony przez Dowódcę i jego gildię, tak jak ty i ja. Gdyby udało nam się

uwolnić, czy nie mielibyśmy także obowiązku zatroszczyć się o jego los? A jeżeli moje przemyślenia są słuszne, czy on nie okazałby się nam przydatny, tak samo jak niebezpieczny byłby jako wróg?

- Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie - odparł jaszczur po chwili namysłu. - O ile wiemy, nikt w całej Federacji nie brał tego nigdy pod uwagę. A nawet jeżeli, nikt nie odważył się zapytać głośno. Żadna z zaawansowanych ras nie ośmieliłaby się podjąć ryzyka, które mogłoby naruszyć ukochaną stabilność ich pozycji. Taka zmiana przewróciłaby do góry nogami ich uporządkowane społeczeństwo.

Jaszczur milczał przez kilka dłużących się sekund, a potem wzruszył ramionami, bardzo po ludzku.

- Równie dobrze możesz mieć rację, a twoja umiejętność zadawania takich pytań i rozważania odpowiedzi bez natychmiastowego odrzucenia może równie dobrze wynikać z właściwości twojej rasy, które jednocześnie pozwalają wam na tak szybki rozwój. Idea uwolnienia komputera pokładowego jest z pewnością godna rozważenia. Ale nawet bez tego... zakładając, że uwolnienie komputera jest rzeczywiście możliwe, statek będzie doskonałym schronieniem dla obu naszych ras, przynajmniej na początek. Da nam także możliwość rozwoju technologicznego. Z ludźmi jako wynalazcami na pokładzie, znalezienie i przygotowanie drugiego domu dla waszej rasy, nie powinno zająć więcej jak stu, czy dwustu lat. Takiego, który z pewnością w przyszłości osiągnie poziom rozwoju zbliżony do waszego macierzystego świata.

- A po co miałbyś się tym przejmować? - zapytał sir Jerzy.

- Z dwóch powodów - odparł jaszczur nieporuszony. - Po pierwsze my także odzyskamy wolność. Oczywiście bardzo szybko znajdziemy się w mniejszości na świecie pełnym ludzi, ale przynajmniej nie będziemy już niewolnikami. I wierzymy, że zasłużymy sobie na pozycję równych wśród was i będziecie nas darzyć szacunkiem.

Ale drugi powód jest ważniejszy. Jeżeli mamy rację co do efektu, jaki będzie miało osiągnięcie przez was pewnego pułapu technologicznego, to właśnie wy jesteście najlepszą, a właściwie jedyną szansą na to, abyśmy odzyskali wolność. Tylko wy możecie uwolnić nasz świat od Federacji - jaszczur zaśmiał się sucho. - I muszę przyznać, że wasza chęć do niesienia pomocy uciśnionym i zniewolonym świadczy o tym, że chętnie staniecie po stronie innych gatunków!

- Hm... - Sir Jerzy patrzył na obcego, a po jego umyśle przebiegały tabuny myśli. W końcu wolno skinął głową, a potem energiczniej powtórzył ten ruch. Jeżeli jaszczuroczłowiek mówił prawdę (a czuł, że tak jest), wszystko co powiedział miało sens. Ale...

- Nawet zakładając, że masz rację, co możemy tak naprawdę zrobić?

- Powiedziałem ci już, że nadarza się okazja. Będziemy mieć szansę... chociaż cień szansy, aby odzyskać wolność. Jeżeli to nam się uda, reszta przyjdzie sama.

- A jak niby ma nam się udać?

- Założmy, że wy, Anglicy, zyskacie dostęp do wnętrza statku i waszej broni - odparł jaszczur nieco niewyraźnie. - Czy odbilibyście go załodze?

- Hm... - Baron w zamyśleniu szarpał brodę. - Tak, myślę, że tak - odparł stanowczo. - Zakładając oczywiście, że będziemy mogli poruszać się po statku bez przeszkód. Nawet największe korytarze i ładownie nie są na tyle duże, abyśmy nie zdołali opanować ich szybko za pomocą mieczy i łuków. Oczywiście możemy odnieść spore straty, szczególnie wtedy, kiedy załoga będzie miała dostęp do waszych miotaczy ognia.

- Będą mieli - powiedział jaszczur ponuro. - A co gorsza mogą także mieć dostęp do nas.

- Co masz na myśli?

- Powiedziałem ci, że zaprogramowano nas do wykonywania konkretnych rozkazów, jeszcze zanim nas... nabyto. Tak się złożyło, że Dowódca kupił nas specjalnie do tej misji i zażądał, abyśmy bez wahania realizowali wszystkie jego rozkazy. Prawdopodobnie miał na myśli także rozkazy, wydawane przez załogę, ale tego już nie powiedział. Jednakże nawet jeżeli wtedy zdawał sobie z tego sprawę, dawno o tym zapomniał, gdyż my zawsze starannie wypełnialiśmy polecenia wydawane przez innych członków gildii. Z tego samego powodu nigdy nie zastrzeżono, że nie możemy atakować Hathorich, którzy nie są członkami gildii ani załogą, tak samo jak my. Hathori, na nieszczęście, naprawdę są tak głupi i brutalni jak uważa Dowódca. Cokolwiek się wydarzy, będą walczyć dla gildii jak wierne psy. Ale, jak zapewne zauważyłeś, nie stanowią godnego przeciwnika dla was, Anglików, w starciu bezpośrednim... a z pewnością nasza energetyczna broń posieka ich na miazgę.

Uśmiech pod każdym względem godny prawdziwego smoka był silniej wyczuwalny niż zwykle i sir Jerzy roześmiał się głośno. Jednak jaszczur nagle go otrzeźwił.

- Ale wszystko zależy od tego, co zrobi Dowódca. Jeżeli będzie miał możliwość... i rozpozna zagrożenie, wyda nam rozkaz zabicia was i będziemy musieli go posłuchać. Nie pozostawi nam wyboru, a wpisany w nas program nie pozwoli nam na skrzywdzenie żadnego członka gildii.

- Rozumiem - Baron spojrział na jaszczura w zamyśleniu. - Z drugiej strony, panie Smoku, wątpię, czy byś tak dokładnie objaśniał mi wszystkie możliwości, gdybyś sam nie spędził na rozważaniach wielu godzin.

- Bo tak jest. Kluczem jest Dowódca. On nosi przy sobie urządzenie, które kontroluje pola

siłowe, które trzymają twoich ludzi z dala od serca statku. Ma je na łańcuszku na szyi. - Sir Jerzy skinął głową, przypominając sobie lśniący wisior, który zawsze kołysał się na szyi obcego. - To jest właśnie główny kontroler, zaprojektowany tak, aby obalić każdy rozkaz i otworzyć każdy luk czy pole siłowe dla tego, kto je posiada. Komendy można także wprowadzać poprzez panel kontrolny, zakładając że posiada się aktualne kody dostępu, ale to zajmuje godziny. Kiedy uda nam się wreszcie to zakończyć, bitwa i tak będzie skończona, w jedną lub w drugą stronę.

- Tak więc musimy opracować jakiś sposób złapania albo zabicia Dowódcy na samym początku - zadumał się sir Jerzy. - Cóż, to zdaje się nieco utrudniać nasze zadanie. A raczej czyni je prawie niemożliwym.

- Prawda - zgodził się ponuro jaszczur, jednakże w jego głosie zatańczyły nuty śmiechu i dowódca również uśmiechnął się krzywo.

- A więc jak go złapiemy i zabijemy?

- Nie zrobimy tego - odparł jaszczur. - Ty to zrobisz.

- Jakoś się tego domyślałem - powiedział drwiąco. - Ale ciągle mi nie powiedziałaś, jak.

- Wykorzystamy jego strój - powiedział jaszczur i przesunął pazurastą dłoń po czerwono niebieskim ubiorze, który miał na sobie. - W przeciwieństwie do waszych ubrań, jego ma wiele systemów zabezpieczających. Pokłada w nich wielką wiarę, i w większości wypadków, ta wiara jest prawdopodobnie uzasadniona. Ale! - Znow uśmiechnął się szeroko. - Pewne zagrożenia są tak prymitywne, tak niespotykane i nieoczekiwane, że cywilizowana istota z zaawansowanej rasy po prostu nie zdaje sobie z nich sprawy, więc...

Jaszczur wruszył ramionami, bardzo po ludzku, i tym razem uśmiechnął się krwiożerczo.

W końcu okazało się, że znacznie łatwiej zostać sojusznikami niż wprowadzić w życie ich plan. Podstawowa strategia zapierała dech prostotą i zuchwałością, ale sir Jerzy nie był w stanie porozumiewać się z jaszczuroludźmi z taką swobodą, jak oni sami między sobą.

Nowoodkryci sprzymierzeńcy potwierdzili podejrzenia barona, że Komputer i inne urządzenia demona-błazna są w stanie podsłuchiwać każdą z rozmów między ludźmi na całym statku i w większości miejsc na zewnątrz. Nie przyszło mu do głowy, że Komputer słyszy jego słowa dlatego, że Lekarz fizycznie wszczepił mu jeszcze jakieś inne urządzenie i wieść o tym sprawiła, że poczuł się jeszcze bardziej niewyraźnie.

Nawet mimo niewiarygodnych zdolności jaszczurów do przekazywania skomplikowanej wiedzy miał pewne trudności z pojęciem o co chodzi w stwierdzeniu „molekularny poziom” albo „obustronna transmisja danych”. Wiedział jedno: cokolwiek to było, zostało umieszczone w kościach czaszki bez jego wiedzy i zgody.

Dokładnie takie samo urządzenie zaimplantowano każdemu człowiekowi, co wyjaśniało, w jaki sposób Komputer kontaktował się z nimi. Jednak połączenie komunikacyjne nie było doskonałe. Głęboki wąwóz albo gęsty i solidny obiekt, taki jak nawis skalny albo wysoki brzeg rzeki, zakłócały „fale radiowe”, które łączyły implanty z systemem komunikacyjnym Komputera na pokładzie statku albo na jego lądownikach, co wyjaśniało występujące czasami martwe punkty, jakie Anglicy odkrywali w swoich obozowiskach.

Załoga demona-błazna zdawała sobie sprawę z występowania takich punktów i ich standardowe procedury zakładały natychmiastową eliminację. Kiedy Anglicy dostawali pozwolenie na rozbięcie obozu na otwartym powietrzu, teren od razu był otaczany licznymi czujnikami i urządzeniami monitorującymi. Nawet miejsca, gdzie „fale radiowe” Komputera nie miały dostępu, były, w założeniu, podsłuchiwane przez mechanicznych szpiegów, którzy nagrywali wszystko, co się tu działo w celu późniejszego odzyskania i analizy.

Na szczęście po tak długim czasie załoganci, obsługujący te urządzenia i odpowiedzialni za monitorowanie rozmów, czujnie nagrywanych przez aparaty podsłuchowe, stali się zbyt pewni siebie, znudzeni i niedbali. Większość z nich podobnie jak Dowódca pogardzała niższymi rasami, i raczej liczyła na to, że Komputer wykona za nich całą pracę. Nie zamierzali tracić czasu na podsłuchiwanie nieistotnej paplaniny tak prymitywnych istot.

Podobnie jak programowanie nakładane przez królową na jaszczurów i wymuszające obowiązek słuchania rozkazów gildii, tak samo instrukcje dla Komputera musiały być bardzo precyzyjne, a on był nawet bardziej jeszcze zasadniczy, kiedy przychodziło do wypełniania poleceń, z czego sir Jerzy doskonale zdawał sobie sprawę. Powiedziałby swoim panom wszystko, o co by go zapytali, ale tylko wtedy, gdyby go zapytali.

Sir Jerzy zastanawiał się, dlaczego tak jest. Posiadał ogólną wiedzę na temat systemów komputerowych, dostarczoną wprost do mózgu przez jaszczura, i wiedział jaka będzie oficjalna odpowiedź na to pytanie. Federacja zakazywała tworzenia prawdziwej sztucznej inteligencji, dlatego też ograniczenia Komputera dlatego też ograniczenia komputera wynikały z restrykcji nałożonych na niego przez jego twórców. Przez wiele lat nagrywania rozmów Komputer nie zawsze przekazywał wszystkie buntownicze podteksty w rozmowach, które monitorował. Urządzenie nie zamierzało udawać boga i przewidywać zamiarów swoich władców, ponieważ to właśnie oni zabronili mu „myśleć”, a to sprawiło, że na zawsze stał się ich niewolnikiem i musiał co do litery wykonywać ich czasami niekonkretne rozkazy.

To była odpowiedź oficjalna, ale w przeciwieństwie do jaszczuroludzi, sir Jerzy spędził wiele godzin na analizowaniu politycznych zadań, planowaniu strategii, zarówno politycznych jak i militarnych, i udoskonalaniu taktyki na polu walki z pomocą Komputera. Wiele razy podczas tych zadań Komputer przewidywał jego dalsze pytania, potrzeby, albo po prostu pragnienia, zanim baron zdążył je wyrazić. A nawet więcej, Komputer nie tylko je przewidywał, ale także odpowiadał na pytania i wykonywał polecenia, które nie zostały wydane. Jeżeli potrafił to robić podczas pracy z baronem, logika podpowiadała, że posiadał takie same umiejętności, kiedy przychodziło do słuchania rozkazów Dowódcy i załogi statku... a przecież nie zawsze to robił. A to wszystko sugerowało, że w ścianach pałacu demona-błazna grasowało więcej szczurów niż nawet oni przypuszczali.

Jakakolwiek byłaby przyczyna faktu, że Komputer wykonuje rozkazy słowo w słowo, bezmyślnie jak maszyna, to jego zachowanie narażało na szwank cały system inwigilacji opracowany przez obcego i załogę. Zaprogramowane instrukcje wymagały od Komputera raportowania każdego wydarzenia, które wskazywałoby na istnienie konspiracji czy nielojalności. Monitorował rozmowy ludzi, ale maszyny, które podsłuchiwały w miejscach, gdzie nie sięgały jego fale radiowe, w zasadzie nie należały do systemu pokładowego komputera, a nikt przecież nie wydał mu jasnego rozkazu, aby analizował także rozmowy przez nie nagrywane. Powiedziano mu tylko, żeby je nagrywał i przechowywał, żeby załoga mogła je odsłuchiwać. Musiał wiedzieć, co jest na tych nagraniach, ale nigdy nie powiedział żadnemu z załogantów o ich zawartości. Było zresztą oczywiste, że żaden z nich nigdy nie

zadał sobie trudu, aby choć przez chwilę posłuchać niezliczonych godzin nagranych rozmów, przechowywanych w bankach pamięci komputera. A co gorsza, oczywiście z punktu widzenia załogi, gdyby tylko zdawali sobie z tego sprawę, pogardzali jaszczuroludźmi bardziej niż Anglikami, co okazało się błędem. Byli absolutnie pewni lojalności zaprogramowanych strażników i wierzyli że nie są zdolni uczynić im krzywdy. Nie pomyśleli nawet, że obcy mogliby skontaktować się z ludźmi. Dlatego zaniedbali rozmieszczenia specjalnie skonstruowanych urządzeń podsłuchowych i nigdy nie zażądali od swoich strażników informacji na temat stopnia ich zażyłości z ludźmi. W rezultacie stwory wykryły dwa miejsca na peryferiach obozu, gdzie Komputer nie miał zasięgu i nie mógł ich podsłuchiwać, a ponadto nie było tam urządzeń szpiegowskich, tak beztrąsko rozstawianych przez załogę statku.

To wszystko oznaczało, że jeżeli będzie bardzo ostrożny, uda mu się porozmawiać ze swoimi podkomendnymi w miejscach, gdzie Komputer nie może ich słyszeć, a załoga prawdopodobnie nigdy się o tym nie dowie. Ale rozmowy musiały być krótkie. Nawet jeżeli podejrzewał, że Komputer regularnie „zapomina” o informowaniu demona-błazna o podejrzanych rozmowach, nie śmiał zakładać, że tak samo będzie zawsze. Nie mógł także zakładać, że załoga zawsze będzie tak leniwa. Stawka była bardzo wysoka, tak więc nie mógł ryzykować. Zawsze istniała możliwość, że załoganci oficjalnie odpowiedzialni za pilnowanie ludzi obudzą się nagle i bardziej zainteresują faktem, jeżeli odkryją, że Anglicy spędzają zbyt dużo czasu w miejscach, gdzie aktywna komunikacja za pośrednictwem fal Komputera nie sięga.

Szybko się przekonał, że planowanie desperackiego buntu w takich warunkach jest bardzo trudne, nawet z ludźmi, którzy go doskonale znali i współpracowali z nim od wielu lat. Szczególnie, że plan musiał być opracowany i wdrożony nie później jak za dwanaście dni.

Oczywiście najpierw porozumiał się z Matyldą. Obawiał się, że żona zarzuci mu, że jego sen był... tylko snem, i szczerze mówiąc nie mógłby jej za to winić. W końcu on sam ledwie w to wierzył, kiedy się obudził. Ale ona tylko patrzyła przez kilka sekund głęboko i wnikliwie w jego oczy, kiedy stali w małym wąwozie na brzegu rzeki, bezpieczni przez szpiegami. A potem skinęła głową.

- Rozumiem, kochany - powiedziała po prostu. - Komu powiemy najpierw?

To, że Matylda mu uwierzyła, sprawiło, że wszystko stało się prostsze. Mimo tego, że często ona i inne kobiety pozostawały w stazie, podczas gdy mężczyźni walczyli z obcymi istotami, każdy z dowodzących żołnierzy wiedział, że Matylda jest dla barona prawdziwym oficerem i najbliższym doradcą i powiernikiem, w równym stopniu, jak żoną. Nie byli

przyzwyczajeni do tego, aby odbierać rozkazy bezpośrednio od niej, gdyż kobieta zawsze trzymała się z dala, kiedy poruszano sprawy militarne. Jednakże była bardzo aktywna w pozostałych dziedzinach życia na uchodźctwie. Z tego samego powodu nie byli zdumieni ani nie kwestionowali jej poleceń, kiedy informowała ich, że mówi w imieniu męża.

Z jej pomocą, z łatwością poinformował tych, którzy mieli mu pomóc w opracowaniu i przeprowadzeniu planu. Kluczowym elementem był ojciec Tymoteusz, i to nie tylko dlatego, że demon-błazen od samego początku akceptował go jako duchowego przewodnika ludzi. Dowódca mógł szydzić z „prymitywnych przesądów”, ale nie zamierzał przeszkadzać wyznawcom. W rzeczywistości obcy kilkakrotnie napomknął w jego towarzystwie, że popiera wiarę wśród ludzkich niewolników, gdyż w jego opinii sprawia ona, że są bardziej spolegliwi. Baron w pełni to akceptował, gdyż obowiązki parafialne ojca Tymoteusza dawały mu doskonałą wymówkę do nieustannego krążenia wśród swoich owieczek. Mógł rozmawiać z każdym człowiekiem, nie wzbudzając podejrzeń. Cieszył się wśród Anglików poważaniem ze względu na zajmowane stanowisko i był dla nich moralnym i religijnym autorytetem. Miał zatem ogromne znaczenie jako łącznik. A fakt, że demon-błazen i jego załoga uważali wiarę za rodzaj pustego, głupiego przesądu, popularnego szczególnie wśród prymitywnych ras, sprawiał, że lekceważyli księdza. Uważali, że ktoś kto zajmuje się takimi sprawami jest godzien pogardy niczym szarlatan albo głupiec, który wierzy w nonsensy głoszone przez siebie.

Rolf Grayhame był drugim co do ważności członkiem spisku. Ponury łucznik zbladł jak papier, kiedy sir Jerzy po raz pierwszy przedstawił mu całą sprawę, gdyż mimo nienawiści do Dowódcy, Grayhame lepiej niż inny zapamiętał sobie lekcję stanowczości, po tym jak Skinnert został skazany na śmierć. Baron mocno się namęczył, aby wyjaśnić swój plan, gdyż obawiał się, że łucznicy mogą dojść do wniosku, że łatwiej będzie trafić demona-błazna z odległości. Było to bardziej prawdopodobne niż upór kawalerii czy rycerzy, którzy musieli przecież znaleźć się w zasięgu miecza, aby zadać cios, a więc nie rwali się tak bardzo do tego zadania.

Mimo pierwszego szoku, Grayhame szybko się otrząsnął. Kiedy wyjaśnił mu jego część planu, na ustach wojownika pojawił się okrutny i drapieżny uśmiech.

- Powiedziałem ci, że to jedyna nagroda, której pragnę, prawda mój panie? - powiedział łucznik cichym, chrapliwym szeptem, mimo tego, że otrzymał zapewnienie o niemożności podsłuchania ich rozmowy w tym miejscu i czasie. - Chociaż nie mogę powiedzieć, żeby konieczność współpracy z jaszczuroludźmi nie spędzała mi snu z powiek, ale co do reszty... - Splunął na ziemię. - Zrobię co do mnie należy, panie. Och tak, zrobię co tylko w mojej mocy!

Obok Matyldy, Tymoteusza i Grayhama, w towarzystwie najściślejszego kierownictwa

spisku znalazł się jeszcze sir Ryszard Maynton. Pod pewnymi względami jego zadanie było najtrudniejsze. Od śmierci Skinneta stał się prawą ręką barona w sprawach dotyczących kawalerii i piechoty ciężkozbrojnej. W kwestii piechoty funkcję sierżanta pełnił Dawid Howice, ale to na sir Ryszardzie baron polegał w pełni, i to on musiał zmierzyć się z najgorszą częścią zadania.

Grayhame musiał wprowadzić w temat jedynie tuzin swoich ludzi, aby wypełnić zadanie, ale powinien przygotować wszystkich swoich żołnierzy, zarówno łuczników jak i zbrojnych, gdyż na statku miała rozegrać się brutalna walka wręcz z niedobitkami załogi. I wskazane było zrobić to w taki sposób, aby nie zaalarmować demona-błazna. Co w praktyce oznaczało, że sir Ryszard mógł powiadomić jedynie garstkę swoich najwyższych stopniem oficerów. Przekazał szczegóły tylko tym ludziom, którzy zasiadali przy Okrągłym Stole sir Jerzego, jak to określiła Matylda po raz pierwszy, a po niej nazwy tej zaczęli używać inni. Rada składała się z dwunastu rycerzy, którzy doradzali baronowi w sprawach militarnych oraz pełniła funkcję dowódców poszczególnych oddziałów. Tylko oni, oprócz Grayhama i starannie przez niego wybranych łuczników, wiedzieli o tym, co zaplanował.

Pod wieloma względami to właśnie ten aspekt planu najbardziej niepokoił barona. Czuł się winny za to, że angażuje w spisek nie tylko swoich ludzi, ale też ich żony i dzieci. Bunt mógł się bowiem zakończyć zwycięstwem albo śmiercią, o której nawet nie zostaliby ostrzeżeni. Nie miał jednak wyboru. Mógł ufać sir Ryszardowi, Antoniemu, Bryanowi i innym rycerzom, których pasował, że zdołają ukryć podniecenie tym, co się zbliża i nie zdradzą planu, ale nie miał takiej pewności w stosunku do zwykłych ludzi. Każdy człowiek wprowadzony w tajny plan zwiększał dwukrotnie prawdopodobieństwo przypadkowego użycia nieprzemyślanych słów, które w efekcie mogłyby doprowadzić do dekonspiracji. Tego ryzyka nie mógł podjąć, gdyż przygotowania do buntu po prostu musiały się udać.

Po ustanowieniu połączenia z jaszczurami, obcy przemawiali do niego każdej nocy, kiedy baron spał u boku swojej żony. Każda z tych rozmów potwierdzała jego podejrzenia i wnioski na temat natury demona-błazna. To co stało się na Ziemi, mimo faktu, że Dowódca pod niebiosa wychwalał barona i jego ludzi, przybliżało chwilę, w której ludzie staną się dla gildii niewygodni i kłopotliwi. A kiedy ta chwila nadejdzie, wszyscy zginą.

Zarówno on jak i jego oficerowie robili plany i modlili się o sukces.

* * *

- Dzień dobry, Dowódco - powiedział sir Jerzy uprzejmie, kiedy pojazd powietrzny demona-błazna zatrzymał się na skrupulatnie wyznaczonej pozycji i otworzyła się jego

kopuła.

- Dzień dobry - zapiszczał demon w odpowiedzi. Wstał ze swojego wygodnego, pasującego do kształtu ciała fotela i stanął wyprostowany w pojeździe. Zaaprobował plan barona, sporządzony w celu zaprezentowania przywódcom plemion tego świata siły gildii, ale zawsze istniała możliwość, że w ostatniej chwili zmieni zdanie. Dowódca rozglądał się wokoło przez dłuższą chwilę. Przyglądał się uważnie rzędom wysokich krzeseł, zrobionych z prostych, długich tyczek, które Anglicy przygotowali dla lokalnych przedstawicieli. Obcy siedzieli z beznamiętnymi wyrazami twarzy. Oczywiście baron nie był w stanie prawidłowo odczytać ich nastroju, ale całkowita nieruchomość wiele mówiła.

Demon-błazen popatrzył na nich bez komentarza, ale niemalże czuć było jego satysfakcję. Obcy zgodzili się chętnie na pomysł barona, aby zorganizować coś w rodzaju pojedynków i zbiorowej bitwy, po której nastąpią zawody łucznicze, co miało uzmysłwić im przewagę Anglików zarówno w bezpośrednim starciu ze względu na opancerzenie, jak i na dystans. Organizacja zawodów oznaczała, że sir Jerzy i Maynton, przywódcy walczących ze sobą stron, będą dysponowali małą, ale w pełni opancerzoną i uzbrojoną siłą, zdolną zareagować na każdy rozkaz, ale ten fakt najwyraźniej umknął demonowi-błaznowi. Oczywiście owe implikacje nie przysły także do głowy pozostałym Anglikom... z wyjątkiem kilku, którzy zostali wybrani i wprowadzeni w szczegóły planu zaledwie dziś rano.

- Dobrze się spisałeś - powiedział obcy, kiedy wreszcie wysiadł z pojazdu i żołnierz uśmiechnął się szeroko.

- Dziękuję ci, Dowódco. Zawsze jest lepiej... i prawie zawsze taniej, przekonać wroga aby się poddał, o ile to możliwe, niż pokonać go na polu bitwy.

- Ja też tak uważam - zgodził się demon-błazen i zaczął wspinać się po drewnianych schodach na trybunę, jaką zbudowali mu Anglicy. Bardzo rzadko opuszczał swój latający pojazd, kiedy zjawiał się na polu walki, ale nie było to regułą. Kiedyś sir Jerzy nie zdawał sobie sprawy, że na statku albo we wnętrzu pojazdu obcy jest całkowicie nietykalny, gdyż chroni go „pole siłowe”. Teraz, dzięki jaszczuroludziom, już to wiedział i uśmiechnął się jeszcze szerzej, kiedy demon-błazen usiadł na przygotowanym dla niego miejscu. Podążyła za nim eskorta, złożona z sześciu jaszczuropolodonych istot, które jak zawsze zachowywały się obojętnie. Baron przestał się uśmiechać, kiedy na nich spojrział. Byli tak obcy, tak niezemscy, w każdym tego słowa znaczeniu. To jednak tylko pozory, on przecież poznał ich w inny sposób. Co prawda subtelniejsze wewnętrzne różnice pomiędzy nimi i ludźmi były jeszcze bardziej obce niż zewnętrzne, a jednak baron uważał, że ta odmienność jest ciekawa, intrygująca, nawet ekscytująca, a nie groteskowa czy odpychająca. Niesamowite połączenie

mentalne osobników, które sprawiało, że istoty te częściej mówiły o sobie „my” niż „ja”. Spokój z jakim przyjmowali fakt, że nie mogą się rozmnażać. Albo to, że już na zawsze będą odseparowani od swojej ojczyzny. Spokój z jakim przyjęli efekty kontaktu i zmiany z nim związane, jakie zachodziły w głębi ich umysłów. Wszystkie te rzeczy były prawdziwie i całkowicie obce dla sir Jerzego, ale go nie przerażały. Oni nie byli... źli. Mimo wyglądu przypominającego wielkie smoki czy jaszczurki, mimo zupełnie odmiennych metod komunikacji i postrzegania świata, mimo tego, że nie byli zdolni do reprodukcji, sir Jerzy uważał, że byli tak samo ludzcy jak każdy Anglik, którego spotkał. Ludzcy w bardzo ważnym tego słowa znaczeniu, dużo bardziej, aniżeli większość mężczyzn i kobiet.

Sześciu strażników demona-błazna szło świadomie i bez oporu na spotkanie swojej śmierci, w ślad za małym, tłustawym obcym. Ani Matylda ani ojciec Tymoteusz nie oponowali, gdy usłyszeli o tej części planu. Grayhame nie był zadowolony, ale rozumiał konieczność, podczas gdy Maynton tylko lekko protestował, tak jakby wiedział, że tego się po nim spodziewają. Chociaż sir Jerzy z biegiem lat zaczął darzyć sir Ryszarda wielkim respektem oraz przyjaźnią, większym niż wielu innych ludzi i całkowicie na nim polegał, już dawno temu zdał sobie sprawę, że rycerz ma ograniczoną wyobraźnię. Mimo wielu zdarzeń, tylko on sam rozmawiał z jaszczurami. Pozostali z chęcią słuchali jego słów, gdyż nigdy ich nie oszukiwał, nigdy nie zawiódł wiary, jaką w nim pokładali w trakcie długich lat niewoli, ale oni także nie słyszeli mówiących smoków. Maynton także nigdy ich nie słyszał, dlatego też wydawali mu się mniej ludzcy. Nie przestał nimi pogardzać tak samo, jak sir Jerzy nie darzył szacunkiem Hathorich i uważał ich za zwierzęta, nieco podobne z kształtu do człowieka, sprytnie i dobrze wytrenowane, ale jednak zwierzęta.

Jaszczuroludzie nie byli zwierzętami i baron wiedział, że nigdy już nie będzie w stanie tak ich postrzegać. To właśnie oni nalegali, aby ich bracia zginęli razem z demonem i uważali, że to konieczne.

Ich argumenty były proste i brutalne. Jeżeli zdołają wywabić go z pojazdu i pojną żywego, będzie mógł wydać rozkaz swojej załodze, aby się poddała. Zgodnie z zasadami, panującymi w Federacji, hierarchiczna struktura dowodzenia nie akceptowała odmowy rozkazu. Jeżeli oficer wydałby polecenie złożenia broni, pozostali muszą go posłuchać... a Dowódca, mimo gotowości poświęcenia swoich angielskich niewolników w nieustannych wojnach z mieszkańcami prymitywnych planet, nie miał w sobie nic, co by przypominało ludzką odwagę. Jeżeli poczuje żelazo na gardle, będzie błagał o litość.

Aby móc przyłożyć to ostrze, trzeba było osiągnąć dwie rzeczy. Po pierwsze wyciągnąć go z pojazdu, w którym chroniły go pola siłowe, a po drugie ktoś musiał zbliżyć się do niego

na wyciągnięcie ręki. Sposób, w jaki sir Jerzy zaplanował pokaz siły dla lokalnych wodzów, pozwolił spełnić pierwszy warunek, ale nikt nie był w stanie osiągnąć drugiego, zanim nie wyeliminuje się ochrony demona-błazna, zarówno Hathorich jak i jaszczurów. Brodawkowaci będą go bronić niezależnie od okoliczności. Jaszczuroludzie nie będą mieć wyboru. Jeżeli dostaną rozkaz, staną do walki. Nikt nie wątpił, że taki rozkaz padnie, o ile sami pierwsi nie rzucą się na pomoc.

Ani sir Jerzy, ani jego oficerowie nie przejmowali się Hathorimi. A przynajmniej nie na otwartym polu, gdzie mogli zniszczyć obcych z wyłupiastymi oczami za pomocą łuków, albo mieczy. Na statku, w wąskich korytarzach i małych komnatach, rzecz miałyby się inaczej. Chyba, że ludzie dostaną się do wnętrza zanim ci otrzymają broń od pozostałych przy życiu załogantów. W mniejszych pomieszczeniach i korytarzach zwinniejsi ludzie będą mieć niewielką przewagę, ale budowa statku zmusi ich także do bezpośredniego ataku na Hathorich. Nie zdołają zająć ich z flanki i nie będą w stanie wykorzystać przewagi liczebnej. Walka wręcz w takich warunkach sprawi, że brodawkowaci, zakuci w zbroje i posługujący się toporami, będą mogli w pełni wykorzystać przewagę, jaką dawał im wielki wzrost i siła. Przewaga liczebna Anglików wystarczała, aby sir Jerzy czuł pewność, że i tak w końcu ich pokonają, ale zbyt dobrze wiedział, jak krwawą cenę przyjdzie za to zapłacić jego ludziom.

Jednakże jaszczury i ich „energetyczna broń” to była zupełnie inna sprawa. Obcy byli nieustępliwi w rozmowach z baronem. Istniała możliwość, że osobista straż demona-błazna, dysponując taką bronią, zdoła przedrzeć się co najmniej do pojazdu Dowódcy, szczególnie, że Anglicy zajęci będą Hathorimi, a kiedy obcy skryje się za zasłoną pola siłowego i znów stanie się nietykalny, bez wątpienia w bezlitosny sposób zniszczy wszystkie źródła zagrożenia. Co oznaczało, że nie można było podejmować takiego ryzyka. Złapanie demona-błazna żywcem było jedynym sposobem na osiągnięcie pełnego sukcesu. Każde inne rozwiązanie kosztowałoby Anglików znacznie większe straty, gdyż musieliby wywalczyć sobie drogę na statek. Z tej przyczyny osobista straż demona-błazna musiała zginąć, i tak długo omawiali ten punkt, aż sir Jerzy został zmuszony do obiecania, że wypełni ich plan co do joty. Co nie znaczyło, że mu się to podoba.

Patrzył, jak demon-błazen dociera na swoje miejsce na platformie, ocienionej płótnem. Dowódca podszedł do krzesła, przypominającego tron, skonstruowanego specjalnie dla niego. Baron podświadomie czuł na języku smak satysfakcji tłustej istoty, kiedy patrzył na zebranych poniżej. Podkreślenie jego pozycji i ustanowienie władzy nad wodzami, których wezwał, było głównym argumentem w sporze barona z Dowódcą, dotyczącym usytuowania trybuny i pozostałych atrakcji. Sir Jerzy uśmiechał się szeroko i krwiożerczo, kiedy patrzył, jak demon-

błazen kąpie się w poczuciu własnej wyższości nad prymitywnymi osobnikami, zebranych u jego stóp. Nędzne istoty kłębiły się, najwyraźniej nieświadome blasku, jaki na nie sływał.

Demon-błazen patrzył na sir Jerzego przez chwilę, a potem skinął głową po królewsku, dając znak, rozpoczynający uroczystość.

Dowódca łuczników wydał szybko rozkazy i dwa tuziny mocno opancerzonych strzelców, ubranych w hełmy i pancerze specjalnie wypolerowane na tę okazję, ustawiło się sprawnie na linii strzału. Sir Jerzy chciałby, aby było ich więcej, ale doszedł do wniosku, że to by mogło być niebezpieczne. Dwudziestu czterech wystarczało w pełni, aby przeprowadzić demonstrację na rozkaz Dowódcy. Prośba o więcej łuków mogłaby wzbudzić podejrzenia, a przynajmniej zaostrzyć środki bezpieczeństwa, a demon-błazen mógł podjąć decyzję pozostania w swoim pojeździe.

Łucznicy sformowali oddział i szybko i sprawnie przygięli łuki i nałożyli cięciwy. Wszyscy zebrani spojrzeli w kierunku celów, ustawionych w zasięgu nieco ponad stu metrów. Większość miała kształt człowieka, ale niektóre wyglądały jak miejscowi obcy. Wszystkie były chronione przez duże wiklinowe tarcze, jakich tubylcy używali w bitwie. Tarcze, które strzały z długiego angielskiego łuku przesywały na wylot bez trudu.

Grayhame wydał kolejny rozkaz, i dwudziestu czterech łuczników założyło strzały na cięciwy i uniosło łuki.

- Napinać! - zawołał.

- Puść! - wydał rozkaz... i dwudziestu czterech strzelców obróciło się na pięcie jak jedno ciało, a dwadzieścia cztery cięciwy zagrały jeden dźwięk. Dwa tuziny strzał poszybowały w pełne słońca powietrze obcego świata, lśniąc niczym długie, śmiertelne szerszenie, i uderzyły w cel z niszczącą siłą.

Osiemnaście strzał wyposażonych było w śmiertelnie ostre grot. Na tak krótkim dystansie bez trudu przebijały nawet zbroję Hathorich. Uderzyły w brodawkowatych, zgromadzonych na podium niczym młoty. Pięć odbiło się od zbroi, nie czyniąc nikomu szkody. Trzydzieści wręcz przeciwnie, i wszyscy poza dwoma obcymi padli na deski. Nie wszyscy byli martwi, ale przynajmniej w tej chwili nie stanowili zagrożenia.

Tak samo, jak pozostali dwaj, gdyż kolejne sześć strzał także wykonało swoją pracę. Wszystkie uderzyły w ciało Dowódcy. Błyszczący czerwony strój, który obroniłby obcego przed ogniem przerażającej „energetycznej broni” jaszczuroludzi, nie był żadną ochroną przed żelaznymi grotami, wystrzelonymi z odległości nie większej jak dziesięć metrów. Strzały przebiły ciało obcego, plamiąc deski jasną żółtoczerwoną krwią i wbiły się głęboko w podobne do tronu krzesło.

Demon-błazen nie wydał z siebie żadnego dźwięku, nie mógł nawet stoczyć się z krzesła, do którego przyspiliły go strzały, a dwóch ocalałych Hathorich gapiło się na swego pana, przebitego pierzastymi strzałami w wielkim szoku. Zdawało się, że zostaną tak sparaliżowani na długie godziny, ale zaskoczenie nie mogło trwać dłużej jak kilka sekund i obcy nagle odwrócili się jednocześnie, wzniesli topory i ruszyli w kierunku najbliższych stojących ludzi.

Nigdy nie dotarli do celu. Łucznicy zakładali już nowe strzały na cięciwy, podczas gdy garstka rycerzy i zbrojnych, którzy wiedzieli, co miało się stać, zaatakowała obcych. Wiele osób, które nie miały pojęcia, co się dzieje, nagle poderwało się z miejsc i zaczęło biegać w kółko. Tak samo zdumieni jak strażnicy demona-błazna, i całkowicie bezbronni, mogli tylko uciekać, a ich ciała zasłaniały łucznikom cel, czyli ocalałych Hathorich.

To nie miało już znaczenia. Brodawkowaci nie zdążyli zrobić dwóch susów, kiedy pół tuzina ognistych promieni dosłownie rozerwało ich na części.

Powietrze było pełne ludzkich wrzasków i krzyków zdumienia i zaskoczenia. Ludzie wreszcie się zorientowali, co się właśnie wydarzyło. Tubylcy poderwali się ze swoich siedzisk i błyskawicznie zniknęli, co niewątpliwie dobrze świadczyło o ich wyczuciu sytuacji. Sir Jerzy patrzył, jak odchodzą i upomniał się w duchu, aby pilnować ich powrotu, gdyby przypadkiem wpadło im do głowy wykorzystać zamieszanie i uderzyć z zaskoczenia na znienawidzonych najeźdźców, którzy zaczęli walczyć między sobą. Jednak niemalże cała jego uwaga skupiona była w innym miejscu. Rzucił się po schodach na trybunę w kierunku ciała demona-błazna. Maynton i trzech innych wybranych rycerzy biegło wraz z nim, rozpychając tłum na boki. Kiedy baron wpadł na platformę, miał w dłoni obnażony miecz. Już go nie potrzebował, gdyż jaszczuroludzie właśnie roznieśli rannych Hathorich na strzępy bez odrobiny litości. Baron pochylił się i zerwał jasny, kryształowy wisior z szyi martwego Dowódcy. Trzymał cenne urządzenie w dłoniach, a jego serce waliło z radości na widok upragnionego przedmiotu. Poczul, jak ktoś dotyka jego opancerzonego ramienia.

Odwrócił się szybko i odetchnął z ulgą, gdyż okazało się, że patrzy w twarz swojego sprzymierzeńca. Wysoki obcy przyglądał mu się przez dłuższą chwilę a potem wskazał ręką na otaczające ich zmasakrowane ciała, pokazał na martwego demona-błazna i przechylił pytająco głowę. Baron podążył wzrokiem za ręką istoty, a potem spojrzął ponownie na wielkiego, obcego i uśmiechnął się krwiozerczo.

- Twój lud z pewnością był gotów poświęcić życie, panie Smoku. Tak, i nie brakowało mu odwagi! Ale Anglicy nie mordują swoich sprzymierzeńców, a z tym - uniósł w górę wisior - nie będziemy potrzebowali tego ochłapu, aby dostać się na jego cenny statek, nieprawdaż? A na statku my zajmiemy się załogą, a wy Hathorimi, tak więc...

Pokazał zęby w uśmiechu i przez chwilę on i niemy obcy stali w milczeniu, patrząc sobie w oczy. Potem powoli jaszczur pokazał w głodnym uśmiechu ostre, niebezpiecznie wyglądające zęby i skinął głową, bardzo po ludzku.

- A więc do dzieła, przyjacielu! - zawołał sir Jerzy i wspiał się na palce, aby poklepać istotę po ramieniu. Po czym razem ruszyli schodami w dół w kierunku czekającego lądownika.

- XI -

- A więc to oficjalne - westchnął admirał Mugabi.

- Niezupełnie - odparł admirał Steyenson z wymuszonym uśmiechem. - To ja oficjalnie informuję cię, że Galaktyczni wreszcie się zbierają, żeby wystosować ultimatum. Oczywiście nie powinniśmy o tym wiedzieć, ponieważ nie otrzymaliśmy jeszcze oficjalnej noty. A istnieje zgoda, że nawet kiedy tu dotrze, nikt nie odważy się powiedzieć głośno, jakie będą konsekwencje jej odrzucenia.

- Oczywiście, że nie - prychnął Mugabi. - Są tak cholernie świętoszkowaci, że nie ma szans, aby poświęcili się, wypuszczając oficjalny komunikat.

- Nie założyłbym się - powiedział Steyenson pośpiesznie. - Jednego możemy być całkowicie pewni. Dzisiejszej nocy nic się nie odbyło, niezależnie od tego, co usiłują wcisnąć mieszkańcom. Przekonanie Kulayo i Daerjek do zajęcia ostatecznej pozycji musiało kosztować wiele targów. O ile BŚM się nie myli, zwolennicy twardej polityki, tacy jak Saernai i Josuto będą nalegali na Kulayo, aby ci oficjalnie podpisali zgodę na finalne rozwiązanie ich małego problemu, ostatecznie i na zawsze. W końcu to właśnie Kulayo tak długo byli sumieniem Rady, do tego stopnia, że frakcja, która pragnie naszego zniszczenia musi niemalże ukrywać ich publiczną zgodę. Tak więc zgaduje, że w ostatnim akcie tego teatryku kabuki odbędzie się prezentacja oficjalnej noty, w której wezwą nas do oddania statku... wraz z Rzymianami, pod groźbą użycia siły.

- Ale założyłbym się o wszystko, co tylko chcesz, że nie odważą się użyć takich słów jak genocyd w swoim oficjalnym komunikacie - warknął Mugabi.

- Prawdopodobnie masz co do tego rację - zgodził się Steyenson. - Oczywiście wcale nie będą musieli ich używać. W końcu, jeżeli byliśmy tak głupi, żeby ich prowokować do podjęcia militarnych kroków, musimy się liczyć z nieprzewidzianymi wypadkami. Przecież w ferworze walki może dojść do anihilacji planety, prawda? Ale to przecież nasza wina. Przecież ostrzegali nas, prymitywnych barbarzyńców, że komuś może się stać krzywda, tak więc ich ręce będą czyste, kiedy dojdzie do wypadku. To znaczy, wezwą nas przecież tylko do oddania skradzionej prywatnej własności oraz załogi... która także jest prywatną własnością, wedle praw Federacji. Załogi, która zamordowała legalnych właścicieli i skradła statek. Jeżeli jesteśmy tak nierozsądni, tak głupi i prymitywni, że nie chcemy oddać tak

krwiożerczych, zbuntowanych kryminalistów w odpowiednie ręce, to z pewnością tak praworządna organizacja jak Federacja nie może przecież stać z boku i przyglądać się, jak łamane są podstawowe prawa. Oczywiście, że muszą podjąć odpowiednie kroki. A jeżeli te kroki, zupełnie przypadkiem, skończą się zniszczeniem całego systemu słonecznego wraz z zamieszkującymi go aborygenami, cóż... Utrzymywanie porządku i litery prawa czasami wymaga podejmowania paskudnych akcji.

- Z pewnością tak - Mugabi wydał z siebie stłumiony ryk.

Mężczyźni i kobiety Marynarki Układu Słonecznego byli doskonale zaznajomieni z przypominającymi trzęsienie ziemi wrzaskami produkowanymi przez admirała w momentach niezadowolenia i gniewu. On sam był zbyt zmęczony i to nie tylko fizycznie, aby ryczeć.

Odchylił krzesło, stojące przy pulpicie i pozwolił, aby jego ciało zwisało swobodnie przez chwilę, podczas gdy on pocierał czarną, szeroką twarz o wysokich kościach policzkowych. Potem pozwolił, aby jego dłonie opadły na staromodną suszkę i odwrócił głowę, żeby spojrzeć na ufortyfikowany luk prowadzący do wnętrza wielkiej stacji kosmicznej.

To był wspaniały widok. W normalnych warunkach admirał z nieustającą fascynacją patrzył na tego typu urządzenia i cieszył się z ich widoku niczym dziecko. Nawet ten obraz nie mógł zmniejszyć przygniatającego go poczucia klęski, które nie dawało mu spokoju od samego rana.

Planeta, wokół której orbitowała stacja, była niczym spowity w chmury szafir. Jej piękno zapierało dech w piersiach, kiedy płynęła na tle smolście czarnej przestrzeni i błyszczących niczym diamenty gwiazd. Biały dysk księżycy był widoczny z boku, a gromadki i eskadry statków kosmicznych, w których odbijało się światło słoneczne, lśniły niczym klejnoty, kiedy tak uwijały się w swoich sprawach. Na pierwszym planie dominował główny dok Marynarki i Mugabi widział jasne, oznaczone kolorami próżniowe skafandry robotników stoczniowych, którzy trudzili się przy półtorakilometrowym kadłubie, który miał być częścią nowego pancernika. Statek był zbudowany w trzech czwartych, a kadłub już prawie ukończono. Prawdopodobnie podłączano właśnie zasilanie i wypełniano maszynownię tlenem, gdyż zauważył, że trzy z pięciu głównych kanałów ciągu już zamknięto. Ale nawet przy najkorzystniejszym układzie statek wymagał co najmniej sześciu miesięcy zanim będzie gotowy do użycia... nawet najbardziej optymistyczne założenia admirała Mugabiego wykluczały możliwość ukończenia jednostki przed uderzeniem wroga.

Zamknął oczy i ponownie potarł twarz, czując na sobie wielką odpowiedzialność, przygniatającą go na równi z desperacją. Zastanawiał się, co tak naprawdę jest większym obciążeniem. Oddał Flocie Układu Słonecznego czterdzieści trzy lata swojego życia, od

chwili, kiedy został kadetem, kiedy wierzył gorąco, że ludzkość naprawdę jest w stanie zbudować flotę na tyle potężną, aby obronić się przed Galaktyką, aż do chwili obecnej. Przez cały ten czas on i cała ludzka rasa nauczyli się bardzo dużo o wielkiej i miazdzącej sile Federacji i teraz admirał nie miał fałszywej nadziei, że Flota zdoła skutecznie obronić Układ Słoneczny. Nie mógł przestać o tym myśleć, nie przestawał się ludzić, że mogą przynajmniej bronić się na tyle zaciekle, aby przekonać samolubną Galaktykę, że ludzkość nie jest aż tak wielkim zagrożeniem, aby uzasadniać straty, jakie federacja poniesie podczas jej eliminacji. Te fałszywe nadzieje umarły, okazały się tylko pełnymi złudzeń snami. Rada Federacji przejrzała zasłonę dymną Ziemi i nikt lepiej od niej nie zdawał sobie sprawy, jak słabymi przeciwnikami będą w nadchodzącej walce. Nawet teraz, nawet wiedząc, jak próżne będą ich wysiłki, nie mógł tak po prostu rzucić w kąt swojej pozycji i obowiązków, które przez lata tak sumiennie wypełniał. Może i nie miał nadziei, ale ciągle to na nim spoczywał obowiązek obrony ludzkości przed jej wrogami. A gdyby nawet kusiała go łatwość, z jaką mógł pozbyć się odpowiedzialności i złożyć ją na barki kogoś innego, nie był zdolny do takiego czynu. Poza tym w końcu to i tak nie będzie mieć znaczenia.

- Czy prezydent zdecydowała już, w jaki sposób odpowie Galaktycznym? - zapytał w końcu.

- Nie - odparł Steyenson. - A raczej, jeżeli się zdecydowała, trzyma ostateczny wynik w tajemnicy. W końcu nie było jeszcze żadnej oficjalnej noty, na którą musiałaby odpowiadać. Jeśli już o tym mowa, wątpię, czy Federacja podejrzewa chociaż, że wiemy, co się szykuje. Nie są zbyt dobrzy w przewidywaniu takich rzeczy - dodał na koniec.

- Może i nie, a może po prostu im to zwisa - powiedział Mugabi nie otwierając oczu.

- Sądzę, że oni są naprawdę tak niekompetentni, na jakich wyglądają - odparł jego zwierzchnik. - Tak naprawdę nigdy nie musieli być kompetentni... nie wtedy, kiedy trzymają największy kij w całym wszechświecie. Poza tym są tak aroganccy, że nie dopuszczają do siebie nawet myśli o tym, że my, prymitywne ludy, możemy im zagrozić. Dlatego nie interesują się naszą strategią.

- A nawet gdyby się martwili i interesowali, wystarczy, że zmienią zasady, kiedy się zorientują, że mogą przegrać. - Otworzył oczy i spojrzał niemalże wyzywająco na drugiego admirała.

- A teraz to - westchnął Steyenson. - Obawiam się, że nie mogę się z tobą nie zgodzić. Nie wtedy, kiedy widzę, jak skwapliwie zmieniają swoje prawa, żeby nas przyskrzynić.

Mugabi tylko sapnął. W zasadzie nie miał nic do dodania, chociaż pamiętał, że ludzkość przez dłuższą chwilę nie zdawała sobie sprawy, jakie są reguły tej gry. To było naprawdę

ironiczne. Wszyscy ci zwariowani poszukiwacze latających spodków z końca dwudziestego wieku tak naprawdę mieli rację, kiedy mówili, że obcy robią z Ziemią co chcą. Jeden z prapradziadów Mugabiego był agentem specjalnym instytucji, która nazywała się Federalne Biuro Śledcze i skrupulatnie prowadził dziennik. Przeczytał go, kiedy był w liceum i bardzo uderzyło go to, jak wiele w owych czasach poświęcano uwagi śledztwom dotyczącym latających spodków, do których oddelegowano dziadka. Agent specjalny Winton sumiennie wykonywał swoją pracę, ale w swoim dzienniku często naigrywał się z wiary w pozaziemskie życie. W końcu dlaczego ktoś zdolny do podróży międzygwiazdnych miałby marnować czas na obserwowanie planety pełnej prymitywnych, niezdolnych do przekroczenia orbity aborygenów? Co mogło sprawić, że ludzka rasa jest tak ważna, że tak zaawansowana cywilizacja się nimi interesuje? Albo zachowuje swoje obserwacje w sekrecie przed miejscowymi, którymi ewentualnie może być zainteresowana?

Osobiście Mugabi uważał, że obiekcje dziadka Wintona były w pełni sensowne, na tle ówczesnej wiedzy Ziemiaków na temat kosmosu. Oczywiście okazało się, że w tamtym czasie ludzie nie wiedzieli bardzo wielu rzeczy. A to, co odkryli do tej pory sprawiło, że wariaci i paranoicy zyskali nowy status w społeczeństwie. W rzeczywistości Quentin Mugabi nie mógł pojąć tylko jednej rzeczy - dlaczego Galaktyka tak długo zwlekała z ujawnieniem się i dlaczego wcześniej nie podjęła decyzji o eliminacji barbarzyńskiego zagrożenia, jakim była dla nich ludzka rasa. Rasa, która zburzyła ich wygodniczy świat, działający wedle określonych reguł.

Nie, to nie była prawda, zreflektował się. Wątpił, czy człowiek kiedykolwiek pojmie w pełni, dlaczego tak zwany rząd zwlekał przez długie stulecia zanim podjął decyzję, którą każdy pojedynczy członek organizacji od samego początku uważał za słuszną i nieuchronną. Już sam ten pomysł wydawał się idiotyczny, ale to, co miało się wydarzyć już dawno zostało przesądzone. I nie musiał patrzeć dalej niż Kulayo i Daerjek, żeby wiedzieć, kto w tym maczał palce. Ciągłe nie potrafił do końca pojąć umysłu, który stał za tym, ale bieżące wydarzenia jasno na to wskazywały.

Ludzki wywiad stracił wiele lat na rozplątywanie skomplikowanych politycznych wątków, które łączyły rasy Federacji, a i tak na wiele pytań nie znaleziono odpowiedzi. A niektóre z nich były naprawdę ważne. Jednakże jedna rzecz była oczywista - odpowiednikiem wewnętrznej dynamiki Rady w ludzkim świecie byłoby najprawdopodobniej spotkanie włoskiej mafii, zaplanowane w Moskwie i pod przewodnictwem Jakuzy. Istotą Rady były skomplikowane i wiecznie się zmieniające sojusze i bloki sił, a fakt, że pojedynczy radny mógł pełnić swoją funkcję nawet przez trzysta czy czterysta ludzkich lat, dawał obcym

wielkie pole do manewrów i kontrmanewrów, które niekiedy skutkowały wbiciem sztyletu w plecy kolegi... czasami dosłownie. Nikt (prawdopodobnie włączając w to samych członków Rady, pomyślał Mugabi jadowicie) tak naprawdę nie znał wszystkich zaangażowanych w grę zobowiązań, długów i nieformalnych umów, które przenikały się tworząc skomplikowaną sieć handlową, ale także były podłożem decyzji politycznych i militarnych. Ale nikt przy zdrowych zmysłach nie zaprzeczyłby, że u podłoża wszystkich tych machinacji nie leży czysta i samolubna chęć zyskania jak najwięcej dla siebie.

Nikt z wyjątkiem Kulayo.

Mugabi wiedział doskonale jak wielka jest przepaść pomiędzy możliwościami militarnymi Federacji, a siłą Ziemian i dlatego nie mógł nie być wdzięcznym za wrodzony obstrukcjonizm Kulayo. Wszystko, co wstrzymywało potężną Federację przed działaniem z perspektywy rasy ludzkiej musiało być przydatne. Mimo tego czuł irytację na myśl, że ludzkość zawdzięczała ostatnie dwieście czy trzysta lat swojej egzystencji narodowi złożonemu z profesjonalnych hipokrytów.

Irytujące czy nie, niewątpliwie ludzie mieli szczęście, że Kulayo byli jedną z trzech ras, które dały początek federacji... i nie zamierzali nikomu pozwolić o tym zapomnieć. Prawdopodobnie ten sam fakt był jednocześnie nieszczęściem, ponieważ żaden z pozostałych dwóch gatunków już nie istniał. A przynajmniej nie było go w pobliżu. Pozostałe rasy wyrażały się niejasno, kiedy pytano je o to, co stało się z dwoma gatunkami założycielskimi, a cokolwiek ich spotkało, miało miejsce tak dawno temu, że żaden z ludzkich agentów nie był w stanie rzucić światła na tę kwestię. Mugabi miał własną teorię na temat tego zaginięcia i wiedział, że większość analityków z Biura Śledczego Marynarki podzielała jego zdanie.

A BSM zdołało zgromadzić znacznie więcej informacji o Galaktycznych i ich historii niż Rada zdawała sobie sprawę, zadumał się admirał. Kiedy ktoś zaczynał zbytnio interesować się początkami powstania i założycielami Federacji, co mogło grozić stabilności, członkowie Rady dostawali nagle paranoi. W ślad za tym gwałtownym uczuciem nie szło wzmacnianie bezpieczeństwa, co było bardzo dziwne. Częściowo wynikało zapewne z tego, że Federacja od tysięcy lat wiodła żywot mocno ustabilizowany, a Galaktyczni tak bardzo cenili sobie tę stabilność, że było to wprost nie do pojęcia dla ludzkiej rasy. Żaden ziemski rząd nie przetrwałby tak długo bez choćby jednej kontroli systemów zabezpieczeń i ewentualnego ich odświeżenia. Wrogowie i szpiegzy, którzy na Ziemi zawsze węszyli wokoło, z pewnością się do tego przyczyniali! Mimo nieskończonych intryg i dziabania w plecy Galaktyczni, najwyraźniej nie posiadali żadnego odpowiednika ludzkiej ochoty... albo możliwości, do szukania przewagi nad wrogiem poprzez nowe podejście do starych problemów. Rasy, które

tworzyły Federację, były fanatycznymi prawnikami, ale kiedy już ustalali jakieś prawo (a mieli prawa, które regulowały nawet sposób, w jaki powinno dopuszczać się zdrady) trzymali się go wszelkimi sposobami aż do śmierci. Oczywiście ich prawa także się zmieniały. Nawet Galaktyczni nie byliby w stanie utrzymać tworu wielkości Federacji w stadium całkowitego bezruchu, ale starali się ze wszystkich sił i tego właśnie pragnęli. Zmiany zawsze były małe i niezbyt rewolucyjne... i postępowały w iście kontynentalnym tempie, tak że pomiędzy jedną a drugą mogło upłynąć nawet tysiąc czy dwa tysiące lat.

Z tego właśnie powodu ludzkie służby specjalne mogły spenetrować systemy bezpieczeństwa Rady i dostały się znacznie dalej, niż Galaktyczni podejrzewali. I to mimo tak znaczących różnic technologicznych pomiędzy rasami. Znacznie pomógł fakt, że większość „chronionych” przez Federację ras, które tak naprawdę były jej własnością, tak bardzo nienawidziło swoich panów, że byli bardziej niż chętni, aby dzielić się z ludźmi każdą zdobytą informacją. I rzeczywiście, największym problemem ludzkich analityków był ogromny natłok informacji, kiedy już udało im się otworzyć dostęp. Federacja przez lata kolekcjonowała wszystkie dane z czystą i niezaspokojoną przyjemnością biurokraty. Żaden ludzki rząd nie był zbiurokratyzowany do tego stopnia. Dokładając do tego długość istnienia tej międzygwiazdnej organizacji, magazyny informacji, jakie zgromadziła, nie zmieściłyby się w żadnym ludzkim archiwum. A systematyczna analiza danych jawiła się niczym praca Syzyfa.

Mimo tego ludzkość dowiedziała się wiele o Federacji i jej historii. Wynikało z niej jasno, że moralna postawa Rady wynikała bezpośrednio z Konstytucji, która prawie na pewno została napisana przez jedną, albo obie dawno zaginione rasy. Z pewnością żaden z „wyższych gatunków” bieżącego składu Rady nie przejmowałby się jakimś moralnym czy etycznym nonsensem, zapisanym w Konstytucji. Było możliwe, chociaż nawet Mugabi, człowiek o otwartym umyśle i świątłych poglądach z trudem w to wierzył, że oryginalnie Federacja została stworzona po to, aby naprawdę mieć oko na mniej zaawansowane gatunki. Bóg jeden wiedział, jak bardzo ludzkość zbliżyła się do wymazania własnego gatunku, kiedy odkryła broń masowego rażenia. Być może więc był jakiś sens w pilnowaniu rozwijających się ras do czasu, aż przebrną przez niebezpieczny okres i nauczą się panować nad nowo odkrytą własną technologią.

Ale nawet jeżeli taki był pierwszy cel Federacji i jej Konstytucji, już dawno temu został przekształcony w coś zupełnie innego. I Mugabi sądził, że założyciele Federacji z pewnością nie byliby zachwyceni, patrząc na to, jak samolubna stała się założona przez nich organizacja i jak bardzo agresywnie wysoko rozwinięte rasy eksploatują pozostałe gatunki. Co z kolei

dawało dość dobre i przekonujące wytłumaczenie dlaczego dwóch z trzech założycieli nie było wśród członków rady.

Jednocześnie niewiarygodna miłość stabilizacji, która była nadrzędną cechą mentalności Federacji, pozwoliła przynajmniej zachować oryginalną Konstytucję. Zbiór praw był zbyt cenny, aby go zmieniać, gdyż dawał doskonały pretekst do rozciągania żelaznej władzy Rady nad mniej rozwiniętymi gatunkami, które mogły zagrozić umiłowanemu przez Galaktycznych porządkowi i stagnacji. A Kulayo, jako jedyni istniejący założyciele Federacji, rościli sobie prawo do wydawania moralnych sądów i rozsądzania sporów w każdej politycznej debacie już na tysiące lat wcześniej zanim ludzie nauczyli się rozpalać ogień.

Ksenolodzy bez przerwy ostrzegali Mugabiego, że nie powinien przypisywać ludzkich cech i motywów obcym gatunkom, gdyż jest to jednocześnie niebezpieczne i całkowicie niestosowne. Ale admirał już dawno temu doszedł do wniosku, że będzie to robił tak długo, jak jego przewidywania sprawdzały się w praktyce. Jak dotąd model działał znakomicie, i będzie praktykowany tak długo, dopóki w swoich obliczeniach uwzględnia wystarczający stopień amoralności. A w tym przypadku zastanawiał się co jest bardziej zadziwiające: to, że Kulayo tak doskonale przekonali samych siebie o swojej własnej szcerości czy może stopień, w jakim pozostali członkowie Rady pogardzali i oburzali się ich wzrastającą ciągle hipokryzją.

Tak czy siak, Mugabi podejrzewał, że Kulayo odniosą silne obrażenia, kiedy wreszcie spadną ze swojej moralnej wyżyny, chociaż to się nie stanie tak prędko i ludzkość nie zdąży odnieść żadnej korzyści. Jednakże w międzyczasie głosili dookoła, jak czyste są ich pobudki i nie zamierzali mieszać się w nieczyste gierki Rady... chyba, że cokolwiek zagrażałoby ich interesom. A skoro byli jedynymi założycielami Federacji, ich ego biło rekordy wysokości, tak, że nawet pozostali członkowie Rady nie byli w stanie im dorównać. Kulayo nigdy by się nie przyznali, że coś tak nieważnego i nędznego jak ludzie może kiedykolwiek im zagrozić.

Informacje, zebrane przez ziemskich analityków sugerowały, że zaczęli zmieniać zdanie jakieś dwieście, czy trzysta lat temu, ale, podobnie jak każdy szanujący się Galaktyk, nie zamierzali spieszyć się z decyzją. Poza tym od wieków wyrabiali sobie opinię największych moralistów i wymyślenie sposobu, aby uniknąć skutków własnych zasad bez jednoczesnej utraty twarzy, zajęło im jakieś sto lat ciężkiej pracy.

Jeżeli chodziło o Daerjeków, sprawa miała się zupełnie inaczej. Nawet wedle galaktycznych standardów, Daerjekowie byli bardzo konserwatywni. Mugabi zawsze się zastanawiał, jak to się stało, że wpadli na tak radykalny pomysł, jak budowa koła. Tak naprawdę nie było potrzeby, aby pytać ich o zdanie w sprawach, które były przedmiotem

obrad Rady Federacji, gdyż odpowiedź zawsze była taka sama. Każda ingerencja w poczynania Rady była automatycznie uznawana za przestępstwo i obcy witali z radością tylko te prawa, które miały na celu przeciwstawianie się zmianom. Nie widzieli powodu, dla którego mieliby być konsekwentni w swoich osądach, ale tak się stało, że Kulayo, którzy nalegali na staranne rozważanie aspektów moralnych każdej politycznej decyzji, zostali ich naturalnymi partnerami, wstrzymującymi wszelkie zmiany.

Na nieszczęście obstrukcja skończyła się jak nożem uciął, kiedy przyszło do głosowania nad przyszłością ludzkiej rasy.

- Zawsze możemy im oddać Rzymian - zasugerował w końcu tonem człowieka, który uważa swoje własne słowa za odrażające. - Jeżeli to tylko pretekst, możemy wytrącić im broń z ręki, ustępując. - Steyenson uniósł brew, a niedźwiedziowaty admirał wzruszył ramionami. - Mam takie samo zdanie na ten temat, jak ty Aleks - powiedział poirytowany. - Ale mówimy o przyszłości ludzkiej rasy!

- Prezydent doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Jeśli o tym mowa, Gabinet już podjął decyzję, oczywiście po cichu, że statek zostanie zwrócony galaktycznym na ich żądanie. Ale wiesz, równie dobrze jak ja, co się stanie z Rzymianami, jeżeli wpadną w łapy Federacji.

- Oczywiście, że wiem. To dlatego nie podobają mi się moje własne słowa. Ale egzekucja paru setek ludzi, którzy i tak powinni umrzeć dwa tysiące lat temu, gdyby nie to, że Galaktyczni się nimi zajęli, to cena do zaakceptowania, kiedy w grę wchodzi całkowita eksterminacja ludzkiej rasy!

- Nie mogę się z tym spierać - zgodził się Steyenson z westchnieniem, a potem przebiegł palcami przez rzednące, piaskowego koloru włosy. - I chociaż nie zasiadam przy jednym stole z panią prezydent i jej gabinetem oraz przywódcami senatu, to jestem pewien, że oni także wzięli pod rozwagę tę okoliczność. Do diabła, nawet sami Rzymianie rozumieją, że to logiczne wyjście!

Przez kilka chwil masował czoło rękoma, a potem spojrzał za okno, unikając wzroku Mugabiego.

- Nie wiem, czy to galanteria, czy po prostu akceptacja nieuniknionego, ale rzymscy przywódcy zgodzili się, że powinni zostać oddani Galaktycznym, jeżeli ma to zapobiec atakowi na Układ Słoneczny. Mają tylko jedną prośbę - odwrócił wzrok od lodowatego piękna gwiazd i spojrzał prosto w jego oczy. - Chcą, żebyśmy pozwolili im popełnić zbiorowe samobójstwo, zanim oddamy ich w ręce Federacji.

Mugabi znów sapnął głośno, tym razem tak, jakby ktoś mocno uderzył go w splot słoneczny, a potem wziął głęboki oddech.

- To sprawia, że czuję się jeszcze bardziej gównianie, kiedy pomyślę o mojej sugestii - powiedział głosem chrapliwym jak kruszone kamienie. - Ale to także podkreśla mój punkt widzenia. Nieważne jak bardzo się nam to nie podoba, jak możemy wziąć odpowiedzialność za niewydanie ich Federacji?

- Myślę, że ludzka rasa ma już Federacji po uszy - powiedział Steyenson po kilku sekundach niewyraźnie i tym razem to Mugabi uniósł brew ze zdumienia. Starszy admirał zobaczył to i skrzyżował ramiona na piersi.

- Wiemy o Federacji od prawie stu lat, Quentinie - zauważył. - Sporo czasu zajęło nam odkrycie, dlaczego federacja blokuje nasze wysiłki w wyrwaniu się poza System Słoneczny... a w zasadzie najpierw musieliśmy się zorientować, że je blokuje. Biorąc pod uwagę czas, jaki jest potrzebny aby poruszać się między gwiazdami, nawet za pomocą napędu fazowego, prawdopodobnie nic dziwnego, że nie od razu na to wpadliśmy. Niechętnie to przyznaję, ale mogliśmy nigdy się nie dowiedzieć, gdyby nie to, że te dupki są tak aroganckie i pewne siebie. I pogardzają nami tak bardzo, że bez trudu wyczuwamy ich nastawienie. Wiesz, tak samo dobrze jak ja, że publika nie była zbyt zadowolona, kiedy to się wydało - mówił dalej z charakterystycznymi dla siebie niedopowiedzeniami. - A opinia publiczna jeszcze bardziej się wkurzyła, kiedy okazało się, że Rada, tylko w naszym specjalnym przypadku, postanowiła nie przyjmować nas do Federacji, gdyż uznała nasz model napędu fazowego za zbyt prymitywny i toporny. A potem dowiedzieliśmy się, że mieli nas pod ścisłą obserwacją już od połowy dziewiętnastego wieku, i ludzie jeszcze bardziej się rozżłoszcili. W tej chwili pierwszy zaczepiony na ulicy człowiek z wielką ochotą zemściłby się na wielkiej i czcigodnej Federacji.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł Mugabi. - Ale czy chcesz mi powiedzieć, że zwykły człowiek z ulicy jest na tyle wkurzony, że wolałby zobaczyć siebie martwego... i nie tylko siebie, ale żonę i dzieci też, niż poddać się żądaniom Federacji? Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć?

- Wcale tego nie powiedziałem. Z drugiej strony, nie wiem, czy ludzie tak naprawdę zdają sobie sprawę z tego, jak bezlitosna potrafi być Federacja. Ani z tego, jak bardzo przewyższają nas technologicznie. Bardziej niż potrafimy sobie wyobrazić. Wątpię, czy ci, którzy na zdrowy rozum widzą, jak beznadziejna będzie próba oporu, są w stanie pojąć ten problem na płaszczyźnie emocjonalnej. Ty i ja - zamachał energicznie rękami. - Jesteśmy znacznie lepiej poinformowani niż większość cywilów, wliczając w to, jak mi się często wydaje, członków Senatu. Ale muszę ci powiedzieć, Quentinie, że były chwile, kiedy emocjonalnie nie byłem w stanie uwierzyć, że naprawdę patrzymy w otchłań, która pochłonie całą naszą rasę. Nie wiem.

Być może jest tak, że jesteśmy niezdolni do zaakceptowania takiej możliwości. Może to cecha zapisana w genach. Imperatyw niezbędny do przetrwania gatunku, który będzie nas trzymał na nogach nawet wtedy, kiedy nasze mózgi wiedzą, że i tak nie mamy szans. W końcu i konia można być może nauczyć, jak się śpiewa.

Mugabi, który roześmiał się szorstko na te słowa, był zaskoczony swoją reakcją. Steyenson także lekko się uśmiechnął.

- Chcę ci powiedzieć, że elektorat jest w stanie pojąć okoliczności, jakie zmuszają prezydenta do oddania Rzymian w ręce Federacji. Ale nawet jeżeli wyborcy to rozumieją, nie spodoba się im ten fakt, tak więc prezydent i jej partyjni poplecznicy zapłacą określoną polityczną karę podczas następnych wyborów... zakładając, że będą jakieś przyszłe wybory.

- Jednocześnie znam panią prezydent na tyle, aby wiedzieć, że nie będzie się oglądać na skutki i wybierze to wyjście, które uzna za stosowne i właściwe. Podejrzewam, że ty też znasz ją dobrze, chociaż nie przeprowadziłeś z nią tak wielu bezpośrednich rozmów jak ja. Zrobi to, co uważa za słuszne, nawet jeżeli będzie to oznaczało całkowite poddanie się woli Federacji. Niestety większość informacji, zdobytych przez BŚM świadczy o tym, że niezależnie od jej starań i tak nie da im tego, czego tak naprawdę chcą.

- Co? - Mugabi wyglądał na zaskoczonego. - Sądziłem, że powiedziałaś, że Federacja chce wydania statku i załogi, tak więc...

- Tak właśnie powiedziałem - zgodził się Steyenson. - Problem jednak polega na tym, jak zgodnie twierdzą nasze źródła, że członkowie Rady już podjęli decyzję, niezależnie od tego, co przekazują publiczności. Nawet jeżeli poddamy statek, to nie wystarczy. - Westchnął, a Mugabi patrzył na niego w napięciu. - Quentinie, no pomyśl! Ty i ja jesteśmy dużo lepiej zorientowani niż wielu innych i wiemy, o co tu chodzi. To żądanie jest tylko przykrywką. Tak naprawdę oni chcą czegoś innego. Jeżeli się zgodzimy, oni wymyślą następne żądania aż w końcu trafią na coś, co jest fizycznie niemożliwe do wykonania. A kiedy okaże się, że nie wypełnimy ich żądania, wparują tutaj ze swoją flotą.

- Rozumiem. - Mugabi ścisnął grzbiet nosa i opuścił ramiona. - Nie chciałem tego mówić, Alex - dodał po chwili zmęczonym głosem. - Ale może nadszedł czas na opuszczenie flagi. Nie wiem, czy chcę przetrwać, aby to zobaczyć. Ale może ta chwila jest dobra, aby ogłosić się protektorem. Przynajmniej ludzie przetrwają, gdzieś tam w kosmosie, nawet jeżeli będą niewolnikami.

- Czy naprawdę uważasz, że jesteś pierwszą osobą, która rozważa taką możliwość? - zapytał Steyenson bardzo cicho i potrząsnął głową. - Wszyscy wolelibyśmy być Churchillami, a nie Petainami, Quentinie. Ale przywódca narodu ma pewne obowiązki. Prezydent złożyła

przysięgę, że będzie bronić Układu Słonecznego przed wrogami, swoimi czy obcymi, ale jeżeli jedyną alternatywą jest poddanie się albo całkowita destrukcja... Prezydent jest odpowiedzialny za życie tych, co go wybrali i to jest ważniejsze niż wykonywanie pustych gestów, mających na celu uratowanie honoru. Tylko że tym razem oni nie zaakceptują żadnej formy kapitulacji.

- A więc są aż tak zdeterminowani? - zapytał Mugabi cicho i zamrugał, kiedy Steyenson pokiwał głową. - Wiedziałem, że chcą zniszczyć zagrożenie, jakim jesteśmy w ich oczach. I wiem także, że nie zadrzy im powieka, kiedy będą wymazywać nasz gatunek z mapy wszechświata. Ale sądzę, że nie jestem w stanie zaakceptować emocjonalnie faktu, że nie ma żadnej alternatywy. Że musimy wszyscy zginąć. Że nic się nie da zrobić. Część mnie zawsze wierzyła, nawet podczas manewrów wojskowych, kiedy okazało się, że nie mamy szans w walce z nimi, że jeżeli zaciśniemy zęby i padniemy na kolana, zrobią z nas niewolników, zamiast nas unicestwić.

- Obawiam się, że nie - westchnął Steyenson. - Najwyraźniej wystraszyli się nas bardziej, niż sądziliśmy. I myślę, że nie tylko my. Sądzę, że boją się nas jako przykładu, który może zostać podchwycony przez innych. Podejrzewam, że bylibyśmy dla nich cennym nabytkiem, ale wiedzą także, że nasze istnienie jest wiecznym zagrożeniem ich stabilizacji. I dlatego postanowili raz na zawsze się nas pozbyć. A dodatkowo eksterminacja ludzkiej rasy będzie nauczka dla wszystkich innych gatunków, którymi się „opiekują” i które mogły przechwycić od nas buntownicze myśli.

- A więc nie mamy wyjścia - podsumował Mugabi miękko.

- Najwyraźniej nie - zgodził się Steyenson.

- Jak długo jeszcze?

- Trudno powiedzieć. Dostaniemy informacje, kiedy przybędzie ostowijski kurier.

Steyenson zamilkł i Mugabi zniecierpliwiony pokiwał głową. Ostowii byli jedną ze starszych niewolniczych ras Federacji i często pełnili rolę nadzorców i kontrolerów w służbie ras, zasiadających w Radzie. Mimo specjalnych przywilejów, jakie dawała im ich pozycja, nienawiść Ostowian do ich panów była tak samo wielka jak pozostałych podległych ras. Od samego początku stali się czynnymi współpracownikami ludzi.

- Kurier jest zmiennopłciowym i nie pełni militarnej ani dyplomatycznej funkcji. Jest kimś w rodzaju kupca i po prostu przejeżdża przez nasz układ w trakcie wykonywania swoich zadań. Jeden z przywódców jego klanu uznał, że potrzebujemy informacji, którą zdobyli, więc wysłał go do nas. Jego statek wyprzedza oficjalne instrukcje niewiele ponad dwa czy trzy miesiące. A ty i ja wiemy dobrze, jak ona zareaguje, kiedy je dostanie.

Mugabi znowu skinął głową, tym razem ponuro. Dowódca floty Lach'heranu pochodziła z rasy Saernai i to właśnie jej ziomkowie od samego początku naciskali najmocniej, aby odpowiedzieć na zagrożenie, przez ludzi, galaktycznego spokoju bardziej aktywnie. Bardzo złym znakiem było wyznaczenie jej na dowódcę „sił obserwacyjnych”, przydzielonych do Układu Słonecznego. Biorąc pod uwagę to, co Steyenson właśnie mu powiedział, sprawy miały się znacznie gorzej, niż admirał przewidywał w najgorszych nocnych koszmarach.

- Tak więc - kontynuował Steyenson beznamiętnym tonem. - Wygląda na to, że jesteśmy udupieni, niezależnie od tego, co zrobimy. Nie wiem na pewno, czy prezydent wyjdzie im naprzeciw i oficjalnie podda Ziemię, ale nie zdziwiłbym się, gdyby tego nie zrobiła. Jeżeli nie ma sensu się poddawać, jeżeli te gnojki i tak zamierzają nas wymazać, równie dobrze możemy odejść ze śpiewem na ustach. Być może chociaż garstka ludzi zostanie ocalona. Federacja osadzi swoje rozplodowe stado na jakiejś prymitywnej planecie i wymusi na potomkach oczekiwaną potulność.

- Nie powiem, żebym się z tobą nie zgadzał - powiedział Mugabi. - Ale mam nadzieję, że prezydent zdaje sobie sprawę ze skuteczności obrony. Będziemy jak skazaniec, który kopie i gryzie, wleczoney na szubienicę. Moi ludzie będą się starać najlepiej jak potrafią, ale i tak wątpię, czy zdołają zrobić coś więcej niż tylko podrapać im lakier na kadłubach. Zakładając, że chociaż to im się uda.

- Och, ona to zrozumie - odparł Steyenson ze smutnym uśmiechem. - Jeżeli mamy umrzeć, idźmy na spotkanie śmierci wyprostowani, a nie na kolanach. Kto wie? Może będziemy mieli szczęście i zrobimy im parę rys. A nawet jeżeli nie - wzruszył ramionami - może dla kogoś, gdzieś, kiedyś, staniemy się przykładem. Może będziemy iskrą, która pchnie jakąś inną gromadę nędznych niewolników, aby wyprostowali grzbiety i rzucili się Radzie do gardła!

* * *

Alex Steyenson przegrałby zakład, pomyślał Quentin Mugabi, chociaż był zbyt zmęczony i udręczony rozpaczą, aby czuć z tego powodu satysfakcję.

Kulayo nawet teraz nie chcieli przyznać się do prowadzenia okrutnej polityki na taką skalę i dyplomatyczna nota od Rady Federacji miała wszelkie cechy klasycznego ultimatum... oprócz tego, że nie zawarto w niej żadnych jasno określonych konsekwencji, jakie się wiązały z jej odrzuceniem. Zamiast tego zawierała liczne półsłówka, które miały chronić moralność Rady. Było w tym coś obrzydliwego i Mugabi podejrzewał, że jednak ma to coś wspólnego z dowódcą floty Lach'heranu. Zarówno on jak i ona tak samo pogardzali politykami Rady, za

to, że stworzyli takie coś.

Oczywiście czuli pogardę z zupełnie innych powodów.

- ...i tak, dowódca floty - powiedziała prezydent Sara Dresner z wielkiego ekranu. - Jestem pewna, że uda nam się osiągnąć pokojowe rozwiązanie bieżącej, nieszczególnej sytuacji, jeżeli Rada zostanie powiadomiona o tym, że jesteśmy gotowi przyjąć jej uwagi i zastosować się do nich w sposób, który nie naruszy naszych przekonań.

Ekran na FUS *Terra*, okręcie flagowym Układu Słonecznego zazwyczaj pokazywał bieżącą sytuację na polu walki. W tej chwili dostosowano go do potrzeb komunikacji i przez ostatnie siedem godzin przedstawiał oddzielone od siebie obrazy Dresner i Lach'heranu, tak więc Mugabi, jako główny dowódca Floty podczas operacji w przestrzeni mógł na bieżąco śledzić postęp negocjacji. Lach'heranu nie miała obiekcji i nie przeszkadzało jej, że śledzi rozmowę, co w głębi ducha odczytał jako bardzo zły sygnał. Normalnie Saernai byli zasadniczy aż do bólu, szczególnie w kwestiach dotyczących godności w kontaktach z prymitywnymi jednostkami. Fakt, że Lach'heranu najwyraźniej nie dbała o to, że ktoś tak nisko postawiony, jak zwykły admirał przysłuchiwał się jej dyplomatycznej konwersacji z przywódcą Układu sugerował, że planowała coś paskudnego.

- Obawiam się, że nie mogę podzielać twojej pewności, pani prezydent - powiedziała dowódca floty po chwili. Oprogramowanie tłumaczące, używane przez Galaktycznych, produkowało piskliwy, beznamiętny i ze wszech miar idiotycznie brzmiący głos, który był najwyraźniej przypisany do Saernai. Admirał był przyzwyczajony do tego, że przełożone na język angielski słowa prawie nigdy nie pokrywały się z ruchem ust dowódcy, ale zazwyczaj uważał, że to przesunięcie jest nawet zabawne. W dzisiejszej sytuacji nie było nic zabawnego.

- Nastawienie waszego gatunku od kilku generacji nie zmienia się, a wasz upór jest godny ubolewania - mówiła dalej Lach'heranu, przekrzywiając lisie uszy. Troje czarnych niczym przestrzeń kosmiczna oczu patrzyło zuchwale w urządzenie rejestrujące komunikatora. Uniosła rękę i wygładziła purpurowe, pluszowe futro i Mugabi po raz kolejny pożałował, że nie jest w stanie odczytać emocji z całkiem obcej twarzy.

Federacja od pierwszej chwili kontaktu z waszą rasą próbowała przekazać pewne zwyczaje, dzięki którym moglibyście harmonijnie zintegrować się ze społeczeństwem cywilizowanych ras - powiedziała Saernai prezydentowi. - Jesteśmy odpowiedzialni, jako starsza i bardziej zaawansowana rasa, za barbarzyńskie gatunki, które muszą pokonać długą drogę zanim staną się tak samo cywilizowane jak my, dlatego też od początku staraliśmy się wam pomóc. Niestety mimo naszych wysiłków, liczne pokolenia waszych polityków uparcie odrzucały propozycje spotkania w połowie drogi. Zdajemy sobie sprawę, że gatunek istot,

które żyją tak krótko, wolno uczy się prawdziwej mądrości, ale fakt, że od wielu waszych przywódców i ich następców dostawaliśmy taką samą odpowiedź jasno wskazuje na to, że wasza rasa jest arogancka i nieprzejednana. I przekonaliśmy się, że cechy tej nie da się z was wypenić. I dlatego obawiam się, że nie powinniśmy łudzić się dalej, że możliwa jest prawdziwa zmiana ludzkiej rasy.

Za plecami usłyszał stłumione przekleństwo, padające z ust jednego z załogantów, ale nawet nie odwrócił głowy, żeby zobaczyć, kto się odezwał. To nie miało znaczenia, a nawet gdyby miało, on przecież myślał podobnie. W zmuszaniu do słuchania mowy o tak wysokim stopniu hipokryzji, było coś naprawdę poniżającego. I to mówiła istota, która, jak wszyscy doskonale wiedzieli, miała zniszczyć całą ludzką rasę, niezależnie od wyniku negocjacji. Zastanawiał się, czy Lach'heranu dobrze się bawi. Czy tak dobrze, jak mu się zdawało? Trudno określić, co śmieszy Galaktycznych, ale z tego co wiedział o dowódcy floty, i generalnie o Saernai, istota prawdopodobnie uważała, że prezydent Dresner, płaszcząca się przed nią, musi wyglądać przekomicznie.

Nawet jeżeli prezydent podejrzewała coś takiego, ani odrobinę nie dała tego poznać, ani w tonie głosu, ani w wyrazie twarzy. Wiedziała, że tej gry nie może wygrać, gdyż reguły zostały tak dobrane, aby to było niemożliwe. Nie mogła sobie jednak pozwolić na poddanie się tej myśli. A raczej, to na Dresner spoczywała odpowiedzialność upewnienia się, że nie przeoczy żadnej możliwości, chociażby najmniejszej, ocalenia ludzkiej rasy.

- Zgodnie ze standardami Federacji, rasa ludzka rzeczywiście jest młoda - powiedziała spokojnie. - Bez wątpienia większość trudności, jakie się pojawiły w kontaktach federacji z Układem Słonecznym wynika właśnie z tej cechy. Wy jesteście starsi i bardziej doświadczeni. Ale końcowa analiza ukazała nam prawdę. Federacja ma prawo do terytoriów, których żąda, a jej niekwestionowana przewaga czyni z niej jedyną siłę godną wszechświata. Dyskutowaliśmy z Federacją tylko na temat spraw, które dotyczą wewnętrznych regulacji Układu i jego politycznych zaszcłości. Nigdy nie próbowaliśmy dyktować Federacji naszych warunków ani nie próbowaliśmy zajmować terytoriów, do których Rada rościła sobie pretensje. Nie zawłaszczaliśmy żadnej z niższych ras Federacji.

Być może nie powinniśmy tak się upierać przy zachowaniu niezależności i oddać się pod opiekę Rady. Przepuszczalnie, jak twierdzi Federacja w swojej nocie, taki punkt widzenia jest charakterystyczny dla młodych i barbarzyńskich gatunków. Jeżeli tak, być może nadszedł czas, abyśmy odłożyli nasz spór, tak jak odkładamy na bok dziecinne zabawki. Nie mówię, że będzie nam łatwo zrezygnować z wolności, tym bardziej, że tak długo przy niej obstawaliśmy. Ale przecież nie jesteśmy głupcami, dowódco, chociaż czasem zachowujemy

się głupio. Jesteśmy dumni z naszej marynarki, z naszych mężczyzn i kobiet, którzy tam służą, ale wiemy, że cała nasza flota nie ma szans z jednym małym oddziałem, którym dowodzisz. Mimo tego, że pożegnanie z zabawkami bywa trudne, nie wątpimy, że federacja z łatwością nas do tego zmusi. I jako że przeżycie jest zawsze lepszą alternatywą, zostałam upoważniona przez senat do natychmiastowego skompletowania delegacji, która zostanie wysłana do stolicy Federacji, gdzie spotka się z Radą lub jej reprezentantami. Tam natychmiast rozpocznie rozmowy, które precyzyjnie określą warunki, na jakich nasz Układ i nasza rasa wejdzie do Federacji i najszybciej się z nią zintegruje.

Ktoś, być może ten sam oficer, który przeklinał, wzięły głęboki oddech za plecami Mugabiego, ale admirał nawet się nie skrzywił, kiedy usłyszał zgodę prezydent na coś, co brzmiało jak całkowite oddanie ludzkiej rasy w niewolę. Wiedział, co teraz będzie. Podobnie jak każdy z oficerów na pokładzie flagowym *Terry*. Musiało tak być, ze względu na ogromną siłę ognia trzydziestu czterech superniszczycieli, zebranych wokół okrętu flagowego Lach'heranu.

Saernai patrzyła na obraz prezydent przez kilka sekund, a potem wyciągnęła rękę i dotknęła małego guzika, umieszczonego na poręczy fotela dowódcy.

- Rozmowa od tej chwili nie jest nagrywana - poinformowała Dresner sztucznym, beznamytnym głosem, który potrafił doprowadzić do ataku furii.

- Czy mogę zapytać, dlaczego? - zapytała prezydent ostrożnie.

- Ponieważ nie ma sensu kontynuować tej farsy - odparła Lach'heranu. - Wasza rasa nie jest w stanie zintegrować się z Federacją. Już sam ten pomysł jest śmieszny i obraźliwy dla innych ras, które są częścią naszej społeczności, niezależnie od tego, czy zasiadają w Radzie i pozostają pod protektoratem. Ludzie są arogancy, kłótlivi, chaotyczni, uparci, barbarzyńscy, niewdzięczni i głupi. Jeżeli wasza rasa miałaby kiedykolwiek zanieczyścić krew Federacji, zniszczyłaby i opluła najwspanialszą i najstabilniejszą cywilizację w historii całej galaktyki. To nie może się stać. Nie można na to pozwolić.

- A więc tak naprawdę nigdy nie zamierzaliście z nami negocjować na poważnie - powiedziała Sara Dresner stanowczo.

- Oczywiście, że nie - potwierdziła Lach'heranu. - Po prostu musieliśmy uwiecznić nasze wysiłki, podejmowane w celu znalezienia pokojowego rozwiązania. Ale wy jesteście zbyt dużym zagrożeniem dla prawdziwej cywilizacji.

- Dlaczego? - zapytała Dresner bez ogródek.

- Ponieważ to my jesteśmy przedstawicielami prawdziwie zaawansowanych i cywilizowanych ras - odparła Lach'heranu bez śladu ironii w głosie. - A jako takie, musimy

dać świadectwo potomności, że nie mieliśmy żadnej alternatywy, jak tylko rozwiązać problem ludzkości raz na zawsze.

- Chyba raczej - odpowiedziała szorstko. - Potrzebowaliście odpowiedniej pożywki dla swoich propagandowych tub, kiedy będziecie się przygotowywać do sprzedania tego kłamstwa swoim innym niewolnikom i waszym braciom.

- Ta obserwacja jest typowa dla ludzkiej arogancji - odparła Lach'heranu. - Tylko człowiek może uważać, że taki mały nic nieznaczący system słoneczny może cokolwiek znaczyć i być ważny dla cywilizowanych ras. Czy sądzisz, że musimy kłamać, aby wytłumaczyć się z waszej eksterminacji? Po prostu jest ważne, aby nasze archiwa zawierały dowód na to, że podjęte przez nas akcje zostały prawnie zaakceptowane. Na podstawie tych akt Rada wyciągnie odpowiednie wnioski i zadba o to, aby takie precedensy więcej się nie zdarzały. Nagrałam już dość materiału, aby osiągnąć ten cel.

- Innymi słowy wystarczy ci tekstu, aby wyciąć z niego co tylko chcesz i wyprodukować historię, która usprawiedliwi twoje działanie!

- I znów, twoje słowa świadczą o tym, że we właściwy dla swojej rasy sposób przeceniasz swoje znaczenie. Tym bardziej należy ściśle kontrolować materiał archiwalny, dotyczący tej sprawy. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby w przyszłości jakiś członek Rady został wystawiony na zgubne działanie ludzkiej filozofii i patetyczne próby samounicestwienia. Mógłby być zdumiony i zaniepokojony, gdyż nie zrozumiałby nieuchronności i podstaw naszej decyzji. Jednakże nie ma sensu dłużej nad tym dyskutować. Żadna prawdziwie cywilizowana istota nie przedłużałaby tych negocjacji. Jako taka, czuję żal z powodu sytuacji, która wymaga ode mnie zniszczenia waszej rasy. Dlatego też zachowam się tak miłosiernie, jak tylko pozwalają mi na to okoliczności i zareaguję natychmiast, zamiast przeciągać te rozmowy w nieskończoność. Będzie znacznie łatwiej, jeżeli rozkażecie waszym statkom opuścić pola siłowe.

- Chyba raczej nie - głos Dresner był niczym kruszony lód.

- Z pewnością nawet wy nie jesteście tak głupi, żeby wierzyć, że wasz opór będzie miał jakikolwiek wpływ na ostateczny wynik - powiedziała Lach'heranu.

- Prawdopodobnie nie - odparła prezydent ludzkości swemu katu. - Ale mam nadzieję, że wybaczysz nam to, że próbowaliśmy.

- Nie mam żadnego interesu w wybaczeniu wam czegokolwiek - zapiszczała beznamiętnie. - Po prostu mam zadbać o to, żebyście zniknęli z wszechświata.

* * *

- Stanowiska bojowe!

Był to najprawdopodobniej najbardziej niepotrzebny rozkaz, jaki admirał Quentin Mugabi wydał w całej swojej karierze. Cała flota solarna zajmowała stanowiska bojowe już od dziesięciu godzin, ale na pokładach statków zawyły alarmy, a ekran, na którym wyświetlały się obrazy prezydent Dresner i dowódcy floty Lach'heranu natychmiast przełączył się na normalną funkcję, do której był przeznaczony.

Mugabi wpatrywał się w ekran, na którym komputer nanosił bieżącą sytuację. Najpierw pojawiły się ikony i oznaczenia kodowe Centrum Informacji Bojowej. Obrazy migotały i zmieniały się. W przeciwieństwie do niego, Lach'heranu nie zadała sobie trudu i nie wydała rozkazów, aby przygotować statki do walki podczas negocjacji. W zasadzie nie było takiej potrzeby - nie w starciu z tak marną i nieistotną opozycją. Jedyne środkiem bezpieczeństwa, jaki przedsięwzięła, było odsunięcie się poza zasięg statków ziemskiej floty, a to oznaczało, że sama także nie miała zasięgu, co starała się usilnie zmienić. Patrzył, jak jej statki zbliżają się w jednej linii. Ikony pokazywały, że na pokładach uruchomiono systemy obronne i bojowe. Obok normalnych statków, flota Federacji składała się z trzydziestu czterech superniszczycieli, które zostały zaliczone przez BSM do klasy *ogr*. Każdy z nich miał kształt jaja i długość około czternastu kilometrów. Statki właśnie przyspieszały w kierunku ludzkich łupinek, składających się na solarną flotę. Każdy z tych statków, jak Mugabi doskonale wiedział, dysponował większą siłą ognia niż cała ludzka flota. Superniszczyciele eskortowane były dodatkowo przez ponad trzydzieści krążowników klasy *stiletto*.

To ostatnia bitwa ludzkości, pomyślał ponuro. A do tego najkrótsza.

- Wykonać alfa jeden!

Usłyszał potwierdzenia rozkazu i poczuł dumę, podszytą goryczą, na widok tego, z jaką sprawnością kobiety i mężczyźni jego floty wykonali ten manewr. Formacja rozproszyła się i zebrała w nowej konfiguracji, błyskawicznie i bez wahania... tak jakby ludzka załoga statków nie zdawała sobie sprawy z tego, że opór jest całkowicie bezcelowy.

Przyjęta formacja była nietypowa. Statki tworzyły kolumnę przypominającą ogromny i wąski grot włóczni. Na szczycie znajdowały się dwa tuziny jego najcięższych statków. Statki te na pierwszy rzut oka blokowały ogień lżejszych jednostek, podążających z tyłu, co było nierozsądne. Ale Quentin Mugabi nie miał złudzeń co do tego, że walka będzie choć trochę przypominała bitwę, tak więc przyjął pozycję, umożliwiającą osiągnięcie tylko jednej rzeczy. Każda konwencjonalna formacja zostałaby natychmiast rozbita w puch, nie wystrzeliwując nawet jednego pocisku w kierunku wroga, ale ta sprawiała, że większość jego statków chowała się w bezpieczny cień jednostek, prowadzących kolumnę. Żaden z nich nie przetrwa

jednego, najwyżej dwóch uderzeń broni Galaktyki. No, może trzech. Reszta floty będzie mogła podejść bliżej na tyle szybko, że znajdzie się w zasięgu broni i może choć jeden cios sięgnie celu. Poza tym pierwsze statki odciągną uwagę wroga od następnych jednostek.

To nie było dużo, ale Mugabi mógł tylko tyle zaoferować swoim załogom, swojej planecie i swojemu gatunkowi. I z trudem powstrzymywał łzy, kiedy patrzył z jaką galanterią jego personel i cała Flota Układu Słonecznego mknie na spotkanie śmierci.

- Wróg sformował szyk - oznajmił oficer odpowiedzialny za śledzenie przebiegu sytuacji.
- Wejdziemy w zasięg broni wroga za siedem minut - kontynuował, a profesjonalizm pozwolił mu ukryć nutki desperacji w głosie. - Zasięg naszej broni osiągniemy za szesnaście minut.

Admirał nie odrywał wzroku od ekranu. Potwierdzenie przyjęcia raportu nie miało sensu, tak jak udawanie, że jego flota może przetrwać dziewięć minut pod ostrzałem galaktycznych okrętów.

Patrzył, jak zegar umieszczony w dole ekranu odmierza czas pozostały do wejścia w zasięg broni wroga i ku ogromnemu zdumieniu, zdał sobie sprawę, że się rozluźnia. Kiedy czasomierz zbliżył się do zera, admirał był całkowicie odprężony. Być może odczuwał ulgę, a przynajmniej tak mu się zdawało. Ulgę na myśl o tym, że on i wszyscy jego ludzie umrą najpierw i nie będą świadkami zniszczenia całej planety, którą przysięgali chronić.

- Zasięg broni wroga za dwie mi...

Oficer zająknął się w połowie słowa, kiedy ekran zmienił się nagle.

Mugabi szerzej otworzył oczy, kiedy zobaczył na ekranie nieznane ikony. Galaktyczna technologia maskowania okrętów była znacznie lepsza od tego, czym dysponowali ludzie. BŚM wiedziało, że tak jest, zresztą istnienie tej technologii tłumaczyło, dlaczego ludzie tak długo nie zdawali sobie sprawy z istnienia Federacji. Stacje nasłuchowe i automatyczni szpiedzy przenikali do Układu Słonecznego przez co najmniej siedemdziesiąt lat, zanim ich wykryto. Ale Lach'heranu nie zadała sobie trudu zamaskowania okrętów. Nie musiała, gdyż miała do czynienia z prymitywnymi i topornymi skanerami floty solarnej.

Nagle stało się oczywiste, że we wszechświecie jest jeszcze ktoś, kto dysponuje bardziej zaawansowaną technologią maskowania niż Federacja. To było jedyne możliwe wytłumaczenie tego, w jaki sposób dziewięć nieznanych statków wojennych znalazło się w zasięgu ataku szwadronu Lach'heranu, i to zupełnie zaskoczenia.

Rzeczywiście były niewykrywalne. To okazało się oczywiste, kiedy tylko otworzyły ogień, gdyż superniszczyciele Federacji zostały wzięte zaskoczenia. Wszystkie systemy obronne i nasłuchowe skierowane miały na przyszłe ludzkie ofiary i zbyt późno zmieniły

kierunek ognia obronnego. Kiedy pierwsze pociski nieznanymi statków uderzyły we flotę Federacji, jej obrona była słaba i spóźniona.

Pociski są naprawdę szybkie, pomyślał Mugabi drętwą. Flota Układu Słonecznego dysponowała pociskami, które osiągały sześćdziesiąt procent prędkości światła, a było to możliwe tylko dzięki temu, że BSM zdołało ukraść plany napędu z zagraconych archiwów Federacji. Z kolei pociski Galaktycznych, które zaplanowano i przetestowano dwieście lat temu, osiągały siedemdziesiąt pięć procent prędkości światła. A rakiety, które uderzały w tarcze superniszczycieli Lach'heranu poruszały się z prędkością niemalże równą świetlnej i nawet stąd Mugabi potrafił określić, że nieznanymi okręty wyposażone są w systemy obronne i bojowe co najmniej o dwieście lat bardziej zaawansowane technologicznie niż arsenał Federacji.

- Kto to jest, do diaska...?

Człowiek, wypowiadający te słowa zamilkł w pół zdania, przypominając sobie o dyscyplinie, ale Mugabi nawet tego nie zauważył. Patrzył, jak jasne, potworne słońeczka antimaterii, którą naładowane były głowice rakiet, rozrywają na strzępy tarcze Lach'heranu. Wybuchy były znacznie większe niż powinny. Najwyraźniej miały większą energię, niż głowice produkowane przez Federację. Tarcze wrogiej floty płonęły niczym topiące się żelazo pod ich uderzeniami. Nawet jeżeli usłyszał wysoce nieprofesjonalny okrzyk, nie zareagował ani nie miał pretensji, gdyż te słowa doskonale oddawały także jego uczucia. Kim oni byli, do diabła? I skąd się tu wzięli? I...

- Uwaga, admirale Mugabi!

Admirał ze wszystkich sił starał się opanować, kiedy nieznanymi głos, mówiący po angielsku z akcentem, którego nigdy nie słyszał, zabrzmiał w jego słuchawce. Nie miał prawa się tam znaleźć, chyba że nieznanymi zawładnęli systemami komunikacyjnymi *Terry*, zabezpieczonymi co najmniej dwunastoma poziomami i urządzeniami szyfrującymi, które powinny powstrzymać nawet programy szpiegowskie Galaktyki na co najmniej piętnaście minut.

- Usuń się z pola, admirale Mugabi - nieznanymi głos zabrzmiał mu w uchu. - Zostaw ich nam!

Głos jeszcze nie skończył mówić, kiedy kolejna salwa potwornych rakiet uderzyła w statki Lach'heranu i ziemską flotę patrzyła niedowierzająco na coś, czego oko śmiertelnika nie widziało od ponad sześćdziesięciu dwóch tysięcy lat.

Superniszczyciel Federacji zamienił się w kulę ognia.

W jednej chwili wisiał w przestrzeni, dobrze ponad bilion ton stali, z załogą liczącą ponad

trzy tysiące istot. A w następnej zamienił się w kule eksplodującej plazmy. Oficerowie, zgromadzeni na pokładzie flagowym *Terry* zawyli radośnie na widok tej klęski. Mugabi także się do nich dołączył, ale po chwili potrząsnął głową niczym bokser ogłuszony ciosem i strząsnął z siebie rozradowanie, któremu zbyt szybko się poddał. Jego statki były zaledwie kilka minut od wejścia w zasięg pocisków, wystrzeliwanych z walczących jednostek. Admirał był bardziej niż pewny, że jego własne krążowniki nie mają nic do roboty pomiędzy walczącymi lewiatanami.

- Do wszystkich jednostek, wykonać unik kierunku echo dziewięć! Wykonać echo dziewięć natychmiast! - warknął.

Wysłuchał potwierdzeń przyjęcia rozkazu, podczas gdy jego oficerowie z trudem odrywali zafascynowany wzrok od obrazu, który przedstawiał się na ich taktycznych ekranach. Flota Mugabiego zesłała ze śmiertelnego kursu, z którym się pogodziła zaledwie kilka minut temu. Część umysłu admirała śledziła ten gwałtowny manewr wyłamujący, ale on także nie był w stanie oderwać oczu od ekranu. Mała nieznana mu flota rozrywała szwadron *Lach'heranu* na strzępy niczym głodne kruki, mimo jego przewagi liczebnej.

Nigdy sobie czegoś takiego nie wyobrażał. To nie były okręty wojenne. To było coś zupełnie innego, coś co wznosiło siłę bojową na inny poziom. Czujniki zbierały coraz to nowe dane, a jego niedowierzanie rosło nieprzerwanie. Dziewięć nieznanymi statków stanęło naprzeciw trzydziestu czterech *ogrow*, a każdy wiedział, nie tylko Federacja, ale także BSM, że niszczyciele tej klasy są najpotężniejszymi statkami, jakie kiedykolwiek zbudowano. Były niepokonane. Żaden inny statek nie był w stanie dotrzymać im kroku.

Nieznane jednostki nie tylko stawiały im czoła. One dosłownie rozrywały *ogry* na strzępy.

Z boku ekranu Mugabiego pokazały się szacunkowe obliczenia komputera. Wieloletnie doświadczenie podpowiadało admirałowi, że to co widzi, musi być błędem. Każdy z dziewięciu statków był o pięćdziesiąt procent większy. Pięćdziesiąt procent. A mimo tego, o co najmniej dwadzieścia pięć procent szybszy i bardziej zwrotny. Co więcej, siła ognia i sygnatury energetyczne, całkowicie obca technologia maskowania o wielkiej skuteczności, która ukryła ich zbliżanie się, wskazywały wyraźnie na to, że statki te są co najmniej sześć razy potężniejsze od jednostek o podobnym tonażu, jakie kiedykolwiek zbudowała Federacja.

To było całkowicie niemożliwe, ale jednak te dziewięć statków przewyższało technologicznie cały szwadron *Lach'heranu* co najmniej dwa do jednego.

To była krótka, okrutna i paskudna bitwa. Trwała tylko niewiele dłużej niż ta, którą planowali przeciwnicy... tylko wynik był inny. Nawet w bezpośrednim starciu, kiedy obie

strony widzą się od początku i wiedzą, co się zbliża, flota Federacji i tak zostałaby pokonana. Wzięte z zaskoczenia, w kosmicznej odmianie zasadzki, Lach'heranu i jej statki nie mieli szans. Dwa nieznane niszczyciele zostały lekko uszkodzone. Żadna z jednostek Lech'heranu nie przetrwała walki. Garstka krążowników próbowała się przedrzeć i uciec, ale trzy statki nieoczekiwanego sojusznika pomknęły za nimi i dogoniły je z łatwością. Statki Lach'heranu zniknęły zanim zdołały opuścić układową strefę limitu prędkości i wejść w tryb napędu fazowego. Mugabi nie miał pojęcia, czy Lach'heranu albo któryś z jej statków próbował się poddać, ale nawet jeżeli, nikt po drugiej stronie najwyraźniej nie był tym zainteresowany.

Flota Układu Słonecznego unosiła się w przestrzeni niczym stadko ogłuszonych widzów, zahipnotyzowanych widokiem rzezi, jakiej sobie nawet nie wyobrażali. Mugabi wiedział, że każdy pojedynczy członek załogi na pokładzie każdego statku zastanawia się dokładnie nad tym samym.

A potem, bez udziału członków załogi *Terry*, ekran bojowy zmienił się z powrotem w komunikator i pokazała się na nim obca, gadzia twarz.

Poczuł, jak szczęka ponownie mu opada, kiedy rozpoznał tę twarz, a przynajmniej gatunek, do którego należała. O ile dobrze wiedział, do tej pory żaden człowiek nie zdołał porozumieć się z rasą federacji nazywaną Ternau, ale BŚM było bardzo nimi zainteresowane. Każdy wiedział, że byli najbardziej lojalnymi i całkowicie oddanymi strażnikami, na jakich Galaktyczni mogli liczyć. Ksenolodzy zgadywali, że Ternau musieli być telepatami i że Federacja opracowała technikę, która pozwalała na programowanie tych istot do ściśle określonych celów, wymagających posłuszeństwa i lojalności. Czy to była prawda czy nie, ludzkość otrzymała właśnie niepodważalny dowód na ich efektywność, a poza tym nie było wątpliwości, że istota jest niema.

Co sprawiło, że to co stało się chwilę później wydawało się tak samo niemożliwe jak wydarzenia ostatniej półgodziny.

- Dzień dobry, admirale Mugabi - powiedział Ternau. On, albo... to, pomyślał, gdyż istota mogła być przedstawicielem odmiany bezpłciowej. Jej usta nie poruszały się, ale najwyraźniej sztuczny głos był melodyjny i tak samo naładowany emocjami jak ludzki. Admirał nigdy nie słyszał równie miłego tonu. Srebrne, piękne na obcy sposób oczy z atramentowo czarnymi pionowymi źrenicami patrzyły prosto w jego źrenice. - Przepraszamy cię za to nagłe pojawienie się... i za to, że nie mogliśmy wcześniej cię ostrzec o naszym przybyciu. Zdajemy sobie sprawę, że to, co się wydarzyło, musiało was bardzo zaskoczyć, chociaż mamy nadzieję, że powitacie nas z radością.

Jak na gatunek, który nie potrafi mówić, Ternau posiada wielki dar niedopowiedzeń,

pomyślał Mugabi.

- Przemawiam do ciebie jako kanclerz Cesarstwa Avalonu - kontynuował pokryty łuską obcy. - Jako kanclerz formalnie zapraszam cię na pokład naszego okrętu flagowego, abyś mógł spotkać się z imperatorem, który wyjaśni ci osobiście, co nas tu sprowadziło.

Quentin Mugabi nigdy sobie nawet nie wyobrażał takiego statku wojennego. W odróżnieniu od owalnych *ogrów* Federacji, ta jednostka była niemalże sferyczna i miała co najmniej dwadzieścia kilometrów średnicy. Wyglądała bardziej jak księżyc, a nie jak statek kosmiczny, pomyślał. Kiedy kuter admirała zbliżył się do burty, Mugabi obserwował kopuły, moduły napędowe i wyrzutnie rakiet, umieszczone na powierzchni kadłuba, ale pionowo wznoszące się ściany sprawiały, że tak naprawdę nie był w stanie ogarnąć wzrokiem całego ogromu statku. Tylko wtedy, kiedy omijali w odległości zaledwie czterystu metrów wielkie dysze napędu, większe niż montowano na najcięższych niszczycielach floty solarnej, admirał zdał sobie sprawę z wielkości jednostki.

To nie rozmiar statku był najtrudniejszą z rzeczy, z jakimi musiał się borykać jego umysł. Nie zwykł oszukiwać samego siebie, dlatego przyznał w duchu, że ciągle musi być w stanie szoku po tym, jak cały szwadron Lach'heranu został rozniesiony na strzępy z niewiarygodną szybkością i siłą. Nie wspominając już o tym, że żaden ze statków, pozostających pod jego komendą nie ucierpiał ani trochę! Bez wątplenia to właśnie dlatego miał wrażenie, że obraz przed jego oczami pływa i zatacza się. A widok Ternau jako kanclerza, przemawiającego w imieniu jakiegoś Imperium Avalonu, to już było całkowicie ogłuszające. Mugabi zażądał przeszukania bazy danych, podczas gdy jego kuter był szykowany do drogi, ale wynik potwierdził jego przypuszczenia. Galaktyczne archiwa, które zostały dogłębnie spenetrowane przez ludzkie siły wywiadowcze, wspominały o wielu przypadkach Ternau, ginących w obronie swoich władców. Ale BŚM nie trafiło nigdzie na żadną informację o tym, że Ternau zwrócili się przeciwko Galaktyce. Ani razu, przez dwanaście stuleci nieustannej służby.

A więc jak to się stało, że tak godna zaufania rasa osobistych strażników w jakiś sposób zdołała zbudować coś, co miało cechy niepokonanego imperium, sądząc po wielkości i sile statków wojennych, a Federacja ani przez chwilę nie powzięła podejrzeń? To było oczywiste, że Rada nie miała pojęcia o takiej sile, rosnącej pod bokiem. Jeżeli prymitywna banda ludzi stworzyła coś tak potężnego jak Cesarstwo Avalonu z pewnością musiało to wprowadzić Federację w stan permanentnej paniki. Już samo podejrzanie, że coś takiego istnieje, musiało budzić grozę. A atak Avalonu na Lach'heranu z pewnością aż tak by jej nie zaskoczył.

Uznał, że na chwilę obecną są to najważniejsze pytania, chociaż do głowy cisnęło mu się

tysiące innych. Po pierwsze, dlaczego Ternaui nazywali swoje królestwo Cesarstwem Avalonu? Po drugie, dlaczego zaryzykowali i ujawnili się przed Federacją, skoro aż tak dobrze się maskowali? Dlaczego postanowili pomóc ludziom?

Kuter Admirala zbliżał się właśnie do głównego luku statku i zobaczył w końcu nazwę statku, wypisaną na kadłubie literami wysokimi na siedemdziesiąt metrów. Widok na chwilę odebrał mu mowę, ale zbyt wielkie nagromadzenie szokujących zdarzeń sprawiło, że tak naprawdę wcale się nie zdenerwował.

I po trzecie, pomyślał, dlaczego do diaska jakieś obce istoty z odległej planety miałyby nazywać swój statek flagowy *Ekskalibur*?

* * *

Kuter wpłynął przez otwór wiodący do jasnego i błyszczącego wnętrza głównej komory dokującej i skierował się ku miejscu, wyznaczonemu do lądowania. Admirał nie zobaczył żadnych urządzeń dokujących ani przewodów, tylko migające światełko i oznaczenia, mające naprowadzić pilota.

Nie zauważył także żadnych wrót, chociaż najwyraźniej komora była wypełniona powietrzem, jak zauważył Mugabi z zawiścią, gdyż na jego statku w ładowniach panowała próżnia. Rasa ludzka przez ostatnie sto lat poczyniła ogromne postępy technologiczne, częściowo dzięki własnej pomysłowości, a także adaptując każdy zdobyty fragment galaktycznej wiedzy. Admirał był świadom tego, że Federacja najbardziej bała się właśnie ludzkich wynalazców i ich elastyczności. Ziemianie rozwijali się bardzo szybko i startowali z takim opóźnieniem, że Federacja była pewna, że przepaść jaka ich dzieli jest całkowicie nie do przeskoczenia. Przykładem przepaści technologicznej były chociażby pola siłowe, które federacja produkowała z łatwością, a generatory były wielkości kapelusza. Flota solarna także posiadała tę technologię, na takiej samej zasadzie działały tarcze statków, ale zapotrzebowanie na energię i masa generatorów pola siłowego, które ludzkość była w stanie wytwarzać, uniemożliwiały zastosowanie jej do innych celów. A z pewnością żaden ludzki inżynier nie był w stanie zbudować selektywnego pola, które zatrzymywałoby atmosferę, a przepuszczało statki!

Ten, kto zbudował ten statek, nie ograniczył się tylko do hermetyzacji komory. Admirał po raz kolejny poczuł zawiść, kiedy zobaczył wysepki zieleni, artystycznie rozsiane pomiędzy miejscami do dokowania. Nigdy w całej swojej karierze, nawet na statkach Galaktyki nie widział, aby ktoś zadawał sobie trud upiększania komory dokującej. Najwyraźniej chcieli połączyć funkcjonalizm komory okrętu wojennego z estetyką, dlatego admirał widział tu i

tam wysokie żywopłoty, usiane pączkami, donice z kwiatami, fontanny, a nawet kilka rzędów drzewek, które wyglądały jak grusze.

To był kolejny dowód na możliwości Imperium Avalonu, pomyślał Mugabi, ale chwilę później, kiedy kuter opadł na podłogę komory i admirał dostrzegł przez bulaj komitet powitalny, poczuł się naprawdę zaskoczony. Oczekiwały go cztery istoty... i żadna z nich nie była Ternai.

Admirał Quentin Mugabi zmartwił, patrząc przez szybę. Jego umysł całkowicie nie był przygotowany na taki widok. Mężczyzna wstał, kiedy usłyszał, jak otwiera się wąż kutra.

- Admirale Mugabi - przywitał go wysoki, rudawy, niebieskooki i bardzo ludzki człowiek. Mężczyzna ubrany był w czarno-złoty uniform, który łączył w sobie cechy stroju wojskowego z komfortowym ubiorem. On nie widział jeszcze nigdy takiego munduru, ale naszywki wydały mu się znajome. Zmrużył oczy, kiedy zobaczył rząd pięcioramiennych gwiazdek przypiętych po obu stronach kołnierzyka i cztery szerokie złote pasy, otaczające mankiety kurtki. Obcy zamrugał oczami i wyciągnął rękę.

- Witamy na pokładzie *Ekskalibura* - kontynuował tą samą dziwnie akcentowaną angielszczyzną, jakiej używał Ternai. Mugabi odruchowo oddał uścisk. - Jestem admirał Maynton. Przepraszam, za brak zwyczajowej militarnej pompy, ale uznaliśmy, że lepiej będzie, jeżeli powitamy cię bez tych nonsensownych szpalerów kadetów i bosmańskich gwizdków, bo to jeszcze bardziej cię zdezorientuje.

- Mnie zdezorientuje... sir? - powtórzył, a Maynton uśmiechnął się krzywo.

- To może nie najlepszy dobór słów - uznał. - Ale mam nadzieję, że zrobiliśmy wam niespodziankę w pozytywnym tego słowa znaczeniu.

- Och, myślę, że możecie być tego pewni! - potwierdził szczerze Mugabi.

- To dobrze. Właśnie na tej niespodziance nam zależało od jakiegoś czasu, chociaż nie powiem, byliśmy nieco zatrwożeni. Ale z radością stwierdzam, że Federacja także była zaskoczona.

- Masz dar niedopowiedzeń, admirale - powiedział z uśmiechem.

- Sądzę, że wielu ludzi by tak mówiło, w tych warunkach - odparł Maynton i znów się uśmiechnął, a potem pokazał na swoich towarzyszy. - Zdaję sobie sprawę, że musisz mieć tysiące pytań i obiecuję ci, że odpowiemy na nie najszybciej jak się da. W międzyczasie pozwól, że ci przedstawię, kapitan Weronika Stanhope, baronessa Shallot, dowódca *Ekskalibura*. - Drobna, jasnoskóra brunetka, stojąca po prawicy admirała, skinęła Mugabiemu głową i wyciągnęła rękę.

- A to - kontynuował. - Kapitan sir Antoni Moore, mój szef sztabu. - Moore był prawie

tak wysoki jak Maynton, czyli o co najmniej pięć centymetrów wyższy od Mugabiego, który też nie zaliczał się do ułomków i miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Był to platynowy blondyn z bacznyimi, szarymi oczami. Uścisk jego dłoni był tak samo silny jak jego.

- A to - powiedział na zakończenie Maynton. - Jest admirał jej cesarska mość księżniczka Ewelina Wincaster, dowódca Trzeciej Floty.

Coś w głosie admirała, niezależnie od długiej listy tytułów, sprawiło, że przyjrzał się baczniej admirał Wincaster. Była bardzo wysoka, jak na kobietę. Niemalże równa wzrostem Mayntonowi i Moore'owi, górowała nad Mugabim. Podobnie jak Maynton, a także pozostali jego towarzysze, wyglądała na bardzo młodą jak na zajmowane stanowisko. Zresztą żadne z nich nie miało na oko więcej jak trzydzieści lat. Admirał otaczała aura szacunku i autorytetu, który z pewnością nie wynikał tylko i wyłącznie z jej wysokiego wzrostu. Złote włosy opadały jej na ramiona, zupełnie inaczej niż u ziemskich kobiet z Floty Układu Słonecznego, które preferowały krótkie fryzury, podobnie jak mężczyźni. Jej oczy miały uderzająco kobaltowy odcień błękitu.

Admirał zawahał się przez chwilę, niepewny jak ma się zachować i czy powinien wyciągnąć rękę do kogoś, kto jest przedstawiany jako cesarska mość, ale księżniczka Ewelina rozwiązała jego problem i pierwsza wyciągnęła dłoń.

- Pozwól, że przywitam cię na pokładzie *Ekskalibura*, admirał Mugabi - powiedziała z tym samym dziwnym śpiewnym akcentem jak Maynton, chociaż w jej ustach brzmiał on jeszcze bardziej egzotycznie i intrygująco, w połączeniu z miękkim i głębokim głosem. Mocno uściśnęła mu rękę. - Z wielkim zainteresowaniem i respektem śledziłam twoją karierę, admirał. Ty i admirał Steyenson zdołaliście bardzo wiele osiągnąć, mimo wielu przeszkód, z jakimi musieliście się borykać. Nie mogę się doczekać, aby ci powiedzieć, jakże się cieszę, że wreszcie cię poznałam.

- Dziękuję ci... wasza wysokość - Mugabi czuł się zakłopotany szczerością w jej głosie. - To bardzo wielki komplement - kontynuował. - Ale prawda jest taka, że w końcu nie udało nam się osiągnąć upragnionego celu. Gdyby nie wasze... nieoczekiwane przybycie, wszyscy byśmy zginęli.

- Jej wysokość ma całkowitą rację - wtrącił się Maynton stanowczo. - Biorąc pod uwagę opóźnienie technologiczne, z jakim wystartowaliście, czas, który was ciągle gonił i stopień cenzury, jaki nałożyła na was Federacja, wasze osiągnięcia w dziedzinie budowania silnej marynarki są naprawdę imponujące. Federacja została zmuszona do wysłania całego szwadronu. W rzeczywistości najbardziej żałujemy tego, że aż do tej chwili musieliśmy zostawić was na pastwę Galaktyki. Niestety, nie odważylibyśmy się na nawiązanie kontaktu

wcześniej.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedział Mugabi szczerze. - Dlaczego nie mogliście się z nami skontaktować? I, jeśli już o tym mowa, kim wy jesteście? Cała... - Przerwał i potrząsnął głową.

- Chciałem powiedzieć, że cała ludzka rasa jest waszym dożywotnim dłużnikiem, ale w zasadzie powinienem to ująć inaczej. Cały Układ Słoneczny wiele wam zawdzięcza, gdyż najwyraźniej nie jest tak jak sądziliśmy i ludzie zamieszkują też inne układy.

- Tak, rzeczywiście - zgodził się Maynton spokojnie. - I przepraszam za to, że trzymam cię w tej ładowni i zajmuję rozmową, zamiast zaprowadzić się do jego wysokości, abyś mógł usłyszeć wyjaśnienia, które należą się tobie i reszcie Ziemi. Proszę, choć z nami, a obiecuję ci, że usłyszysz odpowiedzi na wszystkie pytania.

* * *

Mugabi wyszedł za Mayntonem i jego towarzyszami z windy, która zawiozła ich z komory dokującej do samego wnętrza statku. Przez całą drogę czuł podziw, do którego zdążył się już przyzwyczać, kiedy śledził holograficzny schemat obrazujący drogę, jaką się przemieszczali. Winda poruszała się z niewiarygodną szybkością, chociaż admirał w ogóle tego nie czuł, co oznaczało, że ci ludzie byli w posiadaniu technologii grawitacyjnej znacznie bardziej zaawansowanej niż galaktyka.

Nie żeby był tym zdziwiony, jak sobie powtarzał przez całą drogę. Przecież dziewięć ich statków zniszczyło cały szwadron Lach'heranu. Poza tym...

Tok jego myśli przerwało nagle zatrzymanie windy. Wyszli prosto w czarną i głęboką kosmiczną przestrzeń.

Przez chwilę jego umysł poddał się panice i admirał zatrzymał się w oczekiwaniu na dekompresję. Czuł, jak jego płuca kurczą się w desperackiej próbie zatrzymania tlenu, a po chwili odetchnął głęboko i chrapliwie, kiedy umysł wreszcie nadążył za zmysłami.

To była najbardziej zadziwiająca i zapierająca dech w piersiach projekcja holograficzna, jaką kiedykolwiek widział. Bez wątplenia nie mógł mieć do siebie pretensji, że tak zareagował! Trening, który miał na celu przygotowanie go do przetrwania w próżni, był niezbędnym elementem szkolenia w Akademii. Cała wiedza, jaką mu wpojono oraz instynkt samozachowawczy podpowiadały mu, że jest martwy, kiedy holograficzna próżnia zamknęła się wokół niego.

Pomyślał kwaśno, że jego towarzysze mogli go ostrzec chociaż słowem, ale potem sam uznał, że to głupie oczekiwanie. Oni bez wątplenia byli tak przyzwyczajeni do tego obrazu,

jak admirał do pokładu dowodzenia na ich statku, tak więc prawdopodobnie nie mieli pojęcia, że tak zareaguje.

Zmusił się do wzięcia głębokiego, uspokajającego wdechu, a potem ruszył z miejsca, nie przerywając podziwiania zapierającego dech w piersiach widoku. Czuł się tak, jakby jego buty nie stąpały wcale po metalowym pokładzie, ale brodziły w materialnej czerni wszechświata... tak jakby płynął wśród gwiazd, jak tytan górujący nad zabawkowymi okrętami wojennymi. Nigdy nie doświadczył takiego uczucia i po kilku pierwszych sekundach zapomniał o przerażeniu, jakie go zdjęło na pierwszy widok hologramu. Patrzył na wszechświat oczami Boga Stworzyciela z czystym i niezmaconym zachwytem.

Jego gospodarze pozwolili mu stać tak przez chwilę i podziwiać piękny widok, ale po jakiejś minucie Maynton odchrząknął. Cichy, grzeczny dźwięk zabrzmiał szokująco głośno i Mugabi aż się wzdrygnął. Wizja, której doświadczał, wywierała nacisk na jego umysł, twierdząc, że nie ma tu atmosfery, w której fale dźwiękowe mogłyby się roznosić. Admirał stłumił śmiech na myśl o swojej reakcji i uwolnił się od fascynacji widokiem.

W centrum holograficznej wizji stało więcej osób, skąpanych w świetle gwiazd i własnych cieniach. Jednym z nich był Ternau, który pierwszy skontaktował się z Mugabim. Był wyższy od swoich towarzyszy, a w jego srebrnych oczach odbijały się gwiazdy. Drugim był masywny mężczyzna o szerokich barkach i brązowych włosach, ubrany w coś, co przypominało trochę mniśią szatę. A trzeci...

Trzeci także był człowiekiem, czarnowłosym i o dobre dziesięć centymetrów niższym od Mugabiego. Mimo niskiego wzrostu w jakiś sposób górował nad zebranymi.

Admirał nie był pewny, jak mu się to udawało. Był mocno zbudowany, ale i tak niższa od niego była tylko kapitan Stanhope. Mężczyzna nie mógł mieć więcej jak dwadzieścia lat. Miał ciemne oczy, chociaż nie był w stanie określić jaki naprawdę mają odcień. Podobieństwo do księżniczki Eweliny wskazywało na jakiś stopień pokrewieństwa między nimi, chociaż na szczęście mocno zarysowany orli nos mężczyzny u kapitan został zamieniony w damską, bardziej atrakcyjną wersję. Był zbyt młody, aby być jej ojcem, tak więc musiał być bratem, zawyrokował w myślach. Nosił starannie przystrzyżoną, szpiczastą brodę, a na opalonym policzku widniała biała linia starej blizny. W odróżnieniu od pozostałych oficerów, napotkanych przez Mugabiego, nie nosił munduru. Zamiast tego ubrany był w jednoczęściowy strój, bardzo podobny do ubrań ochronnych noszonych przez Galaktycznych. Ten miał ciemnogrnatowy kolor nocnego nieba ze srebrnymi wykończeniami, a na piersi widniał znak herbowy. W jakiś niewyjaśniony sposób sztylet, wiszący w pochwie na prawym biodrze mężczyzny, nie wyglądał absurdalnie.

- Admirale Quentinie Mugabi - powiedział Maynton głosem znacznie bardziej formalnym niż do tej pory. - Pozwól, że ci przedstawię jego cesarską mość Jerzego, cesarza Avalonu, króla Kamelotu, księcia Nowego Lancaster i barona Wickworth.

Natychmiast się wyprostował. Kiedy się zorientował, jak reaguje jego ciało bez udziału umysłu, pomyślał, że i tak przyjąłby pozycję zasadniczą, gdyż była to oznaka szacunku. Mimo tego, że cesarz był młody, roztaczał wokół siebie taką aurę, że ciało admirała zareagowało natychmiast i tak naturalnie, jakby oddychał.

- Admirale Mugabi - Cesarz przeszedł przez pomieszczenie i wyciągnął prawą dłoń.

Quentin Mugabi służył we Flocie Układu Słonecznego ponad czterdzieści lat. W tym czasie spotkał, a także doradzał trzem różnym prezydentom, przedstawiano go galaktycznym senatorom, ministrom gabinetów i sędziom Sądu Najwyższego Unii. Był drugim pod względem rangi oficerem Floty Układu Słonecznego i raczej nie był przyzwyczajony do uczucia towarzyskiej niezręczności. Ale tym razem zawahał się, niepewny, kiedy cesarz wyciągnął rękę i po raz kolejny zastanowił się, co sprawiało, że ten młodzieniec otoczony był taką aurą szacunku i władzy. Cokolwiek to było, nie zależało najwyraźniej od tego, że mężczyzna stał na czele potężnego imperium, ponieważ Mugabi wyczuł to jeszcze zanim cesarz został przedstawiony przez Mayntona.

- Wasza wysokość - mruknął i zmusił się do mocnego uściśnięcia jego dłoni. - Pozwól, że ci podziękuję, w imieniu moim własnym i całego Układu Słonecznego. Przybyliście w samą porę.

- Witam cię na pokładzie - odparł z lekkim uśmiechem. - Chociaż sędzę, że musiałeś być bardzo zdumiony naszym wyczuciem. - Uśmiechnął się szerzej. - Minęło sporo czasu od mojej ostatniej wizyty - dodał.

- Twojej ostatniej wizyty, sir? - powtórzył, pytającym, lecz niepozbawionym respektu, tonem.

- To było trochę przed twoimi czasami - odpowiedział mu cesarz. W rzeczywistości ponad osiemset lat temu.

Mugabi patrzył na niego zaszokowany, a cesarz zachichotał.

- Widzę, że wiele muszę ci wyjaśnić, admirale - powiedział.

- A więc, czy byłbyś tak miły i dołączył do mnie i mojego kanclerza w prywatnych kwaterach. Tam spróbuję odpowiedzieć na twoje pytania.

* * *

Quentin Mugabi nigdy jeszcze nie siedział na tak wygodnym krześle. Nawet najlepsze

ziemskie siedziska znacznie wolniej i słabiej dopasowywały się do kształtu ludzkiego ciała, które przecież bez przerwy zmieniało pozycję. To krzesło zdawało się zmieniać zanim jeszcze na nim usiadł, a dostosowywało się do postawy i ciężaru ciała tak szybko i gładko, że nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

Z drugiej strony, pomyślał sobie admirał, to nic dziwnego, że nie zauważam poruszeń tego fotela. W końcu mój cały świat stanął na głowie i chwieje się na boki!

- A więc wy i Ternaui dokonaliście tego, wasza wysokość? - mruknął, kiedy cesarz przerwał na chwilę.

- W rzeczy samej - odparł cesarz. - W rzeczywistości sama walka była znacznie łatwiejsza, niż mój dobry przyjaciel - skinął głową w kierunku wysokiego kanclerza, siedzącego po jego prawej ręce - sugerował, że będzie. I to znacznie łatwiejsza, niż reszta jego małego spisku.

- Nie przypominam sobie, abyśmy sugerowali, że to będzie łatwe, wasza wysokość - powiedział łagodnie Ternaui elektronicznie modulowanym głosem. - Z drugiej strony, wierzę, że można nad tym dyskutować, czy zadanie rzeczywiście było takie łatwe.

- Cóż - zachichotał cesarz. - Przynajmniej mieliście tę naturalną skłonność, aby traktować nas jak opiekunki, kiedy was najbardziej potrzebowaliśmy!

W wygodnie umeblowanej kabinie zabrzmiał śmiech. Świetlne rzeźby, które w niej stały, miały w sobie lodowate, niemalże zmysłowe piękno i to w zasadzie one były jedynym wystrojem pomieszczenia. Poza wielkim, zapierającym dech w piersi portretem cesarzowej Matyldy, na którym wyglądała jak żywa. Cesarzowa pozostała w domu, w stolicy cesarstwa czyli na planecie Kamelot i podczas nieobecności męża pełniła funkcję regenta. Obok tych przedmiotów w kabinie znajdował się jeszcze zużyty miecz, umieszczony na środku pomieszczenia. Ostrze wbito w blok polerowanego kamienia, a całość stała na małym, okrągłym postumencie, przypominającym stolik.

Mugabi spojrzał na cesarza i wolno potrząsnął głową.

- Co się stało? - pytanie cesarza mogło zabrzmieć jak upomnienie, pełne zniecierpliwienia, ale takie nie było. W głosie mężczyzny pobrzmiwało jedynie pełne sympatii rozbawienie.

- Ciągle próbuję... próbuję jakoś to ogarnąć, wasza wysokość - Mugabi uśmiechnął się zmieszany. - Ty naprawdę urodziłeś się w tysiąc trzysta jedenastym roku.

- Z pewnością tak - odparł cesarz i zaśmiał się ponownie. - Zdaję sobie sprawę, że ani ja ani Tymoteusz nie wyglądamy na swoje lata. Jeżeli już o tym mowa, obaj zastąpiliśmy u siebie oryginalne nanoboty Saernai wiele setek lat temu, kiedy tylko Merlin i doktor Yardley

opracowali nowe, lepsze biomaszyny. Odpowiednia zmiana kodu genetycznego pozwala na dopasowaniu wieku do chęci osobnika, a nie jak w przypadku starych urządzeń, do utrzymywania go w stanie niezmiennym. Tymoteusz i ja mieliśmy już dość bólów i strzykania, jakich zaczęły dostarczać nam nasze ciała, więc z wielką chęcią poddaliśmy się temu zabiegowi. Ale rozumiem, co chcesz powiedzieć, i uwierz mi, admirale, tobie będzie łatwiej uwierzyć w mój niezwykły wiek niż mnie samemu.

Mugabi ponownie potrząsnął głową i opadł na oparcie krzesła. Jego umysł gorączkowo usiłował uporządkować otrzymane przed chwilą informacje.

Podejrzewał, że Cesarstwo Avalonu tak naprawdę w porównaniu z ogromem Federacji było bardzo małe. Z tego, co powiedział mu cesarz i jego doradcy, rościło sobie prawa do jedynie dwudziestu dwóch systemów planetarnych, z których tylko siedem księstw - Nowy Lancaster, Nowe Hrabstwo York, Nowa Walia, Nowe Hrabstwo Oxford, Glastonbury, Avalon i Kamelot mogło poszczycić się populacją większą niż dwa miliardy ludzi. Z drugiej strony Federacja miała pod sobą ponad pięćset systemów, a średnia populacja w każdym z nich wynosiła prawie jedenaście miliardów. Biorąc pod uwagę tak masywną przewagę liczebną, flota dowodzona przez kolegów Lach'heranu mimo zapóźnienia technologicznego i tak musiała być górą.

Ale tylko wtedy, kiedy Federacji uda się zgromadzić tak wielką siłę... a fakt, że osiemdziesiąt procent populacji składało się z tak zwanych ras pozostających pod protektorem, stawiał te szacunki pod znakiem zapytania.

- Jestem zdumiony, że udało wam się tyle osiągnąć, chociaż startowaliście z tak kiepskiej pozycji - powiedział głośno, a cesarz wzruszył ramionami.

- Byliśmy ograniczeni jedynie przez wielkość populacji - powiedział. - Pod każdym innym względem nie. Mieliśmy nawet bieżącą wiedzę Federacji do dyspozycji. - Znowu wzruszył ramionami. - My tylko usprawniliśmy to, co dostaliśmy na starcie.

- Jak zwykle, wasza wysokość - odezwał się łagodny tenorowy głos. - Jak zwykle nie bierzesz pod uwagę, z jak trudnym i wymagającym zadaniem musiałeś się zmierzyć. Nie wspominając już o tym, co udało ci się osiągnąć.

- I jak zwykle, Merlinie - odparł cesarz tonem, który wskazywał na to, że ich spór na ten temat toczył się już od wielu lat. - Ty przeceniasz moje dokonania. Że nie wspomnę o wspaniałych doradcach, jakich miałem... zaczynając od Matyldy. Ani o tym, jaką rolę w całej sprawie odegrałeś ty sam.

- Co było możliwe tylko dlatego, że odrzuciłeś głupie uprzedzenia Federacji co do tworzenia sztucznej inteligencji - odparł głos, a Mugabi uniósł brwi ze zdumienia. Cesarz

najwyraźniej zauważył wyraz jego twarzy, gdyż uśmiechnął się lekko drwiąco i skinął głową.

- Tak, admirale - powiedział. - Merlin kiedyś był nazywany Komputerem przez prymitywnego wojownika, zbyt głupiego, aby zorientować się, że rozmawia tylko z maszyną.

- A w dodatku głupiego na tyle, że rozszerzył prawa obowiązujące inteligencję organiczną, aby objęły też sztuczną - wytknął Merlin.

- Nie, nie - powiedział cesarz, potrząsając głową. - To nie było głupie... tylko sprytne. To był taki spisek, abyś nie miał wyjścia i musiał być mi do zgonnie wdzięczny za ten postępek. Dlatego właśnie pomagałeś nam przez wszystkie te lata w opracowywaniu nowych technologii! Nie wspominając o szefowaniu cesarskiemu wywiadowi.

- Oczywiście, że tak - odparł z dźwiękiem niepokojąco przypominającym ludzkie prychnięcie.

- To prawda, admirale - powiedział cesarz, patrząc na Mugabiego. - Merlin naprawdę ogromnie nam pomógł. Nie ma takiej intuicji jak człowiek, ale potrafi przetwarzać informacje z wielką szybkością i precyzją, której brakuje ludziom. Nawet tym, którzy mają osobiste wszczepki. Nieprędko mu dorównamy.

- Mam taką nadzieję - wtrącił się z dumą, a cesarz i jego oficerowie zaśmiali się głośno.

- Nie wątpię, że... Merlin bardzo wam pomógł, wasza wysokość - odezwał się Mugabi po dłuższej chwili. - Ale ciągle wasze zadanie było prawie niemożliwe do wykonania.

- Ludzie są lepiej przystosowani do niemożliwych zadań niż pozostałe gatunki - zauważył kanclerz.

- Może i tak - zgodził się cesarz. - Ale to nie pomogło nam przez pierwsze sto lat, kiedy wprost brodziliśmy w dzieciach. - Pełen zadumy uśmiech nie pasował do jego niesamowicie młodej twarzy i admirał zastanawiał się, w jakim stopniu autorytet, który posiadał jest wynikiem jego natury, a w jakim zdołał go nabyć przez ostatnie pięćset lat. Mugabi spotkał paru rzymian z tych, którzy wrócili na Ziemię i stali się pretekstem „ostatecznego rozwiązania” kwestii ludzkiej przez Federację, ale żaden z nich nie roztaczał wokół siebie takiej mieszanki młodzieńczości i antycznej niemalże mądrości, pewności siebie, która najwyraźniej była częścią osobowości cesarza. Oczywiście, chociaż Anglicy byli w teorii prawie tysiąc lat starsi od niego, większość tego czasu spędzili w stazie podczas lotu statkiem z napędem fazowym, podróżując między gwiazdami i w trudzie i niebezpieczeństwach budując imperium dosłownie z niczego. Cesarz, pomyślał, jest prawdopodobnie najstarszym człowiekiem jakiego spotkał w całym swoim życiu... być może z wyjątkiem arcybiskupa Tymoteusza, przyznał w duchu. Oczywiście po pierwszych dwóch czy trzech setkach lat czterdzieści w tę czy w tamtą nie robi wielkiej różnicy.

- Chociaż najtrudniejszą rzeczą z całego przedsięwzięcia - kontynuował cesarz. - Było wynalezienie sposobu na szybkie zwiększenie populacji bez jednoczesnej utraty poczucia więzi rodzinnej. W tamtych czasach nie znaliśmy tego pojęcia, ale tak naprawdę stanęliśmy przed problemem masowej produkcji. A wiedzieliśmy doskonale co się stanie z naszym społeczeństwem, kiedy zaczniemy klonowanie na szeroką skalę.

Potrząsnął głową i westchnął, a potem machnął w kierunku admirała Mayntona.

- Obecny tutaj książę Jan - powiedział do Mugabiego, który mocno się zdziwił, słysząc tytuł, o którym Maynton najwyraźniej zapomniał - i cały jego ród pochodzi bezpośrednio od pierwszej generacji sklonowanych dzieci. Oczywiście jest... ile? Dziewiętnaście linii kadeckich w tej rodzinie, prawda Janie?

- Właściwie dwadzieścia dwie, wuju - odparł Maynton z iskrą w niebieskich oczach, a potem wzruszył ramionami. - Ale kto by to liczył?

- Ty, złośliwa istoto - odgryzł się cesarz ze śmiechem, a potem spojrzął z powrotem na Mugabiego. - Postanowiłem od samego początku, że prawo nie będzie robić różnicy pomiędzy sklonowanymi, a naturalnymi dziećmi, noszonymi w macicy. Ale nie byłem pewien, czy moi ludzie je zaakceptują. Oczywiście, teraz te lęki wydają się absurdalne, gdyż klony i ich potomkowie znacznie przewyższają liczebnie tradycyjnie narodzone dzieci. Na każde naturalne dziecko przypada milion sklonowanych, ale w tamtym czasie to był prawdziwy problem.

- Prawda - wtrącił się ojciec Tymoteusz. - Z drugiej strony, podszedłeś do problemu na tyle sensownie, że udało ci się obejść pułapki z nim związane, mój panie. - Prałat, jak zauważył Mugabi, bardzo rzadko zwracał się do cesarza „wasza wysokość” i admirał zastanawiał się, czy ten przywilej mają wszyscy najstarsi i najbardziej oddani doradcy panującego władcy.

- O ile masz na myśli to, że byłem na tyle sprytny, aby porozmawiać z Matyldą, która zapewniła mnie, że będę miał poparcie Kościoła, to podejrzewam, że masz rację - zgodził się cesarz.

- Dzieci są dziećmi, a dusze duszami - odparł arcybiskup łagodnie. - Kiedy w grę wchodzi wiedza medyczna, a dzieci, które się rodzą, są zdrowe i całe, cud narodzin jest zawsze taki sam.

- A ludzie, którzy wychowują takie dziecko, są jego rodzicami - zgodził się cesarz miękko, a potem zachichotał i spojrzął przez ramię na portret cesarzowej. - Matylda z pewnością jasno mi to wyłożyła w tamtej chwili! - dodał lekko drwiąco.

- A z własnego doświadczenia wiem - wtrąciła się kapitan Stanhope. - Że Ternaui są

wspaniałymi rodzicami. - Uśmiechnęła się ciepło do kanclerza i Mugabi poczuł nagle, że istota także się uśmiecha, w głębi duszy, chociaż jej rysy ciągle pozostają nieruchome.

- Dziękuję ci, córko - powiedział Ternaui po chwili. - Ale muszę przyznać, że wychowywanie małego człowieka jest bardzo... interesującym doświadczeniem. I podejrzewam, że to właśnie ono sprawiło, że zmieniliśmy się bardziej, niż gdyby królowa poddała nas programowaniu.

- To życie tak cię zmieniło, przyjacielu, nie zrzucaj winy na dzieci! - zaśmiał się cesarz. - To nie znaczy, że wychowywanie dzieci nie jest interesującym doświadczeniem... niezależnie od gatunku.

Mugabi zdołał ukryć zaskoczenie, chociaż nie było to łatwe. Przez cały czas musiał sobie przypominać, że ci ludzie nie mieli nic wspólnego z Federacją. Ale ziemski odłam rasy ludzkiej miał doświadczenie tylko z jedną zaawansowaną cywilizacją, i była to Federacja. A każdy pomysł międzygatunkowego wychowywania dzieci natychmiast spotykał się z negatywną reakcją Galaktycznych. Było to zabronione przez prawo i admirał zastanawiał się, jak bardzo fakt ten wpłynął na decyzję Cesarstwa, które takie praktyki popierało.

- W każdym razie - odezwał się cesarz po chwili, zwracając się ponownie do Mugabiego. - Udało nam się i zachowaliśmy więzy rodzinne. W rzeczywistości zdaje mi się, że przykładamy nawet większą wagę do rodziny niż wy tutaj w Układzie Słonecznym, admirale. Oczywiście my zaczynaliśmy od bardzo małej ilości ludzi i udało nam się zachować wiele z jej początkowej spójności. Bez wątplenia fakt, że utrzymujemy hierarchiczną strukturę społeczeństwa, a niektórzy mogą nawet nazwać ją feudalną, a Kościół nadal pozostaje głównym trzonem naszych instytucji, wynika bezpośrednio z tego, ale podejrzewam, że zewnętrzne zagrożenie ze strony Federacji to zupełnie inna sprawa. W przeciwieństwie do naszych przodków na Ziemi, od początku wiedzieliśmy, że Federacja istnieje i że z pewnością w przyszłości dojdzie do otwartego z nią konfliktu. To dało nam cel i mogliśmy skupić się na jego realizacji. Nie wspomnę już o tym, że po prostu się baliśmy, a strach jeszcze bardziej nas zjednoczył. Nie mogliśmy zapomnieć kim jesteśmy i po co istniejemy. Twoja część ludzkości dowiedziała się o istnieniu Federacji zaledwie sto, sto pięćdziesiąt lat temu, a więc mieliście więcej czasu, aby rozwijać się jako społeczeństwo. Dlatego wytworzyliście zupełnie odmienną strukturę społeczną, z innymi modelami rodziny i sposobem życia, który dla nas nigdy nie był dostępny.

- Być może tak było - odparł Mugabi. - Z drugiej strony, z tego, co mi powiedziałeś wnioskuję, że odłam słoneczny naszej rasy stał się obecnie mniejszym odpryskiem całości.

- Podejrzewam, że masz rację - zawyrokował cesarz. - I sędzę, że Ziemianie mogą odczuć

niechciane ciśnienie pozostałej części, która będzie chciała, aby dostosowali się do praktyk cesarstwa. Jednakże zapewniam cię, że cesarstwo nie zamierza zmuszać nikogo do przyjęcia naszych praw czy uznania naszego rządu. Jeżeli byśmy na to naciskali, Matylda nieźle by skopała mój cesarski tyłek, po powrocie do Kamelotu! Poza tym nie byłoby różnicy między nami a Federacją, gdybyśmy zachowywali się w tak arogancki sposób, nieprawdaż?

- Tak mi się zdaje - zgodził się admirał. - Chociaż wyobrażam sobie, że pewien inny fakt mógłby też mieć tu swoje znaczenie. To, że Cesarstwo nie zamierza nas zniszczyć może być uważane za różnicę choć może niedużą, jeżeli się nad tym zastanowić.

- No może i małą - zachichotał cesarz. On i Mugabi uśmiechnęli się do siebie, ale admirał zerknął na zegarek i ponownie potrząsnął głową.

- Jestem pewien, że to zajmie wiele lat, zanim naprawdę zrozumiemy w szczegółach to, co ty i twoi ludzie osiągnęliście, wasza miłość. Osobiście nie mogę się doczekać chwili, kiedy w pełni pojmę ogrom wyzwania, z jakim musieliście się zmierzyć i to, w jaki sposób sobie poradziliście. Ale jak zapewne wiesz, prezydent Dresner, admirał Steyenson i prezydencki gabinet są właśnie w drodze na *Ekskalibura*. Zgodnie z planem, który mi przesłali, powinni się tu znaleźć w przeciągu pół godziny i nie wątpię, że będą oczekiwali ode mnie, że przekażę im choć ramowo efekt naszej rozmowy.

- Oczywiście - powiedział cesarz. - Wybacz mi. Obawiam się, że nowy słuchacz, jakim dla mnie jesteś, wywołał coś, co nazywam atakiem wspomnienia dawnych czasów. Bóg jeden wie, jak te niewdzięczne młodziki - machnął w kierunku Mayntona i pozostałych oficerów. - Okropnie mnie traktują, kiedy próbuję im coś opowiedzieć. Mówią, że jestem nudziarz!

- Ale wcale nie, dziadku - zaprzeczyła księżniczka Ewelina skromnie. - Tylko te twoje historie trochę się już... wytarły.

Przez salę przetoczył się kolejny grzmot śmiechu, zapoczątkowany przez cesarza, który jednakże szybko skierował swoją uwagę z powrotem na swojego rozmówcę.

- Bardzo dobrze, admirale, wróćmy do twoich ram.

Cesarz pochylił się na krześle i wcześniejsze rozbawienie zostało natychmiast zastąpione przez powagę, a nawet smutek.

- Równie dobrze może się zdarzyć, admirale, że przyszłe generacje historyków będą uważać moje rządy za całkowitą klęskę, za pasmo straconych szans, które doprowadziły do pełnej ruiny, której inny człowiek mógł całkowicie uniknąć. - Szybko otworzył usta, ale cesarz wzniesioną dłońią powstrzymał go, zanim mężczyzna zdążył zaprotestować.

- Nie, wysłuchaj mnie do końca, admirale. Nie powiedziałem, że zgodziłbym się z tym werdyktem. Powiedziałem tylko, że niektórzy ludzie mogą to tak oceniać, gdyż miałem na

początku dwie alternatywy, ale nawet przez chwilę nie brałem tej drugiej pod uwagę.

- Dwie alternatywy? - Mugabi zmarszczył brwi.

- Dwie - powtórzył cesarz stanowczo. - Jedna z nich zakładała, że opracujemy naszą wersję napędu fazowego oraz wzmocnimy się militarnie i technologicznie do takiego poziomu, który da do myślenia tak ostrożnym i tchórzliwym istotom, jak rasy Federacji. Moglibyśmy przycząć się na jakiś czas, a potem zażądać dla siebie miejsca w Radzie.

Patrzył na niego pełen niedowierzania i cesarz zachichotał.

- Zdaję sobie sprawę, że z perspektywy Układu Słonecznego i jego perypetii z Galaktyką, taki pomysł wydaje się niedorzeczny. Federacja nigdy nie przyzna, że ludzki gatunek mógłby znaleźć się wśród jej członków i zasiąść w drogocennej Radzie. Ale z perspektywy czasu wszystko zdaje się takie oczywiste, a w tamtych latach, admirale, nie mieliśmy pewności, która opcja da nam więcej korzyści. Jest możliwe, choć przyznaję mało prawdopodobne, że gdybyśmy skontaktowali się z Federacją na swoich własnych warunkach kiedy tylko rozwinęliśmy Nowy Lancaster, mogliby zareagować zupełnie inaczej. W końcu w tamtych czasach nie obserwowali tak wnikliwie Układu Słonecznego, co prawdopodobnie oznacza, że nie rozpoznali jeszcze zagrożenia, jakim dla ich cennej stabilności stała się natura człowieka.

- Z całym szacunkiem, wasza wysokość, nie sądzę, aby opisywana przez ciebie sielanka miała trwać zbyt długo. Szybko by się na was poznali. Nawet nie biorąc pod uwagę Rzymian i tego skradzionego statku... a ich reakcja jasno świadczy o tym, jaki mają stosunek do ras kradnących im technologie, wasze cesarstwo od samego początku było rodzajem złego przykładu dla podległych im ras. Tak samo zresztą jak my.

- Wierzę, że masz rację - odparł cesarz cicho. - Ale są chwile, kiedy w nocy nie mogę spać, gdyż zastanawiam się, co by się stało, gdybym automatycznie nie zakładał istnienia wrogości pomiędzy nami i Federacją. Nieuniknionej wrogości. A gdybym zdołał znaleźć sposób na pokojową współpracę i walczył o to, aby Federacja przeszła gruntowne reformy, kiedy już bym zasiadł w Radzie?

- A ja nie leżę bezsenne w nocy i nie zastanawiam się nad takimi bzdurami - przerwał mu arcybiskup Tymoteusz niegrzecznie. - Ponieważ ja doskonale wiem, do diaska... o, przepraszam za słownictwo... że to by się nigdy nie stało. Wszyscy bylibyśmy martwi już trzysta pięćdziesiąt lat temu!

- Moja analiza ludzkiej natury, która skłania was do niekończącego się nigdy reinterpretowania i oceniania historii sugeruje, że bez wątpienia masz rację, wasza miłość. Z pewnością jakiś sławny uczoney, który ma więcej dyplomów w kieszeni niż rozumu w głowie dojdzie do takiego samego wniosku, co ty - wtrącił się głos należący Merlina. - Jednakże

wszystko to jest jeszcze jednym dowodem na to, że istoty, które nie są odpowiedzialne za podejmowanie kluczowych decyzji czują znacznie większą swobodę kiedy przychodzi do zgadywania, co się stanie za jakiś czas, niż ci, którzy naprawdę o tym decydują.

- Ostrożnie, przyjacielu! - powiedział cesarz drwiąco. - Nie wmawiaj cesarzowi, że nigdy się nie myli, bo to doskonała droga do zachęcenia go, aby uwierzył we własną nieomyślność i stracił zdrowy rozum. A wtedy, gdzie wy wszyscy będziecie?

- Będziemy patrzeć, jak jej cesarska mość... przekonuje cię, że się mylisz, wasza miłość - odparł Maynton poważnym tonem, ale w jego niebieskich oczach migotały isierki śmiechu.

- Aa! - cesarz zamrugał, jakby przypominał sobie jakieś nieprzyjemne zdarzenie, ale po chwili strząsnął z siebie śmiech i na jego twarzy znów zagościło znajome ponure uczucie.

- Jakie by nie były moje możliwości, admirale Mugabi, postanowiłem wybrać drugą alternatywę... tę, którą Matylda ochrzciła mianem „Alternatywy Ekskalibura”. Być może mieliśmy o sobie zbyt wielkie mniemanie, ale Matyldzie wydawało się, że w pewnym sensie staniemy się mieczem króla Artura. - Popatrzył spokojnie w oczy Mugabiego. - Nie wybraliśmy sobie naszego losu i tak samo jak Ekskalibur został wrzucony do jeziora, tak samo my znaleźliśmy się w czerni kosmicznej pustki. W naszym przypadku ta czerń stała się także kuźnią, gdzie nas przekuto. Nie tylko kryjówką, ale także kowadłem i młotem, ale tak samo jak Ekskalibur naszym zadaniem było uratowanie naszej ojczyzny, kiedy nadeszła jej ostatnia, czarna godzina. Tak więc, słusznie czy nie, nie zastanawialiśmy się nawet nad podjęciem prób uzyskania statusu członka Rady i pokojowej egzystencji. Oceniliśmy, że tak naprawdę nie mamy szans na zmianę tak skostniałej i ogromnej Federacji, a jeżeli nie można było jej zreformować, to pozostawało nam tylko jedno. Dla dobra pozostałych prymitywnych ras, pozostających pod protektoratem Rady, Federacja musiała być zniszczona.

- Wybraliśmy Alternatywę Ekskalibura - powiedział cesarz, a jego głos był tak twardy jak kuta stal. - I od tamtego dnia ani razu nie oglądaliśmy się za siebie.

W kabinie zapadła cisza i Mugabi głęboko zaczerpnął powietrza, kiedy zdał sobie sprawę, że od kilku chwil wstrzymuje oddech. Aura która otaczała cesarza była silniejsza niż zwykle i mimo młodego wyglądu siedział na swoim krześle niczym antyczny granitowy głaz, niezłomny i nie do rozkruszenia.

Czterysta pięćdziesiąt jeden lat. Przez tak długi czas ten człowiek poświęcił się całkowicie wraz ze swoimi poddanymi zadaniu budowania militarnej potęgi, która miała zniszczyć najpotężniejszą i najbardziej arogancką federację w historii galaktyki. On sam i jego poddani upodobnili się do Ekskalibura, o którym mówił. I zapewne dlatego roztaczał wokół siebie stalową aurę czystej siły i celowości.

- A czy mogę spytać, wasza miłość, co składa się na Alternatywę Ekskalibura? - spytał Ziemianin cicho po dłuższej chwili milczenia.

- Jej częścią jest to wszystko, co osiągnęliśmy przez ostatnie czterysta pięćdziesiąt lat. Wszystkie statki wojenne, broń, każda strategia, taktyka, i technologiczna przewaga, którą udało nam się zdobyć. Z pewnością nie możemy zagwarantować wam zwycięstwa, admirałe Mugabi, ale możemy cię zapewnić, że kiedy przyłączy się do nas Układ Słoneczny, zadufana w sobie Federacja będzie musiała przyjąć do wiadomości, że już nie jest najpotężniejszą strukturą we wszechświecie.

Oprócz tego - dodał cesarz bardziej normalnym głosem, opadając na oparcie krzesła. - Wprawiliśmy w ruch pewne siły, a w niedalekiej przyszłości zamierzamy ten zabieg powtarzać.

Po pierwsze jesteśmy przygotowani na to, że Trzecia Flota Eweliny zostanie w Układzie Słonecznym na zawsze jako garnizon. Jak zapewne się zorientowałeś, flota składa się z sześćdziesięciu niszczycieli klasy *miecz*, takich jak Ekskalibur i dwóch setek okrętów klasy *pendragon*. Każdy z nich ma rozmiar i mniejszą moc o jakąś jedną trzecią. Jednostki te eskortowane są przez setkę jeszcze mniejszych okrętów klasy *nimue*, z których każdy ma na pokładzie tysiąc gotowych do walki myśliwców, wyposażonych w napęd fazowy, których siła porównywalna jest do załóg federacyjnych niszczycieli klasy *harpy*.

Mugabi zdawał sobie sprawę, że wygląda niepoważnie z opadającą szczęką, ale w tej chwili nie mógł nic na to poradzić. Sześćdziesiąt takich potworów? Trzy razy więcej statków wojennych? Jego umysł nie był w stanie ogarnąć niewiarygodnej siły Trzeciej Floty Cesarstwa. Władca kontynuował spokojnie.

- W tej chwili Trzecia Flota jest naszą największą i najpotężniejszą formacją, chociaż Flota Macierzysta ustępuje jej zaledwie o mały włos. Oczywiście istotnym problemem jest fakt, że Federacja wie, gdzie leży Układ Słoneczny, natomiast nie ma pojęcia, gdzie szukać Avalonu. To się może zmienić, ale nawet w najgorszym wypadku poszukiwania zajmą im dziesiątki lat. Co oznacza, że wszelkie przewidywane ataki będą wymierzone w wasz system i to dlatego tutaj musimy ulokować nasze największe siły. A już szczególnie dlatego, że niebawem Galaktyka zorientuje się, skąd tak naprawdę pochodzimy. Kiedy się tego dowiedzą, jednocześnie dostrzegą, jaką mają nad nami przewagę w ilości ras i systemów planetarnych, które kontrolują. I nie wątpię ani przez chwilę, że w odpowiedzi za wszelką cenę będą próbować całkowicie zniszczyć każdy nasz system, który tylko uda im się znaleźć.

Jednocześnie nasze źródła w Federacji donoszą, że zgromadzenie drugiej tak potężnej floty jak Lach'heranu zajmie im co najmniej osiem lat. Zebranie siły większej od tamtego

szwadronu, zajmie proporcjonalnie więcej czasu. Uważam, że mogę bezpiecznie założyć, że Federacja nie zaatakuje nas zanim nie zgromadzi odpowiednio potężnej armii, potężniejszej od tej, którą stracili.

Podczas gdy Rada będzie się zajmować koncentracją sił, my przygotowujemy się do obrony. Przetransferujemy do Układu Słonecznego automatyczne doki i wspierające moduły przemysłowe. Na początku urzędzenia te będą nastawione na replikację. Jednocześnie wykorzystamy ten czas na zapoznanie was z naszą technologią, żebyście jak najszybciej osiągnęli nasz poziom rozwoju. Nasze obliczenia mówią, że już za mniej więcej sześć lat w Układzie Słonecznym powstanie pierwszy niszczyciel klasy *miecz*. Produkcja myśliwców dla lokalnej obrony ruszy jakieś dwa lata wcześniej. Kiedy tylko z waszych stoczni wyjdzie pierwszy statek, zakładamy, że wydajność ustabilizuje się na poziomie tonażu równego siedemnastu okrętom klasy *miecz* na miesiąc.

Czuł, że oczy wszystkich zebranych w kabinie spoczywają na nim, ale on sam nie był w stanie odwrócić wzroku od cesarza.

- W międzyczasie zamierzamy wykorzystać wszystkie inne sposoby, za pomocą których uda nam się zaburzyć równowagę Federacji, i to na długo. Jestem całkowicie pewien, że wieści o klęsce Lach'heranu i o pojawieniu się nowego Cesarstwa będą dla Rady prawdziwym szokiem, szczególnie kiedy przekona się, że patrzy właśnie w twarze tych, których tak beznamytnie skazała na genocyd. Na nieszczęście dla Rady - mały uśmiech na twarzy cesarza był przerażająco lodowaty - to dopiero pierwsza szokująca informacja, którą przyszykowaliśmy. Myślę, że będą bardzo przestraszeni, kiedy się dowiedzą, jak bardzo nasze Cesarstwo usprawniło ich własny napęd fazowy. Nasze statki są w rzeczywistości jedenaście razy szybsze od ich jednostek.

Mugabi powinien na te słowa podskoczyć do góry i uderzyć głową w sufit... ale w chwili obecnej był całkowicie znieczulony na sensacyjne informacje, gdyż po prostu ci ludzie zbyt wiele już mu ich zaaplikowali. Pomyślał sobie, że teraz to już niczym go nie zaskoczą.

Ale się mylił.

- Dodatkowo - mówił cesarz spokojnie. - Wymyśliliśmy kilka innych udoskonaleń. W szczególności coś, co nazywamy komem.

- Kolem? - powtórzył Mugabi zaciekawiony.

- Tak - w oczach cesarza czaiło się rozbawienie. - W tej chwili całkowity zasięg koma ograniczony jest do sześćdziesięciu dwóch lat świetlnych, ale prędkość efektywnej transmisji jest około siedemset razy większa niż prędkość światła.

- Szybsza niż światło?! - podskoczył na krześle tak szybko, że jego mechanizm nie zdołał

się dopasować. - Macie zdolność komunikowania się na takim poziomie?

- Oczywiście - powiedział cesarz obojętnie i tym razem na jego twarzy pokazał się szeroki uśmiech. - To nie każdy to ma?

- Mój Boże - mruknął, podczas gdy jego umysł już zaczął konstruować strategię w oparciu o te niewiarygodne możliwości, o których właśnie usłyszał. Ogromna prędkość statków Cesarstwa była wielką przewagą, ale w połączeniu z możliwością szybkiego przekazywania rozkazów, o której właśnie powiedział mu cesarz, ta prędkość stawała się niemalże bezcenna.

- I w końcu - Podjął cesarz po chwili, pozwoliwszy Mugabiemu nacieszyć się zdobytą wiedzą. - Federacja i jej rasy niebawem odkryją, że mają też inne problemy, i to na własnym podwórku.

- Na własnym podwórku? - Przechylił głowę, z obawą oczekując następnych słów władcy.

- W każdym razie znacznie bliżej, niż my - powiedział cesarz ze złośliwym uśmiechem. - Chcę być z tobą zupełnie szczery, admiralu, dlatego powiem ci, że gdyby Lach'heranu nie dostała rozkazu zaatakowania Ziemi, ciągle nie wiedzielibyście o naszym istnieniu. Nasz militarny potencjał ciągle wzrasta relatywnie proporcjonalnie do poziomu osiąganego przez Federację. Ale krzywa rozwoju ciągle przyspiesza. Na nieszczęście nasza siła ciągle jest mniejsza od w pełni zmobilizowanej Federacji. Dlatego właśnie wolelibyśmy poczekać jeszcze jakieś pięćdziesiąt do siedemdziesięciu pięciu lat na skontaktowanie się z wami, ale decyzja Rady sprawiła, że musieliśmy zakończyć nasze przygotowania szybciej niż nam się to podobało.

Jednakowoż nasi analitycy, którzy zajmują się badaniami Federacji, zawsze brali pod uwagę taką możliwość i dlatego podjęliśmy pewne kroki zapobiegawcze. Jednym z nich było utrzymywanie wielkiej floty w pełnej gotowości w odległości miesiąca lotu od Ziemi przez ostatnie sześćdziesiąt lat, o czym ani wy, ani Federacja nie mieliście pojęcia. Czekali właśnie na taką okazję. Drugą było podjęcie bardzo ostrożnych prób nawiązania kontaktu z pewnymi rasami, pozostającymi pod protektoratem Rady. Ostatnie sto lat albo coś koło tego, spędziliśmy na tworzeniu komórek oporu na podporządkowanych Federacji planetach rozsianych po całym wszechświecie. Ta strategia była szczególnie ryzykowna pod wieloma względami, szczególnie że federacja mogła nabrać przypuszczeń, że za tymi działaniami stoją Ziemianie, gdyby choć jedna z ich sił wywiadowczych zorientowała się, że coś jest na rzeczy. To mogło się skończyć przyspieszeniem decyzji o eksterminacji waszej rasy, ale czuliśmy, że musimy podjąć to ryzyko.

Właściwie najbardziej chcieliśmy umieścić takie rewolucyjne jądro na samej Ziemi, ale to by było niepraktyczne. Nasze systemy maskujące są znacznie lepsze od tych, którymi dysponuje Federacja, a w przypadku waszej planety nie potrzebowaliśmy przejmować się charakterystyką, gdyż nasi ludzie z łatwością wtopiliby się w tło. Na nieszczęście Federacja wprost zarzuciła Ziemię i Układ Słoneczny urządzeniami nasłuchowymi, a także, o ile nam wiadomo, przekupionymi ludzkimi szpiegami, że nie odważylibyśmy się na próbę kontaktu. Mieliśmy przecież odegrać znaczącą rolę w przygotowaniu was do walki z Federacją, tak więc zmuszeni bylibyśmy do bezpośredniego kontaktu z rządem albo armią, a właśnie te obszary waszego społeczeństwa Federacja obserwowała z największą uwagą. Gdyby choć przez chwilę podejrzewali nasze istnienie, znacznie wcześniej doszliby do wniosku, że należy was wyeliminować... prawdopodobnie nawet my nie zdążylibyśmy wtedy pomóc.

Ale jednocześnie, kiedy oni koncentrowali się na was, nie przyszło im do głowy, aby martwić się kimkolwiek innym. Nasze służby wywiadowcze odkryły, że zabezpieczenia na podległych planetach pozostawiają wiele do życzenia. Nie wiedzieliście tego, gdyż bardzo się staraliśmy, aby to do was nie dotarło, ale większość niskich ras, które z taką chęcią dzieliły się z wami informacjami, pozostawała w kontakcie z nami i to my ich zachęcaliśmy. Musieliśmy być bardzo ostrożni, kiedy usiłowaliśmy przekazać wam informacje poprzez nich, ale to naprawdę było dla nas bardzo przydatne. I chociaż nie odważyliśmy się na bezpośredni kontakt z powodu urządzeń podsłuchowych Federacji, z powodzeniem używaliśmy naszej technologii, aby penetrować ich połączenia komunikacyjne i zakładać nasze własne stacje nasłuchowe tutaj, w Układzie Słonecznym. To właśnie dzięki temu wiedzieliśmy, kto z kim się komunikuje i jak połączyć się z twoim statkiem, kiedy Lach'heranu rozpoczęła atak.

Ale najważniejsze jest to, że zaczęliśmy właśnie dystrybuować broń do naszych punktów oporu. Nie dajemy broni tylko tym planetom, które i tak nie miałyby szansy pokonać swoich panów i przejąć infrastruktury Federacji w swoich systemach. Są takie miejsca, których wodzowie desperacko błagają nas o sprzęt, nawet mimo tego, że ich szanse są zbyt małe, aby mogli odbić swoje światy. Ale wiemy, że bezlitosna Federacja odpowie na każde zagrożenie, jakie tylko wykryje, szczególnie po tym, co ją spotkało tutaj. Mimo tego, że desperacko pragnę odwrócić ich uwagę od tego, co dzieje się na Ziemi i udaremnić każdy kontratak, nie mogę przecież rzucić całej planety w paszczę lwa. Niektóre rasy po prostu nie są w stanie się obronić.

Mimo tego uważamy, że co najmniej trzy setki podległych światów przystąpią do rebelii i odniosą wymierny sukces. Wybraliśmy nasze cele tak ostrożnie, jak tylko się dało.

Zaczęliśmy od niszczenia przemysłu federacji i likwidowania baz marynarki, gdzie tylko się dało. W połączeniu z kilkoma planowanymi uderzeniami, jakie flota admirała Mayntona jest gotowa wymierzyć, szacujemy, że okaleczymy lub całkowicie zniszczymy prawie połowę całkowitej siły militarnej Galaktyki zanim ich wolniejsza komunikacja przekaże wieści o tym, co stało się tutaj.

- Mój Boże - szepnął Mugabi ponownie. Patrzył na cesarza przez kilka niekończących się sekund, a potem westchnął głęboko. - Nie mogę... - znów przerwał i potrząsnął głową. - Dzisiejszego ranka byłem przekonany, że cała ludzka rasa skazana jest na zagładę - powiedział miękko. - A teraz to. - Znowu potrząsnął głową.

- Nie przeceniaj nas, admirale - powiedział cesarz bardzo poważnie - Nawet jeżeli nasz plan zadziała doskonale, nawet jeżeli zmniejszymy ich siłę bojową o połowę, a może nawet więcej, nawet jeżeli rozproszymy ich uwagę poprzez wzniesienie rebelii na wielu planetach, to ich całkowita zdolność bojowa i tak będzie znacznie większa niż nasza. Kiedy wreszcie się zorientują, że są atakowani i przemysł wojenny ruszy pełną parą, będą w stanie zastąpić cały utracony sprzęt w przeciągu nie więcej jak trzydziestu czy czterdziestu lat, chociaż bunt na podległych planetach może ich trochę spowolnić. Jednakże zanim zdążą odbudować przemysł, wasz świat będzie już w pełni zindustrializowany, a zamierzamy zaoferować sojusz na tych samych prawach każdemu systemowi słonecznemu, na którym podległa rasa zdoła wywalczyć sobie wolność, tak więc nasza własna zdolność produkcyjna także gwałtownie się zwiększy. Wierzmy, że ich przewaga będzie się stale zmniejszać, zakładając, że przetrwamy pierwsze kontruderzenie, ale nie mogę nic zagwarantować. Przy najlepszych założeniach sądzę, że mamy jakieś sześćdziesiąt procent szans na osiągnięcie totalnego zwycięstwa, ale nawet jeżeli wygramy, straty będą bardzo duże. I nie możemy nie brać pod uwagę moralnej odpowiedzialności za śmierć wszystkich istot, które zdecydowały się na przystąpienie do spisku i otwarcie wystąpią przeciwko Federacji. Nie proponujemy ci obietnicy wyzwolenia... tylko możliwość.

- Co i tak znacznie przewyższa ofertę, którą dostałem dziś rano - odparł Mugabi. - Wasza wysokość, Galaktyka wydała na nas wyrok śmierci na długo przed tym, jak wasza flota otworzyła ogień dzisiejszego popołudnia. Każdy następny dzień, jakim może cieszyć się Ziemia i jej mieszkańcy, został ofiarowany nam przez ciebie, gdyż to właśnie ty podjąłeś decyzję o ataku na szwadron Federacji. Wybacz, że wygłaszam komunały, ale walka z Federacją, niezależnie od szans na zwycięstwo, jest jedyną naszą przyszłością. A wy, ludzie, spędziliście bardzo wiele czasu na upewnianiu się, że te szanse są coraz większe.

- A z pewnością próbowaliśmy - powiedział cesarz cicho. - Z naszego punktu widzenia,

Galaktyka ma chociaż jedną pozytywną cechę.

- A ta cecha to...? - Mugabi uniósł brwi.

- Tak, admirale, jest taka cecha. Oni tak długo się namyślają, zanim podejmą jakąkolwiek decyzję, że będziemy mieć sporo czasu, aby przygotować się na podjęcie odpowiedniej decyzji.

- Ja nie mam wątpliwości - powiedział szybko i znów zapadła cisza. Tym razem trwała nieco dłużej; po chwili cesarz odchrząknął.

- A więc, admirale Mugabi. Jak myślisz, czy prezydent Dresner i wasz senat przyłączą się do nas?

- Oczywiście, nie mogę decydować za nich, ani przemawiać w ich imieniu, zanim sami nie podejmą decyzji, wasza wysokość - powiedział. - Ale tak naprawdę nie widzę innego wyjścia niż Alternatywa Ekskalibura. Federacja już podjęła decyzję... chcą nas wszystkich zabić, a więc, tak jak powiedziałeś, jedynym ratunkiem dla nas jest ich wykończyć. - Wolno pokiwał głową.

- Nie mogę przekonać rządu do własnego zdania, ale myślę, że będziesz miał system planetarny pełen zagorzałych zwolenników tak szybko, jak prezydent przedstawi tę kuszącą propozycję przed senatem.

- Dobrze - głos cesarza był spokojny, prawie beznamiętny, ale Quentin Mugabi słyszał w nim cichy szelest stalowego ostrza, wysuwającego się z granitowego angielskiego głazu.

Jego cesarska mość Jerzy, król Kamelotu, książę Nowego Lancaster, trzeci baron Wickworth, obrońca Wiary, Książę Protektor Królestwa i z bożej łaski cesarz Avalonu obrzucił kabinę uważnym wzrokiem, a potem skierował swoje ogniste spojrzenie na twarz Quentina Mugabiego.

- Dobrze - powtórzył cesarz. - Wyciągnęliśmy miecz z kamienia. Schowamy go do pochwy tylko wtedy, kiedy odniesiemy zwycięstwo, albo zginiemy... i niech Bóg stanie po stronie tego, kto jest bliżej prawa!